



UUK

JACK L. CHALKER

POWRÓT NATHANA BRAZILA

Tytuł oryginału: *The Return of Nathan Brazil*

Wydanie I

W skład cyklu ŚWIAT STUDNIA wchodzi:

- PÓŁNOC PRZY STUDNI DUSZ
- WOJNY W ŚWIECIE STUDNI
- POWRÓT NATHANA BRAZILA
- ZMIERZCH PRZY STUDNI DUSZ



SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	2
Parkatin, pogranicze	5
Hodukai, planeta na pograniczu.	16
Siedziba główna Policji Konfederacyjnej, Suba	25
Kwangsi, sala posiedzeń Rady Konfederacji.	32
W systemie Madalin	38
Baza Drili, około pięciu tysięcy lat świetlnych od Konfederacji	42
Na frachtowcu Hoahokim	45
Kwangsi	51
Laboratoria Policji Konfederacyjnej, Suba	63
Gramancz, planeta w galaktyce M 51	69
Na orbicie Świata Studni	74
Dolgritu	77
<i>Nautilus</i> — Spód	87
Olimpus	99
Kwangsi	117
<i>Nautilus</i>	125
Meouit	137
Hotel „Pioneer”, pokój 404 A	144
W magazynie — południe	149
Na pokładzie <i>Jerusalem</i>	158
<i>Nautilus</i> — Spód	164
<i>Nautilus</i> — Wierzch	168
Olimpus, komnata Matki Świętej	170
<i>Nautilus</i> — Spód	172
<i>Nautilus</i> — Wierzch	187
<i>Nautilus</i> — Wierzch, później tego samego dnia	194
Serachnus	206
Południowa Strefa	209
Hakazit	220
Południowa Strefa	227

Awbri	229
Południowa Strefa	237
Dillia	239
Durbis, na wybrzeżu Flotisz	241
Południowa Strefa	244

Książkę tę dedykuję starej paczce, do której należeli:
ALAN MOLE, HARRY BRASHEAR, MIKE LEIB,
JOHN YOX ORAZ BERNARD ZERWITZ,
którzy — włączając mnie — okazali się o niebo lepsi,
niż ktokolwiek mógłby się po nich spodziewać. . .

Parkatin, pogranicze

Gdyby Har Batin był akurat zakatarzony, dużo łatwiej byłoby mu podbić ten świat. Niestety Drile automatycznie uodporniały wykorzystywane przez siebie ciała. Tak więc tym razem podbój miał być raczej żmudny.

Slabansport była typową pograniczną stolicą. Znajdował się tu niewielki, lecz nowoczesny port kosmiczny, wykorzystywany głównie przez promy orbitalne, przewożące importowane towary z wielkich, regularnie zawijających frachtowców. Rzecz jasna nie opodal mnożyły się bary i spelunki, tak samo typowe dla każdego portu jak, magazyny, centra rozładunkowe oraz lokalne przedstawicielstwa kompanii, które doprowadziły do otwarcia granicy. Samo miasto, największe na Parkatinie, liczyło ledwie dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Miało się to jednak zmienić. Jeszcze do niedawna spalona, brunatna pustynia, rozciągająca się na tysiące kilometrów wokół Slabansport, teraz rozkwitała dzięki rurociągom doprowadzającym jakże upragnioną wodę z odległych ujęć. Parkatin był gorącym, suchym światem, posiadał jednak w swej atmosferze parę wodną, a także miewał od czasu do czasu burze konwekcyjne. Mógł w ciągu pokolenia stać się domem dla kolejnego miliarda ludzi.

Nie oznaczało to niestety dla ludzkości nic dobrego, jeśli Drile miały w tej kwestii cokolwiek do powiedzenia. Całe ich kolonie były tu teraz i spoglądały oczyma Hara Batina na brudny, mały bar znajdujący się tuż koło portu. Pewne już swego zwycięstwa nad ludzkimi istotami, pewne założenia nowej siedziby Drili tu, na Parkatinie. Stąd będą mogły opanowywać dalsze ciała swych zwierzęcych żywicieli, tak jak teraz robiły to Drile zamieszkujące ciało Hara Batina.

Drile były niezwykle złożonymi organizmami, choć jednocześnie stanowiły najmniejszą znaną formę życia organicznego w całej galaktyce, a może i we wszechświecie. Miliardami zasiedlały mózg, krew i tkanki innych istot, tworząc wspólną jedność istnienia. Wszystkie inne organizmy uważały za marne zwierzęta stworzone jedynie po to, by służyć swym panom.

Har Batin wkroczył do baru i zajął miejsce przy drewnianym kontuarze. Nie było jeszcze zbyt wielu klientów. Do pustego portu następnego dnia miały przybyć przynajmniej dwa statki i właśnie dlatego Har Batin tu przyszedł. Parkatin będzie prosty do opanowania. To przez takie terminale kosmiczne jak Slabansport

przewijali się podróżnicy do innych światów, z których część pozostawała dla Drili wciąż nieznaną. A każdy z przybyszów, wysłany do domu wraz z Drilem, oznaczał podbój nowego systemu.

Ponieważ spodziewano się statków, obsługa baru była w pogotowiu. Wszędzie kręcili się szulerzy, prostytutki oraz artyści-naciągacze, czekając na swe „ofiary”. Miały nimi być nie tylko załogi oraz pasażerowie statków, lecz również ci, którzy przybędą, by wyładować i rozprzedać nowe towary.

Batin zamówił drinka, i zapłacił banknotem wielkiego zwoju. Napiwek też był przesadnie hojny. To wszystko przyciągnęło wzrok kelnerów, a tuzin głów zaczęło obmyślać najlepszy sposób dobrania się do nadzianego frajera.

Wreszcie Roza zrobiła pierwszy ruch — Roza, królowa miejscowych prostytutek, wciąż cholernie atrakcyjna mimo swych lat i ciężkiego życia. Była też na tyle bezwzględna, że inni woleli raczej się wycofać, niż kwestionować jej prawo do tej zdobyczy. To był w końcu gruby plik banknotów. Dla innych też jeszcze sporo zostanie. Przynęła się bez słowa i usiadła odprężona obok niego.

— Postawisz mi drinka? — spytała niskim, zmysłowym głosem.

Uśmiechnął się do niej i do siebie, przytaknął, wysączył resztkę drinka i zamówił dwa nowe. System działania baru był najzupełniej standardowy. Kobiety, mężczyźni, szulerzy i dziwki — wszyscy pracowali dla właściciela baru. Drinki pojawiły się przed Rozą i Harem, jego przynajmniej parę razy mocniejszy niż normalny i na dodatek zaprawiony afrodyzjakiem. Jej składał się w zasadzie z zabarwionej wody.

Pili razem, a on czynił wszystkie stosowne do sytuacji gesty. Dobry wywiad stanowił podstawę każdej takiej misji. Niektóre Drile spośród jego kolonii przechowywały wspomnienia od najstarszych podbojów aż do ostatnich testów istot ludzkich. Wszystkie te informacje Batin miał po prostu w małym palcu. Gdy Drile dzieliły się, tworząc nową kolonię, osobniki starsze przekazywały wszystkie informacje potomstwu. W jakim to sposób — zastanawiał się przepełniony zadowoleniem i pewnością siebie — jakiegokolwiek marne zwierzęta mogłyby konkurować z takim organizmem? Żadne nawet nie próbowały, a te nie będą wyjątkiem.

Tak więc czynił wszystkie stosowne gesty, odprawiał właściwe rytuały. Wypowiadał oraz odpowiadał na przyjęte słowa-klucze i po paru chwilach ruszyli w stronę pokoju na tyłach baru. Po drodze Drile oczyściły — przez pory skóry — ustrój Hara z wszelkich wypitych wraz z drinkiem narkotyków oraz innych domieszek. Nie będzie może pachniał pięknie, lecz jej to nie przeszkodzi, nawet jeśli zwróci na to uwagę.

Szli mrocznym korytarzem i od czasu do czasu dostrzegał kształty postaci, zarówno męskich jak i żeńskich, odpoczywających, czekających w małych pokojach i alkowach. Dziewczyny były może młodsze i zależne od Rozy, ale łączył je wspólny zawód. Na razie wszystko szło zgodnie z planem.

Nim w barze zrobił się tłok, Batin dzięki wczesnemu przybyciu i pokazaniu zwitka pieniędzy zapewnił sobie usługi szefowej. Skaptuj szefa, a on już zajmie się podwładnymi. Przybywający tu później pozaświatowcy będą korzystać z usług personelu i płacić za okazję, by stać się nosicielami nowej koloni Drili. Trudno o lepszy układ.

Drile szybko dostosowywały się do organizmu nowego nosiciela, lecz kolejne generacje nie znosiły zmian istniejących warunków. W przypadku mieszkańców Hara Batina optymalna temperatura wynosiła trzydzieści siedem stopni Celsjusza. Drobne wahania, nawet o stopień lub dwa, mogły ich zabić. Jednak coś takiego jak pocałunki nie powinno zaszkodzić.

Dotarli w końcu do pokoju najwyraźniej należącego do niej. Można było tak sądzić po rozmiarach i wyposażeniu, jakże odmiennych od klasztornych cel, zajmowanych przez podwładne. Błyskawicznie zrzuciła z siebie ubranie i spytała bez ceregieli:

— Okay, na co masz ochotę?

Uśmiechnął się.

— Zacznijmy po prostu od pocałunku — zaproponował.

Przyciągnął ją do siebie, schylił się nieco i pocałował. Rozchyliła szeroko wargi — ich języki spotkały się, a ślina zmieszała.

Wraz z nią przepłynęło około dziesięciu tysięcy Drili.

Całował jeszcze przez chwilę, by zyskać całkowitą pewność, iż wymiana została dokonana. Następnie robił to, czego mogła się po nim spodziewać. W tym czasie kolonia sprawdzała swego nowego nosiciela, odnajdywała właściwe komórki, nerwy oraz centra zarządzające. Rozpoczęła proces gwałtownego rozmnażania, by ułatwić przejęcie kontroli. Wykorzystując proteiny zawarte w jej ciele, Drile były w stanie co pół minuty podwajać swą liczbę. Gdyby trwało to jednak zbyt długo, mogłoby wywołać osłabienie, a może nawet spowodować śmierć. Ośrodki matematyczne kolonii Batina poczyniły już dokładne obliczenia co do czasu zakończenia całej operacji.

Tymczasem Har Batin ciągnął miłosne igraszki. Trwało to jeszcze kilkanaście minut, nim wyczuła w swym ciele nieznanne, nienaturalne reakcje. W ciągu pierwszych dziesięciu minut Drile osiągnęły liczbę niemal czterdziestu jeden tysięcy.

Narodziwszy się z całą wiedzą swych praszczurów, nie traciły czasu na chaotyczną penetrację jej organizmu. Rozchodząc się po całym systemie krążenia, od razu wiedziały, gdzie szukać najważniejszych ośrodków — mózgu i kręgosłupa.

Puściła go nagle i odsunęła się powoli z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Wyglądała na wyczerpaną, trochę spoconą i jakby postarzałą. A wszystko dlatego, że Drile wykorzystywały jej własne zapasy, aby się rozmnażać.

— ...praszam — wysapała połykając zgłoski. — Nie... nie czuję się za dobrze. Jakoś tak zabawnie...

Odsunął się od niej, stoczył z łóżka i wstał obserwując ją z satysfakcją. Ciałem kobiety wstrząsały konwulsje, gdy nerwy i mięśnie przechodziły pod obcą kontrolę i były testowane. Rzucała się spazmatycznie na łóżku, zrazu jakby w epileptycznym paroksyzmie, a później już trochę słabiej, wolniej, niby marionetka zawieszona na tysiącach sznurków.

W końcu znieruchomiała oddychając ciężko, lecz cicho. Podeszedł do swoich rzeczy i wyjął zwyczajne, białe pudełko grubych, twardych ciastek. Podeszedł z nimi do łóżka i podał jej w milczeniu.

Usiadła niepewnie, wyciągnęła dłoń, poczęstowała się jednym ciastkiem i zjadła je łapczywie. W ciągu paru chwil zniknęło całe. Nie zawsze był czas, by szybko uzupełnić rezerwy energetyczne organizmu, ale najważniejsze ośrodki nowej kolonii musiały mieć wszystko zapewnione. Reszta... no cóż, to już ryzyko bycia żołnierzem.

Wreszcie skończyła i spojrzała na niego.

— Objęliśmy całkowitą kontrolę — oznajmiła w języku, o którym nie miała dotąd zielonego pojęcia, a tym bardziej nigdy nim nie władała. Brzmiał tak obco, że wydawało się prawie niemożliwe, by mógł dobrać się z ludzkiej krtani.

— To dobrze — odparł w tym samym języku, odwrócił się i ubrał. Po chwili uczyniła to samo. Obserwował ją starając się wychwycić jakieś błędy i różnice, lecz niczego nie dostrzegł. Jej chód, zachowanie... wszystko było jak należy. Nawet omyłki były zgodne z nawykami pierwowzoru. Osobowość, psyche, dusza — nazwij to, jak chcesz — była martwa. Lecz wspomnienia zawarte w proteinowych molekułach mózgu nadal istniały. Wiedziała teraz wszystko to, co wiedziała Roza, a nawet więcej, gdyż Drile umożliwiły dostęp do całości mózgu.

Chciał już wyjść, lecz go powstrzymała.

— Lepiej będzie, jeśli odczekamy jeszcze z dziesięć minut — oznajmiła w swym starym, ludzkim języku. Nawet akcent nie pozostawiał nic do życzenia. — Podi i reszta mogliby zacząć coś węszyć, gdybyśmy skończyli za szybko.

Przytaknął.

— Ty wiesz najlepiej — stwierdził i usiadł na skraju łóżka. To był cholernie żmudny sposób podboju świata, ale najskuteczniejszy.

Gorące słońce oblało żarem postać Hara Batina po jego wyjściu z baru. Przywykł już do upałów, przywykł do wszystkiego, co nie powodowało trwałych uszkodzeń organizmu nosiciela. Ruszył w stronę portu kosmicznego z zadowoleniem odnotowując wielkie tłumy robotników zbierające się, by rozładować pierwszy ze spodziewanych statków. Olbrzymi prom towarowy stał hucząc na płycie lądowiska w oczekiwaniu na znak, że statek matka jest już na orbicie, gotowy do przeladunku.

Kusiło go, by wejść w tłum, zbliżyć się do ludzi, spróbować rozsiać w powietrzu nieco zarodników. Lecz byłoby to zbyt widoczne, a samo przejście kontroli

nad nowymi nosicielami mogłoby ściągnąć uwagę, nawet zakłócić rozładunek. Drile nie chciały tego. Wcale, ale to wcale.

System działał już od bardzo długiego czasu. Powoli, z rozwagą oraz nieukończoną cierpliwością zdobywano świat po świecie. Nikt do samego końca nie zdawał sobie z tego sprawy, często nawet nie podnoszono alarmu. Drile były nieśmiertelne dzięki dziedziczeniu przez kolejne pokolenia wspomnień przodków. Nie były jednak nieśmiertelne pod względem fizycznym ani też nie gardziły życiem. Gdyby tak było, po cóż w ogóle podbijałyby inne światy i rasy. Ze strategicznego punktu widzenia była to najmniej krwawa metoda, jaką udało im się wymyślić podczas niemal czterdziestu tysięcy lat ciągłego i niepowstrzymanego podboju. A każdy podbijany gatunek był inny, każda rasa stanowiła nowe wyzwanie. Drile uwielbiały to wyzwanie ponad wszystko. Każde zwycięstwo miało być dowodem ich wyższości nad innymi formami życia.

Po chwili Har Batin dostrzegł grupkę ciekawskich skupioną wokół pary istot, z których tylko jedna była człowiekiem.

Ów wysoki, szczupły mężczyzna wyglądał, jakby miał za sobą naprawdę ciężkie chwile. Nosił workowate spodnie, nieźle zniszczone buty i wypłowiały podkoszulek wiszący na chudej, nieowłosionej piersi. Pociągła, niemal trójkątna twarz nie widziała brzytwy od ponad tygodnia. Mocne, czarne włosy zawinięte były w szorstką chustę przypominającą turban.

Prawdziwy Cygan — spostrzegł zaskoczony Har Batin. We wstępnych, zwiadowczych raportach wspomniano co prawda, iż taka grupa istnieje, lecz jak dotąd nikt ich nie widział. Batin był pewien, że również nikt z tej grupki gapiów.

Gdy się zbliżył, pchany — podobnie jak ludzie czekający na przybycie frachtowca — ciekawością i nudą, Cygan wyjął z kieszeni trzciniowy flet. Zaczął grać dziwną, niemal hipnotyczną melodię, która pobudziła jego towarzysza do tańca.

A ów towarzysz wyglądał naprawdę dziwnie. Był wielkości połowy normalnego człowieka, z całą pewnością nie więcej niż metr, a gadzie ciało pokrywały lśniące niebiesko-zielone łuski. Tułów wspierał się na dwóch chudych nogach zakończonych długimi, okropnie wyglądającymi pazurami. Stał wyprostowany, nieco jednak chyląc się ku przodowi. Posiadał dwoje długich, patykowatych ramion zakończonych drobnymi, szponiastymi dłońmi. Twarz była również jaszczurowata, choć nie posiadała tej sztywności co gadzia. Całość sprawiała wrażenie wielkiej jaszczurki obdarzonej ludzką mimiką.

Najbardziej zaskakiwał fakt, że istota ta odziana była identycznie jak Cygan, choć nie nosiła — rzecz jasna — butów. Żadne buty by nie pasowały na te dziwaczne, ponad miarę rozrośnięte stopy. Stworzenie było zwinne jak małpa i płaślało w dzikim tańcu do natarczywej melodii fletu, przyspieszając, gdy tempo rosło. Podpierało się przy tym długim ogonem niczym trzecią nogą.

Lecz był to dopiero początek. Promienie słonecznego światła, odbijając się od dziesiątków tysięcy łusek kręcącego się w zawrotnym tempie stworzenia, nadały mu wygląd skąpanego w klejnotach. W połączeniu z nieznaną muzyką efekt był niepowtarzalny. Widok ten wywołał podświadomy strach tłumu, który postąpił krok do tyłu, pochłonięty jednak ciągle dziwną sceną.

Jaszczur utworzył ze swych ust owal — coś niespotykanego na gadzich twarzach — i wtedy dobył się gdzieś z wnętrza jego ciała donośny świst. Zaraz potem coś wyleciało na zewnątrz długim, równomiernym strumieniem i widzowie pootwierali z wrażenia usta. Ogień! Jaszczur zionął ogniem i tworzył z niego najróżniejsze figury! Kręgi, spirale, dziwaczne i znajome kształty pojawiały się i znikły w ułamkach sekund, a on ciągle tańczył, otoczony aureolą blasku.

Cygan nie przestawał grać, ale jego stalowoszare oczy nie obserwowały towarzysza, lecz tłum. Przyglądał się każdemu człowiekowi z osobna, oceniając go i analizując.

Nawet Drile, ukryte w ciele i umyśle Hara Batina, zostały urzeczone. To wykraczało poza ich doświadczenie i wraz z innymi podziwiała zręczność oraz sztuk obcego.

Aż nagle bez uprzedzenia wszystko się skończyło. Przebrzmiał końcowy ton, a ostatnie iskierki zgasły w gorącym i suchym powietrzu. W jednej chwili po tym zadziwiającym przedstawieniu pozostało jedynie wspomnienie.

Tłum stał bez ruchu, jak w transie, ciągle oszołomiony spektaklem. Nikt się nie odezwał ani nie uczynił najmniejszego gestu aż do chwili, gdy jeden po drugim zaczęli otrząsać się z tego stanu i głośno wyrażać swe uznanie. Aplauz błyskawicznie urósł do huraganu śmiechów, gwizdów i oklasków.

Cygan skłonił się lekko, dziękując za brawa, a jaszczurowate stworzenie zdawało się chylić głowę przed publicznością. Mężczyzna odłożył swój flet i odczekał, aż wiwaty ucichły. W końcu odezwał się czystym, niskim tenorem, nieco dziwacznie akcentując słowa.

— Ja i mój przyjaciel dziękujemy wam, obywatele.

— Powtórzcie to przedstawienie! — krzyknął ktoś, a zewsząd odezwały się potakiwania i pomruki aprobaty. — Tak, powtórzcie! Powtórzcie! — skandowała reszta, przyłączając się do ogólnego zgiełku.

Cygan uśmiechnął się.

— Dziękuję wam, przyjaciele. Z największą przyjemnością byśmy to uczynili... lecz zgłodniałem nieco, a stojący tu mój towarzysz ma pewnie jeszcze większy apetyt ode mnie. Jakieś skromne dowody uznania byłyby bardzo mile widziane. Marquoz!

Na dźwięk tego imienia mały smok parsknął, spojrzął na mężczyznę i zdawał się uśmiechać — uśmiechem dość groteskowym — ukazując komplet najpaskudniejszych zębów, jaki ktokolwiek z widzów dotąd oglądał. Następnie podniósł z ziemi sakwę i ruszył w stronę tłumu. Ludzie zaczęli się odruchowo cofać.

Cygan wybuchnął śmiechem.

— Przyjaciele, nie obawiajcie się Marquoz! Nie pożre was. On pragnie jedyny, tak samo jak ja, zebrać nieco pieniędzy, by kupić trochę cywilizowanego jedzenia. Wrzucicie, drodzy obywatele, do tego woreczka po monecie, tylko jednej, a wtedy my będziemy mogli się posilić, wy zaś obejrzeć nas jeszcze raz. No jak?

Co odważniejsi spośród tłumu przestali się cofać, a gdy jaszczur do nich podszedł i wyciągnął worek, wrzucali do środka monetę albo dwie. Po chwili ruszyła cała lawina pieniędzy, w mig wypełniając worek.

— Wystarczy! Jesteście zbyt hojni! — zawołał Cygan. — Marquoz?

Jaszczur prychnął, odstrasżając najbliższych stojących, gdyż jednocześnie z jego nozdrzy wystrzeliły kłęby białego dymu. Potem odwrócił się i zaniósł Cyganowi worek. Był ciężki, a mężczyzna dość wątpy, lecz cała sakwa z pieniędzmi zniknęła w jakiś sposób gdzieś w zakamarkach ubrania. Uśmiechnął się, skłonił ponownie i znów wyciągnął fujarkę.

Drugi występ przypominał pierwszy, choć taniec — zupełnie inny, z całkowicie odmiennymi krokami i dziwnymi ognistymi figurami — odbywał się przy nowej, wcale nie mniej obcej i egzotycznej melodii.

Har Batin, podobnie jak inni, obejrzał drugie przedstawienie z nie mniejszym podziwem. Wreszcie, kiedy ucichły wiwaty, a Cygan oznajmił, iż Marquoz potrzebuje odpoczynku, tłum zaczął rzednąć.

Cygan pochylił się, najwidoczniej by sprawdzić, jak się czuje jego podopieczny, i wielka dłoń człowieka uścisnęła rękę jaszczura. Jego drobne, szponiaste palce wystukały leniwy rytm. Mężczyzna przytaknął, a następnie wyprostował się i rozejrzał dookoła.

Kilkanaście osób podeszło bliżej, by z nim porozmawiać, przyjrzeć się Marquozowi albo spytać o dziwnego jaszczura. Cyganowi udało się ich spławić wyjaśnieniem, że Marquoz ma już dość upałów i musi zażyć kąpieli. Wymówki owe mogły budzić niejakie zastrzeżenia.

Jaszczur nie tylko wyglądał rześko, ale i najwyraźniej czuł się w parkatińskim skwarze bardziej swojsko niż sami tubylcy. Nikt jednak tego przybyszom nie wytknął.

Dziwny duet ruszył w stronę skupiska barów i restauracyjek, oddalając się powoli od doków, ze wzrokiem utkwionym w Harze Batinie.

Zbiorowy umysł Drili popełnił parę błędów. Jednak zlekceważenie „ogona” do nich nie należało. Batin zdał sobie sprawę, że tamci go śledzą — z tym wyglądem trudno byłoby im to zresztą ukryć. Zaniepokoił się z dwóch powodów. Po pierwsze, najwyraźniej zrobił coś, co zwróciło ich uwagę, a nie miał najmniejszego pojęcia, co to mogło być. Zaś po drugie, śledząc go tak jawnie dali dowód, że niemal na pewno musieli mieć w pobliżu współników.

No cóż, niech i tak będzie, postanowił agent Drili. W każdym razie lepiej wiedzieć, z czym ma się do czynienia. Poprowadził ich krętą trasą przez uliczki i zaułki, cały czas wypatrując obstawy. Sądził, że musi gdzieś tam być, dobrze ukryta, lecz nic takiego nie dostrzegł. Cygan był najwyraźniej pracownikiem Policji Konfederacyjnej. Drile od dawna podziwiała skuteczność tej instytucji, a jednocześnie wciąż ciekawiły ich sposoby, jakimi się posługiwała. Cygan mógł wejść wszędzie, może z wyjątkiem paru miejsc, nawet w najciemniejsze zaułki i najparszywsze okolice, nie zwracając na siebie zupełnie uwagi. A gdyby nie był w stanie zapewnić sobie bezpieczeństwa, to z pewnością jego niezwykle pupilek, obdarzony tysiącem ostrych zębów, uniemożliwiłby wszelkie próby napaści.

Uświadomiwszy sobie te fakty, Hara Batin stwierdził, że chyba znalazł odpowiedź na swoje wątpliwości. To takie oczywiste — nikt ich nie ubezpieczał. Dlaczego? Gdyż wiedzieli, że nie mógł ciągnąć ich za sobą wszędzie, lecz jedynie uliczkami przylegającymi do doków. A na jednej z tych uliczek zastawiona została pułapka. Oni mieli czas. Mieli czas, by poczekać, aż Hara Batina ogarnie panika i wejdzie albo też wbiegnie w przygotowaną zasadzkę. Mógł oczywiście spróbować ich zgubić, lecz to równałoby się przyznaniu do winy. Mogli go też w takim przypadku zastrzelić, a on miał do załatwienia jeszcze kilka ważnych spraw. Hara Batin nie chciał w ogóle umierać, a już na pewno nie teraz.

Wyprzedzał ich o jakieś piętnaście metrów, lecz oni ciągle zmniejszali dystans. Nadal jednak była to wystarczająca odległość jak na jego zamiary. Starannie wybrał odpowiedni zaułek i skręcił weń gwałtownie, jakby próbował się urwać swym prześladowcom.

Cygan i jaszczur przyspieszyli. Jasne było, że mały smok jest w stanie z łatwością wyprzedzić człowieka, lecz jednak trzymali, równe tempo. Skręcili w alejkę w pełnym biegu i znaleźli się w ślepym zaułku, otoczonym z trzech stron wysokimi budynkami.

Cygan z tą samą zręcznością, z jaką schował przedtem sakwę z pieniędzmi, teraz wyciągnął pistolet. Rozejrzał się dookoła.

— Rzuć broń! — rozkazał głos Hara Batina dobiegający nie dość że z góry, to jeszcze zza nich.

Cygan nie usłuchał od razu, lecz najpierw powoli się odwrócił szukając źródła głosu. Dostrzegłszy mężczyznę, westchnął i rzucił pistolet na ziemię. Nie miał pojęcia, w jaki sposób Batin tego dokonał, lecz mężczyzna niezaprzeczalnie siedział na wąskim parapiecie, dobre sześć metrów nad ziemią. Musi wspinać się jak małpa, zdecydował Cygan. Co prawda ściany nie były całkiem gładkie, lecz on po prostu nie mógł dostać się tam w tak krótkim czasie.

Dril obserwował z niepokojem smoka, który patrzył na niego pałającymi oczyma — czarnymi, kocimi źrenicami na ciemnoszkarłatnym tle.

— Nie próbuj tylko szcuć na mnie tego zwierzaka — ostrzegł Batin. — Trzymaj go przy sobie.

Mężczyzna skinął głową i kącikiem ust wydał polecenie:

— Marquoz! Siad!

Smok parsknął, zdawał się coś tam pomrukiwać, lecz w końcu usiadł podwijając ogon i jakby się rozluźniając.

— Dobrze, a teraz: kim jesteście i dlaczego mnie śledzicie? — spytał Dril.

Cygan wyszczerzył przepraszająco zęby i wyciągnął do góry rękę.

— Bo widzisz, kiedy zbieramy datki, często zdarza nam się dostrzec, kto ma najgrubszy portfel. Ten oto Marquoz potrafi być, no cóż, wielce przekonujący, gdy chodzi o skłonienie takiego jegomościa do znacznego zwiększenia darowizny. Zbyt długo tkwimy już na tej zapomnianej przez Boga planecie. Interes nie idzie dobrze. Zostaliśmy, jak to powiedzieć, poproszeni o opuszczenie statku akurat tutaj, wcale nie po naszej myśli. Jak dotąd, nie uzbieraliśmy dość funduszy, by się stąd wynieść. A żeby wszystko było jasne, miejscowa policja ma na nas oko.

Dril zastanowił się nad tą odpowiedzią. Nie była pozbawiona sensu — jego portfel rzucał się aż nadto w oczy i takie zresztą było jego zadanie. Ale wciąż jeszcze istniało parę spraw, które do siebie nie pasowały. Jak na kogoś, kto przebywał na tej planecie na tyle długo, aby zyskać sobie złą opinię u policji, stanowczo byli zbyt wielką sensacją. Batin postanowił nie ryzykować.

— W porządku... a ten stwór? Co to jest? — zapytał.

Cygan spojrział na Marquozę, siedzącego niewzruszenie na swym podkulonym, długim ogonie.

— Spotkałem go na pewnej zapadłej, pogranicznej planecie. Nie był tubylcem. Należał do paru moich kumpli, którzy zostali poproszeni — można by rzec — o dotrzymanie przez pewien czas towarzystwa miejscowej policji. Jak na razie siedzą tam pewnie ze trzy lata. Ja, rzecz jasna, natychmiast zgodziłem się nim zaopiekować, a i on nie miał nic przeciwko temu. Nie mam pojęcia, skąd go wytrzasnęli.

Nie mówiło to wiele Drilowi, lecz przecież istniało mnóstwo bardziej dziwacznych stworzeń, nie wyłączając samych Drili. Historia wyglądała całkiem sensownie, a pistolet Cygana przesądził sprawę. Nie był to jakiś supernowoczesny model używany przez Policję Konfederacyjną. Nie był cały błyszczący i epatujący zasilaniem kryształkami rubinu. Po prostu zwyczajny pistolet, jakich używają włóczędzy pokroju tego Cygana, czyli mały miotacz laserowy.

— Teraz schodzę — oznajmił Batin — lecz jak zdążyliście pewnie zauważyć, jestem doskonale wysportowany. Nawet podczas skoku będę was miał na muszce, a pistolet jest nastawiony na maksymalną moc.

— Posłuchaj, już mi się wszystkiego odechciało. To była pomyłka i tyle — oznajmił Cygan przekonująco szczerze.

Dril skinął głową i skoczył. Cygana zdumiały jego sprawność i siła. Wcale nie przesadzał — pistolet przez cały czas był wycelowany dokładnie w niego. Cygan nie widział dotąd żadnej ludzkiej istoty, zajmującej się nawet profesjonalnie

akrobatyką, mogącej dokonać podobnych wyczynów. A ten osobnik raczej nie wyglądał na akrobatę.

Dril zbliżył się powoli do Cygana, jednym okiem obserwując Marquozę.

— Tylko żadnych sztuczek — ostrzegł.

— Co... co masz zamiar zrobić? — spytał zaniepokojony Cygan wzdychając oczyma za pistoletem.

Har Batin pozwolił sobie na bardzo ludzki uśmiech. Uśmiech kogoś, kto wie coś, czego ty nie wiesz.

— Nie bój się — pocieszył Cygana. — Nie zamierzam cię zabić. Jeśli twój zwierzeczek będzie siedział spokojnie, a ty nie będziesz niczego kombinował, wszystko dobrze się skończy. Lecz twoje życie zależy od tego, czy będziesz robił dokładnie to, co ci powiem. Dokładnie! Zrozumiano?

Cygan pokiwał głową, lecz strach w jego oczach nie zmalał po tych zapewnieniach ani na jotę.

Dril ostrożnie obszedł mężczyznę.

— Zdejmij podkoszulek — rozkazał.

Cygan wyglądał na zaskoczonego.

— Czy to jakaś zabawa erotyczna?

— W pewnym sensie — odparł tamten. — Nie bój się... w ogóle cię nie zaboli. Lepiej niż żeby cię zbierali po całej okolicy, no nie?

Marquoz siedział nieruchomo i obserwował. Batin wyciągnął z kieszeni mały nożyk.

— Tylko spokojnie. Natnę cię delikatnie i nic więcej.

Spostrzegł, że mężczyzna wzdrygnął się, gdy poczuł nagłe ukłucie. Potem Dril z przyjemnością obserwował, jak w miejscu zranienia tworzy się kropla krwi. Naciął również swój kciuk.

Drile natychmiast ruszyły w stronę powstałego otworu przenikając przez naczynia włosowate dłoni, a następnie zatrzymały się czekając na kontakt. Nie było się po co spieszyć. Pełen zestaw tysiąca jednostek pamięci został zgrupowany i stał w gotowości.

Har Batin, drżąc z niecierpliwości, zaczął zbliżać swój kciuk ku ranie na plecach Cygana. Tak pochłonęła go ta operacja, iż przestał w ogóle baczyć na smoka siedzącego zaledwie kilka metrów z boku.

— Nie ruszaj się! — usłyszał głos z lewej strony, głos niesamowicie głęboki i donośny. Jakby olbrzym mówił przez wąską tubę. — Rzuć broń i zrób kilka kroków do tyłu!

Batin był tak zaskoczony, że rzeczywiście znieruchomiał i spojrzał w kierunku, skąd dochodził głos.

Wielki jaszczur stał tam obserwując go swymi błyszczącymi, szkarłatnymi oczyma. W ręce trzymał pistolet maszynowy Fuka, wykonany z aż nazbyt znanego tworzywa, ze świecącym na czerwono zasilaczem. Była to broń, która nie-

mal potrafiła odgadywać natężenie i rodzaj energii, jakiej chciał w danej chwili użyć właściciel. Pistolet dostosowany do indywidualnych potrzeb. Pistolet używany tylko przez jedną instytucję.

— Marquoz z Policji Konfederacyjnej — oznajmił smok zupełnie niepotrzebnie. — Powiedziałem, żebyś rzucił broń i cofnął się.

— Ale... ale ty nie masz prawa, nie jesteś człowiekiem — zaprotestował Diii. Wywiad o niczym podobnym nie wspominał!

— To tak samo jak ty, stary — odparł smok. — Ufam tylko, że wkrótce zaprezentujesz nam swe prawdziwe oblicze.

Hodukai, planeta na pograniczu

Świątynia zappełniła się. To dobry znak — pomyślała Matka Przełożona Sukra wyglądając zza kurtyny. Akolici wykonali kawał wspaniałej roboty niosąc Słowo. Widziała, że większość przybyłych jest tu pierwszy raz. Niezdecydowani, podenerwowani, niepewni, lecz przepelnieni ciekawością. Tego należało się spodziewać. Zgromadzenie Świętej Studni ciągle było tu nowe i przyciągało głównie młodych, zawsze najbardziej wrażliwych, choć nie brakowało też biedaków, nędzarzy i włóczęgów. Święta Kapłanka także to wszystko dostrzeże. Ucieszy ją widok nowo przybyłych, jak również sprawność, z jaką Matka Przełożona zdołała całość przygotować jedynie w te kilka miesięcy.

Istotnie, Wielebna Kapłanka była zadowolona i podekscytowana, choć po swym dostojnym zachowaniu niczego nie dała poznać. Grała już swoją rolę poprzednio, jakkolwiek nigdy nie niosło to z sobą takiej odpowiedzialności.

Światła przygasły. Przejmująca muzyka oraz delikatne, kojące poddźwięki tworzyły nastrój, a stonowane światła oblewały główną nawę i zebranych. Kapłanka zwróciła oczy na Matkę Przełożoną, która przejrzała się po raz ostatni w zwierciadle, wygładzając fałdy swego szafranowego habitu i poprawiając pukle długich, kasztanowych włosów. Trzeba przyznać, że miała jednak doskonałe wycucie chwili. Skończyła w najodpowiedniejszym momencie i wyszła w snop światła padającego z głównego reflektora. Dziś nie ustawiono żadnego podwyższenia, podium ani ołtarza. Zepsułoby to tylko efekt pojawienia się Świętej Kapłanki.

Matka Przełożona Sukra wyglądała straszliwie samotnie, skąpana jedynie w świetle reflektora.

Szpaler dokładnie wygolonych Akolitów, kobiet i mężczyzn odzianych w luźne szaty, powstał i oddał jej pokłon. Kilkanaścioro zebranych poszło za ich przykładem, a już po chwili stali niemal wszyscy. Normalna reakcja tłumu. Ci, którzy jeszcze siedzieli, nie byli adresatami jej słów. Poczekajmy, pomyślała. Później wszyscy przyjdą z ochotą.

— Zostańcie w pokoju! zaintonowała Matka Przełożona, wznosząc swe ramiona ku niebiosom.

— Pokój wszystkim stworzeniom wszechświata bez względu na kształt ich ciała — odpowiedzieli Akolici oraz część zebranych,

— Zostaliśmy dziś zaszczytzeni obecnością Jej Świątobliwości Kapłanki Juy z Głównego Kościoła — oznajmiła zupełnie niepotrzebnie Sukra. Ciekawość wyglądu Kapłanki tłumaczyła tak liczną obecność na mszy, w której normalnie uczestniczyło jedynie parę setek wiernych. Do przewidzenia było również, iż audytorium układać się będzie wyłącznie z ludzi. Choć Konfederacja grupowała obecnie chyba z siedem ras, jedynie przedstawiciele trzech lub czterech można było nagminnie spotkać w dużych miastach ludzkich światów. A już na pewno żadni nie wchodzili do świątyń, w których odczuwali ksenofobiczny lęk. Choć drzwi tej świątyni stały otworem dla wszystkich, jej doktryna nie przemawiała do Obcych.

Co innego — rzecz jasna — gdy było się Olimpiańczykiem.

Wszyscy słyszeli o Olimpianach, choć nikt nie wiedział o nich wiele. Rzadko kto nawet widział jakiegoś na własne oczy. Trzymali się na uboczu i tworzyli strukturę klanową, w ich świecie nie można było żyć bez skafandra, choć Olimpianie byli w stanie mieszkać na każdej ludzkiej planecie bez żadnych ograniczeń, prowadzili własne przedsiębiorstwa przewozowe i sami latali statkami. Handel odbywał się dzięki olimpiańskim spółkom prowadzonym przez ludzi — kupcy nie musieli fatygować się na Olimpusa.

Taki stan rzeczy wywoływał w ludziach ciekawość, która wynikała jeszcze z czegoś. Otóż Olimpiańczycy to podobno oszałamiająco piękne kobiety — nikt nigdy nie widział Olimpiańczyka mężczyzny. Były to urodziwe kobiety z ogonami podobnymi do końskich i wszystkie, jak głosiła wieść, wyglądały identycznie.

Cała świątynia na tym pogranicznym świecie była wypełniona ludźmi czekającymi, by ujrzeć Olimpiankę. Z tego prostego powodu, iż Zgromadzenie Studni powstało na Olimpucie. Główna Świątynia znajdowała się właśnie tam. I choć wierni wywodzili się spośród ludzi, a także ludzie prowadzili Świątynie, jedynie Olimpianki mogły być Wielebnymi Kapłankami.

Oczywiście przybyli tu także przedstawiciele lokalnej prasy i politykierzy przyciągnięci próżną ciekawością. Siedzieli, szurali butami i wyraźnie nudziły ich teatralne gesty oraz intonacje Matki Przełożonej. Chcieli zobaczyć, jak naprawdę wygląda Olimpianka.

W końcu Matka Sukra skończyła i jej głos nabrał podniosłego brzmienia.

— Dziś, moje dzieci, zostaliśmy zaszczytzeni obecnością Jej Świątobliwości Wielebnej Kapłanki naszego Zgromadzenia, Juy z Olimpusa.

Zebrani usiedli. Czekając obserwowali, jak Matka Przełożona wychodzi, a później uważnie przyglądali się kurtynie po drugiej stronie, by uchwycić pojawienie się kapłanki.

Jua odczekała pół minuty, by jeszcze bardziej zwiększyć niecierpliwość widzów, a potem wyszła zdecydowanie na środek. Światła zmętniały, a reflektor

zalał blaskiem obszar, na którym stała niemal dotykając pierwszych rzędów. Strumień światła uformował jasną aureolę wokół postaci, nadając jej jeszcze bardziej nadludzki wygląd.

Z satysfakcją słuchała szeptów — To ona! A więc tak wygląda Olimpianka! — To ostatnie słowo wypowiedziano na wiele różnych sposobów. Miała na sobie płaszcz z najdelikatniejszego jedwabiu lub z bardzo podobnego syntetyku, ozdobiony złotymi liśćmi. Płaszcz spowijał całą postać, lecz nawet stojący w najdalszych rzędach oszołomieni byli doskonałością jej urody oraz długimi kasztanowymi włosami, sięgającymi aż do pasa.

— Zostańcie w pokoju, moje dzieci — zaczęła Jua niskim, niesamowicie miękkim i zmysłowym głosem. — Przybyłam, by pobłogosławić tę Świątynię i jej wiernych oraz by tym, którzy przybyli z ciekawości lub z chęci zysku, opowiedzieć o naszej wierze i naszych zwyczajach.

Doskonale zdając sobie sprawę z wrażenia, jakie robiła na ludziach, wyczuła, że jej pojawienie wywołało zarówno zachwyt, jak i zawód, iż odsłoniła tak mało. Nie miała zamiaru zawieść podnieconych widzów, lecz nie nastąpi to przed przekazaniem postania. Dopiero gdy nagość straci wszelkie podteksty.

— Pochodzę z planety, którą zwiemy Olimpusem — zaczęła i ponownie skupiła ich uwagę. Była nie tylko atrakcyjna, miała również coś do powiedzenia. — Nasze Matki Założycielki odkryły świat, z którego zrezygnowała Konfederacja. Nikt nie mógłby tam przeżyć bez dokonania ogromnie kosztownych modyfikacji lub zbudowania szczelnych budynków. Przypominał bardzo opustoszałe światy Markowian. Jednak my mogliśmy tam przeżyć, budować, uprawiać ziemię i normalnie żyć. Tak też uczyniliśmy.

W świątyni zapadła kompletna cisza — nawet kasznięcie w tym wielkim gmachu byłoby głośnie niczym grzmot. Przychodząc tu ludzie oczekiwali teatralnych gestów i specjalnego ceremoniału, jakim uraczyła ich na początku Matka Sukra. Nie spodziewali się podejmowania tematów, które ciekawiły wszystkich, i przez to właśnie byli tak zainteresowani. Słuchali.

— Jesteśmy do was podobne, pochodzimy od was, lecz nie jesteśmy identyczne. Stałyśmy się nieczułe na ostre wahania temperatury, potrafimy oddzielać trucizny z zanieczyszczonych wód i nieprzyjaznych atmosfer. Nie potrzebujemy specjalnego sprzętu ani kombinezonów. Słuchajcie uważnie, bo opowiem wam teraz historię naszej rasy — waszej i mojej — oraz zapoznam z naszymi wierzeniami.

Urwała. Naprawdę perfekcyjnie. Nikt się nawet nie poruszył.

— Mieszkacie na pogranicznym świecie — przypomniła. — Surowym i twardym. Większość, może wszyscy, urodziliście się gdzie indziej. Wszyscy zatem wiele podróżowaliście w kosmosie. Słyszeliście o markowiańskich ruinach na opustoszałych światach, o tajemniczej rasie, która pozostawiła martwe komputery głęboko pod powierzchnią planet i skorupy miast pozbawione wszelkich przed-

miotów. Wiecie, że niegdyś ta rasa zamieszkiwała większość galaktyki, a zniknęła długo przedtem, nim narodziła się ludzkość.

Paru ludzi przytaknęło. Markowiańska zagadka była znana każdemu. Setki, może tysiące opustoszałych światów odkryto, gdy ludzkość zaczęła swą ekspansję. Markowianie byli starzy, niesamowicie starzy, niemożliwie starzy. Ich narodziny szacuje się na równi z powstaniem wszechświata.

— Założyli pierwszą cywilizację. Rośli, parli coraz dalej, aż osiągnęli boskość. Komputery dawały im wszystko o czym mogli tylko zamarzyć. Lecz to było zbyt mało. Zaczęła ogarniać ich nuda, stagnacja, przestali cieszyć się życiem. Postanowili więc wyrzec się boskości i rozpocząć wszystko od początku jako nowe rasy wszechświata. Zbudowali olbrzymi komputer — Studnię Dusz — i umieścili go w centrum wszechświata. Tam właśnie stworzyli wszystkie gatunki istot myślących, jakie obecnie znamy. Stworzyli je z samych siebie. Ich stary świat stopniowo pustoszał, podczas gdy dzieci, testowane na Świecie Studni, stały się nowymi panami tworzenia — a pośród nich i my. W końcu wszyscy zniknęli: zmienili się w naszych przodków; tak więc my jesteśmy Markowianami a Markowianie — nami.

Kilkoro lepiej wykształconych przytaknęło słysząc tę konkluzję. Była to stara teoria, jedna z tysięcy stworzonych dla wyjaśnienia tajemniczego zniknięcia Markowian.

— Lecz jeśli jest to prawda — a my nie mamy co do tego wątpliwości — pozostaje jeszcze jedna zagadka, wieczne, podstawowe pytanie. Markowianie narodzili się u zarania dziejów. Byli pierwszą rasą, przodkami wszystkich następnych. I skoro tak właśnie było, to kto stworzył Markowian?

Interesujące pytanie dla metafizyków. Paru ludzi spośród tłumu uważało, iż wcale nie jest powiedziane, że ktokolwiek musiał stworzyć Markowian, jeśli w ogóle cała ta historia o nich nie jest wyssana z palca. Nikt się jednak nie odezwał.

— Poprzez całą historię ludzkości — a także przez dzieje innych ras, z którymi łączą nas stosunki — przewinęło się mnóstwo religii. Wierzono w panteon bogów, wierzono w Boga jedyne, lecz wszystkich łączyła wspólna wizja stworzenia. Wszyscy pośrodku stawiali Boga Ojca, pierwszego sprawcę i stwórcę. On istnieje, moje dzieci! On istnieje, jest ciągle z nami, obserwuje nasze postęпки, ocenia nas. Nasze Pramatki znały Go. To On zabrał je do Studni Dusz, gdzie narodziły się powtórnie. Dzięki zasadom rządzącym Studnią, Pramatki stały się potężniejsze, aniżeli były niegdyś. I powróciły jako żywy dowód dla swych dzieci i dzieci ich dzieci, że Bóg istnieje, że Studnia istnieje. Że możemy osiągnąć rzeczy wspanialsze niż dane nam przy narodzinach, jeśli tylko Go odnajdziemy. Gdyż jeśli rozpoznamy prawdę i uznamy absolutność Jego wszechwładzy i potęgi, jeśli Go odszukamy o nic więcej nie pytając, raj stanie się naszym udziałem. A jest to, moje dzieci, możliwe. Jest możliwe odnalezienie Go, jeśli tylko się rozejrzemy.

Właśnie to stanowi nasze zadanie, nasze wspólne zadanie aż do chwili, gdy Go odnajdziemy. Bo Bóg, moje dzieci, jest pośród nas!

Uniosła głos, a zawarty w nim ładunek emocji był tak autentyczny, tak przekonujący, że podziałał nawet na największych cyników wśród widowni.

— Z jakiegoś powodu przybrał On waszą postać. Może tu teraz być z nami, siedząc obok kogoś z was, czekając, by ktoś Go zagadnął, by ktoś Go rozpoznał. Znamy Jego imię. Musimy jedynie zawołać. Nasze Pramatki nazywały Go Nathanem Brazilem!

Wiadomość ta poruszyła zgromadzonych i prawie ich przekonała, lecz dla niektórych stanowiła srogą zawód. Dla nich w tym momencie cała racjonalność przemieniła się, w obliczu spornego punktu, w kwestię wiary.

— Czy jesteś tu, Panie? Czy ktokolwiek spośród was jest Nathanem Brazilem? — spytała gromkim głosem. Nikt się nie odezwał ani nie uczynił najmniejszego gestu. Z dwojga złego wolała już taki obrót sprawy, niż żeby — tak jak to się już nieraz zdarzało — jacyś przypadkowi dowcipnicy dla zabawy ogłaszali swą „boskość”, psując nastrój nabożeństwa. A co gorsza, od czasu do czasu trafiali się pomylenicy, którzy naprawdę wierzyli w tę swoją boskość. I choć Wielebna Kapłanka Jua całym sercem pragnęła odnaleźć Boga, to w takich chwilach w głębi duszy cieszyła się, że z tłumu nie padła żadna odpowiedź.

Po chwili przerwy ciągnęła dalej.

— Nasze Pramatki były niegdyś takimi samymi ludźmi jak wy. Lecz dzięki łasce Nathana Brazila i przez oddziaływanie Studni Duszy stały się kimś innym — Olimpiankami. Jesteśmy odporne na wasze choroby i nie mamy własnych. Bez przeszkód możemy stać nago na srogim mrozie i we wrzącym ukropie. Postrzegamy kolory, których wy nie widzicie, słyszymy dźwięki, które dla was nie istnieją, zaś siłą przewyższamy dziesięć zwyczajnych kobiet. Możemy oddychać w atmosferze niemal czystego chloru! Nie przeszkadza nam dwutlenek węgla! Woda również nie jest dla nas problemem. Nawet próżni kosmicznej przetrwamy wiele godzin — czerpiąc niezbędne substancje ze zgromadzonych zapasów — w temperaturze, która każdego innego już dawno zamroziłaby na kość. Przyjrzyjcie się Olimpiance, najprawdziwшему dziecku Studni, i dołączcie do naszej świętej kruzjaty.

Po tych słowach opadł z niej płaszcz obnażając nagie ciało, a z ust widowni dobyło się westchnienie zachwytu.

Mierzyła 160 centymetrów wzrostu i wyglądała na jakieś siedemnaście lat — najpiękniejsza siedemnastolatka, jaką kiedykolwiek widziano. Ciało miała wręcz doskonałe, obdarzone wszystkimi wdziękami, w jakie mężczyźni wyposażają kobiety swych marzeń. Niemożliwością wydawało się pozostać zimnym i opanowanym w obliczu takiej doskonałości kształtów. Nikt więc — tak mężczyźni, jak i kobiety, członkowie zgromadzenia i zwykli gapiowie — nie był w stanie ode-

rwać od niej wzroku. Była czymś więcej niż Ewą wyrwaną z ogrodów Edenu. Była po prostu niemożliwa.

Nawet jej ruchy były doskonałe, zmysłowe i jakieś kocie — wydawać by się mogło, iż tylko Ewa potrafi tak stąpać. Patrząc prosto przed siebie, obróciła się najpierw w lewo, a później w prawo — tak by wszyscy mogli się jej przyjrzeć. Jej długie, opadające kaskadami kasztanowe włosy zdawały się dotykać posadzki.

— Obejrzyjcie dowód prawdziwości naszego przesłania! — oznajmiła.

Naprawdę posiadała koński ogon. Lecz w jakiś sposób doskonale współgrał on z całą jej postacią i sprawiał wrażenie, jakby właśnie tam było jego miejsce. Był długi, gęsty i jedwabście miękki, tak jak opadające włosy. Zamachała ogonem parę razy, jak gdyby pragnęła rozwiać wszelkie wątpliwości, choć nikt z audytorium nie wątpił w jego istnienie ani na jotę.

— Nie ma innego sposobu, aby nas wyjaśnić, nie ma innej drogi, żeby wytłumaczyć nasze istnienie poza przyjęciem prawdy do wiadomości — oznajmiła. — Więc chodźcie! Dołączcie do nas! Szukajcie Boga i odnajdźcie Go, a On podaruje wam Raj! Oto dlaczego tu jesteśmy. My Olimpijanki pochodzimy od ludzkich przodków, lecz jest nas niewiele, zbyt niewiele. Nathan Brazil istnieje! Potwierdzają to nawet wasi przodkowie i Konfederacja. Według ich dokumentów jest najdłużej żyjącym człowiekiem. Sami możecie się o tym przekonać. Dołączcie do nas. Dołączcie do naszej krucjaty! Nauczcie się Go rozpoznawać, szukać Go, a wieczna szczęśliwość będzie wam dana!

Cynicy zaczęli odzyskiwać trzeźwość patrzenia, choć nadal nie byli w stanie oderwać wzroku od jej niebiańskiej urody.

— Opuszczę was teraz — rzekła. — Zostańcie w pokoju i przyłączcie się do naszej Świętej Sprawy — nawoływała.

Akolici stanęli w pogotowiu, chcąc rozpocząć agitację. Później ci podatni na wpływy i chwiejni duchem, poczuwszy zimny wiatr na twarzach i mając dość czasu do namysłu, zrezygnują. Chwytaj, co się da.

— Widzicie stojących tu Akolitów — dołączcie do nas w tę szczególną noc! Możecie sobie jedynie wyobrazić czekające nagrody!

Po tych słowach zniknęła, pozostawiając tylko płaszczyznę jako znak miejsca, w którym jeszcze do niedawna stała. Nie odeszła, nie poruszyła nawet palcem — po prostu rozplynęła się i przestali ją dostrzegać. Pozostał jedynie jej głos.

— Teraz, moje dzieci! Teraz! Wszyscy macie moje błogosławieństwo na tę noc!

Ludzie zaczęli się ruszać. Zrazu jedynie kilku, a później już coraz więcej. Nawróceni, świeża krew, szukający drogi do doskonałości, którą przed chwilą oglądali na własne oczy. Część wyszła, jak to się zwykle zdarza, lecz większość zgromadzonych siedziała nadal na miejscach z oczyma utkwionymi w punkcie, gdzie jeszcze przed chwilą stała doskonałość. Ci widzieli ciągle oczyma duszy oszalałającą sylwetkę i bali się poruszyć, by jej nie rozwiać.

Reflektor zmełniał i po chwili zgasł do reszty. Na moment zapanowała ciemność, a gdy pojawiła się Matka Sukra, by wskazać drogę chcącym się przyłączyć, zapłonęły subtelne światła. Po Wielebnej Kapłance nie było już ani śladu.

Jua z boku obserwowała tłum i przeszedł ją dreszcz, gdy spostrzegła, jak wielu Akolitów stanęło wokół. Czuła się jakoś tak podniosłe, jakby dokonała wielkiego dzieła. Bywały chwile, gdy nachodziło ją zwątpienie. Szczególnie kiedy mimo wszystkich wysiłków efekty były znikome. Lecz dziś przepełniał ją duch, który udzielił się i innym. To dobrze.

Ludzie, w większości członkowie Zgromadzenia, chodzili wokół w oczach mając odnowioną wiarę i zapał. Kompletnie ją ignorowali, co było zrozumiałe, skoro nie mogli jej dostrzec. Był to efekt kolejnej właściwości Olimpierek — zdolności do wtapiania się praktycznie w każde tło. To dobry sposób ucieczki i unikania ludzi. Różnił się wszakże tym od całkowitej niewidzialności, że zawodził przy zbyt gwałtownych ruchach. Odczekała, aż trochę się rozluźni i ruszyła po schodach w dół do swego apartamentu. Czuła się wyczerpana, jak zwykle po nabożeństwie.

Identyczne spojrzenia ślepego fanatyzmu wyzierały z oczu młodej pary stojącej przed odzianym w habit Akolitą. Członek Zgromadzenia, doświadczony już w postępowaniu w takich przypadkach, przyjrzał im się uważnie. Nie mają jeszcze dwudziestki, zawyrokował.

— Pragniecie dołączyć do naszej Świętej Sprawy? — spytał poważnie. — Tego kroku nie należy podejmować lekkomyślnie, choć jest to pierwszy krok ku zbawieniu.

— Och, tak — wyszeptali. — Jesteśmy gotowi.

— Czy macie rodziny, które ponoszą za was odpowiedzialność? — zapytał. Było to pytanie bardzo ważne i oszczędzało później masy kłopotów.

— Jesteśmy małżeństwem — odparła młoda kobieta. — Mamy niewielką farmę niedaleko Tabaku.

— Pragniecie wstąpić do Zgromadzenia z własnej i nieprzymuszonej woli? — kontynuował Akolita. Standardowa procedura. Zadanie było jednak nadzwyczaj delikatnej natury, gdyż pytania zadawane niewłaściwym tonem mogły łatwo zepsuć cały nastrój.

Młoda para spojrzała po sobie, a potem zwróciła wzrok z powrotem na Akolitę.

— Owszem — zapewnili go równocześnie.

Akolita znał ten typ ludzi. Drobni farmerzy, z ziemią otrzymaną w prezencie ślubnym, oboje dzieci farmerów spoglądający w przyszłość ku pewnemu, lecz nudnemu przeznaczeniu. Teraz dostrzegli sposób szybkiego wyrwania się na zewnątrz.

— Czy będziemy... podróżować? — spytał młody mężczyzna.

Akolita przytaknął.

- Ujrzycie mnóstwo nieznanych miejsc i doświadczycie wiele nowego.
 - Czy... czy ujrzymy ją jeszcze kiedyś? — kobieta niemal westchnęła.
- Akolita ponownie skinął głową.
- Ona i jej siostry są wśród nas jako nauczycielki i przewodniczki.

Para została natychmiast przyjęta do Zgromadzenia i przekazana dla dokonania bardziej formalnej procedury. Jej głównym celem było przelanie ich wiary na kawałek papieru wraz z odciskami kciuków, na wypadek ewentualnej rozprawy sądowej. Policja Konfederacyjna oraz inne Kościoły często przysyłały inspektorów, by się upewnić, iż przestrzegano wszelkich praw. Mogli przysyłać. Policjanci szybko się męczyli i dawali spokój. Inspektorzy bywali nierzadko najwierniejszymi neofitami, którzy już wcześniej wyrzekli się jakiejś wiary.

Sam kontrakt nie należał do łatwych. Niemal nikt go jeszcze do końca nie przeczytał, włączając w to tych, którzy przychodzili tylko dla hecy, a umieli przecieź czytać. Żaden z Akolitów nie pamiętał, by ktokolwiek skorzystał z propozycji, iż kontrakt zostanie mu odczytany. Protokołowano oczywiście, że wszystko odbyło się zgodnie z wymogami, a to z uwagi na ewentualność przyszłego procesu.

Kontrakty mogły bowiem zostać, przynajmniej w większości, zakwestionowane przez rodzinę lub przyjaciół z zewnątrz. Nawróceni z reguły przepisywali wszystko, co posiadali, na rzecz Kościoła. W świetle prawa konfederacyjnego, kontrakt mógł być anulowany w okresie kilku pierwszych dni, nawet jeśli został podpisany bez żadnych matactw i presji. Później zostawał „przypieczętowany” i nawet gdyby delikwent zrezygnował, Kościół zatrzymywał wszystko, co zostało mu przekazane.

Pierwszych siedem dni było zatem polem do popisu dla ekspertów od indoktrynacji. Chodziło bowiem o to, by nikt nie zrezygnował. Taką skuteczność osiągnano jednak rzadko.

Śpiewano więc i tańczono, całowano się i tulono, modlono i świętowano w całkowitej wspólności. Opadały wszelkie zasłony indywidualności, a neofici byli ciągle utrzymywani w stanie euforii. Opornym przed opuszczeniem zgromadzenia pozwalano uczestniczyć we mszy odprawianej przez samą Wielebną Kapłankę. Zazwyczaj po takim nabożeństwie nie mieli już ochoty odchodzić.

Łatwo było zostać przyjętym. Obszarpane habity, dieta i inne tym podobne rzeczy zniechęcały, a presja współtowarzyszy równała do średniej, nie będącej niczym zachęcającym. Poza okresem indoktrynacji obowiązywał również celibat.

Zgromadzenie prowadziło działalność charytatywną. Na każdego kaznodzieję, przemierzającego ulice i porty tysiąca Świątów Konfederacji, przypadało pięciu braci. Pracowali z najbiedniejszymi, ubierali ich, karmili, dawali schronienie w potrzebie bez zbędnych pytań i nachalnej agitacji. Taka działalność charytatywna była bardziej skutecznym sposobem zyskiwania nowych wiernych, lecz sposobem żmudniejszym.

Ósmego dnia młoda para została poddana odświętnej uroczystej ceremonii. Odzienie i rzeczy osobiste neofitów spłonęły w świętym ogniu przywiezionym rzekomo z Olimpusa. Następnie ogolili swe głowy i ciała oraz wdziali habity Akolitów. Teraz odbędą studia nad dogmatami religii z wykorzystaniem hipnozy i wszystkich innych środków, jakimi dysponował Kult. Pogrążą się tak głęboko w regule Zgromadzenia i staną się tak uzależnieni od Kościoła nawet w najdrobniejszych sprawach, że już nic innego nie będzie zaprzętać ich myśli. Wówczas będą gotowi wyjść na ulicę, by pytać każdego nieznanego, czy nie jest on — albo nawet ona — Nathanem Brazilem, oraz by nieść pomoc w imię Kościoła.

Owszem, Kult się rozrastał ze świata na świat, lecz ciągnęło się to straszliwie powoli. Na tyle powoli, iż żadna Olimpianka, mimo swej długowieczności, nie żywiła nadziei doczekać go jako naprawdę dominującej siły. Rasy nieludzkie lekcewały go. Teza, iż Bóg przybrał postać człowieka, obrażała ich dumę.

Tak więc rząd oraz prasa nie dostrzegały nic złego w tych obrzędach i nie zwracały sobie w ogóle głowy tą religią z uwagi na jej niski współczynnik ekspansji. Ciekawił ich jednak Olympus i zastanawiali się, czy te dziwne superkobiety, których świat pozostawał zamknięty dla wszystkich, naprawdę wierzyły w to, co głoszą, czy leż była to nowa forma powolnego, lecz skutecznego podboju. Nawet jeśli to drugie przypuszczenie było słuszne, nikt z żyjących nie doczeka jego ziszczenia. Martwić się będą inni, choć trzeba przyznać, że coś spowodowało zwiększony niż zwykle napływ nowych wiernych. Same Olimpianki to przyznawały.

Nikt tu jeszcze nie słyszał o Drilach planujących wmieszać się do całej historii. Jeszcze nie, na razie nie.

Siedziba główna Policji Konfederacyjnej, Suba

Kiedy Marquoz sunął korytarzem, wszystkie oczy zwracały się ku niemu. Trudno oderwać wzrok od stworzenia wyglądającego jak metrowy Tyrannosaurus Rex odziany w kamizelkę i kopący wielkie cygaro.

Konfederacja w ciągu kilku minionych stuleci poszerzyła znacznie swe granice. Stała się też daleko mniej totalitarna od czasu, gdy parę wieków wcześniej upadł polityczno-przestępczy syndykat narkotykowy. Ów syndykat w sposób bardzo przemyślany spowalniał ekspansję, aby pograniczne światy nie rozwinęły się nadmiernie i by łatwo można było nimi sterować, a w przyszłości zawładnąć. Odkryto antidotum na główne źródło szantażu, dzięki któremu syndykat utrzymywał w garści tamtejsze rządy. Szok wywołało ujawnienie liczby planet kierowanych przez kompletnie szalonych władców. Wydawali oni dyrektywy ze swych prywatnych enklaw luksusowej rozpusty. To wszystko spowodowało gruntowne przeobrażenie Konfederacji i kierunków, w jakich zdążała ludzkość.

Setki światów Konfederacji znajdowały się w całkowitej stagnacji. Wiele najzwyczajniej konało: programy przekształceń genetycznych i masowa indoktrynacja zrodziły populacje przypominające mrowiska, jakich nie znały minione pokolenia. Miliardy harowały na korzyść warstw rządzących, a te z kolei służyły syndykatowi. Kiedy upadł syndykat, podobny los spotkał klasy rządzące. Nie mając już możliwości zdobycia potrzebnego narkotyku, mogły albo umrzeć, albo zgłosić się do Konfederacji po pomoc.

Obecnie istniały nowe struktury i nowe organizacje, nieraz równie złe, a czasami nawet gorsze od poprzednich. Jednak większość była przynajmniej nieco rozsądniejsza i uwaga Konfederacji skupiła się na wzmożeniu ekspansji oraz zasileniu pograniczu nowym duchem.

Ponad tysiąc ludzkich światów zajmowało niemal dziesiątą część Drogi Mlecznej. Rzeczą nieuniknioną było spółkami z obcymi i tak też się w końcu stało. Do tej pory Konfederacja napotkała czternaście ras, z których kilka tak obcych i niepojmowalnych, że trudno było się z nimi porozumieć oraz znaleźć jakieś wspólne pole do kontaktów. Inni, tak jak centaurowaci Rhone, sami dążyli do wy-

miany kulturalnej. Nie obyło się bez konfliktów, mnóstwu nieporozumień. lecz ogólnie rozwój stosunków był całkiem pozytywny, a ludzkość wiele się nauczyła w kwestii kontaktów z obcymi rasami. Rada Konfederacji Światów, w skrócie Kon, liczyła siedmiu nie ludzkich członków.

Jednak spośród nich wszystkich Czugaczowie, których przedstawicielem był Marquoz, zostali dotąd najmniej poznani. Odkryto ich na zewnętrznym krańcu imperium Rhone, a dokonali tego sami Rhone, a nie ludzie. Ich wielki, gorący, pustynny świat w pierwszej chwili został uznany za niezamieszkały — wirujące, gorące morze piasków.

Czugaczowie mieszkali głęboko pod powierzchnią, gdzie panował chłód, w płaszczu bazaltowym oraz wydrążonych w nim jaskiniach. Mieli tam pod dostatkiem wody i budowali wielkie podziemne miasta oraz wspaniałe pałace. Czugaczowie pływali w piasku jak ryby w wodzie. Ich płuca nie różniły się zbyt od ludzkich albo rhońskich, zatem tajemnicą pozostawało, w jaki sposób unikają uduszenia. Jako rasa niekosmiczna, o powolnym cyklu rozrodczym, mogła nigdy nie zetknąć się z narodami Konfederacji.

Nieco czasu upłynęło, zanim żyjący jeszcze w ustroju półfeudalnym Czugaczowie otrząsnęli się z szoku po wieści, że nie są sami. A tym bardziej, że nie są panami stworzenia. Lecz jakoś to przeżyli. Tysiące autonomicznych regionów, które można by z grubsza określić jako księstwa, rządzone były na zasadzie niemal ateńskiej demokracji. Nie posiadali centralnego rządu, państw, nic, z czym można by nawiązać stosunki.

Lecz posiadali wiedzę, talent i zdolności, których brakowało w Konfederacji. Wytwarzali skomplikowane szklane rzeźby niespotykanej piękności. Opanowali niemal nadprzyrodzony sposób transmutowania substancji bez użycia skomplikowanej maszynierii. Z bezwartościowego piachu i skał potrafili wykonać prawie wszystko, co tylko zapragnęli. Mieli czym handlować, a Konfederacja posiadała technologie, których u nich brakowało. Kiedy jedno z księstw nawiązało stosunki handlowe z Rhone, sąsiedzi musieli iść w jego ślady albo zostać z tyłu. Ta reakcja łańcuchowa na zawsze zmieniła oblicze ojczystego świata Marquoza.

Najwyraźniej mało go to obchodziło. Twierdził, że jest zdetronizowanym księciem, lecz powszechnie wiadano, iż każdy Czugacz nie będący aktualnie księciem był nim aż do chwili detronizacji. Nie rozumiano do końca ani jego samego, ani jego motywów, lecz najbardziej dziwił u niego całkowity brak zainteresowania ojczyстым światem. Nie bez sukcesów przemierzył jako agent Policji wzduż i wszecz całe imperium Rhone. Wykonał tysiące drobnych misji, zawsze mając dość pieniędzy i orientując się w obcym otoczeniu. Każdą śmierdzącą sprawę wyczuwał jakby szóstym zmysłem. Kłopoty przyciągały go jak magnes i udowodnił, że potrafi sobie z nimi radzić.

Był więc jakby stworzony do Policji Konfederacyjnej, która wolała go zatrudnić, niż ciągle się z nim użerać. Koledzy, tak ludzie jak i nieludzie, nie rozumieli

go ani mu nie ufali, gdyż był jedynym Czugaczem w Policji. Lecz za każdym razem potwierdzał swą skuteczność, a zwierzchnicy w Radzie nie podzielali uprzedzeń wobec kogoś tak dobrego w swoim fachu. Można go było nie rozumieć, lecz bez dwóch zdań zdolności mu nie brakowało.

Wszedł do sekcji laboratoryjnej, roztaczając wokół aury pewnego siebie profesjonalisty, a za nim unosił się ogon biało-niebieskich kłębow z cygara. Bez chwili wahania odgadł, który z techników jest szefem sekcji, i ruszył w jego stronę.

Mężczyzna stał odwrócony twarzą do szyby z przezroczystego tworzywa, grubego na jakieś dwanaście centymetrów. Za szybą znajdowały się pomieszczenia, a raczej klatki, w których siedziało solidnie skrupowanych kilka postaci. Mężczyzna w średnim wieku, starsza kobieta wyglądająca jak ideał babci i dwie niesamowicie atrakcyjne dziewczyny, nie mogące mieć więcej niż szesnaście lat. Wszyscy byli nadzy. Siedzieli w pustych celach przywiązani do krzeseł stanowiących integralną część pomieszczenia.

Doktor Van Czu dostrzegł odbicie smoka w szybie, lecz nie przerwał obserwacji czwórki zamkniętej w celach.

— Witaj, Marquoz — wymamrotał. — Sądziłem, że ciągle jeszcze trzymają cię na przesłuchaniu.

— Och, zrobiłem sobie chwilę przerwy. Sam wiesz, ile mnie obchodzą te wszystkie bzdury. Napisałem już raport. Nie mam pojęcia, co nowego może wnieść powtarzanie w kółko tej samej historii.

Van Czu zachichotał.

— Od przybytku głowa nie boli. Udało ci się tym razem podrzucić nam coś naprawdę paskudnego. Gorszego już chyba nie mogłeś. Może dałbyś się namówić i wrócił do domu, spłodził kupę dzieciaków — czy jak to się tam u was nazywa — i pozwolił nam tu trochę odsapnąć?

Marquoz ujął cygaro w swe długie, chude palce i parsknął. Z jego ust wydobył się obłoczek dymu. Czugacze nie potrzebowali zapalniczek.

— To by było dopiero — odparł. — Nie, obawiam się, że jesteście na mnie skazani, dopóki ta robota mnie bawi.

Naukowiec przyjrzał mu się uważnie z ciekawością w oczach.

— Dlaczego to robisz, Marquoz? Co przyjemnego znajdujesz w strzelaniu i stanowieniu celu na obcych światach, w interesach obcych ras? Dlaczego nie u siebie w domu?

Zadawano mu już wielokrotnie to pytanie, a on zawsze odpowiadał jednako-wo.

— Wiesz, doktorze, że każda rasa ma swoich outsiderów. Osobników, którzy nie pasują, którym nie podobają się panujące u nich zasady, panujący stan rzeczy. Ja jestem outsiderem u Czugaczów. Jestem świrem, wiem że jestem świrem, lecz to mnie bawi. A że ktoś potrzebuje takiego jak ja, więc się nie zmieniam.

Van Czu porzucił ten temat. Nagle całkowicie spowaźniał.

— Pewien jesteś, że wszystkich złapałeś? — spytał wskazując głową na więźniów.

Marquoz przytaknął.

— Jasne. W każdym razie na Parkatinie. Kto wie, ilu ich jest gdzie indziej? Naszego ptaszka, Hara Batina, zrzucano nad farmą jakieś dwadzieścia kilometrów od miasta zaledwie wczoraj. Bez trudu wysłedziliśmy jego ruchy. Jak w dym od razu ruszył do najbliższego zabudowania gospodarskiego, gdzie mieszkali mężczyzna, kobieta i dzieciak. Podał się za strudzonego wędrowca. Byli gościnni — miał więc już troje. Żadnego z nich nie wzięliśmy potem żywcem. Zrobiliśmy naloł, otoczyliśmy budynek, ale oni nie chcieli się poddać. Nie pozostawało nam nic innego, jak zrównać całą chałupę z ziemią. Tymczasem Har Batin wziął ich auto i ruszył w kierunku miasta, gdzie zameldował się w małym hoteliku w ubogiej dzielnicy koło portu kosmicznego. Nie zasypiał gruszek w popiele: znaleźliśmy ośmioro, do których zdążył się dobrać, włączając tą tam babinę. — Marquoz wskazał cygarem na drobną kobiecinę zamkniętą w celi. — Następnie poszedł do baru i zapoznał się bliżej z pewną damą, a potem wyszedł, no i spotkał nas. Te stworzenia różnią się bardzo między sobą przywiązaniem do życia. Sam Batin był całkiem potulny, a kiedyśmy go ogłuszyli i zapakowali do kombinezonu próżniowego, zachowywał się bez zarzutu. Lokatorzy hotelu próbowali się wymknąć. Babcia nie uciekła daleko — upadła i załatwiła się na dobre. Resztę musieliśmy spalić. Podobnie ową damę z baru, która zdołała jednakże zainfekować te dwie dziewczyny. Były jeszcze zbyt słabe; udało nam się je złapać i wsadzić na statek, nim zaczęły pokazywać rogi.

— Skąd wiedziałeś, że właśnie oni są tymi, o których nam chodziło? — dopytywał się Van Czu. — Ja sam nigdy bym nie zgadł, że są kimś innym, niż się wydają.

Marquoz zachichotał.

— Oni śmierdzą. Och, oczywiście nie dla ciebie. Wygląda na to, że dla nikogo poza Czugaczami. Nie jest to normalny rodzaj smrodu. Raczej jakiś taki obcy odór, jakiego dotąd nie znano. Nie potrafię ci go opisać, ale sądzę, że wasi będą w stanie odkryć w czym rzecz, tak by zbudować detektor. Obecna sytuacja przyprawia o gęsią skórkę — nie wiadomo kto jest kim.

Szef laboratorium wstrząsnął się lekko i przytaknął.

— Ty przynajmniej potrafisz ich wywęszyć. My nawet tego nie możemy. Całe laboratorium staje teraz na głowie.

— Macie coś?

Van Czu wzruszył ramionami.

— Sporo. Niewiele. Kompletnie nic. Kiedy ma się do czynienia z czymś zupełnie nieznanym, wszystko sprowadza się do tego samego.

— Nie nadaję się do filozoficznych rozważań, doktorze. Co wiecie? — wypalił niecierpliwie smok.

Van Czu westchnął.

— No cóż, stanowią kompletnie nową formę inteligentnego życia. Można by je nazwać myślącymi wirusami. Są raczej ciekawym obiektem obserwacji mikroskopowych. Chodź, coś ci pokażę.

Podeszli do sekcji doświadczalnej i Van Czu pogrzebał trochę przy konsoli. Wielki ekran znajdujący się przed nimi nagle ożył.

— Oto wróg, Marquoz — oznajmił cicho naukowiec. — Tak wygląda Diii.

Na ekranie widniała jakaś podobna do plastra miodu struktura.

— Wygląda jak wszystkie wirusy, z jakimi się dotąd zetknąłem czy to na zdjęciach, czy na własnej skórze — skomentował smok.

— Istotnie, występują pewne podobieństwa — przyznał Van Czu — lecz przyjrzyj się mu pod mocniejszym powiększeniem.

Znowu pogrzebał chwilę przy konsolocie rozdymając obraz, aż ujrzeli pojedynczą komorę plastra.

— Zwróciłeś uwagę na prążkowania, deseń pokrywający szkielet?

Marquoz skinął głową. Van Czu przesunął obraz na sąsiednią komorę.

— Widzisz? Inny deseń. Gdybym jeszcze bardziej wzmocnił powiększenie i porównał wszystkie obrazy na poziomie atomowym, okazałoby się, że w danym organizmie nie ma dwóch dokładnie jednakowych. W każdym razie tak nam się wydaje.

— Chcesz przez to powiedzieć, że to, co tu widzimy na ekranie, mniejsze od komórek, to wszystko są pojedyncze osobniki?

— Nie, nie pojedyncze osobniki w tym sensie co ty albo ja. Sądzę, że jest to organizm kolektywny, w pewien skomplikowany sposób połączony z ciałem nosiciela, może nawet nie pod względem fizycznym. Kolektyw ów działa jak pojedynczy organizm, nie jak grupa. Uważamy, iż każdy taki przypominający wirusa osobnik zawiera w sobie pewne specyficzne informacje. Istnieją członkowie zbiorowiska o funkcjach ważniejszych lub późniejszych, razem tworzący całość tego, co dany Dril wie i co go ogranicza. Podejrzewamy, iż kiedy Dril potrzebuje informacji na określony temat, nie musi ich dopiero zbierać i szukać. Wystarczy mu jedynie połączyć się albo zwyczajnie zetknąć z innym Drilem, który posiada potrzebne dane.

Marquoz był zafascynowany.

— To znaczy, że jeden zna całą matematykę, drugi fizykę i tak dalej?

— To duże uproszczenie, lecz złapałeś ogólny sens — odparł Van Czu. — Wyobraź sobie każdego Drila jako księgę. Połącz wiele z nich do kupy, każdy z ładunkiem odpowiednich informacji, a otrzymasz wiedzę specjalisty w danym zakresie. Teraz złącz kilka takich wyspecjalizowanych jednostek — w zasadzie tworząc zupełnie nowego osobnika — a otrzymasz całą bibliotekę. Kiedy doda się jeszcze do tego wszystkie te rzeczy niezbędne do funkcjonowania żywego organizmu, pojawia się bibliotekarz — świadomość.

— Zmyślne. Niepotrzebna edukacja, narodziny, dorastanie. Powiel tylko zasadnicze jednostki, dorwij odpowiedniego nosiciela, dostań się jakoś do jego wnętrza i sprawa załatwiona — skomentował smok. — Musi oszczędzać mnóstwa zachodu.

Van Czu zachichotał.

— Też tak myślę. Są zasadniczo różni od wszystkiego, z czym się dotąd zetknęliśmy. Ciekawe, w jaki sposób udało im się ewoluować, samym wspiać na poziom umożliwiający ekspansję na sąsiednie tereny.

— Wcale nie musiały specjalnie ewoluować — odrzekł Marquoz. — Wystarczyło, powiedzmy, żeby na ich świecie wylądował któryś z naszych statków i został spenetrowany przez miejscowe organizmy. Sądząc po tym, co od ciebie usłyszałem, już po paru dniach Drile byłyby nową załogą.

Naukowiec przytaknął.

— Dokładnie. Ten facet, którego złapałeś, to Dril. Jest również Harem Batinem, z całą jego historią od chwili urodzin, a co najważniejsze, on zna tę historię. Wie wszystko, co wiedział Batin. To właśnie najbardziej przeraża. Gdybyś nie potrafił ich wywąchać, nie byłoby absolutnie żadnego sposobu, aby ich odróżnić. Żadnego.

— Próbowaleś rozmawiać? — spytał Czugacz. — Gdy ich tu wieźliśmy, byli tak szczelnie omotani, że nie mogli w ogóle mówić. Nie mieliśmy pojęcia, w jaki sposób zarażają, poza tym, że ma to coś wspólnego z wymianą krwi. Nie chcieliśmy ryzykować.

— Tak, jasne że z nimi rozmawialiśmy. Jeśli masz ochotę, mogę puścić ci nagrania — albo sam spróbuj pogadać przez interkom.

— Byle szybko. Pamiętaj, że czekają na mnie na górze. Lada chwila zorientują się, że mnie nie ma i zaczną się alarm.

— Jak ci się udało zwiać?

Marquoz zaśmiał się gardłowo.

— Jedno z udogodnień płynących z bycia obcym. Nie mają wielkiego pojęcia, gdzie i kiedy muszę chodzić do ubikacji, więc są zmuszeni wierzyć mi na słowo.

Van Czu odchrząknął.

— Rozumiem. Cóż, jeśli chodzi o nich, to na początku wszyscy zgodnie twierdzili, że są zwyczajnymi ludźmi i że protestują przeciw takiemu traktowaniu. Batin utrzymywał nawet, że uważał Cygana za złodzieja i po prostu się bronił.

— Zgrabna historyjka — przyznał smok. — Ale nie przejdzie.

Naukowiec wzruszył ramionami.

— On i cała reszta mogliby wykpić się tym wszędzie, tylko nie tu. Nie zmienili śpiewki, aż pobraliśmy im próbki krwi — zdalnie, ma się rozumieć — i zaczęliśmy przeprowadzać testy. Wówczas dopiero Batin przyznał się — a raczej ogłosił, że jest Drilem. Był niesamowicie arogancki. Jesteśmy dla niego zwykłą bandą zwierzaków. Nadajemy się od biedy jedynie, aby być nosicielami dla Drili.

Twierdzi, że nie pochodzą z tej galaktyki i prowadzą już tak długo podbój, iż nie istnieje nikt, kto by pamiętał jego początek. Taka święta krucjata w fanatyzmie zbliżona do tego, co wyprawia Zgromadzenie w portach.

Marquoz westchnął.

— Mam nadzieję, że tylko blefuje. Nie podobają mi się implikacje tego wszystkiego.

Van Czu spojrział na niego zaniepokojony.

— Co masz na myśli?

— Cóż, jeśli ja potrafię go wyczuć, prawdopodobnie potrafią to również i inne rasy. W każdym razie spory procent jeśli założymy, że Drile istotnie nie pochodzą z tej galaktyki. To stawia nas w obliczu faktu: czego nie mogą wziąć podstępem — zdobywają siłą. A pragnę nadmienić, że podróże międzygalaktyczne wykraczają daleko poza nasze możliwości technologiczne.

Naukowiec wyglądał na nieco przestraszonego.

— To znaczy wojna? Prawdziwa kosmiczna wojna?

— Na śmierć i życie — potwierdził Marquoz — a wszystkie atuty są w ręku nieprzyjaciela. Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli skończymy z tymi tutaj tak szybko, jak tylko się da, a potem, w miarę możliwości, poszukamy pokojowego wyjścia z sytuacji. Jednak wątpię, by nam się to udało. Kiedy zrobicie wreszcie te swoje detektory, Drile zorientują się, że ich maska opadła, że mamy ich jak na patelni. Moim zdaniem, lepiej by było zawczasu wiedzieć, z czym ma się do czynienia.

Czugacz ruszył do wyjścia, lecz Van Czu zawołał za nim:

— Marquoz. . .

Smok stanął, a jego wielka głowa zwróciła się w stronę naukowca łypiąc gazdym okiem.

— Tak?

— Jak na to wszystko trafiłeś? Wiem, że potrafisz ich wyczuć węchem, ale jak to się stało, że właśnie ty, jedyna osoba zdolna do tego, znalazłeś się na tamtej zapadłej planecie, we właściwym miejscu i we właściwym czasie?

— To proste — odparł sucho Marquoz, ruszając ku drzwiom. — Mam szczęście do kłopotów.

Kwangsi, sala posiedzeń Rady Konfederacji

W sali zebrali się wszyscy Radni Wspólnoty Światów z wyjątkiem tych, którzy z powodu choroby czy też przez inne zrzączenie losu nie mogli się stawić. Mimo wszystko, licząc światy zamieszkałe przez ludzi i nie ludzi, reprezentowano tu 2160 planet, zaś obecnych było 2144 Radnych. Liczba niebagatelna.

Zebranie Rady zawsze robiło wielkie wrażenie: zasiadali tu reprezentanci wszystkich ludzkich światów oprócz paru pogranicznych — zbyt mało rozwiniętych, aby ustanowić własny rząd. Obecne były również wielkie, podobne do centaurów istoty ze światów Rhone, dorównujące liczebnością rasie ludzkiej. Było też około tuzina Kafskiów, żywo falujących swymi rozgwiaździstymi ciałami, dla wygody zajmujących specjalny, nawodniony sektor. Zasiadały tu również Taraki przypominające wielkie bobry oraz Milkudowie — istoty przywodzące na myśl niewielkie trąby powietrzne — jak i wiele innych. Znalazł się nawet jeden przedstawiciel Czugaczów. Wszyscy oni doskonale wiedzieli dlaczego tu są. Sytuacja po prostu tego wymagała.

Prezydentem w tej kadencji Rady był olbrzymi mężczyzna o ciemnej skórze i śnieżnobiałych włosach. Mleczna toga Radnego nadawała mu nawet w tak ogromnej sali wygląd przywódcy. Nazywał się Marijido Varga. Jediną jego ułomnością był piskliwy głos, lecz w pomieszczeniu tej wielkości, gdzie mówiono tyloma językami, i tak nie miało to znaczenia. Wszystko było tłumaczone automatycznie przez komputery, a technicy już się postarali, aby nadać jego głosowi barwę odpowiednią do zajmowanej pozycji mówiącego.

Ceremonia otwarcia była prosta. Varga zwyczajnie wstał, uderzył trzykrotnie młotkiem przekazując tym samym sygnał do każdego Radnego, a potem oznajmił:

— Posiedzenie Rady uważam za otwarte.

Urwał na moment, czekając aż spóźnialscy zajmą swe miejsca, a następnie ciągnął dalej.

— Nadzwyczajna sesja została zwołana z uwagi na śmiertelne zagrożenie. Konfederacja, jak sądzimy, stanęła w obliczu groźby ze strony zewnętrznego wroga, który zignorował wszelkie wezwania do zawarcia pokoju i przyjaźni. Jego

jedynym celem wydaje się całkowity fizyczny i psychiczny podbój lub wyniszczenie innych ras.

Opowiedział o Drilach i o tym, w jaki sposób je wykryto.

— Gdy zdaliśmy sobie sprawę z zagrożenia, które jestem zmuszony nazwać mianem inwazji, Prezydium Wysokiej Rady zebrało się i w jawnym głosowaniu ustaliło, co robić. Po pierwsze: podjąć produkcję wykrywaczy, tak abyśmy mogli odróżnić przyjaciela od wroga. Dzięki bezinteresownej współpracy naszych braci Czugaczów, to przedsięwzięcie zostało już uwieńczone sukcesem. Trochę czasu pochłonęła produkcja tych urządzeń oraz ich dystrybucja w zadowalającej ilości. Pół tuzina narodów skupiło się na tym projekcie. Po drugie: dyskretny nadzór pogranicznych światów poza sferą wyznaczoną przez współrzędne Parkatina. Jak się okazało, te tereny są najbardziej zagrożone. Przynajmniej jeden świat, Madalin, został całkowicie opanowany. Choć nie zlokalizowaliśmy dotąd ich bazy, uważamy, iż znajduje się ona na statkach lub statku matce. Zdrowy rozsądek podpowiada, że taki statek matka musi być otoczony myśliwcami w sile, powiedzmy, przynajmniej jednej floty.

Ta ostatnia uwaga wywołała poruszenie. Penetracja obszaru Konfederacji przez nieprzyjacielską flotę o nieznanym możliwościach i niepewnym położeniu niosła z sobą potencjalnie zgubne następstwa.

— Po trzecie: rozpoczęliśmy prace badawcze nad przygotowaniem sposobów obrony. Jak dotąd odkryliśmy, iż Drile atakują jedynie organizmy obdarzone układem krążenia z tolerancją temperaturową od minus dziesięciu do osiemdziesięciu pięciu stopni.

Milkudowie oraz kilka innych ras, które albo nie posiadały układu krążenia, albo nie mieściły się w tych granicach temperaturowych, odetchnęło z ulgą. Varga szybko jednak rozwiął ich nadzieje.

— Odebraliśmy sygnały pochodzące spoza granic Konfederacji, iż Drile niszczą wszystkie rasy, których nie mogą podbić i wykorzystać. Ta informacja została potwierdzona pośrednio przez naszych niemal patologicznie pewnych siebie więźniów. Drile prą ciągle naprzód w niepowstrzymanym — nikt nie wie już od jak dawna — marszu mającym na celu zmienić nasz Wszechświat we Wszechświat Drili. Sprawiają wrażenie jakby nie tolerowali innych inteligentnych form życia.

Ponownie na sali zapanowało wielkie poruszenie, choć zebrani zapoznali się już uprzednio z większością tych informacji. Nikt nie podejmuje decyzji o najwyższej wadze po przeczytaniu jednego raportu lub wysłuchaniu przemówienia. To, co dotąd powiedział Varga, było w zasadzie na użytek archiwum. Prezydent poszeleścił kartkami i ciągnął dalej. Przemowa nie była jego dziełem — ułożyli ją doradcy i otrzymała akceptację całego Prezydium.

— Dril jest formą wirusa, a szczepionki dla zagrożonych ras zostały już wynalezione przez konfederacyjne laboratoria i komputery medyczne. Miną jednak ty-

godnie, nim wyprodukuje się je w wystarczającej ilości, a miesiące, zanim wszyscy zostaną uodpornieni. Wierzcie, że robimy wszystko co w naszej mocy. Na razie jednak zdani jesteśmy na wykrywacze, które nie są rozwiązaniem optymalnym. Drile nie uszkadzają ciała, lecz zabijają świadomość. Jesteśmy w stanie zniszczyć je w zarażonym organizmie. W ten sposób zostaje co prawda żywe ciało, lecz jest ono równie bezmyślne i bezwolne co źdźbło trawy. Z uwagi na to, poza okazami doświadczalnymi oraz przeznaczonymi do przesłuchań, wszystkie Drile mają być natychmiast zabijane, niszczone przez spalenie.

Rozległ się pomruk powszechnej aprobaty, choć żadnemu z delegatów ani trochę nie podobało się to, co tu usłyszał.

— Wreszcie podjęliśmy próbę kontaktu i negocjacji. Zbliżyliśmy się do Madalinu i nawiązaliśmy z nimi kontakt. Drile były świadome tego, że o nich wiemy, więc musimy założyć, że posiadają inteligencję przynajmniej dorównującą naszej. Przedstawię teraz przetłumaczony zapis tej rozmowy, proszę śledzić go na swych wizjerach. Nie potrwa to długo. Gdy rozpoczęliśmy nagrywanie, nasz negocjator właśnie wywoływał stolicę Madalinu.

Uruchomiono ekrany przystosowane do specyficznych wymagań każdej rasy.

— Madalin! Tu okręt Prezydium Konfederacji *Dworcga Bagby* — oznajmił głos. — Chcemy rozmawiać z waszym dowództwem.

Ekrany, które dotąd pozostawały ciemne, nagle rozbłysły.

Twarz, która się na nich pojawiła, była wielkim zaskoczeniem, należała bowiem do dwunasto-, może trzynastoletniej dziewczynki. Dziecko było brudne, zaniedbane, a włosy, splecione w długie warkocze, kołtuniły się z braku pielęgnacji. Była naga.

— Nazywam się Diri Smil — przedstawiła się z dziecinnym zaśpiewem. — Będę z wami rozmawiała.

Rzecznik na Bagby został widocznie wzięty na bok, minęła bowiem spora chwila, nim negocjator odezwał się ponownie.

— Chcę rozmawiać z kimś z dowództwa — oznajmił głosem monotonnym, wypranym z wszelkich emocji, usiłując ukryć zmieszanie i zaskoczenie.

— Ja tu dowodzę — odparła dziewczynka. — Musicie spełnić nasze warunki. Cała flota Konfederacji oraz pojazdy policyjne znajdujące się w przestrzeni mają zostać ewakuowane w ciągu pięciu dni. Lokalne oddziały wojskowe mają złożyć broń i oddać się do dyspozycji dowódców Drili, gdy przybędą do poszczególnych portów. Cały wewnętrzny handel ma ustać z momentem lądowania pierwszego naszego statku.

Z głośników dobieły się odgłosy sapania, tak jakby negocjator Konfederacji nie mógł uwierzyć własnym uszom. Wreszcie zebrał się w sobie i odpowiedział:

— Nie przybyliśmy tu, aby skapitulować, lecz by osiągnąć porozumienie.

Dziewczynka pozostawała niewzruszona.

— Nie macie innego wyjścia. Nie przynosimy śmierci, lecz pokój i ład. Nie umrzecie. Po prostu przenikniemy do waszych ciał i będziemy sterować waszymi myślami i poczynaniami.

— Lecz to się przecież równa śmierci — odparł negocjator.

— Wcale nie — obstawało dziecko. — To przecież jest powszechnie znane; w naturze wyższe formy oswajają niższe. Konie, krowy, romby, worzeile — wszystkie one służą wam. My jesteśmy jeszcze wyższą formą, tak więc wy musicie służyć nam.

Wypowiedziała te słowa tak poważnie, jakby chciała kogoś przekonać, że u niej niebo jest niebieskie, a ludzie się starzeją.

— Pragniemy żyć w pokoju, lecz nie możemy zaakceptować waszego punktu widzenia — odparł negocjator.

Dziewczynka okazała niejaki zaskoczenie.

— To przecież naturalne — wyjaśniła. — Porządek rzeczy. Nie możecie walczyć z istniejącymi prawami przyrody. To tak, jakby powiedzieć, że minerały są warzywami, a kosmos wypełniony jest tlenem. Mówienie podobnych rzeczy byłoby kłamstwem. Kłamstwem jest, że wyżej postawiony nie powinien rządzić niżej postawionym. To wbrew naturze.

Błędne koło.

— Nie akceptujemy waszego punktu widzenia — powtórzył negocjator. — Nie możemy pozwolić, abyście podbili nasze światy.

Jej zaskoczenie wzrastało. — To nie jest coś, co można akceptować, coś na co można zezwalać. Tak już po prostu jest. I tak będzie. Tak było już od z górą miliarda lat i nic się w tej kwestii nie zmieni. Będziemy galaktyką. Nie światem, nie systemem ani sektorem albo kwadratem. Galaktyką. Jakies dwa tysiące lat temu zaczęliśmy podbój tej galaktyki. Teraz jesteśmy tutaj.

— W takim razie będziemy walczyć.

Była niewzruszona.

— Muł może wierzgać, ale i tak będzie orał. Chcieliśmy pokojowego i planowego udomowienia. Nie będziemy się jednak kłócić. Zwierzęta często muszą zostać nauczone, co jest właściwe i pożyteczne dla ich panów. Skoro nie macie zamiaru wykonać naszych poleceń, ta rozmowa jest bezcelowa.

Negocjator miał już najwyraźniej dość.

— A co się stanie — warknął — gdy Drile napotkają jakąś wyższą rasę?

Wyglądała na zaskoczoną, nie pojmowała pytania.

— To niemożliwe — odparła. . . i przerwała połączenie.

— Niemal w tym samym momencie — wyjaśnił prezydent Varga — statek Prezydium oraz jego eskorta zostały zaatakowane przez okręty Drili. Flotylla Konfederacji składała się z czternastu statków, z czego trzynaście miało najzupełniej standardowe uzbrojenie. To, co widzieliście, zostało nagrane tutaj. Żaden z tamtych statków już się więcej nie odezwał.

Varga urwał i odczekał, aż wszyscy rozważą tę wiadomość. Nie została ona podana do publicznej wiadomości. Na sali zapanowało piekło i Varga potrzebował kilkunastu sekund, aby zaprowadzić porządek. W końcu rzekł:

— Radni, Konfederacja została założona przez przedstawicieli mojej rasy ponad tysiąc lat temu. Po okresie międzyplanetarnej wojny, rozpetanej w imię ideologii teraz już dawno zapomnianych. Straszliwe bronie, które wyludniły dzie więć światów, w tym nasz ojczysty, zostały zniszczone. Policja Konfederacyjna, powołana, by w przyszłości strzec pokoju, nie zawaha się użyć wszelkich potrzebnych środków, aby ten pokój utrzymać. Odpowiednio instruowana Policja Konfederacyjna nie ingeruje w konflikty wewnętrzne. Pilnuje jedynie, aby rządy planet mordowały — jeśli już do tego dochodzi — tylko własnych mieszkańców, a nie innych. Podobne instytucje istnieją na Rhone, Taraku, Milkudzie oraz Boteszu i wszystkie one połączyły swe siły po naszej integracji. W zasadzie nasze rasy zjednoczyły się z tego samego powodu, który doprowadził do powstania Konfederacji: nie aby się nawzajem przeniknąć, lecz by się nawzajem przed sobą bronić. Broń nie została jednakże zniszczona, gdyż nikt nie miał pojęcia co przyniesie jutro. . . a rzecz jasna sama groźba jej użycia odstręczała wielu niedoszłych agresorów. Odmrozić możemy ją jedynie, gdy przy głosowaniu większość członków, Rada się za tym opowie. Tylko przez takie głosowanie możemy polecić Policji Konfederacyjnej, która potrafi broń obsługiwać, aby wszystko przygotowała. Sądzę, że musimy teraz głosować. Chciałbym w imieniu swoim i całego Prezydium zakomunikować, iż wynik naszego głosowania wynosi dwadzieścia sześć za i pięć przeciw.

Wysunięto więc żądanie, którego wszyscy się wcześniej czy później spodziewali. Misja na Madalinie dowiodła, że Konfederacja jest bezsilna wobec wrogich przybyszów chcących podbić całą galaktykę.

Mapy wraz z krótkim opisem sytuacji rozdane przed obradami dowodziły, iż wszelkie kroki muszą zostać podjęte niezwłocznie. Konfederacja obejmowała obecnie około dwie trzecie jednego z ramion Drogi Mlecznej. Zgodnie z twierdzeniami jeńców, Drile zaatakowały od strony Andromedy. Należałoby zatem sądzić, iż dotarły do ramienia Konfederacji gdzieś niedaleko jego zewnętrznego krańca i posuwały się do wewnątrz. W świetle tych przypuszczeń, pierwszą napotkaną przez nich cywilizacją była cywilizacja ludzka. Jak dotąd wchłonęli przynajmniej jeden ludzki świat i zdobyli przyczółki na kilkunastu dalszych. Mieli dość czasu, aby na niemal wszystkie światy wprowadzić niepostrzeżenie swych agentów.

W związku z tegoroczną akcją powszechnych szczepień Drile będą zmuszone przyspieszyć swe działania. Inaczej może zabraknąć im najpierw ludzi, a potem i Rhonów — jak wynika z położenia geograficznego. Drile będą potrzebować tych ciał. Inaczej ekspansja zostanie zahamowana przez okres ciąży ich nosicieli oraz czas dorastania potomstwa do wieku, w którym będzie przedstawiało dla Drili realną wartość. Z ich punktu widzenia najbardziej godna pożalowania będzie utrata

całej wiedzy, którą mogłyby osiąść dzięki wchłonięciu nienaruszonej cywilizacji.

— Nasze wojskowe kalkulacje opierają się na kilku założeniach — oznajmił Varga. — Po pierwsze, Drile przewyższają nas pod względem technicznym, przynajmniej w dziedzinach liczących się na polu bitwy. Po drugie, dorównują nam inteligencją. Wziąwszy pod uwagę fakt, iż zniknęła szansa na łatwe uderzenie z zaskoczenia — są bowiem świadomi, że o nich wiemy — sądzimy, iż przypuszczą zmasowany atak na światy znajdujące się w zasięgu ich głównej floty. To, że tego dotąd nie uczynili, świadczy, iż choć technologicznie są wyżej rozwinięci, ciągle nie dorównują nam liczebnie. Odkryliśmy ich, zanim się przygotowali, zanim ich główni agenci objęli stanowiska i stali się w pełni efektywni. Zanim zdołali zebrać na naszych światach surowce potrzebne flocie, aby nas zaatakować. Nim wchłonęli dość naszych ludzi, aby obsadzić te okręty. Musimy na nich uderzyć teraz. Musimy ich dopaść całą naszą potęgą. Nie zwlekając. Prezydium żywi nadzieję, że przegłosujecie otwarcie arsenału, że w całej Konfederacji zostanie ogłoszona powszechna mobilizacja oraz że uderzymy na nich pierwsi na Madalinie. Niszcząc tę planetę zmusimy ich flotę do przedwczesnej ofensywy. Wzywam do skróconej debaty w tej kwestii i do bezzwłocznego głosowania.

Wystąpienie dobiegło końca. Nadeszła pora na najbardziej doniosłą decyzję w historii każdej rasy od czasu złożenia broni. Debata jednak przeciągnęła się do późna w nocy. Dawno po zmroku odbyło się głosowanie. Każdy członek Rady posiadał jeden z kluczy potrzebnych, by uruchomić urządzenie otwierające arsenał. 1081 delegatów musiałyby równocześnie użyć swych kluczy, by pozwolić ekspertom wojskowym na skorzystanie z jego zawartości. Próbowano już niejednokrotnie zaktywizować tę broń, lecz zawsze bez powodzenia. Wiele wieków temu syndykat handlarzy gąbką usiłował zdobyć większość dzięki szantażowi tym narkotykiem. Gdyby im się powiodło, objęliby absolutną kontrolę nad Konfederacją, składającą się wówczas jedynie z ludzkich światów. Próba zakończyła się fiaskiem, gdy szef syndykatu zniknął w tajemniczych okolicznościach. Jak przypuszczano, został zlikwidowany przez Policję Konfederacyjną.

Tym razem, po przedyskutowaniu delikatnej kwestii sztabu generalnego oraz powierzeniu stanowiska głównodowodzącego Tarakowi — zdolnemu generałowi jednej z mniej liczących się ras — przegłosowano stosunkiem trzy do jednego pójście na całość.

Bezzwłocznie klucze zostały wetknięte w odpowiednie otwory. Potężny komputer sterujący całym urządzeniem odebrał właściwy sygnał. Doskonale wyszkolony personel zajął z góry ustalone pozycje.

A przez ludzkie i nieludzkie światy Konfederacji — gdzie wieści rozchodzą się szybciej niż myśl — jak huragan przetoczyła się wiadomość, która zasiała strach w każdym, kto ją usłyszał:

Arsenał został otwarty!

W systemie Madalin

Chociaż świadomość istnienia sławnego arsenału była niemal powszechna — straszono nim dzieci, jak i dorosłych — tylko niewielu wiedziało, co to słowo tak naprawdę znaczy. Większość ludzi sądziła, iż jest to swego rodzaju olbrzymi sejf, w którym złożono wszelkie straszliwe narzędzia zniszczenia uznane przez przodków za zbyt okrutne, by je wykorzystywać.

W istocie jednak arsenał miał postać niewielkiej sztucznej planetki, zarządzanej przez komputer wyposażony w najbardziej wymyślne systemy zabezpieczeń jakie wówczas znano. Została ona przyholowana na miejsce przez bezzałogowe statki, a do ostatecznej kryjówki doprowadził ją główny komputer, który zaraz potem wyczyścił całą swą pamięć z danych dotyczących tej operacji. Nikt nie znał wówczas położenia arsenału, ani nie poznał go po następnym tysiącleciu. Wiadomo było tylko, że znajduje się on w jednym z zawrotnej liczby trylionów sektorów przestrzeni, rozsypanych gdzieś w „sąsiedztwie” Konfederacji. Można było jednakże komunikować się z nim — to znaczy możliwe było odebranie nadawanego z tej planety sygnału. Kierunku jego emisji nie sposób było jednak ustalić. Został specjalnie tak zniekształcony, aby nawet najbardziej przemyślni spośród geniuszy komputerowych nie byli w stanie wysledzić jego źródła.

Teraz, gdy nadano właściwy sygnał, komputer sterujący arsenałem uczynił jedyną rzecz, dla której został zaprojektowany — nadał zestaw współrzędnych przez sieć nieprzeliczonych komputerów transmisyjnych.

Personel, który tę straszliwą broń obsługiwał i który został wyszkolony w posługiwaniu się nią dzięki symulacjom komputerowym, miał wreszcie okazję wypróbować ją w rzeczywistości. O przebiegu ofensywy oraz liczebności poboru decydował oczywiście komputer, lecz ludzie sami ustalali, czy, gdzie oraz kiedy mają zostać wysłani na front.

Flotylla zbliżająca się do Madalinu nie była podobna do żadnej widzianej dotąd w granicach Konfederacji, a pewnie i poza nią. Były w niej okręty olbrzymie, były i liliputy. Nasuwały swym wyglądem bardzo nikłe skojarzenia ze standardowymi, powszechnie znanymi jednostkami floty. Broń znajdowała się pod ciągłym, drobiazgowym nadzorem. Żołnierze ją obsługujący mieszkali w oddzielnych kajutach, a gdy kończyli służbę, wszystkie dane były wymazywane z ich pamięci.

Centrum dowodzenia Pierwszej Grupy Uderzeniowej znajdowało się na stosunkowo niewielkim pojeździe w kształcie sfery z długimi, cienkimi drutami sterującymi z jej powierzchni. Komputery bojowe ustalały optymalną taktykę posunięć. Działo się tak jednakże tylko dla wygody. Na pokładzie każdego okrętu znajdował się komputer oraz wyszkolony personel, mogący samodzielnie wydawać odpowiednie rozkazy.

Madalin widoczny był już na ekranach i Pierwsza Grupa Uderzeniowa rozpoczynała właściwy atak kiedy Drile zrobiły pierwszy ruch. Sensory wewnątrz kolczastej kuli wykryły grupę pojazdów zbliżających się z prędkością dużo większą, niż osiągnięta przez jednostki Konfederacji. Teraz było już oczywiste, dlaczego nie wrócił żaden okręt z poprzedniego oddziału. Komputery sterujące ogniem przygotowane były na odparcie ataku ze strony jednostek o możliwościach zbliżonych do możliwości okrętów Konfederacji. Tymczasem nieprzyjaciel zaatakował ich, nim zdążyli przedsięwziąć odpowiednie kroki obronne.

Komputer arsenału nie posiadał takich ograniczeń. Miał za zadanie stawić czoło wszystkiemu i zwyciężyć, jeśli tylko było to w ogóle możliwe. Szybkość poleceń mierzono w nanosekundach — uruchomiono ekrany obronne, okręty ustawiły się w szyku obronnym co kompletnie zaskoczyło Drile. Ich wywiad nie mógł wiedzieć, co znajduje się we wnętrzu arsenału, skoro nawet Konfederacja nie była tego do końca pewna.

Siły Drili liczyły dwadzieścia okrętów — tylko jedna eskadra. Spodziewano się większej ich liczby i dlatego zastosowano taktykę obronną, gdyż z powodu miernej prędkości pościg za nieprzyjacielem nie miał szans.

W podobnych sytuacjach kolczasta kula służyła podwójnemu celowi. Została tak zaprojektowana, aby wyglądać jak centrum oraz wykonywać funkcje centrum dowodzenia. Ściągała na siebie uwagę nawet jako tako znajdującego się na wojskowym rzemiośle przeciwnika. Okręty Drili, poruszające się blisko pięciokrotnie szybciej od jednostek Konfederacji, zgodnie z oczekiwaniami zaatakowały kulę.

Mając ciągle komputery zaprogramowane na tryb obronny, okręty Konfederacji namierzyły dwadzieścia niewielkich wrzecionowatych pojazdów i rozstały się. Cel tego manewru wydawał się oczywisty, lecz Drile były pewne swego, mimo pojawienia się nieznanego dotąd, nieprzyjacielskiego pojazdu. Nie uchwyciły celu kryjącego się za takim szykiem. Nie bacząc na nic pędziły prosto na sferę — i w ten sposób wpadły w zasadzkę.

Odległości między statkami Konfederacji były duże, a ich rozmieszczenie w przestrzeni doskonałe. Wszystkie z dwudziestu nieprzyjacielskich okrętów znalazły się wewnątrz kordonu, nim w ogóle ujawniono zasadzkę. W tej samej chwili włączono ekrany ochronne i małe, kuliste statki Konfederacji otworzyły ogień do napastników. Olbrzymia prędkość okrętów Drili nagle obróciła się przeciw nim. Poruszały się za szybko, by mogły dokonać wymijających manewrów lub gwałtownych zmian kursu. Aby wykryć kuliste, małe stateczki, potrzebny byłby spe-

cialny sprzęt. Wszystkie były bezzałogowe i tkwiły w miejscu. Po prostu strzelały, strzelały przed siebie, a okręty Drili same wpadały w ich ogień.

Dwanaście nieprzyjacielskich pojazdów zostało trafionych. Pozostałym ośmiu udało się jakoś nieznacznie zmienić kurs i uniknąć salwy, lecz nawet wówczas nie były w stanie użyć własnej broni. Zniknęły z ekranów, nim w ogóle któryś z ich komputerów zdołał przesunąć celownik.

Przy tych prędkościach systemy obronne musiały być całkowicie zautomatyzowane i kontrolowane przez świadome komputery, tak by mogły reagować odpowiednio szybko. Atak został wykryty, odparty oraz zakończony, nim załogi zdołały się zorientować w sytuacji.

Drile dostały łupnia i to łupnia dotkliwego. Powstrzyma to je na jakiś czas, szczególnie że zostało im jedynie osiem jednostek. Teraz pewnie ich własne komputery, odmienne i najprawdopodobniej szybsze od konfederacyjnych, analizowały błędy dostrzegając swą głupotę i obmyślając możliwe kontruuderzenia. Lecz statek potrzebuje określonej przestrzeni na dokonanie zwrotu, a zahamować przy prędkościach osiąganych przez Drile wcale nie jest tak łatwo.

Sygnał do rozpoczęcia bombardowania musiał być nadany przez dowództwo operacji. Stało się to jednak po chwili krótkiego wahania. Wszyscy oficerowie oglądali jedyną relację z rozmowy przeprowadzonej z Madalinem po inwazji Drili. Był to naprawdę piękny świat, biało-niebieski, lśniący odbitym światłem żółtej gwiazdy, oddalonej o mniej niż półtora miliona kilometrów. Świat pograniczny, lecz liczący ponad milion istnień ludzkich, milion dusz skazanych na śmierć przez Drile.

Niewielkie trójkątne statki krążyły już po orbicie, jeden od drugiego w zasięgu wzroku. Nikt poza komputerem sterującym całą operacją nie miał pojęcia, co tu się tak naprawdę dzieje. Wszyscy wiedzieli jednak, iż owe stateczki to niszczy-ciele planet.

Po zajęciu właściwych miejsc na orbicie, skumulowaniu odpowiedniej energii, wszystko było już gotowe. Nastąpił pojedynczy błysk, tak szybki, że ledwie zauważony przez setki obserwatorów znajdujących się na statkach.

W mgnieniu oka ten cudowny, biało-niebieski świat przemienił się w ogniście pomarańczową kulę ciemniejącą po chwili do głębokiej żółci. Świat jeszcze przed chwilą pełen życia i urody stał się martwym, nieurodzajnym, suchym i zabójczym pogorzeliiskiem. Cała atmosfera oraz dziesięć kilometrów skorupy przestało po prostu istnieć.

Komandor Grupy Uderzeniowej, wielki Rhone wyglądający jak uosobienie klasycznego greckiego centaury, pozostał nachmurzony, gdy z ust techników stojących na mostku wydobył się okrzyk zwycięstwa. Pozwolił im na chwilę triumfu — w końcu, niektórzy od lat czekali na taką misję, nigdy przedtem nie mając okazji użyć tego sprzętu — a potem wcisnął włącznik interkomu.

— Niezła robota. Nie zapominajmy jednak, że jeszcze nie wygraliśmy tej wojny. Tam w dole to nie była planeta wrogów, lecz nasza. To byli nasi ludzie, to był nasz świat. Nie możemy pozwolić sobie na więcej tego typu zwycięstw, gdyż każde okupione będzie śmiercią nas samych.

Urwał. W sterówce zapanowała nagle grobowa cisza.

— Łamiemy szyk i wracamy do bazy. To była wstępna potyczka, nie napotkaliśmy jednak ich głównych sił. Witam na wojnie, obywatele.

Baza Drili, około pięciu tysięcy lat świetlnych od Konfederacji

Niewielki statek Rejestratora wylądował bez problemów. Okręt matka był normalną planetą o średnicy większej niż dziesięć tysięcy kilometrów. Była to jednak planeta wywrócona jakby na lewą stronę. Rejestratorowi zabrało niemal cztery godziny dotarcie promem z powierzchni, gdzie mieścił się port, do pomieszczeń Odbiornika.

Pomieszczenia owe zostały urządzone skromnie, gdyż Drile były istotami konkretnymi, nie przywiązującymi wagi do dzieł sztuki czy specjalnych wygód. Brało się to z tego, iż zamieszkiwały cudze ciała. Bezpieczne i pewne siebie nie przykładły wielkiej wagi do komfortu nosiciela, dbając jedynie o jego zdrowie i unikając obrażeń.

Właśnie z tego powodu samo centrum potęgi Drili miało powierzchnię nie większą niż trzydzieści metrów kwadratowych. Jedynym wyposażeniem były toporne plastikowe ławki, zaś wejście stanowiły nagie, stalowe drzwi. Rejestrator nie spodziewał się zresztą niczego innego. Usiadł na jednej z ławek i czekał cierpliwie, może nieco podenerwowany. Wszystkie Drile bez wyjątku chciały jak najdłużej żyć, a ich przywódcy znani byli z tendencji do uśmiercania zwiastunów złych nowin.

Mimo zaistniałych niepowodzeń, cała uwaga Rejestratora skupiona była na jego własnej wielkości. Dumą napawał go fakt, że Drile tu były, że olbrzymi statek matka ich tu dowiózł po nieprzeliczonych latach podróży przez międzygalaktyczną pustkę. To, że Drile mogłyby zostać pokonane, nigdy nawet nie przyszło mu do głowy.

— Rejestratorze, zdaj swój raport.

Ściany odbiły echem głos. Drgnął zaskoczony, lecz błyskawicznie ochłonął. Doskonale już wiedzieli, z czym przybywa. Ta relacja, jak sugerował jego tytuł, służyła jedynie rejestracji, na wypadek gdyby pojawiły się jakieś wątpliwości.

— Cele posiadają efektywny system obronny, o którym nie wspominały wstępne raporty zwiadowcze — wyjaśnił Odbiornikowi. — Ich uzbrojenie, choć powolne, jest niezwykle wysokiej klasy, co pod wieloma względami nie pasuje do

ich historii. Najwyraźniej owa względnie statyczna kultura, za jaką ją uznaliśmy, jest zupełnie nietypowa pośród współżyjących z nią ras. Tego rodzaju broń oraz dalece niekonwencjonalne sposoby walki — nie uzasadnione poziomem technicznego rozwoju — stanowczo dowodzą barbarzyńskiej przeszłości.

Będąc na Pierwszym Poziomie ewolucji — pokojowo nastawieni, wysoko rozwinięci, względnie statyczni, co zgadza się ze spotkanymi gdzie indziej wzorcami — sami przeczą temu wnioskowi. Zbyt ślepo polegaliśmy na dotychczasowych modelach. Oni są co najwyżej kulturą Poziomu Trzeciego — barbarzyńcami, a jeśli wolisz, dzikimi zwierzętami — z mylącą otoczką Poziomu Pierwszego.

— Takie zjawisko jest niemożliwe — oburzył się Odbiornik. — Kultura Poziomu Trzeciego prowadziłyby wojny, wojny między sobą. Jeśli twoje informacje są zgodne z prawdą, stanęliśmy w obliczu profanacji praw natury — banda wściekłych zwierząt, która doszła między sobą do trwałego porozumienia. Może moglibyśmy przyjąć to do wiadomości, gdyby chodziło o jedną rasę, lecz tam współżyje razem czternaście całkowicie odmiennych form. To przeczy prawidłom dziejowej ewolucji. Cywilizacja tego typu, jaki reprezentuje ta „Konfederacja”, powinna znajdować się na najwyższym poziomie, pozostawiając za sobą wojny oraz nawet możliwość wojen. Powinna, zgodnie z podstawową zasadą, znajdować się w społecznej równowadze, gdzie jedyną szansą dalszego rozwoju jest poddanie się władzy Drili.

— Niemniej — odparł Rejestrator — posiadają świadomość własnej stagnacji i nie zniszczyli broni ze swej barbarzyńskiej przeszłości. Najbardziej niesamowite jest to, że nie utracili chęci oraz wiedzy co do jej użycia. To jest fakt. Co więcej, odnosi się do nich wszystkich bez wyjątku. Dzięki temu odmienne rasy współdziałają zgodnie przeciw nam.

Odbiornik milczał przez chwilę. Rejestrator czekał cierpliwie, wiedząc, że w sercu olbrzymiego statku matki Odbiornik — nieprzeliczone ilości Drili nie posiadających nosicieli — szukał odpowiedzi, układał plany, snuł przypuszczenia. Był on gigantycznym żywym organizmem, organicznym komputerem przechowującym miliardy lat wiedzy i doświadczenia w miriadach jednostek pamięci.

Jedną z rzeczy, jakich nauczyły się Drile w ciągu tych wszystkich lat, był pragmatyzm — ostatnie miejsce schronienia dla kogoś zbitego z tropu. Miejsce — trzeba przyznać — dość wygodne.

— Długo potrwa, nim wyjaśnimy tę zagadkę — oznajmił w końcu Odbiornik. — Możliwe, iż prawa dziejowej ewolucji nie są wszędzie tak uniwersalne, jak w naszej rodzimej galaktyce. Niemniej jednak, w obliczu cywilizacji rozwiniętej na tyle, by nas wykryć, pasywna infiltracja musi się zakończyć. Skoro mamy w tym przypadku do czynienia z kulturą Trzeciego Poziomu, musimy postępować z nią jak z każdą inną kulturą Trzeciego Poziomu, nie zważając na jej zewnętrzne pozory.

— To niebezpieczna droga — oznajmił Rejestrator. — Choć wolniejsi, zdołali zniszczyć dwanaście naszych jednostek podczas ataku na Madalin, sami nie tracąc żadnej. Nasza flota liczy niespełna czterdzieści tysięcy okrętów, możliwości statków-fabryk są ograniczone, a nie kontrolujemy dostatecznej liczby światów. by móc w pełni korzystać z ich mocy wytwórczej.

Odbiornik był wyraźnie zaszokowany.

— Sugerować, że Drile mogą przegrać z takimi ewolucyjnymi bękartami!...

Rejestrator przestraszył się.

— Nie, nie! Nie miałem nic podobnego na myśli! Chodziło mi tylko o to, że nawet najbardziej uległe zwierzaki mogą czasami kąsać, wierzgać albo w inny sposób szkodzić panu.

— Zdajemy sobie z tego sprawę — odparł zimno Odbiornik. — Wiemy jednak, że przewaga liczebna nie zawsze jest argumentem ostatecznym. To oni się bronią, nie my. Muszą doświadczyć naszej potęgi. Dwanaście statków zostało zniszczonych, gdyż wpadły w zaplanowaną z góry zasadzkę. Sytuacja się odwróci. Odpocznij i odwiedź Medyka. Odmaszerować!

Już po jego wyjściu Odbiornik zarządził, by podczas badania wszczepiono Rejestratorowi dodatkowego Drila, tym samym równoważąc wyraźną alienację, jakiej uległ podczas pobytu w Konfederacji. Ta historyczna anomalia najwyraźniej nim wstrząsnęła. Wskazane było zapewnienie mu towarzystwa. Nigdy przedtem Drile nie stanęły w obliczu podobnej społeczności. Nigdy przedtem nie znajdowały się w równie niekorzystnej sytuacji. Lecz dzięki problemom stwarzanym przez Konfederację zwycięstwo będzie tym słodsze. Stado baranów może strato- wać nadzorcę, lecz nie całą rasę nadzorców. Nadeszła pora, by Drile objawiły to, w czym tkwi ich prawdziwa wielkość — siłę.

Na frachtowcu Hoahokim

Wołano na niego po prostu Cygan. Wysoki, łagodny mężczyzna o śniadej karnacji, zupełnie pozbawionej tej orientalnej domieszki, niemal powszechnej u wszystkich ludzi. Miał silnie zarysowany, rzymski nos oraz czarne, połyskliwe oczy, hipnotycznie maskujące jego prawdziwe oblicze. Cygan nie był policjantem na żołdzie Konfederacji. W zasadzie nie cierpiał wszelkiej władzy i jej funkcjonariuszy. Marquoz natknął się na niego przed paroma laty na jakiejś zapadłej planecie, gdzie Cygan grywał na swej fujarce i zbierał datki. Wtedy to właśnie Marquoz po raz pierwszy zatańczył całkowicie improwizując i szybko stali się dobrymi przyjaciółmi. Nawet obecnie Czugacz wiedział bardzo niewiele o swym kompanie, a jeszcze mniej go rozumiał. Lecz w głębi wyczuwali, że łączy ich to samo nastawienie do siebie i innych.

Niemal równocześnie wpadli na pomysł wspólnych występów, a gdy odkryli, że na większości planet ludzie uważają małego smoka za gatunek egzotycznego zwierzęcia, stało się to jeszcze bardziej intratnym zajęciem. Te pomyłki co do pochodzenia smoka wcale tak nie dziwiły, gdy wzięto się pod uwagę, iż większość obywateli Konfederacji nigdy nie opuszczała swych rodzimych planet. Wiedziała bardzo niewiele o zewnętrznym świecie, podobnie jak wszyscy przeciętni ludzie od dawien dawna.

Marquoz drzemał w kajucie, podczas gdy Cygan przechadzał się po pokładzie. Czugacz zbudził się parsknąwszy, a z nozdrzy wydobył mu się obłoczek dymu. Drzwi się rozwarły i kompan smoka wszedł do środka. Nie zgłaszano zastrzeżeń co do obecności zwierzaka na statku — współpodróżni zazwyczaj rozpoznawali jego prawdziwe pochodzenie.

Gadzia powieka rozwarła się i jedno oko obserwowało człowieka.

— No i? Odkryłeś coś, co zdarzyło ci się przegapić na poprzednich trzech tysiącach statków, którymi podróżowaliśmy?

Cygan opadł na koję, westchnął i splunął.

— Gdzie tam. Poszedłem do przedziału pasażerskiego i spotkałem tam jedną z tych superkobiet — no wiesz, tych z ogonem — rozprawiającą o religii. Może powinienem załapać się do jakiejś sekty — kupa forsy i spokojne życie. Kiedyś zresztą naprawdę uzdrowiłem paru ludzi siłą wiary.

Smok otworzył drugie oko.

— Ty? Uzdrowiłeś siłą wiary? — Ponownie parsknął obłokiem dymu, tym razem serdecznie rozbawiony. Cygan lekko przytaknął kudłatą głową.

— Pewnie. Wielka mi rzecz. Omotaj ich tylko porządnie, odśpiewaj parę hymnów, a potem odczyń chorobę. Podstaw jednego czy dwóch swoich w tłumie, aby na początek rozeszła się fama o kilku uzdrowieniach. Jakiś łążęga odwali to za piąta — będzie nieźle, tylko nie płac mu przed zakończeniem całej imprezy. Kto wie? Jeśli uda ci się kogoś uzdrowić na poczekaniu, możesz dorobić się fortuny. Jeśli nie, zawsze możesz powiedzieć, że nie wierzyli dostatecznie mocno. Część tajemniczy udanego interesu: zawsze zwalaj każdą winę na klienta.

— Na serio udało ci się kogoś uzdrowić? — spytał Marquoz sceptycznie, lecz i z pewnym zainteresowaniem.

— Och, jasne, tu i tam, jednego czy dwóch — odparł Cygan poważnie. — Sam umysł może uleczyć wiele dolegliwości, jeśli tylko pacjent naprawdę w to wierzy. Do cholery, ja sam potrafię zatamować krwawienie siłą woli i przestać odczuwać ból, kiedy zechcę. Pamiętasz numer z igłą?

Czugacz przytaknął.

— Do dziś nie mam pojęcia, jak to robisz. Coś musi różnić nasze rasy. Gdy wbijesz mi w ciało igłę, będzie mnie boleć jak wszyscy diabli. Ciągłe czuję ukłucie po szczepionce przeciw Drilom.

Cygan zachichotał.

— Nie, nie sądzę, by miało to coś wspólnego z rasą. Wydaje mi się, że każdy, kto posiada silną wolę może tego dokonać. To po prostu kwestia wewnętrznej dyscypliny.

Marquoz wzruszył ramionami.

— Myśl, co chcesz. Nikt z mojej rasy nie jest w stanie tego zrobić. Moim zdaniem jest w tym coś więcej niż sądzisz. Niektóre rzeczy potrafią robić ludzie, a nieraz i inne rasy, my zaś nie. To tak samo jak wy nie umiecie zionąć dymem i ogniem.

— Niech ci będzie — westchnął Cygan i zmienił temat. — Ta Olimpianka jest naprawdę szalowa. Ma wszystko, co potrzeba kobiecie marzeń, ale jakoś na mnie nie działa. Coś z nią jest nie tak — poza oczywiście końskim ogonem — coś, co nie jest z człowieka. W pewnym sensie wydaje mi się mniej ludzka niż ty, Marą.

Czugacz zaśmiał się.

— Może powinienem się jej przyjrzeć. — Urwał na moment, a potem sapnął cicho. — Ciekawe, czy zapytałaby mnie, czy jestem Nathanem Brazilem?

— Na pewno — odparł wesoło Cygan. — Nie mam pojęcia, co by zrobiła, gdybyś potwierdził. Zwariowana religia. Zastanawia mnie, jak Brazyl to wytrzymał? Biedak pewnie musiał się dobrze zaszyć, by zmylić ich pościg.

Smok rozszerzył z wrażenia oczy.

— Na serio wierzysz, że ktoś taki istnieje?

— Jasne — odparł Cygan. — Spotkałem go parę lat temu, jeszcze zanim ten kult się rozrósł. Cholernie fajny gość. Ciekawe, jak udało się tym obcym pięknościom go omotać.

Nagle Marquoz zamyślił się. W końcu spytał:

— Pewien jesteś, że ktoś taki istnieje? To znaczy, czy tamten gość cię po prostu nie nabierał? Mimo wszystko ten kult liczy sobie już z górą wiek.

— Gdzie tam, to był Brazyl, bez dwóch zdań. Leciałem jego statkiem podobnym do tego frachtowca, tylko że dużo starszym i bardziej hałaśliwym.

Zmarszczył czoło.

— Niech no sobie przypomnę. Nazywał się Stepkin. Nie, inaczej. Chyba Stehekin. Żadnych luksusów, spartańskie kabiny, wszystko w starym stylu, ale ładownie miał niezemskie, a on dbał, by ciągle były pełne. Na licencji pilota widniało nazwisko Brazyl. Był to temat naszych ciągłych żartów. Jeśli wierzyć datom odmłodeń, ten człowiek żył wiecznie. — Urwał na chwilę. — Hm. . . Może właśnie dlatego się nim zainteresowały. Przyciągnęła je legenda, jak sądzę. Najstarszy pilot w czynnej służbie, a nie wyglądał na więcej jak dwadzieścia pięć, trzydzieści. Spotkałem paru pilotów, którzy twierdzili, że ich ojcowie i ojcowie ich ojców też go znali. Niektórzy rodzą się po prostu pod szczęśliwą gwiazdą. Założę się, że ma nieprzeciętną tolerancję na odmładzanie.

Smok pokiwał głową, lecz ciągle nad czymś rozmyślał. Cygan to była żywa kopalnia niespodzianek. Nigdy nikomu nie powiedział, ile tak naprawdę ma lat, a było to już chyba i tak niemożliwe do ustalenia. Faktem jest, że był na niezliczonej liczbie planet i latał równie wielką ilością statków. Przeżył niesamowite rzeczy, lecz nigdy nie narzucał się ze swoimi wspomnieniami — trzeba było zadać właściwe pytanie albo po prostu prowadzić odpowiednią rozmowę.

— Jak ten Brazyl wyglądał? — pytał dalej Marquoz.

Cygan wzruszył ramionami.

— Niski skurczybyk. . . nie mógł ważyć więcej niż sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć kilo, może o głowę ode mnie niższy. Miał długie, czarne włosy i małą bródkę. Lubił nosić krzykliwe, ale wyświechtane ubrania, a palił naprawdę cuchnące cygara. Z zewnątrz twardziel, lecz we wnętrzu czuć było jakąś taką delikatność. Nie chciałem się jednak z nim siłować albo próbować w picciu. Zawsze pełen życia, zdawał się nie brać niczego ani nikogo na poważnie. Lecz za tym krył się wraz z odrobiną delikatności ktoś bardzo trzeźwy — zimny, wyrachowany, rzeczowy umysł i zero emocji. Patrząc na niego nigdy byś tego nie powiedział, ale wierz mi, gdyby przyszło do walki, wolałbym go mieć po swojej stronie.

Marquoz zrozumiał. Mimo że Cygan używał raczej niewyszukanego języka, posiadał niespotykany dar czytania w duszach tak ludzkich, jak i nieludzkich. Czasami Marquozowi wydawało się, iż jego przyjaciel obdarzony jest jakąś nadnaturalną albo przynajmniej mentalną siłą — może empatią. Marquoz ufał jego

sądom co do innych ludzi. Dlaczego miałby nie ufać? Cygan prawie nigdy się nie mylił.

— Ciekawe, co by powiedziała tamta Olimpianka, gdyby usłyszała tę opowieść z twoich ust?

Cygan wyprostował się gwałtownie na koi, sprawiając wrażenie głęboko przeżalonego.

— Jezu! Nigdy w życiu nie odważyłbym się jej tego opowiedzieć! Natychmiast by mnie rąbnięto czymś ciężkim po głowie i przesmuglowano do którejś z ich Świątyń, aby przeprowadzić gruntowne przesłuchanie. Znałem paru gości, którzy na dobre przepadli po bliższym kontakcie z tymi pannami!

Drobna gadzia ręka wystrzeliła zasłaniając smoka w udawanej obronie.

— Dobra, dobra, tak tylko pytałem.

Marquoz roześmiał się.

— Ale już poważnie uważam, że Policja Konfederacyjna powinna się nim bliżej zainteresować. Jeśli rzeczywiście jest takim niebieskim ptakiem, jak twierdzisz, może sam kryć się za tym kultem i robić na nim interes.

Tym razem to Cygan zachichotał ironicznie.

— Niemożliwe! Nie! Jeśli choć trochę się na nim poznałem, to według mnie tak dobrze się zaszył, że żadna policja nie jest w stanie go odnaleźć. A poza tym... znam parę grubych ryb z Konfederacji, które już próbowały zdobyć jego namiary. Nic z tego.

— Chcesz powiedzieć, że nie zostawił za sobą żadnych śladów?

— Coś ty — odparł żywo Cygan. — Każdy zostawia po sobie kilometrowy ogon. Nawet ja mógłbym zostać wytropiony przez komputer dzięki biletom i informacjom w rejestrze pasażerów. Ale nie, takie rzeczy podają jedynie o ludziach zamieszanych w coś, o czym nikt nigdy nie powinien się dowiedzieć. Nie mam pojęcia, w co on mógłby być zamieszany, ale z pewnością nie wyglądał na agenta Konfederacji ani nikogo w tym guście. Niemniej gdzieś przecież musiał kupić swój statek.

— Jednak słyszałeś jakieś plotki? — naciskał Marquoz.

Mężczyzna przytaknął niechętnie.

— Taak. Głównie o tym, że swojego czasu szantażował wszystkich liczących się Radnych. To coś cholernie nieczystego w historii Brazyla. Krąży również mnóstwo opowieści, że zawsze pojawia się tam, gdzie są jakieś kłopoty. Sądzę, że jest operatorem.

W pojęciu Cygana operator to ktoś z kategorii władców, zwierzchników, ktoś kto stoi ponad rządem i dzierży w swojej garści rzeczywistą władzę. Poza wieloma innymi rzeczami Cygana charakteryzowała straszliwa mania prześladowcza.

Marquoz pokiwał głową.

— Każdy, kto potrafi nałożyć nieprzebytą blokadę w całej Konfederacji na dane dotyczące swej przeszłości, jest również w stanie naprawdę dobrze się ukryć, co?

— A w ogóle to dlaczego tak bardzo się nim interesujesz? — zaciekał się człowiek. — Nie znam nikogo, kto by miał o nim naprawdę złe zdanie. Operator czy nie operator — te Olimpijki naprawdę go wielbią. Żal mi tego faceta.

Miniaturowy smok wzruszył ramionami.

— Po prostu jestem ciekaw. Im więcej o nim słyszę, tym bardziej wzrasta moje zaciekawienie. Bóg czy też nie, facet zdaje się mieć mnóstwo rzeczy do ukrycia i mnóstwo szmatek do zacierania śladów. Taki człowiek ma prawo mnie interesować.

Cygan miał właśnie coś odpowiedzieć, gdy ożył pokładowy interkom.

— Uwaga! Uwaga! — dobył się z niego gardłowy głos kapitana. — Drile zaatakowały sąsiedni sektor. Polecono nam zatrzymać się i czekać na dalsze polecenia. A może to potrwać dość długo, więc wprowadzę statek na orbitę wokół Cadabah. Dla zachowania wymogów bezpieczeństwa jestem zmuszony poprosić, by wszyscy pasażerowie opuścili pokład. Gdy minie zagrożenie, będziemy kontynuować podróż. Takie załatwienie sprawy leży w interesie wszystkich. Proszę zgłosić się do wyjścia za dwadzieścia minut jedynie z podręcznym bagażem. Bardzo przepraszamy za te kłopoty.

Głośnik umilkł, lecz wszystko było już wiadome — standardowa procedura w strefie walk. W porcie pasażerowie będą bezpieczniejsi i lepiej obsłużeni, mając pod bokiem urząd celny i imigracyjny, a kapitan będzie mógł poczynić przygotowania do szybkiego startu.

Cygan westchnął i wstał.

— Nie sądziłem, że jesteśmy tak blisko frontu. — Głos miał wyraźnie zabarwiony nutką zaniepokojenia.

— Bo wcale nie byliśmy — odparł Marquoz. — Coś mi się tutaj nie podoba. Wiadomości z frontu nie były rewelacyjne, gdy startowaliśmy, ale gdyby linia walk przesunęła się tak daleko w głąb, to by oznaczało, że jesteśmy w większych opałach, niż sądziłem.

Wojna nie toczyła się zbyt pomyślnie. Drile pozbawione już możliwości pływających z zaskoczenia, zaatakowały całą swą potęgą najsłabsze i najgorzej uzbrojone systemy. Flotylle konfederacyjne oraz okręty wyposażone w broń z arsenału stawiały im czoło i uwikłały się w walkę. Tym razem Drile — cofnięte do defensywy — nie dały się już zaskoczyć nową bronią Konfederacji. Ich jednostki były dużo szybsze i bardziej zwrotne od konfederacyjnych. Arsenał Konfederacji — zgodnie z tym, co głosiły legendy — był po same brzegi wypchany narzędziami zniszczenia o olbrzymiej sile. W tym właśnie tkwił cały problem. Uzbrojenie arsenału stworzone zostało z myślą o niszczeniu słońc i spopielaniu całych pla-

net, a nie o atakowaniu pojedynczych statków czy nawet flot. Przypominało to polowanie na dokuczliwą muchę za pomocą przynajmniej bomby atomowej.

W walce sam na sam Drile miały olbrzymią przewagę. Wyposażone były w broń średniego kalibru, szybkie okręty, a na dodatek miały o niebo lepsze dowództwo. Wygrywały, ponieważ ich główna flota oraz myśliwce były poza zasięgiem nieprzyjaciela. Jedyne niewielka liczebność uniemożliwiła im opanowanie całej Konfederacji w ciągu paru tygodni. Może zajmie im to lata, wiele lat, ale nie było wątpliwości: Konfederacja sromotnie przegrywała. Drile opanowywały kolejne planety w tak zawrotnym tempie, że Konfederacja nie nadążała ich dezintegrować. A przecież niszczenie tych światów nie szkodziło Drilom zbyt mocno.

Gdy szli już w kierunku rufy, Czugacz spytał swego towarzysza.

— Wiesz coś na temat Cadabah? Jest tam coś interesującego?

— Fatalne miejsce — Cygan niemal splunął. — Jeden ze starych Kon Światów, kiedy jeszcze skrót Kon pochodził od Konformistyczne, a nie Konfederacyjne. W zasadzie żyją tam sami farmerzy wyglądający, myślący i działający jednako. Jeden z tych wielkich uli zamieszkałych przez ludzi-owady.

Marquoz westchnął.

— Jednym słowem śmiertelna nuda. Nie ma się co pocieszać.

Komora wyjściowa zapełniła się już współpasażerami.

Olimpianka też tam była. Stała dumnie wyprostowana niczym prawdziwa księżniczka w chlewie, jedynie grubością szat oddzielona od olbrzymiej kloaki.

— Ma taką minę, jakby ktoś na nią nasikał — zauważył Marquoz z pewnym rozbawieniem.

— Chłopie! Już niedługo stanie nam ością w gardle — przepowiedział Cygan. — Kiedy zaczniesz się nudzić, będzie chciała nas wszystkich nawrócić.

Nie mylił się. Zanim prom wylądował w porcie, już rozprawiła z fanatycznym ożywieniem. Jedną rzecz Marquoz musiał jej mimo wszystko oddać. Bez względu na to, jak szalona była jej religia — wierzyła w nią całkowicie. Im bardziej objawiał się jej zapał i gorliwość, tym bardziej skłonny był się zgodzić z Cyganem — jeśli Nathan Brazil istniał naprawdę, to należało mu jedynie współczuć.

Marquoz zastanawiał się tylko, jak długo ta najpilniej strzeżona przez Konfederację oraz Radę informacja pozostanie w tajemnicy, gdy Drile przejdą do zdecydowanego ataku.

Kwangsi

Jak się okazało, Marquoz nie miał najświeższych informacji. Rada składała się z polityków, to fakt, ale byli tam zarówno ludzie światli, jak i głupi. Gdy Drile przeszły do zdecydowanego ataku, członkowie Rady znacząco unosili wzrok do góry, lecz ich decyzje wymuszone zostały przez komputery oraz wojskowych.

Konfederacja przegrywała. Co gorsza, Drile dzięki szybkiej ekspansji zaczęły tworzyć potężne zaplecze produkcyjne na podbitych planetach i wykorzystywać ich zasoby. Mając pod kontrolą wiele ludzkich populacji — choćby i tych zaszczerpionych — Drile dzierżyły w swym ręku ważny atut. Mogły prowadzić badania nad genetyczną zmianą pewnych cech organizmu, tak by uodpornić się na działanie szczepionki. Jeśli tempo ich ekspansji utrzyma się na obecnym poziomie i nie zostanie powstrzymane w ciągu najbliższego roku, to potem będzie już za późno. Rozmnożą się w wielkiej liczbie. Wykorzystując ciała swych wrogów będą produkować okręty i uzbrojenie w swych statkach-fabrykach. Ponadto do tego celu użyją na podbitych światach przemysłu odpowiednio zmodernizowanego do potrzeb zaawansowanej technologii. To również ludzkie ciała będą walczyć przeciw Konfederacji.

Wojna może być skutecznym motorem wynalazczości i postępu technicznego, lecz tym razem nie było czasu na takie rzeczy. Wynalezienie nowej potężnej broni nie miałoby praktycznego znaczenia, skoro nie można było jej wyprodukować i oddać na użytek wojska przed zwycięstwem Drili. Tak więc jedyna nadzieja spoczywała w wynalazkach z przeszłości, wynalazkach zakazanych, wynalazkach uznanych przez minione pokolenia za zbyt niebezpieczne, by ktokolwiek miał do nich dostęp. Wszyscy wiedzieli, że takie projekty istnieją gdzieś w archiwach, lecz nikt nie miał pojęcia, co to może być, jak wygląda i w jaki sposób to znaleźć.

Niemal jednomyślnie Rada uchwaliła udostępnienie archiwów. Pełni entuzjazmu badacze zagłębili się w sterty dokumentów często odkrywając, że nawet materiały potrzebne do zrozumienia zakazanych projektów chroni kolejny zestaw blokad. Wiele projektów nie nadawało się do wykorzystania. Jeszcze większa ich ilość była bezwartościowa, gdyż dotyczyła dziedzin nie związanych z przedmiotem poszukiwań. Ale trzeba przyznać, że niektóre materiały były naprawdę szokujące. Znalaziono kompletny program przetworzenia całej ludzkości — jej

kultury i struktury społecznej — w coś zupełnie obcego, gdzie ziszczały się sny najbardziej obłąkanych. Jednak badaczy pod kątem wojskowym najbardziej interesowała „Encyklopedia szalonego naukowca”. Zaczęli ją przeglądać szukając szybkiego i łatwego sposobu na pokonanie Drili.

Tortoi Kai nie była naukowcem, lecz historykiem szperającym w dokumentach w poszukiwaniu wzmianek o wydarzeniach pieczołowicie przemilczanych w zwykłych rozmowach i skazanych na zapomnienie. Przeszedł ją dreszcz, gdy zdała sobie sprawę, jak olbrzymie połacie przeszłości zostały wykrojone z podręczników przez zespoły historyków, działających pod egidą Rad minionych kadencji. Im głębiej w przeszłość, tym gorsze były tego przykłady. Jak choćby próby całościowych fałszerstw historii poprzez zwyczajne napisanie jej od nowa lub dokonywanie zmian odpowiadających akurat czyimś celom. Nawet wówczas, gdy Tortoi Kai męczyła się odtwarzając przeszłość, całe zespoły ludzi pracowały nad zniekształcaniem teraźniejszości.

Kai była rasowym historykiem: mimo że świat się wokół walił, ona badała nawet niezbyt ważne wątki, zafascynowana ludźmi i wydarzeniami o różnym znaczeniu. Informacje nagle wydobyte na światło dzienne zmieniały cały jej dotychczasowy światopogląd. Wszystko zaczęło się od pewnego faktu, a raczej nazwiska, na które po raz pierwszy natknęła się w dokumencie sprzed 762 lat. Pochodził on z czasów świetności handlarzy gąbką — mrocznego okresu w dziejach Konfederacji, na długo przed odkryciem pierwszej obcej rasy. Im bardziej zagłębiała się w ten okres, tym częściej pojawiało się to nazwisko.

Powszechnie znany był fakt, że ludzkość narodziła się na przepięknym, biało-niebieskim świecie zwanym Ziemią, trzeciej planecie krążącej wokół żółtej gwiazdy typu G. Był to świat nieustannie zwalczających się ideologii, świat gwałtownie rosnącej populacji i równie gwałtownie niknących zasobów. Świat, którego mieszkańcy niemal w ostatniej chwili przed katastrofą wyruszyli w kosmos. Człowiek współczesny tamtym czasom o nazwisku Einstein dowiódł, że nic nie może poruszać się szybciej od światła. Jego teoria obowiązywała nadal, choć już niesamowicie udoskonalona i ulepszona. Lecz znalazł się sposób, by obejść teorię Einsteina. Chodziło o to, aby wydostać się z czterowymiarowej czasoprzestrzeni, w której obowiązywała. Powiedz naukowcom, że coś jest niemożliwe i przedstaw odpowiednie obliczenia, a dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu na tysiąc zgodzi się z tobą. Ten jeden niedowiarek strawi całe życie obmyślając kontrteorię. Dodaj do tego parcie całej ówczesnej społeczności ziemskiej do ekspansji w kosmos, zapewnij temu naukowcowi pieniądze, sprzęt i personel.

Istoty ludzkie uwielbiają łamać wszelkie prawa, w tym i prawa przyrody. Tak więc złamano i zasadę Einsteina — w każdym razie ominięto. Statki poruszały się w prawdzie wolniej niż światło, choć rzeczywiście pokonywały tysiące lat świetlnych. Ekspansja była błyskawiczna. Nigdzie w pobliżu nie znaleziono planet typu ziemskiego, lecz po pięciu latach poszukiwań ekspedycje zwiadowcze odkryły ich

kilkanaście w kierunku jądra galaktyki. Mogły zostać zamieszkane po dokonaniu pewnych zmian przez inżynierów planetarnych. Asteroidy oraz złom kosmiczny zapewniły dostatek odpowiednich surowców.

Ludzie zabrali ze sobą ideologie. Utopiści i dystopiści pragnęli okazać swą przewagę na planetach, gdzie dotąd nie znano zgubnych wpływów tej niezdrowej rywalizacji. Klonowanie, inżynieria genetyczna na skalę całej planety, jeszcze większe manipulacje społeczne... wszystko to stworzyło światy — liczone już niedługo w tysiącach — gdzie rządzą utopiści. Każdy wierzył, że to jego system jest tym właściwym, każdy czuł potrzebę narzucenia tej doskonałości innym.

Ziemia nie była w stanie utrzymać nad wszystkim kontroli. Wyjałowiona z surowców, zależna gospodarczo od kolonii, dzierżyła władzę jedynie dzięki przewadze militarnej. Lecz nowe kolonie rozwinęły własny przemysł w oparciu o rodzime zasoby, a później — po cichu — stworzyły własne maszyny wojenne i wyszkoliły personel. Było to bardzo proste. Większość kolonii odłożyło na później ideologiczne spory i połączyło wysiłki w dążeniu do niezależności. Wspólnie postanowiły uporać się najpierw z flotą ziemską, a następnie z samą Ziemią. Rozmiary zniszczeń — całe planety wypalone na popiół — przeraziły nawet najbardziej bezwzględnych przywódców. Zanosilo się bowiem na to, że w razie uzyskania niepodległości skazani będą na dalsze walki między sobą. Gdy fanatycy zaczęli już wdrażać te obawy w czyn, rozsądniejsi zwyciężyli i powstała Rada Konfederacji Światów — w skrócie Kon. Najcięższe uzbrojenie złożono w arsenale. Sama Rada strzegła go i kontrolowała. Każda technologia, która mogła doprowadzić do przejęcia tej kontroli przez kogoś innego, zostawała natychmiast przekazywana automatycznym fabrykom pracującym dla arsenału i ich komputerowym centrom rejestracji patentów lub też była niszczone. Badania dotyczące zgromadzonej w ten sposób broni obwarowano tyłoma zakazami i nakazami, że aby je w ogóle rozpocząć, należało pozyskać w zasadzie całą Radę. Każda planeta mogła posiadać swój własny, dowolny system społeczny — w te sprawy Rada nie miała prawa ingerować. Jednakże planeta nie mogła narzucać siłą swych przekonań innym. W razie czego Rada dysponowała arsenałem i Policją Konfederacyjną. W zasadzie batalie ideologiczne możliwe były jedynie na rozwijających się światach pogranicza. Ostatnimi wolnymi ptakami, ostatnimi indywidualistami byli ci, którzy przemierzali kosmos, by umożliwić handel między światami, ci, którzy Im służyli oraz mieszkańcy pogranicza.

W trakcie badań układów planetarnych natknięto się na mikroorganizm, który w połączeniu z pewnymi, samymi w sobie zupełnie nieszkodliwymi rodzajami syntetycznej żywności powodował w mózgu potworną mutację. U zarażonego stopniowo zmniejszała się zdolność myślenia, aż w końcu przemieniał się w roślinę niezdolną nawet samodzielnie przyjmować pokarm. Jedynym znanym antidotum był gąbkowaty twór występujący na tym samym świecie, co i zabójczy drobnoustrój. Twór ów zawierał pewną substancję, której procesowi sztucznej

produkcji nie były w stanie opracować nawet najlepsze komputery oraz najtęższe medyczne mózgi.

Rzecz jasna, bezzwłocznie zakazano wstępu na tę planetę, a dostępu broniły automatyczne urządzenia wartownicze. Wszystkie kultury zabójczego drobnoustroju zostały zniszczone i sądzono, że tym samym cały problem przestał istnieć. Jednak kilka hodowli owych mikroorganizmów oraz gąbki, wykorzystywane podczas wcześniejszych badań naukowych, wpadły w ręce pewnej podziemnej organizacji. Wkrótce zaczęła ona stosować je jako duże ułatwienie na drodze do swoich zbrodniczych, dalekosiężnych celów. Organizacja zapoznawała członków grupy rządzącej na danej planecie ze skutkami owej strasznej choroby, demonstrowała osoby zarażone. Posiadała wyłączność na środek, który spowalniał proces degradacji umysłowej — gąbki hodowanej w tajnych laboratoriach. W ten sposób syndykat systematycznie przejmował władzę nad coraz większą liczbą światów.

Przywódca syndykatu wychował się na planecie zwanej Nowa Harmonia. Tamtejsze społeczeństwo żyjące we wspólnotach ukształtowane zostało na drodze inżynierii genetycznej. Przywódca był człowiekiem nie zrodzonym, lecz stworzonym, aby rządzić. Nazywał się Antor Trelig. Był typem prawdziwego zdobywcy — istotą ludzką o wybitnej inteligencji i wspaniałych warunkach fizycznych, lecz całkowicie pozbawioną skrupułów, zasad moralnych oraz innych niepotrzebnych hamulców. Jako członek Rady reprezentujący Nową Harmonię orientował się, kto ma gdzie jakie wpływy. Stopniowo jego przestępcza organizacja przejmowała kontrolę nad kolejnymi światami, dążąc do zdobycia większości w Radzie. Ekspansja Konfederacji została spowolniona, tak aby syndykat Treliga miał czas opanować każdy pograniczny świat, gdy ten tylko do tego „dojrzał”. W ten sposób im wolniejsza była ekspansja, tym łatwiejsze stawało się zdobycie większości w Radzie. Trochę później samozwańczy Imperator nowego Cesarstwa Rzymskiego, rezydujący na luksusowej i doskonale strzeżonej planetoidzie Nowe Pompeje, podjął próbę opanowania całego znanego Wszechświata.

O całej tej historii ani słowem nie wspomiano w książkach historycznych, co z rosnącą zgrozą i zafascynowaniem spostrzegła Tortoi Kai. Wojny, arsenał — owszem. Lecz już zamiast o gąbce pisano o epidemii nieznannej zarazy, na którą lekarstwo wynaleziono około siedemset pięćdziesiąt lat temu. Tanie i proste w dozowaniu antidotum, które zlikwidowało zarazę w ślad za ospą, heinemediną, rakiem i resztą dawnych chorób.

Kai wprost nie mogła ścierpieć takich manipulacji historią. Znów pograżyła się w stosach dokumentów. Odkryła, że Trelig natknął się na badania prowadzone przez nikomu nie znanego naukowca o nazwisku Gilgram Zinder. Pracował on w pewnym, nie rokującym wielkich nadziei instytucie. W jakiś sposób doktorowi Zinderowi udało się dokonać olbrzymiego odkrycia. Na tyle przełomowego, iż Trelig uznał, że dzięki niemu w ciągu paru miesięcy obejmie władzę nad całą Konfederacją. Porwał więc małą córkę Zindera, Nikki, zaczął go szantażować, by

opuścił instytut i na Nowych Pompejach kontynuował badania. Na demonstrację owego odkrycia zaproszono kilku opornych członków Rady. Paru z nich stawiło się osobiście, pozostali przysłali swych agentów lub reprezentantów. Trzy dni później nie tylko oni, lecz również sam Trelig oraz cała planetoida po prostu zniknęli. Nikogo z nich już nigdy więcej nie widziano. Nigdy.

Wszystko to Tortoi Kai zebrała do kupy z tysięcy okruchów informacji. Widocznie tajemniczy eksperyment, wielki pokaz nie powiódł się. Jak to się stało? I co było przyczyną? Co miała przedstawiać owa demonstracja? Trelig nie był głupcem — Zinder coś, gdzieś, jakoś odkrył na pewno. Lecz co to było?

Aby poznać tę tajemnicę, najlepiej było zająć się osobą samego Zindera. Zachowały się jego wczesne badania laboratoryjne oraz teorie, lecz Kai po prostu nic z nich nie rozumiała. Poprosiła więc komputer, aby wyjaśnił je w miarę dostępnym dla każdego przeciętnego człowieka językiem.

Najprościej mówiąc, wyjaśnił komputer, Zinder nie wierzył w absolutność żadnych fizycznych praw. Uważał, że materia oraz energia są stanami nienaturalnymi w przyrodzie. Ich istnienie wymuszał ciąg równań matematycznych. Naturalnym stanem wszechświata jest bezruch, spoczynek lub ewentualnie rozrzedzony „eter” albo forma podstawowej energii. Materia i energia, takie jakimi je znamy, istnieją dzięki przemianie owej pierwotnej, podstawowej energii do postaci zgodnej z obowiązującymi u nas prawami.

Fizyka dobrze znała pojęcie skończoności wszechświata. Nasz kosmos zrodził się z olbrzymiego wybuchu „białej dziury”, która z nieznanых przyczyn powstała między nami a światem alternatywnym. Zinder uważał, iż materia i energia, przedostając się przez ową białą dziurę, przemieniły w jakiś sposób pozostającą w spoczynku pierwotną energię, eter naszego kosmosu. Tak stworzone zostały podwaliny dla wszechświata w formie, jaką obecnie mamy. Ogólnie rzecz biorąc, teoria Zindera pozostawała w zgodzie z doświadczeniami większości jego kolegów poza kwestiami natury eteru oraz pierwotnej energii, na której istnienie nie było żadnego dowodu. Potężne teleskopy wyglądające poza skraj naszego wszechświata nie odkryły dosłownie niczego. Poza tym — oponowali inni naukowcy — jeśli naturalnym stanem wszechświata jest spoczynek, jak utrzymywał Zinder, to w takim razie teraz, po prawie piętnastu miliardach lat, powinniśmy zaobserwować dookoła oznaki powrotu do pierwotnego stanu spoczynku. Póki nie otworzyła się biała dziura, nasz Wszechświat był nicością, próżnią.

Co dziwne, Zinder zgodził się, iż powinny wystąpić oznaki powrotu do stanu spoczynku. Fakt, że takich nie zaobserwowano, nie przekonał go o błędności jego teorii. Był właśnie tym jednym na tysiąc naukowcem, który nie chciał uwierzyć. Zinder argumentował, iż niegdyś powstała energia i materia naszego Wszechświata zostają poddawane swoistemu „zamrażaniu” przez przenikające z zewnątrz prawa fizyczne. Owe prawa przenikały oraz oddziaływały uniemożliwiając „zasklepienie się” białej dziury, jak to powinno się już dawno temu stać. Jaki czynnik

mógłby oddziaływać na obowiązujące u nas prawa fizyki? — pytali kpiąco krytycy tej teorii. Czy Zinder nie sugerował przypadkiem, że istnieje wszechmocny Bóg, który spowodował samo istnienie i przenikanie obcych zasad fizycznych? Metafizyka! — drwili.

Zinder rzeczywiście wierzył w istnienie takiego Boga i sądził, że człowiekiem, który naukowo dowiedzie jego istnienia, będzie on sam. Od czasu do czasu muszą pojawiać się przecież inne białe dziury — z fizycznego punktu widzenia był to wniosek oczywisty. One zasklepiają się. Z jakiego powodu nie zasklepił się otwór po Wielkim Wybuchu?

Poza tym, że Zinder był błyskotliwym naukowcem, był również człowiekiem praktycznym. Jeśli na polu fizyki nie mógł dojść do żadnych rozwiązań, uznał, że warto spróbować z metafizyką. Zaopatrzony w pieniądze przez fundację religijną, do której osobiście czuł dużą niechęć, wynajął laboratorium na Makivie — olbrzymim kompleksie naukowym. Stworzył tam potężny, w pełni świadomy komputer, oparty na zupełnie nowych zasadach działania. Podstawowym celem komputera było wykrycie energii pierwotnej. Miał on również stwierdzić, dlaczego nie można jej zmierzyć ani w żaden sposób zaobserwować. Dalej, jeśli będzie to możliwe, należało wyprowadzić odpowiednie równania dla otaczającej nas rzeczywistości — wyprowadzić je, a następnie zmienić.

Tortoi Kai nie musiała być wcale naukowcem, by zrozumieć implikację tego wszystkiego. Przypuśćmy, jedynie przypuśćmy, że Zinder miał rację. Jeśli każda rzecz może być dogłębnie zanalizowana i sprowadzona do wzoru matematycznego opisującego jej istnienie, to co się stanie, gdy jakaś siła potrafi zmienić ten wzór choć odrobinę...

Taka siła byłaby wówczas Bogiem. Mogłaby tworzyć cokolwiek i kogokolwiek by zapragnęła. Dzięki przemianie każdej materii i energii w dowolną rzecz, mogłaby otrzymać wszystko, cokolwiek by tylko zechciała. Wszystko.

Nagle Kai przypomnieli się Markowianie. Rasa istot zamieszkujących niegdyś całą galaktykę. Rasa, która narodziła się tak dawno temu, że musiała być pierwszą cywilizacją powstałą po Wybuchu. Pozostawili po sobie zagadkowe budowle na światach martwych od milionów lat i ani jednego przedmiotu codziennego użytku. A pod powierzchnią każdej z ich planet kryła się sztucznie stworzona warstwa, gruba na około dwa kilometry, będącą tajemniczym, półorganicznym komputerem o nieznanym przeznaczeniu.

Jeśli Zinder miał rację, to Markowianie po prostu nie potrzebowali żadnych przedmiotów. Żywność, dzieła sztuki, meble — o wszystkim wystarczyło jedynie pomyśleć. Być może to ten olbrzymi komputer spełniał każde ich żądanie.

Zgodnie z dokumentami, Zinder wierzył, że tak właśnie brzmi odpowiedź na zagadkę Markowian. Wysunął nawet hipotezę głoszącą, iż nasze światy powstały dzięki stworzonemu przez Markowian punktowi osobliwemu zupełnie innej natury od istniejących wewnątrz białych i czarnych dziur. Miało to być miejsce, gdzie

tworzyły się i skąd oddziaływały wszystkie prawa przyrody. Mniejsza kopia tego punktu osobliwego, dzięki któremu istnieli sami Markowianie.

Lecz Markowianie dawno już zniknęli. Zinder uważał, że w końcu osiągnęli punkt, w którym złączyli się z Bogiem — stwórcą ich Wszechświata. Sami zostali bogami łącząc się ze swym ojcem.

Prawdziwe czy nie, teorie Zindera wielu przypadły do gustu. Można pominąć warstwę metafizyczną — zastanowiła się Tortoi Kai — ale czy Zinder mylił się co do istoty problemu? Antor Trelig, niedoszły imperator całej galaktyki, uważał, iż Zinder miał rację. Był o tym przekonany dostatecznie mocno, by porwać jego córkę, przenieść badania na swoją ojczystą planetę i zaaranżować demonstrację siły.

Lecz coś poszło nie tak.

Zespół naukowców zajął się tym problemem już po paru godzinach od chwili, gdy Tortoi Kai doniosła o swych odkryciach. Choć odnieśli się bardzo sceptycznie do metafizycznych rozważań Zindera, to z wielkim uznaniem przyjęli jego spojrzenie na ezoteryczną naukę, podziwiali jego geniusz. Podobnie jak Kai zauważyli, iż Trelig wierzył w niego. Ktoś z wysoko postawionych też musiał mu wierzyć, gdyż niestety niekompletne notatki — a nawet sam fakt ich istnienia — zostały ściśle utajnione.

Naukowcy znali już teorie i obliczenia Zindera, lecz nie znali zasady działania jego komputera, którego plany udało mu się jakoś przed wszystkimi ukryć. Nie wiadomo nic o wynikach eksperymentów. Trelig przekonał się o nich na własnej skórze.

Co wydarzyło się na Nowych Pompejach? Właśnie tą zagadką zajęła się Tortoi Kai. Tymczasem zespoły naukowców, wykorzystując swe o ponad siedemset lat większe doświadczenie, usiłowały ustalić, czy doktor Gilgram Zinder naprawdę coś odkrył.

Tortoi Kai ciągle nie czuła się usatysfakcjonowana. Wobec kolejnych wyzwań, piętrzących się na jej drodze, udała się z gnębiącymi ją wątpliwościami do swego starego profesora Wara Billie. Jej dawny wykładowca, sympatyczny, łysy człowieczek, pasujący jak ulał do stereotypu roztargnionego, akademickiego historyka, słuchał uważnie.

— Nie podoba mi się stopień rozdrobnienia i utajnienia tych informacji, profesorze. Zostało to zrobione zbyt dokładnie i kompleksowo — przez kogoś wiedzącego jak wystrychnąć na dudka nawet badacza z dobrym komputerem.

Billie skinął głową, a potem powiedział:

— Człowiek tego pokroju co Trelig właśnie tak by postąpił.

— Nie, to nie Trelig — odparła. — Jak zdążyłam się zorientować, był pod tym względem perfekcjonistą. Gdyby postanowił rzeczywiście zatrzeć tropy, w archiwum nie znalazłabym nawet śladu tych dokumentów. Poza tym nie mógł zrobić tego Trelig, gdyż większość informacji pochodzi z okresu już po jego zniknięciu.

Trudno byłoby mu przeprowadzić taką akcję z za grobu. Nie, jestem przekonana, że gdzieś tam znajdę zakończenie tej historii. Ktoś ważny chciał, by utajniono wszystkie zapisy dotyczące tej sprawy. Były one na tyle ważne i niebezpieczne, iż ów osobnik postarał się o tak staranną robotę, by większość badaczy utknęła w ślepych zaułku. Komputer odmawia podania od razu całkowitych danych. Chcąc wydobyć z niego jakieś informacje, trzeba po prostu zadawać właściwe pytania.

W erze papieru można byłoby do wyszukiwania informacji zatrudnić grupę ludzi. Tortoi Kai mogłaby dostać do swej dyspozycji tysiące ludzi mających za zadanie przekopać się przez wszystkie zapiski i próbować połączyć w całość rozproszone dane. Prawdopodobnie ta sztuka by im się udała. Lecz taki pomysł nie przyszedł jej nawet do głowy. W końcu od czego były komputery.

Profesor Billie, któremu — zresztą z tego samego powodu — nie przyszła również do głowy podobna myśl, zastanowił się. Coś tak dokładnie wymazanego musiało przejść przez Prezydium. Podzielił się tą myślą.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, to także ślepy zaułek. Sprawdziłam w Policji Konfederacyjnej. Mimo że przejrzałam akta dziesięć lat naprzód od czasu całej sprawy, wykorzystując każde znane mi nazwisko, nie znalazłam nic.

Billie nie był człowiekiem naiwnym ani pozbawionym wyobraźni.

— A co... z aktami starszymi niż dziesięć lat? — powoli dobierał słowa.

Wzruszyła ramionami.

— Czy takie poszukiwanie miałoby sens?

Profesor wszakże aż rwał się do działania. Po wielu latach pracy administracyjnej czuł, że znów czeka go zawodowa przygoda.

— Podsumujmy to, co wiemy — podsunął, mówiąc wciąż powoli, w zamyśleniu. — Z twoich badań wynika, że w całej sprawie pozostają jeszcze pewne nie wyjaśnione wątki, które może mogłyby oszczędzić czasu laboratorium, a ludziom ocalić życie. Ale jak powstały te nie wyjaśnione wątki? Znamy całą historię, wszystko co można znaleźć w archiwach, lecz jedynie do chwili eksperymentu! Coś musiało się więc wydarzyć później. Po co w ogóle zatajać teorię i eksperyment zakończony fiaskiem? Bez sensu! Chyba, że eksperyment się powiódł.

Kai zatkanęło.

— Ale... to niemożliwe! Znamy przecież...

— Tylko jedną stronę medalu — przerwał jej Billie. — Chodźmy do komputera i zobaczmy, co jeszcze można by do niego wprowadzić, aby uzupełnić nasze dane.

Billie przeszedł do swej pracowni i zajął miejsce na wyściełanym fotelu przed klawiaturą. Kai stanęła obok.

— Podawaj wolne skojarzenia — polecił.

— Antor Trelig... gąbka... Nowe Pompeje... Nowa Harmonia... Gil Zinder... Nikki Zinder...

Ciągnęła dalej tę tyradę wyrzucając z siebie wszystkie słowa-klucze, jakie tylko przyszły jej do głowy. Każde pojawiało się na ekranie monitora. Następnie profesor zażądał nazwisk członków Rady lub ich pełnomocników, zaproszonych na demonstrację do Treliga. Chciał również wiedzieć, którzy z nich zajmowali równocześnie jakieś stanowiska w Prezydium, a także jakie w ogóle pełnili funkcje.

Przetwarzanie danych zajęło dosłownie parę sekund, lecz sam druk trwał jeszcze parę minut. Oboje skupili się na studiowaniu obszernego wydruku. Wczesnym rankiem następnego dnia, po nie przespanej nocy mieli już na koncie parę interesujących zagadek i kilka nowych śladów.

— Spójrz tutaj. Radna Alaina — oznajmił Billie. — Była Komendantem Policji Konfederacyjnej, kiedy Trelig urządził pokaz doświadczenia. Nie stawiała się tam jednak. Wysłała tylko asystenta. Nieźle się jej poszczęściło — po pewnym czasie została Przewodniczącą Rady! A co sądzisz o tym? — Jego wzrok przeleciał po jedenastu metrach druku i w końcu znieruchomiał. — O tutaj! To właśnie ona ogłosiła światu odkrycie antidotum przeciw zarazie trzynaście lat później. Antidotum przeciw zarazie! Syndykat przestał istnieć. A tu mamy również Treliga, z którym łączyły ją pewne sprawy trzynaście lat wcześniej, gdy był szefem gąbkowego syndykatu. Musiała o tym wiedzieć jako Komendant Policji. A czy istnieją lepsze stanowiska, jeśli chce się coś ukryć?

Urwał na chwilę, lecz w tym czasie Tortoi Kai zdążyła wepchnąć się już między niego a konsolę.

— Proszę o następujący zestaw danych: historia poszukiwań antidotum lub środka odwykowego przeciw gąbce po roku tysiąc dwieście trzydziestym siódmym.

Owa data kończyła wczesny okres badań nad tym problemem. Komputer wyświetlił odpowiedź po wyjątkowo długiej przerwie, lecz potwierdziły się ich wcześniejsze podejrzenia.

W czasie tych trzynastu lat między zniknięciem Antora Treliga, a ogłoszeniem przez panią Prezydent Alainę wiadomości o odkryciu antidotum przeciw gąbce nie prowadzono żadnych badań nad tym problemem. Syndykat stłumił je w zarodku. Lekarstwo pojawiło się bez prowadzenia wcześniej jakichkolwiek badań, dzięki pewnemu potężnemu indywidualnemu uwikłanemu również w zniknięcie Treliga.

Profesor Billie promieniał, choć dopiero teraz zaczynały się prawdziwe kłopoty. Mieli do czynienia z materiałami starannie i przemyślnie ukrytymi. Nim poznają wszystkie odpowiedzi, czeka ich jeszcze długa zabawa z komputerem.

— Gdzie odkryto antidotum przeciw gąbce? — spytała Kai również bardzo podekscytowana.

NIE WIADOMO — Opowiedziała maszyna.

— Kto je odkrył?

KOMPUTER

— Czyj komputer? — spytała Tortoi.

ZINDERA

Dochodzenie szło jak krew z nosa. Całe szczęście, że znali chociaż dość faktów, by zadawać odpowiednie pytania.

— W którym roku odkryto to lekarstwo?

NIE WIADOMO

— Kiedy znalazło się w komputerze Radnej Alainy?

1250

Słyszała jak z tyłu profesor bierze powoli głęboki oddech. Więc wreszcie coś mieli. Komputer Gila Zindera ofiarował tej kobiecie antidotum przeciw gąbce w trzynaście lat po tym, jak został uznany za zniszczony.

— Gdzie obecnie znajduje się komputer Zindera? — spytała Kai.

ZNISZCZONY PRZEZ POLICJĘ KONFEDERACYJNA W 1250. PATRZ RÓWNIEŻ: AKTA POLICJI KONFEDERACYJNEJ Z DNIA 9-2-1250

— Mamy to nareszcie! — wykrzyknął profesor.

Owe akta nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Pewnego dnia, w trzynaście lat po zniknięciu, komputer Zindera oraz planetoida na której został umieszczony, pojawiły się ponownie w tym samym miejscu. Policja Konfederacyjna odebrała wezwanie o pomoc od promu z Nowej Harmonii. Informacja o wszystkim, co tam odkryto, znalazła się natychmiast na biurku ówczesnego Prezydenta — pani Alainy. Bez chwili wahania popędziła na miejsce zdarzenia.

Na pokładzie statku znajdowało się troje obcych nieznanego gatunku oraz jedenaście oszałamiająco pięknych kobiet. Poza włosami i kolorem oczu kobiety te niczym się nie różniły. Dziewięć z nich miało wielkie, zgrabne, końskie ogony.

— Olimpianki! — wykrzyknęła Tortoi Kai.

Co do obcych, to jeden z nich był niebieskoskórym stworem, którego ludzki tors wieńczyła głowa z diablami różkami, a całość wspierała się na dwóch końskich nogach. Drugi przypominał dwa sadzone jajka, smażone w ten sposób, by nie naruszyć żółtek. Ociekał śluzem i w razie potrzeby z worków na szczycie ciała wyciągał długie macki. Trzeci, o którym jedynie coś mgliście napomknięto, wydawał się bledo czerwoną istotą z czystej energii, odzianą w zakapturzony płaszcz, który wszystko szczelnie zakrywał.

Wówczas właśnie pani Prezydent Alaina poznała odpowiedzi na dręczące ją pytania. Podczas pokazu Zinder w ostatniej chwili zdradził Treliga i uruchomił pole stworzone dzięki jego teoriom. Wyrwało ono Nowe Pompeje z naszej rzeczywistości. Lecz całkowicie nieoczekiwanie planetoida ściągnięta została jak magnesem na orbitę dziwnej planety — Świata Studni — zbudowanej z heksagonalnych biosfer. Były one zamieszkałe przez unikalne, dominujące tylko w swym

sześciokącie formy. Komputer sterujący tym światem zmienił wszystkich przybyłych w przedstawicieli którejś z dominujących ras. Zgodnie z tym, co powiedział niebieski satyr, transformacji ulegli: Trelig, asystent Treliga Ben Julin, Zinderowie (ojciec i córka) oraz Mavra Czang — osobista wysłanniczka Alainy. Po wielu latach uwięzienia w Świecie Studni, Czang, błękitny satyr Renard, Ben Julin, Niki Zinder oraz jeszcze paru innych wyostało się z powrotem na Nowe Pompeje, skąd Julin przejął kontrolę nad komputerem. Następnie dawny asystent Treliga przemienił większość osób znajdujących się na planetoidzie w piękne nałożnice. Kosztem życia Czang jej grupie udało się zabić Julina i wyzwolić wykorzystywane kobiety, a następnie przedostać na obszar Konfederacji. Ostatnią rzeczą, jaką znaleziono w komputerze Zindera, było antidotum przeciw gąbce.

— A więc jednak Zinder miał rację — wyszeptał profesor. — Istniał gdzieś rzeczywiście jakiś punkt osobliwy stworzony przez Markowian, który zapewniał trwałość praw przyrody! Świat Studni! Laboratorium bogów!

Tortoi Kai skinęła głową z powagą.

— Miał całkowitą rację. Z dokumentów wynika, iż trójka obcych zawładnęła statkiem, odleciała i jakby rozplynęła się w przestrzeni. Sam okręt po pewnym czasie odnaleziono. Udało im się jakoś wrócić na swe ojczyste światy. Pozostali — dzięki finansowemu wsparciu Alainy — założyli Olympus. Jedenaście superkobiet. Niesamowite! — urwała na chwilę. — Co powiedziałam? Jedenaście super kobiet? Jak się rozmnażały. Przez klonowanie?

Billie wzruszył ramionami.

— Albo Julin zdążył kilka z nich zapłodnić i urodziły samców. Nic dziwnego, że założycielki Olimpusa nazywają Pramatkami!

— To również tłumaczy, przynajmniej częściowo, powstanie ich dziwnej religii — dodała Kai. — Jest w niej ziarno prawdy, lecz poprzez wieki ustnych przekazów bardzo się zniekształciło. W każdym razie wszystko prócz historii o Nathanie Brazila, która prawie na pewno jest nabytkiem z czasów późniejszych.

Profesor skinął głową.

— Tak, jeśli Zinder rzeczywiście się nie mylił, a żywym tego dowodem są Olimpianki, z łatwością można zaakceptować istnienie Boga. Mogły na przykład wyjść na zakupy i spotkać go po drodze. Założę się, że jeśli wprowadzimy nazwisko Nathana Brazila do komputera, znajdziemy coś, co ich ze sobą łączy.

Urwał nagle swą entuzjastyczną tyradę i spojrzał na asystentkę. Miała zatroskany wyraz twarzy.

— Co się dzieje? — spytał. — To przecież dowód, że Zinder miał rację! To oznacza, jak mi się wydaje, koniec Drili.

Przytaknęła posępnie.

— Tak, w rzeczy samej. Ale co potem? Taka potęga w rękach Konfederacji — za pełną zgodą całego społeczeństwa. Co czeka nas samych po odparciu Drili? Pamiętaj, że Policja konfederacyjna zniszczyła Nowe Pompeje, komputer, który

tam się znajdował, a wszystkie akta były pieczołowicie skrywane. Wynika z tego, że lękali się tej potęgi. A ty się nie boisz? Według dokumentów dotyczących Nowych Pompejów, Zinder skonstruował pewne urządzenie w kształcie dysku zdolne przemieniać do woli całe planety! Czy to cię nie przeraża?

Skinął głową.

— Owszem, lecz to samo czynią Drile. Potem... no cóż, jak zwykle będziemy na bieżąco opisywać przebieg całej tej historii i uważnie wypatrywać ciągu dalszego. Jest już za późno, by zapomnieć o naszym odkryciu. Na dobre czy na złe, spuścizna po Gilgramie Zinderze znów do nas wróciła. Jest jak najbardziej realna, jest w zasięgu ręki i nie może zostać na nowo zagrzebana.

Laboratoria Policji Konfederacyjnej, Suba

— Na stanowiska!

Technicy biegiem ruszyli w kierunku tarcz ochronnych. Rozległa się seria dzwonek, która dodała siły komendzie oficera. Następnie czujni kontrolerzy jeszcze raz upewnili się, że wszyscy opuścili strefę zagrożenia.

Naukowcy obserwowali wewnątrz komory eksperymentalnej na ekranach monitorów. Mieli do czynienia z czymś, czego nie pojmowali nawet w najmniejszym stopniu, a nie chcieli ryzykować. Tarcze ochronne oraz pancerze centrum dowodzenia były w stanie wytrzymać wybuch termonuklearny. Centrum posiadało także praktycznie niezniszczalny, niezależny system podtrzymywania życia. Nawet gdyby reszta planetoidy uległa zniszczeniu, to tutejsi mieszkańcy prawdopodobnie by przeżyli.

Wewnątrz komory znajdował się olbrzymi, nieco wklęsły, metalowy dysk. Z jego środka sterczał niewielki pręt. Dysk ów skierowany był prętem w dół, w kierunku innego dysku. Ten nie posiadał jednak żadnych wystających części, lecz tylko lekkie spłaszczenie w części centralnej. W samym środku dolnego dysku ustawiony został plastikowy pojemnik, zawierający dokładnie cztery dziesiąte litra destylowanej wody. Nic poza tym.

Na twarzach mężczyzn w centrum dowodzenia widać było narastające napięcie, gdy operatorzy pochylili się nad swoimi konsolami.

— Na mój znak włączyć dopływ energii! — rozległ się głos kierującego całą operacją. — Teraz!

Strzelił przełącznik. We wnętrzu komory eksperymentalnej górny dysk słabo zamigotał i oblał dziwnym, fioletowym światłem dolną platformę, na której stał pojemnik. Zaraz będzie wiadomo, czy ta próba powiedzie się wreszcie, w przeciwieństwie do setek poprzednich. Jak dotąd nie udało im się nawet wody zagotować.

Najlepsi naukowcy związani z projektem dociekali, w jaki sposób Zinderowi mogły powieść się doświadczenia, skoro używał dokładnie takiego samego zestawu przyrządów co oni. Wykorzystali również jego plany i obliczenia, które pozostawiał.

stawił w swych notatkach. Komputery na Subie zapewniały, że jeśli tylko Zinder się nie mylił, urządzenie powinno działać. Dokumenty historyczne stwierdzały, że miał rację. Dlaczego więc to nie działało?

Nie mieli komputera Zindera — doszli w końcu do wniosku — a plany zginęły wraz z nim na którymś ze światów Markowian. Prawdopodobnie świat ów nie znajdował się w ogóle w naszym wszechświecie, zaś sam komputer został zniszczony w wyniku akcji Policji Konfederacyjnej, która zbombardowała go antymateria.

Gdy zrozumieli istotę problemu, przestał być dla nich zagadką. By dokonać tego, co według Zindera było możliwe i zostało dokonane, komputer musiałby nie tylko zanalizować samą substancję. Powinien również ustalić podstawowe, rządzące nią matematyczne zależności w oparciu o formułę Zindera, aby dostosować tę substancję do reszty Wszechświata. Musiałby również wyizolować zestaw równań, które w pełni opisują tę substancję — w tym wypadku wodę, lecz nie wodę ogólnie, a jedynie tę specyficzną wodę. W grę wchodziły nie tylko podstawowe prawa chemii i fizyki, ale także czas. Sygnał poddaje się sprzężeniu zwrotnemu i substancja powinna przestać po prostu istnieć poza pamięcią komputera. Kolejny sygnał do źródła energii zinderowskiej i substancja tworzy się na nowo. Albo weźmy równania tej substancji i zmieńmy je tak, by otrzymać powiedzmy H_2O_2 . Przy odrobinie pomysłowości i komputerze o wystarczającej mocy sny alchemików stają się rzeczywistością.

Wszystkie dostępne komputery na terenie Konfederacji zostały bezzwłocznie połączone w olbrzymią sieć i zaczęły pracować tylko nad jednym zagadnieniem. Gdy zniknął fioletowy promień Zindera, opisywano, analizowano oraz gromadzono zawartość pojemnika.

— Na mój znak załączyć sprzężenie zwrotne! — oznajmił oficer donośnym głosem. — Teraz!

Strzelił przełącznik. Woda w pojemniku jakby zamigotała i przestała istnieć. Przyrządy nie wykazywały żadnych zmian w komorze. Naukowcy nie tracąc ani chwili udali się do środka.

Pojemnik był istotnie pusty. Nie zostało ani kropli wody, a kubek pozostał chłodny w dotyku.

— W porządku, jak na razie dokonaliśmy tego, co można łatwo zrobić przy użyciu każdej w miarę sprawnej kuchenki mikrofalowej — stwierdził mrukliwie któryś z techników. — Zobaczmy, czy uda wam się to złożyć z powrotem do kupy.

Ponownie uruchomiono odpowiednie procesy, nadano właściwe sygnały oraz zaobserwowano dziwny świetlny efekt. Gdy znów weszli do komory, pojemnik był pełen. Zmierzyli jego zawartość. Dokładnie cztery dziesiąte litra.

Znaleźli więc rozwiązanie. Upajali się nim. Po następnych paru dniach opanowali już całkiem znośnie sztukę transmutacji, posunęli się nawet do dodawania i ujmowania atomów. Ołów w złoto, złoto w żelazo. Ale nic bardziej wymyślnego.

— Ograniczają nas możliwości komputera — wyjaśnił szef projektu. — Dopóki nie uda nam się stworzyć lepszego, to znaczy szybszego i o mniejszych rozmiarach, przeznaczonego wyłącznie do tego typu operacji, tak jak to zrobił Zinder, dopóty będziemy skrępowani. Dajcie nam rok, może dwa, a sądzę, że potrafimy wyczarować wszystko, co tylko zechcecie, lecz nie teraz.

Politycy i wojskowi wzdychali i zgrzytali zębami.

— Nie możemy dać wam roku — odezwał się jeden w imieniu wszystkich. — W najlepszym wypadku macie parę miesięcy.

— W takim razie jest to niewykonalne — odparł naukowiec. — Zaprojektowanie takiego urządzenia pochłania mnóstwo czasu, choć teoretycznie leży to w naszych możliwościach. Jeszcze dłużej trwa sama budowa.

— Zabawę w bogów odłożmy na później — warknął jeden z polityków. — Najpierw musimy doczekać jutra. Więc nie jesteście w stanie zrobić nic, by można było użyć tego urządzenia jako broni?

— Możemy jedynie zbudować ogromny dysk lub układ dysków i wykorzystać go do, powiedzmy, projekcji naszego sprzężenia zwrotnego na daną strukturę atomów. W pewnych ramach, wyznaczonych dostarczoną mocą i rozmiarami dysku, powinniśmy być w stanie zdematerializować poszczególne atomy. Nie będziemy jednak mogli ich już później odtworzyć. Cokolwiek znajdzie się w obrębie takiego pola, przestanie po prostu istnieć.

— Myślałem, że materii i energii nie można tworzyć albo niszczyć, a jedynie zmieniać.

— To prawda z punktu widzenia naszych praw fizyki — przytaknął szef projektu. — Lecz zinderowska rzeczywistość matematyczna nie ma z nimi nic wspólnego. Właściwie my nie tworzymy czy niszczymy, tylko pozwalamy wszechświatowi transmutować atomy i energię z powrotem do stanu spoczynku — eteru i pierwotnej energii. W efekcie tak zwane prawa wszechświata nie działają w obrębie takiego pola.

— Zbudujcie to urządzenie! — polecono.

Nazwano je Spopielaczami Zindera. Prace nad nimi trwały niespełna cztery miesiące. Miesiące okupione wielkimi stratami na rzecz Drili, które nieustannie powiększały swą liczebność, zapasy i zuchwałość. Testowanie odbyło się w bardzo ograniczonym zakresie — urządzenia mogły równie dobrze działać, jak i kompletnie zawieść. Gdyby zawiodły, Konfederacja stanęłaby w obliczu zagłady. Gdyby zaś zadziałały, flota Drili stałaby się jedynie wspomnieniem.

Zbudowano trzy Spopielacze, w tym dwa niemal natychmiast oddano na użytek armii. Strzegły ich niszczyciele planet z arsenału i najlepsze automatyczne urządzenia obronne, jakimi dysponowała Konfederacja. Spopielacze wyposażono w ogromne anteny radarowe, o średnicy ponad piętnastu kilometrów, wykonane z cienkiej, metalicznej substancji. Po ich zwinięciu, Spopielacze były w stanie dotrzymać kroku nawet najszybszym okrętom Konfederacji.

Zgodnie ze swoją doktryną Drile pozwoliły w spokoju zbliżyć się atakującej flotyli. Jednostki konfederacyjne bez problemów przedarły się przez nieprzyjacielski kordon. Dopiero gdy powstała groźba udanego okrążenia, rozpoczął się kontratak.

Parasolowate dyski dawno już zajęły swoje pozycje, jednostki Konfederacji nagle zwolniły, przyjmując atak nieprzyjaciół. Umiejscowienie głównych sił Drili oraz ich centrum dowodzenia było doskonale znane. Drile wyznawały zasadę wydawania rozkazów ze skraju pola bitwy — tak by ich widziano, lecz nie można było osiągnąć. Przesuwali się wraz z linią frontu.

Niesamowicie szybkie, w kształcie igieł okręty Drili zbliżały się do flotyli konfederacyjnej ze wszystkich stron równocześnie. Były gotowe. Oba Spopiela-cze Zindera zostały ustawione do siebie tyłem — każdy omiatał swoje sto osiemdziesiąt stopni. Flotyllę podzielono na dwie równe części i ustawiono obok projektorów.

Jednostki konfederacyjne czekały. Miały nadzieję. Przy prędkości osiągananej przez myśliwce Drili obsługa urządzeń przez ludzi w ogóle nie wchodziła w grę — jedynie komputery mogły zapewnić odpowiedni czas reakcji. Załogom pozostawała obserwacja ekranów, na których widniały zbliżające się okręty Drili. Następnie należało cierpliwie znosić wstrząsy i nieoczekiwane zrywy, kiedy automaty przejmowały obronę. Obsługa projektorów odczuwała pulsujące wibracje, kiedy korzystano z niezwykle krótkich wybuchów zinderowskiego sprzężenia zwrotnego.

Po chwili Drili już nie było. Nie tylko same zniemacka zniknęły, lecz zniknęło dosłownie wszystko w promieniu rażenia dysków. Światło, grawitacja — przestały istnieć. Powoli wokół jednostek konfederacyjnych rozwarła się olbrzymia dziura, w której nie było absolutnie nic — nawet próżni. Naukowcy marszcząc czoła, sprawdzali swe przyrządy.

— To nie powinno się zdarzyć. Urządzenie miało anihilować materię, a nie energię.

Naukowcy rwali włosy z głów, usiłując ustalić, w czym tkwi błąd. Wojskowych nie obchodziła ta sprawa — jednostki wykonały swe zadanie, a urządzenie sprawdziło się na polu walki. Oddziały uderzeniowe przyspieszyły i ruszyły ku nieprzyjacielskiemu centrum dowodzenia. W tym czasie Drile nie tylko kontynuowały kontratak, ale jeszcze go nasiliły. Nie mając najmniejszego pojęcia z czym przyszło im się zmierzyć, nie były w stanie zrozumieć, co to oznaczało na przyszłość.

Jeszcze dziesiątki razy obserwowano niezamierzoną, całkowitą anihilację, nim urządzenia badawcze odkryły, w czym rzecz. Stosunkowo słabe komputery nie potrafiły prawidłowo odróżniać materii od energii i w ten sposób nie można było w pełni kontrolować wiązki fioletu. Zinder zaprojektował to urządzenie jako mające służyć do transmutacji i odtwarzania materii, a nie jako broń dezintegru-

jąca. Bez użycia superkomputera promień działał na ślepo — niszczył wszystko w swoim zasięgu. Wszystko.

— Tworzymy dziurę w strukturze samej czasoprzestrzeni! — wyjaśnił jeden z naukowców. — Dzięki pulsacji pola wyrwa sama się zasklepia, lecz dezintegracja na większą skalę mogłaby przekroczyć zdolności regeneracyjne natury!

— Mózg Markowian mógłby sobie nie poradzić z tak olbrzymią wyrwą — przytaknął drugi. — Dziura pozostałaby otwarta!

Pobiegli do komunikatorów, by ostrzec dowódców wojskowych wydających rozkazy, lecz ich odpowiedź była zupełnie nieoczekiwana.

— Straciliśmy już jedną trzecią obszaru Konfederacji. Stoimy w obliczu pewnej zagłady. To jest jedyna skuteczna broń jaką udało się wam dotąd stworzyć. O ile korzystając z niej możemy zniszczyć się sami, to nie ma wątpliwości, że zginiemy, jeśli jej nie użyjemy. Zaryzykujemy!

Kiedy jednostki Drili przestawały kolejno po prostu istnieć, Odbiornik zrobił to, co na jego miejscu uczyniłaby każda inteligentna istota. Rozkazał pozostałym uciekać, wycofywać się, ile mocy w silnikach. W zasadzie dla większości floty nie stanowiło to problemu, gdyż przewyższali szybkością wszystko, czym dysponowała Konfederacja. Lecz dla ich statku matki, sztucznej planetoidy o średnicy ponad dziesięć tysięcy kilometrów, natychmiastowy lot z taką prędkością był niemożliwy. Co prawda mogłaby osiągnąć wymaganą szybkość, lecz dopiero po rozgrzaniu silników i dokonaniu odpowiednich przygotowań, niezbędnych by zapewnić bezpieczeństwo znajdującym się na pokładzie. To pochłonęłoby jakieś trzy dni. Obecnie statek matka znacznie ustępował szybkością ścigającym go okrętom Konfederacji.

Z uwagi na ograniczone źródła energii skuteczny zasięg Spopielaczy Zindera wynosił niecały rok świetlny. Flotylla zdołała zbliżyć się na jakiś parsek, kiedy ofiara zaczęła się ruszać.

Drile wiedziały, że nie są w stanie uciec Spopielaczom, lecz załoga flotylli konfederacyjnej nie miała tej pewności.

— Uruchomić przedni dysk i wycelować go w statek matkę, chyba że będzie potrzebny do obrony — rozkazał dowódca. Komputery potwierdziły słuszność tej decyzji.

Tuż przed flotyllą konfederacyjną rozwarła się dziura, wyrwa w czasoprzestrzeni. Nie mając wystarczającego doświadczenia, by właściwie zinterpretować skutki działania Spopielaczy, oficerowie spostrzegli nagle ze zdumieniem, że nie widzą swej ofiary po drugiej stronie dziury. Zniknęło nawet światło, a oni pędzili w stronę stworzonej przez siebie wyrwy.

Naukowcy zgromadzeni na pokładach statków wstrzymali oddech.

Coś błysnęło na moment ukazując wszystko jakby w negatywie, a potem nie było już nic, nawet Spopielaczy.

Jednakże dziura nie przestawała powiększać swych rozmiarów. Rozszerzała się we wszystkich kierunkach, pochłaniając wszystko na swej drodze. Statek matka Drili połknięty został, gdy dziura liczyła niecały rok świetlny średnicy. W ciągu kolejnych pięciu dni pożarła dwie gwiazdy wraz z towarzyszącymi układami planetarnymi. I nie przestawała rosnać. A w jej wnętrzu nie było nic.

Gramancz, planeta w galaktyce M 51

Niebiesko-biały kształt Gramancza widniał w dole, gdy prom zbliżał się do niewielkiego i raczej mało pociągającego księżycyca. Gramancz posiadał wiele satelitów. W większości były to usiane kraterami kawałki skał oraz pozbawione atmosfery pustynie. Nie liczyły więcej niż trzy tysiące kilometrów obwodu. Punkt docelowy promu był dużo skromniejszych rozmiarów i różnił się również tym, że stanowił prywatny księżyc. Został specjalnie dostosowany do potrzeb właścicieli i był nie całkiem naturalnego pochodzenia. Wieść głosiła, że niegdysiejsza asteroida została odnowiona tak jak to się robi ze starymi statkami — wyposażona w napęd i ustawiona na orbicie. Z całą pewnością nie stał tam jeszcze nawet od roku.

Zbliżywszy się, z łatwością dostrzegano szczególne cechy. Jedna półkula chroniona była przez rodzaj pola energetycznego, które nadawało jej wygląd pokrytej warstwą mlecznego plastyku. Widać było, że wewnątrz znajduje się dużo zieleni i trochę chmur.

Druga półkula była już trudniejsza do obserwacji, lecz z odpowiednio bliskiej odległości ją również dało się dostrzec. Powierzchnia była dość zryta, ale nie aż tak, jak na innych księżycach. Jedynie wielka misa, której metalowe ożebrowanie lśniło w promieniach słońca, wskazywała, że musi to być strefa napędu kosmicznego.

Gramanczowie byli rasą znającą podróże kosmiczne. Odkrywali wciąż nowe tereny i starali się to robić bezkonfliktowo. Przeżyli jednak również parę ciężkich chwil po spotkaniu na swej drodze kilku obcych cywilizacji kosmicznych. Sami Gramanczowie byli niewysocy, mierzyli zaledwie metr, obrośnięci czarnym futrem, spod którego wystawały jedynie twarze upodabniające ich do miniaturowych lwów lub pekińczyków. Dziwne było u nich to, że chodzili na czterech łapach, a siadali na dwóch tylnych, gdy potrzebowali do czegoś dłoni wyposażonych w chude, delikatne, jakby małpie palce i przeciwstawny kciuk. Przypominali karykaturalne kudłate kangury balansujące na wątych nóżkach i zwiniętym, muskularnym, włochatym ogonie.

Prom gładko wylądował, a pasażerowie poczuli się nieco lżejsi, niż byli w rzeczywistości. Różnica była wystarczająca, by nadać ich krokom sprężystości, lecz nie na tyle duża, aby stwarzać jakiegokolwiek kłopoty.

Ich hostessa, oszałamiająco piękna samica, której ogniście pomarańczowe futro tu i ówdzie poprzetkane było szarością i bielą, powitała ich, gdy wyszli z promu.

— Witam, witam na *Nautilusie*, oznajmiła poważnie. — Jestem Sri Khat, wasza hostessa i jednocześnie zarządczyni tego przybytku. Proszę nie martwić się o bagaż, zostanie dostarczony do państwa pokojów. Bądźcie państwo uprzejmi udać się za mną.

Pomaszerowali ochoczo, razem trzydzieści cztery osoby, zagłębiając się w dziwny świat leżący za niewielkim, zdolnym pomieścić najwyżej dwa statki, terminalem.

Był to świat zielony i piękny. Wszędzie rosła trawa, a po lewej stronie dostrzegli kępy nieznanych drzew. Budynki również były zupełnie odmiennej konstrukcji, lecz cieszyły oko i robiły niemałe wrażenie. Nieznane gatunki ptaków śmigały w powietrzu rześkim i przyjemnym. Kwiaty, te znajome i te obce, rosły dosłownie wszędzie. Tu i ówdzie przemykały małe zwierzątka. Mijali doskonale zadbane ogrody oraz fontanny tryskające kryształowo czystą wodą. Pośród tej sielanki hostessa zatrzymała się, usiadła wygodnie i zwróciła do swojej grupy.

— Witam jeszcze raz na *Nautilusie* — powtórzyła przyjemnym, profesjonalnym tonem doświadczonego pilota wycieczek. — Ten oto świat, jedyny znany owoc współpracy rodzimego kapitału z obcymi, został stworzony jedynie dla waszej wygody i przyjemności. Jest to enklawa wolna od napięć i lęków. Nie krępujcie się, państwo, i chodźcie gdzie się wam tylko podoba. Podziwiajcie nasze pola i lasy, łówcie w naszych strumieniach, możecie nawet popluskąć się w fontannach, jeśli wam to sprawi radość.

Zachichotali, jak to bywa w takich sytuacjach, a ona ciągnęła dalej.

— Sklepy i magazyny są tu jedynie dla was. Nie będą was niepokoić żadni poborcy podatkowi. Udostępniamy programy odchudzające, ośrodki sportowe, restauracje, kluby, ekskluzywne kafejki, a nawet kasyno, żebyście mieli gdzie się rozerwać. Wszystko na *Nautilusie* zostało tak zaprojektowane, by wydawanie pieniędzy było tu czystą radością i byście państwo właśnie tuje wydawali. W każdym gościnnym pokoju znajdują się mapy terenu.

Kosmata dłoń uczyniła ruch, jakby łapała coś w powietrzu — gramancki odpowiednik podniesienia palca. Dostrzegłszy pytanie skinęła na mężczyznę głową.

— Co to znaczy „Nautilus”? — spytał zaciekawiony. — Nigdy dotąd nie słyszałem tego słowa.

Sri Khat złożyła usta w gramanckim uśmiechu odsłaniając zęby.

— „Nautilus” to istotnie słowo obcego pochodzenia — wyjaśniła. — W legendach dawno wymarłej rasy taką nazwę nosił fantastyczny, piracki okręt.

Znów się zaśmiali, wyczuwszy w tych słowach żart. Po wyjeździe stan ich kont będzie dużo niższy.

Następne machnięcie ręką.

— Tak?

— Słyszeliśmy pogłoski, że potraficie dokonywać cudów — wstrzymywać starzenie, leczyć nawet najcięższe przypadłości. Czy to prawda?

— Prawdą jest, iż dysponujemy pewnymi metodami leczniczymi — przyznała hostessa. — Jak już pewnie wiecie, dziennie przyjmujemy mnóstwo poważnie chorych ludzi, by leczyć ich naszymi specjalnymi sposobami, nie pobierając za to żadnej opłaty. Współczynnik uleczalności u takich pacjentów jest całkiem wysoki. Oczywiście wydając pieniądze na *Nautilusie* wspieracie tę działalność. Więc jeśli zostawicie zwitek banknotów w kasynie, możecie mieć przynajmniej świadomość, iż wasza przegrana uratowała komuś innemu życie.

Uwaga ta miło ich polectała. Z pewnością przyczyni się również do zwiększenia obrotów.

— Czy możemy obejrzeć miejsce, gdzie odbywają się te kuracje? — spytał któryś.

Pokiwała przecząco głową.

— Obawiam się, że nie, a to z kilku powodów. Po pierwsze, mamy tu dość ograniczoną przestrzeń, więc zabiegi medyczne wykonywane są wewnątrz tego świata, daleko stąd. Po drugie, nie moglibyśmy zapewnić sterylności środowiska, gdyby oprócz pacjentów i lekarzy ktoś tam się wciąż kręcił. A poza tym, czy spodobałoby się wam, gdybyście, będąc poważnie chorzy, stali się atrakcją turystyczną we własnych szpitalnych łózkach?

Zaakceptowali to tłumaczenie.

Wkrótce znaleźli się w swych pokojach, rozpakowali i spożyli pierwszy wykwinny posiłek.

Sri Khat siedziała wygodnie rozparta w swym prywatnym biurze i przeglądała listę gości. Niezła stawka. Trzech prezydentów korporacji, dwóch przedstawicieli przemysłu ciężkiego z odpowiednimi koneksjami politycznymi plus wiceprezydent. Niczego sobie gromadka.

Interes wymagał delikatności, lecz zapewniał jednocześnie spore dochody. Gramanczowie poszerzali swe terytorium na drodze pokojowej, ale teraz zmieniali taktykę. Zbyt szybko się rozmnażali, zbyt gwałtownie konsumowali. Na ich dziewięciu koloniach zaczynało brakować miejsca — zaczęli więc kalkulować. Istniały rasy dzielące z nimi ten region kosmosu, które przewyższały ich liczebnie pięcio-, a niektóre nawet dziesięciokrotnie. Nie ma wątpliwości, że Gramanczowie bili pozostałych na głowę pod względem rozwoju technicznego, lecz wszyscy musieli konkurować o te same typy planet, więc znajdowali ich dla siebie bardzo niewiele. Kwestia ekspansji lub zagłady, wynikająca jedynie z przykrej prawdy przewyższania kogoś liczbą obywateli, zaprzętała myśli kół rządzących. Parano-

ja ogarnęła umysły, które obrały drogę nieuchronnie zmierzającą do konfliktów i podbojów. Gramanczowie nie chcieli ograniczyć liczby urodzeń, gdyż inne rasy przewyższały ich liczebnie. Już po niedługim czasie nie byli w stanie sprostać bombie demograficznej, której wybuch spowodowała lekkomyślność przywódców.

Obecnie misją *Nautilusa* było przyciągać najbogatszych i najbardziej wpływowych, wykorzystując reputację ekskluzywnego sanatorium, gdzie dokonuje się cudownych, darmowych uleceń. Zmienić ich pogląd na świat, a może da się odpędzić widmo krwawej przyszłości.

Sri Khat ciągle siedziała wygodnie rozparta i wypoczywała, kiedy przez *Nautilusa* przebiegł dreszcz. Chwilowy zanik mocy spowodował migotanie światła i przewracanie się małych przedmiotów. Efekt przypominał łagodne trzęsienie ziemi, lecz takie rzeczy nie miały tutaj przecież prawa się zdarzyć.

Doskoczyła do interkomu.

— Uwaga, cały personel! Przede wszystkim uspokoić gości. Nadzór Techniczny, zobaczyć, czy nie ma jakichś uszkodzeń warstwy zewnętrznej! Wszyscy niech zostaną w pogotowiu!

Gwałtownie przesunęła przełącznik interkomu.

— Obie! Co się tu, u diabła, dzieje?

— Nie... nie wiem dokładnie — odparł drżący tenor. — Wszystko było dobre, aż nagle przeszył mnie straszliwy ból, naprawdę potworny ból! Na chwilę straciłem kontrolę.

— Jesteś maszyną, do cholery! Nie możesz odczuwać bólu!

— Też tak myślałem — odparł olbrzymi komputer, będący sercem *Nautilusa* — lecz to... było straszne! Jeszcze czuję ten ból!

Khat błyskawicznie rozważyła możliwości.

— Jesteś uszkodzony? Czy coś wybuchło?

— Nie, nie, nic z tych rzeczy. Sprawdziłem już wszystkie układy. Źródło jest pochodzenia zewnętrznego.

Wyraźnie się uspokajał. Ile już razy przechodziła przez to samo uspokajając go i kojąc — nie była w stanie myśleć o Obiem jako o „czymś”. Najbardziej skomplikowany komputer na świecie, może poza jednym wyjątkiem, a zachowywał się często jak rozbeczany dzieciak.

Co nie znaczyło, oczywiście, że należy bagatelizować sytuację. Obie przstraszył się jedynie dlatego, że będąc tak olbrzymim komputerem, z tak ogromną władzą, nagle stanął w obliczu czegoś, co wykraczało poza jego doświadczenie. Świadomość, że nie jest się ani tak potężnym, ani tak wszechmogącym, jak podpowiadała wyobraźnia, może każdego pozbawić pewności siebie.

— Jak analizy, Obie? Jaka była przyczyna?

— Nie wiadomo — odparł już znacznie różniej. — Nie było to nic o charakterze lokalnym. W zasadzie nie miało źródła nigdzie w tej galaktyce. Wydaje mi

się... piekielnie się obawiam, że coś mogło się stać z komputerem Świata Studni. Odebrałem dwa impulsy, drugi silniejszy od pierwszego, lecz z różnych kierunków. Jeden mógł pochodzić ze Studni, drugi zaś z sąsiedztwa Drogi Mlecznej. Boję się, że wydarzyło się coś strasznego. Po pierwsze, z uwagi na błyskawiczność efektu mimo dzielącej nas odległości, z góry wykluczającej wszystko z wyjątkiem ingerencji w materię czasoprzestrzeni, w naszą rzeczywistość. Po drugie, gdyż czuję ten ból nadal. Sądzę, że będzie najlepiej, jeśli rzucimy wszystko i zajmujemy się tylko tą sprawą.

Sri Khat przyznała mu rację.

— Nie możemy jednak nikogo zniechęcić ani przestraszyć. Będziemy musieli sfingować jakieś usterki, zwrócić pieniądze i wysłać Gramanczów do domu. Wówczas dopiero zawiadomimy naszych agentów na planecie, że mamy kłopoty techniczne i poddamy całą planetoidę gruntownemu przeglądowi. To powinno pomóc.

— Lecz to wszystko zajmie kilkanaście dni! — zaprotestował Obie.

— Niemniej na naszych barkach spoczywa pewna odpowiedzialność — przypomniała mu. — Więc albo wyślemy ich stąd stopniowo, bez awantur, albo tylko podsycimy paranoję do stopnia, o którym ci się nigdy nawet nie śniło.

Obie wydał bardzo ludzkie westchnienie.

— No cóż, ty tu dowodzisz.

— Załóż się o swój śliczny metalowy zadek, że tak — odparła Mavra Czang.

Na orbicie Świata Studni

Był to dziwny i samotny układ planetarny — nawet Obie nie wiedział, gdzie się dokładnie znajduje. Pozwolił po prostu, by na miejsce przyciągnęły go ogromne pola energii, emitowanej stamtąd na wszystkie strony wszechświata.

Sam układ nie wyróżniał się niczym specjalnym — żółta gwiazda typu G bez jakichś wyjątkowych cech. Może poza tym, że powinna wypalić się już przed milionami lat, a w rzeczywistości jaśniała równym, niezmiennym światłem. Było tam również trochę asteroid i planetoid bez większego znaczenia czy wartości, parę komet i tym podobnego kosmicznego śmiecia. Jedna jedyna planeta obiegała swe słońce po doskonałym okręgu w odległości półtora miliona kilometrów.

Poza doskonałością orbity, sama planeta robiła nadzwyczajne wrażenie. Nie-duża, nie imponowała rozmiarami, lecz, świeciła i błyskała niczym jakaś fantastyczna bombka choinkowa, idealnie kulista, z czarną wstęgą pośrodku. Okres obrotu wokół własnej osi wynosił nieco ponad dwadzieścia osiem godzin, najzupełniej standardowo, bez najmniejszego nachylenia osiowego.

Obie półkule, oddzielone ową ciemną wstęgą, różniły się całkowicie, choć zarówno północna, jak i południowa odbijały słoneczne światło setkami heksagonalnie ustawionych ścianek Niebiesko-białą Półkulę Południową zamieszkiwało siedemset osiemdziesiąt ras opartych na węglu, z których każda miała do dyspozycji swój własny sześcian z odpowiednią biosferą. Północna jarzyła się egzotycznymi barwami i stanowiła dom dla kolejnych siedmiuset osiemdziesięciu ras, tym razem nie opartych na węglu i oddychających najróżniejszymi tajemniczymi gazami, jeśli te istoty w ogóle czymkolwiek oddychały.

W ciągu pierwszych paru miliardów lat, które nastąpiły po stworzeniu wszechświata, tylko jedna rasa osiągnęła stopień rozwoju umożliwiający zdjęcie planetarnych okowów. Oparci na węglu, lecz nie humanoidalni, osiągnęli niemal boskość pośród planet galaktyki. To stan, który nieuchronnie prowadzi ku znudzeniu życiem i stagnacji. Jednak owa rasa w swej mądrości rozpoznała pierwsze niepokojące symptomy. Podczas wspinaczki na szczyt coś poszło nie tak — osiągnęli boskość, lecz wcale ich to nie uszczęśliwiło. Gdzieś kiedyś uczynili fałszywy ruch; ruch którego nie byli w stanie cofnąć i przez to czuli się zawiedzeni. Na tyle zawiedzeni, że postanowili odrzucić wszystko precz i sami rozpocząć akt

kreacji, ale już na zmienionych zasadach i w nowych warunkach. Ten otoczony czarną wstęgą, przypominający plaster miodu świat, Świat Studni, był ich laboratorium. Najlepsi inżynierowie i technicy tworzyli tam nowe rasy oraz biosfery i umożliwiali im rozwój — do pewnego momentu. Następnie przy użyciu potężnego komputera, który krył się pod skorupą planety, tworzyli światy. Tam wielki dramat ewolucji mógł rozgrywać się na nowo, już na zmienionych zasadach i z nową obsadą. Poświęcając dosłownie duszę i ciało temu projektowi, sami stwórcy stali się obiektem swej kreacji. Porzucili nieśmiertelność i boskość w nadziei, że ich następcy, zupełnie obcy i nieświadomi przeszłości, osiągną wielkość, z którą rozminęli się ich stwórcy.

Ponad siedemset lat przed pojawieniem się pierwszego Drila na Parkatinie, Obie zdradził Antora Treliga podczas eksperymentu na Nowych Pompejach. Komputer sądził, że wszyscy tam obecni zginą, lecz okazało się, iż Studnia Dusz, olbrzymi markowiański komputer, który utrzymywał i monitorował rzeczywistość, ściągnął ich do Świata Studni.

— To było dawno temu — odezwał się Obie.

Mavra Czang, jakby nieobecna, skinęła głową.

— Dawno temu — powtórzyła.

Milczeli przez chwilę rozmyślając, rozpamiętując doświadczenia minionych stuleci.

W swej obecnej, prawdziwej, ludzkiej postaci Mavra Czang była drobna i szczupła, z sylwetki przypominała mistrzynię w gimnastyce artystycznej. Jej twarz miała egzotyczne, orientalne rysy. Długie, czarne włosy spływały po plecach. Mimo swych przeszło siedmiuset pięćdziesięciu lat, wyglądała na około dwadzieścia. Obie sprawował całkowitą władzę nad równaniami rzeczywistości, choć była to władza o ograniczonym zasięgu. Olbrzymi komputer dawał sobie bez trudu radę z zagadnieniami, które przerastały Konfederację, choć pod względem mocy obliczeniowej i stopnia skomplikowania dużo mu jeszcze brakowało do Studni Dusz.

— Trafieś na coś? — spytała w końcu przerywając ciszę wspomnień.

— Nie, na nic — odparł Obie. — Odebrałem sygnał subtelnych drgań sejsmicznych, lecz nie jest to nic groźnego. Kontroluję przekazy wiadomości między najróżniejszymi wysoko rozwiniętymi rasami, ale wszystko wydaje się być w najlepszym porządku. Życie na Świecie Studni toczy się bez zakłóceń.

Twórcy Świata Studni nałożyli na sześciokątne ekosfery pewne limity technologicznych możliwości, by symulować trudności, w obliczu których mogłaby stanąć dana rasa na przyszłej „ojczystej” planecie. Niektóre gatunki były w stanie wykorzystywać wszelkie źródła energii. Inne ograniczone zostały do prochu i elektryczności. Istniały sześciokąty, w których nie działały żadne urządzenia napędzane czymś innym niż siłą mięśni. Ten, zdawałoby się przypadkowy system, odgrywał również ważną rolę w razie konfliktów. Wysoko rozwinięta cywilizacja

techniczna mogłaby okazać się bezsilna w nietechnologicznym heksie, którego armia składałaby się z rycerzy i łuczników. Podobnie zresztą słabo rozwinięty technicznie albo wręcz nietechnologiczny heks nie byłby w stanie napaść na inny, dysponujący bardziej wymyślną bronią.

— Obie... to nie główny komputer utrzymuje odpowiednie warunki na Świecie Studni, prawda?

— Zgadza się. Ale mimo wszystko coś musi dostarczać energii tej wielkiej maszynerii. Wszystkie przesłanki świadczą, że komputer Świata Studni znajduje się w doskonałym stanie. To oznacza, że to główny komputer — ten, który warunkuje Istnienie moje, twoje oraz całej reszty — stanowi problem. Czuję nieciągłość, błędność, ale, rozumiesz, nie mogę zdobyć się na odwagę, by nawiązać kontakt ze Studnią.

Istotnie, rozumiała. Dawno temu, kiedy trafili tu po raz pierwszy, Obie połączył się z głównym komputerem i utwierdził, że nie jest już w stanie przerwać połączenia.

— Moje wstępne analizy — ciągnął Obie — oparte jedynie na monitorowanym przeze mnie wyjściu energii, mówią, że stało się coś strasznego. Jak wiesz, energia, która utrzymuje w mocy prawa natury naszego Wszechświata, pochodzi ze Świata Studni i zazwyczaj jej przepływ odbywa się tylko w jedną stronę. Nie tym razem jednakże. Wykryłem olbrzymie sprzężenie zwrotne, wdzierające się do wnętrza komputera Studni. Studnia usiłuje to jakoś skompensować, lecz nie wydaje się być do tego zdolna.

Zabrzmiało to złowieszczo.

— Jak myślisz, co się stało?

— Trudno powiedzieć. Wnioskując po skutkach przypuszczam, że ktoś odkrył te same prawa, co niegdyś Zinder. Zbudował ogromny dysk — co jest głupotą, jeśli nie wiadomo dokładnie, z czym ma się do czynienia — a następnie użył go w nieprawidłowy sposób. Spowodowało to sprzężenie zwrotne, które uszkodziło Studnię Dusz. A natężenie energii sprzężenia wciąż rośnie.

Mavra poczuła mdłości w okolicach żołądka.

— Obie, ten komputer to wszystko, co dzieli nas od całkowitej zagłady. Da sobie radę z tym problemem czy nie?

— Nie będę wiedział, póki nie stwierdzimy przyczyny. Sądząc jednak po ciągłym wzroście energii, jaki zaobserwowałem mówię: nie. Mavro, komputer Świata Studni może zlikwidować nawet istnienie białej dziury! Co takiego się stało, że teraz jest bezsilny?

— Sprawdźmy sami — zaproponowała. — Prześledźmy bieg sprzężenia zwrotnego aż do źródła, lecz nie zbliżajmy się zanadto. Nie chcemy przecież dać się zabić.

— Będę ostrożny — obiecał Obie. Zaraz potem rozjarzył się wielki dysk umieszczony pod spodem, oblał fioletową poświatą całą planetoidę i zniknęli.

Dolgritu

— Denerwują mnie te wszystkie kulty — stwierdził Cygan z niechęcią w głosie.

Marquoz milczał obserwując olbrzymi centralny plac miasta zapchany po brzegi milionami — jak się zdawało — ludzi. Jedynie dzięki swojemu dziwnemu wyglądowi i ognistemu oddechowi nie został dotąd stratowany przez tłum.

— I pomyśleć, że jeszcze parę miesięcy temu był to nieliczący się kult dla świrusów z paroma wyznawcami — ciągnął Cygan. — Trudno uwierzyć.

Zgromadzenie Studni rzeczywiście rozrosło się — stanowiło obecnie najliczniejszą religię w całej Konfederacji. W tej chwili głównym problemem było uporanie się jakoś ze skutkami tej niespodziewanej akceptacji i sukcesu. Zgromadzenie nie było w stanie „przetrawić” takiej liczby nowych wiernych, a ciągle napływali następni, jeszcze zagorzalsi w chęci dołączenia. I przyłączali się nie zważając na nic.

Spopielacze Zindera były zbyt doniosłym odkryciem, by one same czy źródło ich pochodzenia mogły pozostać zbyt długo w ukryciu. Kiedy Tortoi Kai wygłosiła wykład na temat dziejów wynalazku Zindera, natury Markowian, pochodzenia Olimpierek, a tym bardziej gdy wymieniła nazwę Studnia Dusz, wszystko to zdawało się potwierdzać głoszone przez Zgromadzenie dogmaty. Jednocześnie ludzie zdali sobie sprawę, że zgłodniały olbrzym rozrasta się w kosmosie, a Konfederacja nie jest w stanie go powstrzymać. Nadzieja na odnalezienie boga — którego istnienie potwierdzały obliczenia Zindera — aby pomógł uratować ludzkość, stała się kolejnym bodźcem zjednującym Olimpiankom nowych wyznawców. Nawet rasy niehumanoidalne zdawały się okazywać niejakie zainteresowanie, choć uparcie przeczyły, jakoby bóg, zgodnie z dogmatami kultu, mógł przybrać postać człowieka.

Tak więc straszne mrowie różnych istot szukało obecnie Nathana Brazila. Jeśli istniał w rzeczywistości, tak jak twierdził Cygan, to Marquoz miał tylko nadzieję, że dobrze się ukrył.

Marquoz i Cygan nie przyszli, aby podziwiać ceremonię ani wysłuchiwać przemówień, lecz aby spotkać się z Wielebną Kapłanką wygłaszającą kazanie do tłumu. Olimpianka rozpoczęła wstępne rokowania z Radą co do świeżo odtajnio-

nych archiwów komputerowych. Marquoz chciał w rozmowie poruszyć z nią ten temat.

Rada była także zaniepokojona.

Cygan wydawał się mocno poruszony rozmiarami tłumu. Spoglądał nań z niedowierzaniem i podziwem.

— Co za ścisk — wyszeptał. — Co za piekielny ścisk.

Czugacz sprawiał wrażenie szczerze rozbawionego.

— Czemu się dziwisz? W ciągu całej historii twojej rasy żadna siła nie zgromadziła więcej pieniędzy i nie zabiła więcej ludzi niż religia. Ten kult mimo całej maskarady pracuje na niechlubną reputację nawet usilniej niż poprzednicy. Kiedy prawdziwa natura boga staje się przedmiotem poważnego sporu dwóch tuzinów twardegłowych astrofizyków, jest to rzeczywiście sprawa godna uwagi.

Cygan roześmiał się.

— Więc jak masz zamiar przepchać się przez ten tłum? Przedostanie się w pobliże Auli może zabrać nam z powodzeniem jakiś rok.

— W jednej z waszych religii istnieje opowieść o uciekinierach przypartych do morza przez znenawidzoną armię. W samą porę morze rozstępuje się. Zróbmy tak samo.

Smok odczepił flaszkę wiszącą u paska, wypił ją do dna i odwiesił z powrotem. Następnie złożył swe usta w owal, zaczerpnął tchu i powoli wypuścił powietrze. Dał się poczuć zapach siarki i buchnął płomień. Marquoz wraz z Cyganem przy boku nie mieli absolutnie żadnych problemów z przedostaniem się przez tłum.

Cięższą przeprawę zgotowała im horda Akolitów strzegąca wejścia na schody wiodące do Auli, skąd Wielebna Kapłanka miała wygłosić kazanie do zgromadzonych. Ich głuszaki i srogie miny sugerowały, że nie przestraszą się małego miotacza ognia.

Cygan spoglądał nerwowo na strażników onieśmielony zarówno ich warunkami fizycznymi, jak i liczebnością. Za to Marquoz wybrał po prostu największego, najtęższego, najpaskudniej wyglądającego z całej gromady i podszedł do niego zdecydowanie. Głuszak uniósł się nieco.

— Nie ma przejścia! — oznajmił Akolita najgrubszym głosem, jaki Cygan dotąd słyszał. Wierzył mu bez zastrzeżeń.

— Usuń się, człowieku — rzekł na to Marquoz głosem niewiele ustępującym tamtemu tubalności. — Jesteśmy przedstawicielami Rady Konfederacji.

— Nie ma przejścia — powtórzył strażnik i w ramach perswazji uniósł jeszcze wyżej swój głuszak. Wnioskując z tego Cygan nabrał przekonania, że tamten aż pali się, by z niego skorzystać. Być może nawet w bardziej drastyczny sposób niż przewidział to projektant urządzenia. Nie miał wątpliwości, że osobnik nie zawahałby się użyć go jako pałki do rozbijania głów.

— Czy nie mówiłem już, że jesteśmy z Rady Konfederacji? — powtórzył cierpliwie Marquoz. — Reprezentuję Policję Konfederacyjną i każda próba przeszkadzania mi w wykonywaniu obowiązków służbowych grozi karą śmierci.

Na wielkoludzie nie zrobiło to większego wrażenia.

— Nie ma przejścia. Nawet Konfederacja nie stoi ponad wolą boską — dodał jeszcze.

Cygan poczuł się trochę lepiej stwierdziwszy, że mężczyzna zna nie tylko tamte trzy słowa. Gdyby okazało się, iż władza jeszcze paroma dalszymi, można by się próbować jakoś dogadać.

— Wasza pani posłała po mnie — nie ustępował Marquoz. — Zgromadzenie szuka u nas pomocy w sprawie zapewnienia ochrony waszej misji. Byliśmy na tyle uprzejmi, że wyraziliśmy zgodę na rozmowy i Kapłanka wyznaczyła właśnie tutaj miejsce spotkania. Wynika więc z tego, że to wy chcecie czegoś od nas, a nie na odwrót. Możesz zatem albo nas przepuścić, albo zawiadomić waszą panią, lub też wysłać nas do domu. Nie omieszkamy natychmiast zawiadomić, kto nie dopuścił do tego spotkania. Twój wybór. Za dziesięć sekund już mnie tu nie ma.

Mały smok popełnił jednak błąd taktyczny. Strażnik miał do wyboru trzy możliwości — o jedną za dużo. Wyglądał na zaskoczonego próbując rozwikłać problem, który go przerastał. W końcu wybrnął jakoś, lecz z powrotem zasłonił się rozkazami.

— Nie powiedziano mi nic o żadnym spotkaniu i zakazano wpuszczać kogokolwiek — odparł.

— Nawet Nathana Brazila? — wypalił Marquoz.

Strażnik zamrugął.

— Ależ... oczywiście gdyby sam Bóg...

Marquoz nie zamierzał dać mu dokończyć.

— Wprawdzie rozkazy były jednoznaczne: nie ma przejścia, a z całą pewnością nie uprzedzono cię, byś oczekiwał dziś Nathana Brazila, to jednak przepuściłbyś go. Albo więc robisz wyjątki, albo ich nie robisz. Jeśli nie, zagroziłbyś drogę nawet Brazilowi. Tak więc proszę, wpuść nas bo mamy pilną sprawę.

Tego było już za wiele dla strażnika. Odwrócił się w stronę młodszego, nieco słabiej zbudowanego Akolity.

— Bracie, powiedz Kapłance, że stoi tu wielki jaszczur, który twierdzi, że jest policjantem i chce się z nią widzieć.

Brat skinął głową, zrobił w tył zwrot i odszedł. Marquoz sięgnął pod kamiżelkę i wy dobył stamtąd srebrną, inkrustowaną cygarnicę z ornamentem jak na dawnych tarczach herbowych. Wyciągnął z niej jedno cygaro i zapalił na swój zwykły sposób. Strażnik zamrugął z wrażenia. Marquoz uśmiechnął się szczerząc garnitur paskudnie wyglądających kłów i wyciągnął ku niemu cygarnicę.

— Chcesz jedno? — spytał uprzejmie.

Strażnik w dalszym ciągu wyglądał jak zahipnotyzowany, więc Czugacz wzruszył ramionami, schował cygarnicę i usiadł na wielkim, podkulonym ogonie, by chwilę poczekać. Cygan odwrócił wzrok i zaczął obserwować tłum.

W końcu wysłany Akolita powrócił i szeptał przez chwilę do wielkoluda oraz paru innych strażników. Wreszcie pofatygował się do nich.

— Wielebna Kapłanka zobaczy się z wami — oznajmił — lecz nie prędzej jak po nabożeństwie, które ma się rozpocząć lada moment. Proszę poczekać, aż się skończy.

Marquoz westchnął.

— Jak długo potrwa to nabożeństwo?

— Zwykle trwają dwie godziny — odrzekł Akolita. — Napełniają wielkim duchem, a dzisiejsze z pomocą tak wielkiego tłumu powinno być przeżyciem zdolnym poruszać góry. — Jego oczy zalsniły. — Wiecie, byłem z nimi od samego początku — dodał z dumą.

Smok prychnął i zwrócił się do Cygana.

— Ciekawe, czy w tej dziurze jest o tej porze jeszcze jakieś miejsce, gdzie serwują drinki?

Cygan wzruszył ramionami.

— Pewnie nie, ale gra jest warta świeczki.

— Wrócimy tu jeszcze — obiecał Marquoz. — Za dwie godziny albo coś koło tego.

Okazało się, że istotnie znaleźli otwarty bar. Właściciel był zdeklarowanym materialistą. Ciągłe naprzykrzał się dwóm jedynym klientom opowieściami, jako by kult był znową klasą rządzących w celu skuteczniejszego wyzysku mas.

Mimo niesmaku, jakim napawały mało logiczne wywody barmana, smok-gliniarz oraz jego tajemniczy przyjaciel pozostali w knajpie jeszcze dobre pół godziny od momentu, gdy dostrzegli pierwsze grupki opuszczające plac. Wreszcie Marquoz wstał i ruszył do drzwi.

— No cóż, pora się przekonać, czy komuś, kto pragnie od kogoś przysługi, a potem każe na siebie czekać, spodoba się podobne traktowanie — oznajmił ze śmiechem.

Barman przerwał swoją tyradę.

— Hej! Wy dwaj, czekajcie tylko! Jesteście mi winni za drinki! Cygan odwrócił się z uśmiechem.

— Słucham? Pan mnie zaskakuje, sir. Żeby tak wyzyskiwać masy w imię czegoś równie powszedniego i niesmacznego jak pieniądze. Źródło wszelkiego zła, wie pan.

— Co wy? Banda anarchistów? — sapnął barman i sięgnął pod kontuar. — Płacie albo zablokuję drzwi i poczekamy na gliny.

Czugacz przystanął, sięgnął pod kamizelkę i wyciągnął legitymację służbową.

— Ależ, drogi panie, ja właśnie jestem z policji — wyjaśnił.

Byli już na zewnątrz, nim barman zdecydował się ostatecznie, czy warto podjąć ryzyko.

Wielebna Kapłanka była tak wściekła, że nawet mimo usilnych starań, by zachować spokój, jej postawa zdradzała wewnętrzną furję.

— Mielicie stawić się tu już dawno temu — rzekła oskarżycielskim tonem, niczym królowa strofująca pospólstwo. Adresatem tego powitania był Cygan.

Marquoz pozwolił jej jeszcze na chwilę oskarżeń, a godny szczerego pozwłowania Cygan musiał tego wszystkiego wysłuchiwać. W tym czasie mały smok przyjrzał się Kapłance uważnie. Niemal niemożliwością było stwierdzić z całą pewnością, czy jest to ta sama kobieta, którą spotkali na frachtowcu. Wyglądała identycznie i w każdym razie byłaby doskonałą kopią. W końcu zdecydował, że nie mogli się dotąd spotkać. Oryginał nie pomyliłby Cygana z nim samym.

Wreszcie gdy przerwała na moment tyradę, włączył się.

— Obywatelko Jua, jeśli skończyłaś już strofować mojego przyjaciela, który skądinąd nie ma nic wspólnego z rządem, byłbym niezwykle rad mogąc podjąć natychmiast temat.

Olimpianka drgnęła w pierwszej chwili zaskoczona, a później zakłopotana niespodziewanym wtrąceniem. Nie samą pomyłką, lecz raczej faktem, że została na niej przyłapaną. W końcu zaczęła ponownie swą perorę, tym razem już do właściwego adresata.

— Jak śmiesz w ten sposób się do mnie odzywać? — wybuchnęła i wszystko wskazywało na to, że Cygan oraz Marquoz zostaną uraczeni powtórką wstępnej przemowy.

— Zamknij się i siadaj — uciął jej natychmiast Marquoz.

— Co takiego?

— Powiedziałem, żebyś się zamknęła i usiadła. To ty musisz wyrzucić na mnie dobre wrażenie, a nie na odwrót. Dla kapłanki i całej reszty nie jestem w tym momencie skromnym policjantem czy obywatelem Konfederacji, czy nawet Czugaczem — jestem Radą i Konfederacją! Mój czas jest na wagę złota, a został już przez twoją głupotę w dostatecznej ilości zmarnowany. Masz dziesięć sekund, aby się wyrzeczść, wykrzyczeć czy na jakie tam jeszcze idiotyzmy masz ochotę. Potem wychodzę stąd, chyba że zaczniemy rozmawiać rozsądnie.

Czterech Akolitów, mających pecha pełnić służbę w zasięgu głosu, zapłaciło za to przewinienie czyszczeniem mózgu. Co do Juy, to nie odzywano się jeszcze do niej dotąd tak obcesowo. Jej rasa została stworzona, by rządzić i dbać przede wszystkim o własną przyszłość. Nawet z zewnątrz była przekonywana o własnej wrodzonej wyższości nad innymi ludźmi. Stwierdziła, że innych łatwo ogłupić i później nimi sterować — co, rzecz jasna, czyniło Marquoza idealnym kandydatem do tej szczególnej misji.

Czugacz przypatrując się uważnie udawanej pogardzie Juy wyjął cygaro i zapalił.

Cygan, który był empatą, wyczuwał wściekłość, furię oraz zaskoczenie kołtujące się w Olimpiance i z podziwem obserwował, jak szybko odzyskała zimną krew. Przeknęła upokorzenie i odezwała się zupełnie opanowanym głosem:

— Bardzo dobrze, sir. Porozmawiamy jak równy z równym.

W jej wyobrażeniu był to poważny kompromis, lecz nie odpowiadał oczekiwaniom Marquozza.

— Och nie, madam, nie jesteśmy sobie równi. Reprezentuję czternaście ras żyjących na ponad tysiącu światów. Reprezentuję rzeczywistą siłę; siłę, którą wy odtrąciliście. Wasze miejsce w Radzie zawsze świeci pustką. Inaczej w ogóle nie doszłoby do tego spotkania. Wasza planeta jest darem Rady, a pieniądze, dzięki którym się rozwinęła, pochodziły od ówczesnego Prezydenta. Obecnie, podobnie jak wiele innych planet, oczekujecie wsparcia rządowego, choć sami nie macie zamiaru nic z siebie dać. Ja jestem Konfederacją, madam — spróbuj mnie przekonać. Wyjaśnij przede wszystkim, czego oczekujesz oraz dlaczego miałbym ci to coś ofiarować.

Cyganowi wydawało się, że kobieta siedzi na rozżarzonych węglach. Wiedział, że gdyby było to w jej mocy, spopieliłaby ich spojrzeniem. To, co powiedział Marquoz, było istotnie prawdą i dlatego najdotkliwiej paliło.

— Bardzo dobrze, sir. W wyniku obecnej wojny archiwa komputerowe zostały odblokowane. Wiem, że arsenałem już się zajęto i skoro blokady na archiwach są czasowo zdjęte, chcielibyśmy wykorzystać je, by wypełnić posłannictwo naszej religii i ukończyć nasze życiowe dzieło.

Marquoz pokiwał w zamyśleniu głową, zaciągnął się cygarem i wydmuchał w jej kierunku krążek dymu.

— W porządku. Sądzicie, że natkniecie się tam na Nathana Brazila. Powiedzmy, że macie słuszność. Ale z jakiej racji mielibyśmy wam na to pozwolić? Brazil jest obywatelem Konfederacji i jeśli postanowił się ukryć, to nie nasz interes. Nas on nie obchodzi. Jestem przekonany, że osobiście nie chciałbym być poszukiwany przez hordy ludzi wbrew mojej woli.

— Och, ależ On chce zostać odnaleziony! — zaprotestowała, a ogień fanatyzmu zastąpił gniew. — Jest przecież Bogiem, nie rozumiecie tego? Celem wszystkich ludzi jest odnalezienie prawdziwego imienia Boga. To imię już poznaliśmy, a teraz musimy odszukać Jego samego. Jeśli nam się uda, będzie nam dany Raj!

Marquoz usiadł na podwiniętym ogonie i kołysał się nieznacznie.

— Ale dostrzegasz, mam nadzieję, naszą sytuację. Jesteście jedną spośród dziesiątek tysięcy innych religii. Co więcej, jesteście ludzką religią zamkniętą rasowo. Istnieje nieprzeliczone mrowie miliardów systemów słonecznych, dziesiątki tysięcy galaktyk zawierających niemal nieskończoną liczbę planet. To wszystko jest zamieszkałe przez każdą rasę, jaką tylko potrafisz sobie wyobrazić, oraz mnóstwo innych, których istnienia nikt nie podejrzewa. Konfederacja nie jest anty religijna, lecz niereligijna. Nie znamy sposobu na odróżnienie prawdy od fałszu,

rzeczy realnej od nierealnej, wyższości duchowej od przesądu i szalbierstwa. Nawet nie próbujemy. Rozważ proszę, madam, skutki takiego precedensu! Jeśli pozwolimy choć jednemu wyznaniu na dostęp do tajnych dokumentów, to wówczas, no cóż, po co w ogóle je utajniać?

— Ale przecież my chcemy znaleźć tylko jedną rzecz! — niemal krzyknęła.

Mały smok wzruszył ramionami.

— Ten facet, Brazil, ma te same prawa co wy. Konfederacja sądzi, że postanowił, ze względu na swoje wcześniejsze poczynania i przydatność do celów raczej politycznej natury, pozostać w cieniu. Czy poza racjami wiary jesteś w stanie przedstawić jakieś powody, dla których Konfederacja powinna wyrazić zgodę na poszukiwania w archiwach?

— Poza racjami... — wybuchnęła Jua i urwała. Zrozumiała, że właśnie tu tkwił cały problem. Dla tego stworzenia jej wiara była niczym, jakie więc argumenty mogła wysunąć? Żałowała teraz, że się lepiej do tego spotkania nie przygotowała, że nie przysłano tu kogoś starszego i mądrzejszego, że nie mogła skonsultować się z Jej Świątobliwością. Ale nie, przecież zajmowała dość dogodną oraz ważną pozycję. Próbowano ją zlekceważyć i postanowiła podjąć wyzwanie.

Nagle wtrącił się Cygan.

— Ktoś tu jeszcze jest poza nami.

Wdzięczna za chwilę oddechu, Kapłanka odezwała się machając niedbale ręką:

— Wszędzie dookoła kręcą się Akolici wynosząc sprzęt nagłaśniający i tym podobne rzeczy.

Dziwny, śniadoskóry mężczyzna pokręcił głową.

— Nie, nie chodzi o nich. Ktoś nas świadomie podsłuchuje. Ktoś jest z nami w tym pokoju.

Jua i Marquoz rozejrzeli się dookoła. Pomieszczenie było małe i brakowało w nim miejsc nadających się na kryjówki. Nie było też żadnych widocznych kłap w podłodze czy dodatkowych wyjść.

— Pomyliłeś się — stwierdziła Kapłanka.

— On rzadko się myli — odparł Marquoz szeptem.

Przez chwilę siedzieli w kompletnej ciszy próbując usłyszeć to samo co usłyszał lub wyczuł Cygan. Jedynymi dźwiękami były wszakże dobiegające z zewnątrz przytłumione tupoty i krzyki Akolitów oraz personelu Sali Posiedzeń.

W końcu Marquoz wzruszył ramionami.

— Co za różnica? I tak nie poruszamy tu żadnych tajemnic państwowych. — Zwrócił się ponownie do Kapłanki. — Ponawiam pytanie: czy istnieją jakiegokolwiek powody — poza kwestiami wiary — które upoważniałyby mnie do udostępnienia archiwów?

Jua miała już coś odpowiedzieć, kiedy Cygan odezwał się zdenerwowany:

— Więcej niż jedna osoba. Kilka stworzeń jest razem z nami w tym pomieszczeniu i przysłuchuje się rozmowie.

Marquoz i Jua spojrzeli na niego z niepokojem. Czugacz obawiał się, że osobliwy włóczęga zaczyna wariować. Zwrócił się ponownie do Olimpianki.

— No i?

Jua miała trochę czasu, by przemyśleć odpowiedź.

— Wasze własne badania potwierdziły dogmaty naszej wiary — musisz o tym wiedzieć. Wasi naukowcy twierdzą, że gdzieś istnieje główny komputer, że Zinder miał rację — a my przecież jesteśmy dziećmi Zindera, my Olimpianki. Sam zetknąłeś się już z siłami, które nas stworzyły, więc wiesz, że istnieją naprawdę. Dlaczego nie dać nam jednej jedynej szansy? Jeśli się mylimy, to dla was mała strata. Nikt nawet nie musi o niczym wiedzieć — z łatwością możecie zataić ten precedens, tak jak to robicie z resztą niewygodnych spraw. Jeśli mamy rację, wówczas jest to kwestia, o której Konfederacja powinna wiedzieć.

Marquoz rozważał przez chwilę argumenty, lecz w końcu potrząsnął przecząco wielką głową.

— Nie, przykro mi. Jak sama powiedziałaś, możemy zataić sprawę, lecz nie ma w tych poszukiwaniach po prostu nic, co by nas interesowało. Brazyl mógłby zażądać naszych głów za pogwałcenie jego prywatności.

Jua zaatakowała.

— Ach! Więc przyznajesz, że ktoś taki istnieje!

Smok pokiwał głową.

— Och, oczywiście, nie przeczę, że istnieje — albo też istniał — ktoś o nazwisku Nathan Brazil. Niestety, wstępne badania wskazują, że jeśli jest rzeczywiście bogiem, to nie takim, w jakiego wierzycie.

Jua popatrzyła na niego dziwnym wzrokiem.

— Co przez to rozumiesz?

— Zbadałem wszystkie dotyczące go dokumenty, jakie tylko udało mi się odnaleźć — wyjaśnił Czugacz. — Wśród kapitanów frachtowców uchodzi za postać na poły legendarną. Stary jak świat, samotnik, chętny do kieliszka i zabawy. Nie odpowiada chyba waszemu wyobrażeniu boga, prawda?

Wzruszyła ramionami.

— Któż może rościć sobie prawo do rozumienia Boga albo jego poczynań?

Marquoz westchnął.

— Przyznaję, że zdobyłaś punkt, ale obawiam się, że to zbyt mało, aby przedłożyć sprawę Prezydium. Przykro mi. — Odwrócił się i spojrzał na swego nieco oszołomionego towarzysza. — Cygan, idziesz?

— Być może ja jestem w stanie przedstawić wystarczający powód — odezwał się nowy kobiecy głos o głębokim i pełnym brzmieniu, zupełnie pozbawiony akcentu.

Jua i Marquoz wzdrygnęli się zaskoczeni, a Cygan o mało nie wyskoczył ze skóry.

— Widzicie? Mówiłem wam! — powiedział drżącym głosem.

Wielka głowa Marquozza rozejrzała się po najwyraźniej pustym pokoju.

— Kto mówi? — spytał. — Gdzie jesteś?

— Tutaj — odparł głos zza jego pleców. Odwrócił się i ujrzał młodą kobietę odzianą całkowicie na czarno, szczupłą i niewiele wyższą od niego. Miała na sobie skórzane buty i pasek ze sprzączką w kształcie dwóch smoczycich łbów.

— Kim, u diabła, jesteś? — zapytał. — I gdzie się przez cały czas chowałaś?

Kobieta uśmiechnęła się i skinęła głową na Juę.

— Zapytaj ją. Ona również zna tę sztuczkę. Jestem kimś, kto zna prawdę kryjącą się za tą pomyloną religią. Znam też powód, dla którego odnajdziesz Nathana Brazila albo pozwolisz, żebyśmy sami to zrobili.

— Grozisz mi? — Marquoz niemal się roześmiał.

Potrząsnęła głową.

— Nie, nie grozę. Powód, dla którego musimy odnaleźć Nathana Brazila, jest następujący: on jedyny potrafi naprawić komputer Studni. Jeśli nie zostanie naprawiony, to ziejąca dziura w czasoprzestrzeni, wywołana przez waszych nieudolnych wojskowych, pochłonie Konfederację w ciągu niecałych stu pięćdziesięciu lat.

Jua zerwała się na równe nogi, płacząc swe długie włosy ze wspaniałym ognem.

— Kim jesteś? — spytała rozkazującym tonem. — Kto potrafi przeniknąć do tak strzeżonego miejsca i dokonywać rzeczy danych jedynie Olimpiankom?

— Wyjaśnienia odłożmy na potem — odparła tajemnicza kobieta. — W porządku, pora się ujawnić.

Niespodziewanie sześć kolejnych postaci zmaterializowało się w pokoju. Trzech mężczyzn i trzy kobiety. Wszyscy byli rośli oraz dobrze zbudowani, a w dłoniach trzymali pistolety nieznanego kształtu i typu.

Jua, ku ogromnemu zaskoczeniu Marquozza i Cygana, zdawała się dosłownie rozplątać na ich oczach w powietrzu. Nowo przybyli jednak nie wyglądali na zbitych z tropu. Patrząc prosto w punkt, gdzie przed chwilą stała Jua, kobieta oznajmiła spokojnym, lecz stanowczym tonem:

— Nic ci to nie da. Widzimy cię i potrafimy odnaleźć, mimo tej sztuczki. Wiemy na ten temat wszystko.

Jak gdyby chcąc udowodnić prawdziwość tego stwierdzenia, jedna z kobiet podeszła do miejsca, gdzie po raz ostatni widziano Juę, i nie cackając się objechała jej kontur lufą pistoletu.

Jua przyznała się do porażki, choć w dalszym ciągu nie rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi. Pojawiła się ponownie patrząc nie na obcych, lecz na Marquozza.

— To jakaś sztuczka! Co w każdym razie zamierzasz?

Marquoz westchnął.

— Zapewniam cię, madam, że wiem na temat tego, co tu się dzieje, daleko mniej niż ty sama. Podejrzewam jedynie, że zostaliśmy zaatakowani przez nową, obcą siłę — sytuacja, która zaczyna się ostatnio dość często powtarzać.

— Nie ruszajcie się — ostrzegła kobieta w czerni. — Zamierzamy zabrać was na małą wycieczkę.

Marquoz rozejrzał się dookoła, a potem utkwiał wzrok w Kapłance.

— Tak na marginesie, ilu trzymasz tu strażników i Akolitów?

Drobna kobieta zachichotała.

— Nie będziemy mieli okazji ich spotkać. — Uśmiechnęła się słodko do Juy. — Coś nie tak, złotko? Nie żywisz respektu dla praprawnuczki Nathana Brazila?

Nagle pochłonęła ich ciemność i czuli, jakby spadali. Potem znów rozbłysło światło, sztuczne światło. Zmaterializowali się w jakimś laboratorium, stojąc dokładnie w tych samych pozach co w komnacie Juy.

Marquoz przyjrzał się nowemu otoczeniu. Cygan zaczerpnął tchu. Jua obserwowała kobietę w czerni.

— Witam na *Nautilusie*, obywatele — oznajmiła tamta. — Nazywam się Mavra Czang.

Nautilus — Spód

Minęło trochę czasu, nim ktokolwiek się odezwał. W końcu ciszę przerwał Cygan ledwie dosłyszalnym szeptem:

— Opatentowaliście ten numer z teleportacją?

Mavra Czang roześmiała się.

— Nie, i wątpię czy ktoś to kiedykolwiek uczyni. A ty możesz zatrzymać swój pistolet energetyczny — rzekła patrząc na Marquozę. — Nie będzie działał na *Nautilusie*. Jedyne nasza broń tu funkcjonuje.

Marquoz rozejrzał się dookoła. Był tu całkowicie obcy zarówno pod względem postaci, jak i umysłowości oraz odebrał gruntowne wyszkolenie w dziedzinie ludzkich zachowań. Dlatego niemal niemożliwością było stwierdzić, co tak naprawdę dzieje się w jego mózgu. Nawet Cygan zdawał sobie sprawę, iż wiele ludzkich cech u tego gada brało się z nabytych manier, a w głębi zachodziły procesy, których nie mógłby ogarnąć do końca żaden człowiek. I właśnie to było — z grubsza biorąc — tym czymś, co ich łączyło. Otóż Cygan okazał się jedynym przedstawicielem rodzaju ludzkiego, którego Czugacz nigdy do końca nie rozgryzł.

Jedynym do chwili obecnej. Do chwili, gdy pojawiła się ta tajemnicza kobieta.

Tak naprawdę to Marquoz się bał, choć nigdy nie przyznałby się do tego, nawet przed Cyganem. Stał niespodziewanie twarzą w twarz przed czymś całkowicie nieznanym. Przed czymś, co dysponuje możliwościami wykraczającymi poza wiedzę Konfederacji, a nawet Drili. Czuł się jak małe dziecko pośród mędrców: kompletnie bezradny. I wcale mu się to nie podobało.

— Ktoś jeszcze jest tutaj razem z nami — oznajmił nagle Cygan. — Nie chodzi o tę sztuczkę z niewidzialnością. Ktoś tu jest, otacza nas ze wszystkich stron, ktoś naprawdę nieludzki.

Marquoz i Jua wyczuwali to również — niemal nadnaturalną obecność wiszącą w powietrzu.

Mavra skinęła w milczeniu na swoich ludzi, a oni natychmiast schowali broń i wyszli.

Mavra, Marquoz, Cygan oraz Jua stali na ruchomej platformie pośrodku owalnego pokoju. Ponad ich głowami wisiał paraboliczny dysk. Podest mógłby pod-

jechać tuż pod antenę — czy jak nazwać ów spodek — gdyby jego dźwigar wysunął się na pełną długość. Kilka metrów w górze dostrzegli balkon opasujący całe pomieszczenie — wejście na niego stanowiły metalowe schody widniejące na wprost. Mogły znajdować się tam rozsuwane drzwi prowadzące na zewnątrz. Trudno było jednak cokolwiek dostrzec, gdyż solidna balustrada oraz dodatkowa siatka ochronna zasłaniały widok. Wszyscy stali w milczeniu, a jedynym dźwiękiem był przytłumiony chrzęst, jak gdyby całe pomieszczenie znajdowało się w trzewiach jakiejś gigantycznej maszyny.

— Naprawdę jesteś spokrewniona z Nathanem Brazilem? — odezwała się w końcu Jua.

Mavra Czang uśmiechnęła się nieznacznie.

— W pewnym sensie. Lecz było to wiele lat temu. Dużo czasu minęło od chwili, gdy ostatni raz byliśmy na obszarach zajmowanych przez ludzi.

— Co to za miejsce? — spytał Marquoz.

— Jesteście na planetoidzie znajdującej się w otwartej przestrzeni, z dala od szlaków przewozowych i wszelkich żywych istot — wyjaśniła. — Jest to w zasadzie w pełni samowystarczalna jednostka. Znajdujemy się w tej chwili głęboko pod powierzchnią, poniżej równika. Wierzch, jak sami się wkrótce przekonacie, jest ukształtowany na podobieństwo Ziemi i prezentuje się wspaniale. Ja i moja załoga spędzamy tam większość czasu.

Marquoz w zamyśleniu powiódł dookoła wzrokiem.

— To jest komputer Zindera, mam rację?

Tym razem Mavra wyglądała na zaskoczoną.

— Hm... Tak, to prawda. Widzę, że nie powinniśmy cię lekceważyć.

Marquoz nieco się rozluźnił. Spojrzał na wciąż osłupiałą Juę. — Moja droga, wydaje mi się, że stąpasz po świętej ziemi. Założę się, że twoi przodkowie stworzyli ten przybytek jakieś z górą siedemset lat temu.

Jua była przerażona. Wodziła po wszystkich wzrokiem, jakby szukając u nich odpowiedzi.

— Wybaczcie, zapominam o dobrym wychowaniu — oznajmiła Mavra Czang. — Zejdźcie, proszę, z tej platformy. O tam, jakiś metr albo dwa stąd, będzie w sam raz, jeśli czujecie się zmęczeni.

Skorzystali z tej propozycji, a ona z satysfakcją, zawołała: — Obie, co powiesz na stół i parę krzeseł oraz, jeśli nie sprawi ci to kłopotu, trochę strawnego jedzenia dla poprawienia humorów?

Zabrakło odpowiedzi. Jedynym dźwiękiem było ciche skrzypienie wysuwającego się nad platformę niewielkiego dysku. Nastąpił purpurowy błysk i zaraz potem dysk cofnął się.

Na platformie zmaterializował się stół zastawiony suto wszelkim jadłem. Dookoła stały wykładane pluszem krzesła, jedno wyraźnie przeznaczone dla Juy,

u której należało wziąć pod uwagę ogon. W jednym miejscu nie było krzesła. Ktoś przewidział nie bez racji, że Czugacze siadają opierając się na swych ogonach.

Do stołu pierwszy podszedł Cygan. Założył, że na razie nikt nie chce go zabić, a ponieważ doskwierał mu głód, przeszedł nad wszystkim do porządku dziennego.

— Jezu! Spójrzcie tylko na to! Królewski obiad! — wykrzyknął z podnieceniem, lecz potem nagle spojrzął na Mavrę Czang nieco zatroskany. — Czy to wszystko jest prawdziwe?

Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

— W stu procentach. Nie są to nawet jakieś syntetyki. Nie wszystko może ci będzie smakować po plastykowej diecie, jaką stosowałeś przez całe życie, ale sam się przekonaj.

Nie było na co czekać, więc pozostali również podeszli do stołu. Marquoz, ku swemu zaskoczeniu, znalazł na talerzu wielki kawał pieczeni.

— Takliss! wykrzyknął zdumiony. — Takliss z rusztu! Nie macie pojęcia, jak dawno tego nie jadłem.

Podczas posiłku Mavra wytłumaczyła im parę rzeczy.

— Przede wszystkim pozwólcie, że wyjaśnię, dlaczego w ogóle się tu znaleźliśmy — zaczęła. — Centrum naszej uwagi skupiało się zwykle gdzie indziej; ostatnimi czasy w galaktyce M51. Szczerze mówiąc, parę wieków temu przybyliśmy sprawdzić, co się u was dzieje. Przekonaliśmy się, że nawiązaliście już pierwsze kontakty z innymi rasami i że wszystko idzie bez zarzutu. Zdziwiło nas to jak cholera i zdecydowaliśmy, że najlepiej pójdziemy tam, gdzie się naprawdę na coś przydamy. Gdyby Obie nie wyczuł, że coś złego się święci, bylibyśmy ciągle zajęci swoimi sprawami. Bo, widzicie, przeżyliśmy tu ostatnio falę wstrząsów — sądzę, że podobnie zresztą jak cały Wszechświat.

— Obie? — wtrącił się Marquoz.

— Dobry wieczór, obywatele — rozległ się w powietrzu przyjemny tenor. — Moje imię to akronim, lecz całe wyrazy są już na tyle stare, że zatarta się ich znaczenie. Mavro, myślałem już, że nigdy mnie nie przedstawisz! — poskarżył się.

Wzruszyła ramionami.

— Przepraszam. Sądziłam, że będziesz chciał się im najpierw przyjrzeć, nim ujawnisz swoją obecność.

— Mówiłem wam — przypomniał im Cygan między kęsami.

— Tak, to prawda — zgodził się Obie. — W ogóle pod pewnymi względami jesteś wyjątkowym człowiekiem, sir.

Jua wyglądała na coraz bardziej oszołomioną. Marquoz dostrzegł to i odezwał się, by ją uspokoić:

— To komputer moja droga. Znajdujemy się teraz, ściśle rzecz biorąc, w jego wnętrzu. — Wyszczerył zęby w uśmiechu. — Oczywiście, uwzględniając

że oglądałem taśmy ze zniszczenia Nowych Pompejów, wydaje mi się to raczej dziwne.

Mavra Czang skinęła głową.

— Znasz więc historię o Treligu?

Przytaknął.

— Teraz już większość ludzi ją zna. Grupa historyków zajęła się tą sprawą.

Opowiedział jej pokrótce o badaniach Tortoi Kai i o przyczynie zdjęcia blokady z archiwów.

Mavra kiwała głową słuchając opowieści o Dniach i Spopielaczach Zindera.

— Wiemy, że broń została użyta przeciw nieprzyjacielowi z zewnątrz. Zdążyliśmy przechwycić mnóstwo meldunków i włamać się do wielu banków danych. Jesteśmy tu z Obiem już od jakiegoś czasu. Mam nadzieję, że teraz z waszą pomocą uzupełnimy resztę układanki.

— Do usług — odparł grzecznie Marquoz. — Ale powiedz najpierw, skąd się w ogóle wzięliście: ty i reszta tych ludzi?

— Rzecz jasna, Obie sfingował swoją śmierć — wyjaśniła Mavra. — Ta sama eksplozja, która uwolniła go spod kontroli Bena Julina, sprawiła, że stał się w pełni świadomy i samowystarczalny. Teraz już nie zależy od nikogo. Podczas gdy reszta odeszła, ja postanowiłam zostać.

— Chciałaś powiedzieć, że postanowiłaś umrzeć — rozległ się głos Obiego. — Komputer studni zdeformował jej ciało i w Konfederacji czekała ją przyszłość atrakcji turystycznej. Została więc i pozwoliła, by sądzono, że umarła. Wiedziała, iż Konfederacja mnie zniszczy nie chcąc ryzykować, że wpadnę nagle w szal. Wyciągnąłem nas z tego i zaczęliśmy współpracować. Reszta — siedemdziesięciu jeden podczas ostatniej zbiórki — pochodzi z najróżniejszych ras, które odwiedzaliśmy w swoich podróżach. Można by rzec, banda wyrzutków połączona wspólnym celem.

— Wyglądali na stuprocentowych ludzi — wtrąciła Jua.

Mavra uśmiechnęła się.

— Pamiętasz, Obie powiedział, że miałam zniekształcone ciało? Połatał je. Odtworzył mój poprzedni wygląd. Dzięki niemu jestem ciągle młoda i w doskonałej kondycji. Każdy z nas dzięki Obiemu może przybrać dowolny kształt, jaki zna albo potrafi sobie wyobrazić. Może też wyposażyć ową nową postać w każdą cechę lub zdolność, jakiej w danej chwili potrzebuje.

Marquoz odczekał chwilę.

— A czemu zawdzięczamy przyjemność tej wizyty? — spytał. — Po co my tu jesteśmy?

— Jeśli chodzi o to, dlaczego właśnie wy, to w zasadzie przez przypadek — odparła Mavra. — I z tego, co widzę, nie był to wybór pechowy. Pierwszą rzeczą, jaką uczyniliśmy po tym, kiedy Obie odebrał sygnały o rozerwaniu czasoprze-

strzeni, było sprawdzenie, czy nie został uszkodzony główny komputer Świata Studni.

Jua otworzyła usta ze zdziwienia.

— Byliście w Świętej Studni Dusz?

— Świętej czy nie, ale spędziłam zbyt dużo czasu na tej szalonej planecie.

— I co z tą Studnią? Była rzeczywiście uszkodzona? — Marquoz próbował podjąć przerwany wątek.

Skinęła głową.

— Obie?

— Komputer Studni uległ awarii wskutek nierozważnego i nieprawidłowego użycia Spopielaczy — wyjaśnił Obie. — Szkody nie są wielkie, lecz rozdarcie w strukturze czasoprzestrzeni wciąż rośnie. Wraz z powiększaniem się tej szczeliny, skutki będą coraz bardziej poważne. Nie bez znaczenia jest także fakt, że to właśnie ta dziura, a nie Studnia, jest naturalnym tworem we wszechświecie. Studnia robi co może, by powstrzymać rozrost szczeliny, lecz nie jest w stanie jej zasklepić.

— Kiedy już wiedzieliśmy w czym rzecz — ciągnęła Mavra — przybyliśmy na miejsce i udało nam się ustalić przyczynę, choć nie mogliśmy zbyt blisko podejść do szczeliny. Obie doznaje strasznego bólu w pobliżu uskoku. To właśnie dlatego odlecieliśmy na razie trochę dalej.

— Lecz to przecież nie tłumaczy wcale naszej obecności — oświadczyła Jua. Mavra skinęła pospiesznie głową.

— Już wyjaśniam. No cóż, wylądowałam na jednym z pogranicznych światów, aby zobaczyć, jak tam jest teraz. Za moich czasów Konfederacja wyglądała jednak zupełnie inaczej. Pierwszą rzeczą było pytanie zadane przez odzianych w habity ludzi: czy jestem Nathanem Brazilem. Niewiele czasu minęło i wiedziałam już co nieco o Zgromadzeniu Studni i jego kapłankach — Olimpiankach. Bez problemów odkryłam, kim w rzeczywistości są owe Olimpianki, choć przyznam, że zdumiałam się ogromnie. Nie przypuszczałam, że będą mogły się rozmnażać.

— Pramatki wydały na świat dwóch mężczyzn — wyjaśniła Jua. — Na tych podwalinach stworzyliśmy całą rasę.

Mavra skinęła głową i ciągnęła dalej.

— W każdym razie zrozumiałam, że muszę bezzwłocznie dowiedzieć się czegoś więcej o Zgromadzeniu, gdyż jest nam ono potrzebne.

— Bo, widzicie — rozległ się głos Obiego — rozdarcie w strukturze czasoprzestrzeni powiększa się w zawrotnym tempie. Jeśli nie uda się tego procesu zahamować, połknie całą Konfederację w ciągu stu pięćdziesięciu lat, choć życie najprawdopodobniej zaniknie już za jakiś wiek. Ta dziura jednak na tym nie poprzestanie — będzie wciąż rosła. Nie potrafię jej zasklepić — wykracza to poza moje siły. Na domiar złego podczas rozszerzania się szczeliny powstają w naszej

rzeczywistości różne zawirowania. Wyobraźcie sobie rzeczywistość, czasoprze-
strzeń jako prześcieradło. Zróbcie w jego środku dziurę i zacznijcie ciągnąć ze
wszystkich stron za krańce. Nie dość, że otwór będzie się poszerzał, to jeszcze
przez całą materię przechodząc będą fale. Przestrzeń, czas, sama rzeczywistość
zostają odkształcone, tracą stabilność. Jak na razie ledwie odczuliście te zachwia-
nia, lecz będzie coraz gorzej.

— Widzicie więc, że pozostaje nam tylko jedna rzecz — podjęła Mavra. —
Musimy odnaleźć Nathana Brazila. Powinien zostać automatycznie wezwany do
Świata Studni i od razu naprawić uszkodzenie, lecz jak na razie się nie zjawił. Al-
bo więc nadajnik się zepsuł, albo też po prostu Brazył zignorował wezwanie. O ile
wiemy, jest jedyną istotą we Wszechświecie, która potrafi zreperować Komputer
Studni. Albo go znajdziemy, albo nasz dom przestanie istnieć. To proste.

Marquoz zastanowił się. W zasadzie nie miał powodów, by wierzyć tej ko-
biecie. Jednak w obliczu całej tej zaawansowanej techniki i osoby dowódcy nie
miał powodu, by wątpić w prawdziwość opowieści. Wciąż pozostawały jednak
niewiadome.

— Wracam znów do mojego pierwszego pytania — odezwał się z nieufnością
w głosie. — Dlaczego nasza trójka się tu znalazła? Dlaczego nie jakiś członek
Przydiium albo Przewodniczący Rady, albo ktoś inny równie wysoko postawio-
ny?

Mavra Czang uśmiechnęła się.

— W zasadzie był to po części przypadek. To ja optowałam za Juą.

Kapłanka wyraźnie się ożywiła, lecz nadal milczała.

— Sprawą, o której wiemy dotąd najmniej — wyjaśniła Mavra — są dzieje
pozostałych członków naszej grupy po tym, jak ja i Obie odeszliśmy. Chcąc roz-
wikłać zagadkę musieliśmy odnaleźć najpierw Olimpianki. Spieraliśmy się, czy
nie polecieć prosto na Olimpusa, lecz ja nie miałam najmniejszej ochoty space-
rować na tamtejszym mrozie. Dzisiejsze nabożeństwo było mocno reklamowane,
a Obie miał nasłuch na wszystkich pasmach nadawania. Jak głośno wieści, Wie-
lebna Kapłanka z Olimpusa będzie przemawiać do tłumu. Zaczailiśmy się więc
w jej garderobie, gdzie z pewnością odpoczywałaby po nabożeństwie. Nie było
przecież sensu wszczynać paniki. Czekaliśmy przygotowani, aby ją porwać. —
Uśmiechnęła się słodko do Juy. — Lecz ona była strasznie poirytowana i przejęta
przedłużającym się oczekiwaniem na przedstawicieli Konfederacji oraz układa-
niem swojej tyrady. Wywnioskowałam z tego wszystkiego, że szukają u ciebie
pomocy w odnalezieniu Brazila. Postanowiliśmy więc jeszcze trochę poczekać,
no i to już koniec historii.

Marquoz skinął głową. Miało to ręce i nogi. W zasadzie spotkali się tylko dla-
tego, że tak niewiele Olimpianek opuszcza swoją rodzinną planetę. Czysty zbieg
okoliczności.

— Chciałbym się dowiedzieć o tobie czegoś bliższego — zwrócił się do Mavry, tak jakby to on tutaj dowodził. — Chciałbym wiedzieć, kim jesteś i co miałaś na myśli nazywając siebie praprawnuczką Brazila.

— Mnie też to ciekawi — dodała Jua.

Mavra usiadła wygodnie i spojrzała na nich.

— Byłam niegdyś zawodowcem do wynajęcia. Kapitanem frachtowca podejmującym się różnych lewych interesów. Radczyni Alaina zatrudniła mnie do obsługi pokazowego doświadczenia u Treliga. Robiłam swoje i wszystkich nas nagle przeniosło do Świata Studni. Wydostanie się stamtąd zajęło mi z górą dwanaście lat. Co do tego, że nazwałam się praprawnuczką Brazila, to jest to w zasadzie kwestia spojrzenia na sprawę. Jestem wnuczką ludzi, których Brazyl wydostał ze Świata Studni i wysłał z powrotem do Konfederacji. Podarował im nowe życie i nowe ciała. Kiedy świat moich rodziców dostał się pod władanie ustroju totalitarnego, Brazyl wyciągnął mnie stamtąd. Moi dziadkowie, choć już starzy, wrócili do Świata Studni. Mnie umieścił Brazyl na stanowisku kapitana pewnego frachtowca. Operacja upodobała mi się do tego człowieka. — Dostrzegła, że Jua wytrzeszcza oczy ze zdumienia. Odgadła jej nieme pytanie i kontynuowała: — W owym czasie byłam małą dziewczynką. Później już więcej się z Brazilem nie widziałam.

Jej wzrok spoczął znów na Marquozie.

— No cóż, na Świecie Studni spotkałam moich dziadków już w nowych postaciach. Byli oni jednymi z tych, którzy przetrwali naszą walkę z Benem Julinem. Zmienił on całą naszą grupę w kobiety ze swoich snów. Ogony były rzeczą późniejszą, próbką jego poczucia humoru, którego doświadczyli również moi dziadkowie. Założę się, że to oni byli założycielami Olimpusa, waszymi Pramatkami.

Jua była nieco wzburzona lekkim tonem, jakim poruszano sprawę jej wiary i czci Pramatek, ale przemilczała to. Cygan natomiast skończył posiłek i nie interesował się zupełnie rozmową.

Marquoz siedział przez chwilę w milczeniu, rozmyślając. Nie przeczył, że jej opowieść trzymała się kupy i był daleki od twierdzenia, iż to nie Spopielacze Zindera są przyczyną obecnych kłopotów. Nie było wątpliwości, że dziura wciąż rosła, a oni nie mogli nic na to poradzić.

— Wyjaśnij mi coś, Jua — odezwał się powoli i uważnie dobierając słowa. — Odłożywszy na bok kwestię wiary i tym podobne rzeczy, skąd wiesz, że właśnie Nathan Brazyl jest bogiem?

Olimpianka sprawiała wrażenie nieco zaskoczonej niespodziewanym znalezieniem się w centrum uwagi.

— Bo tak powiedziały obie Pramatki, niech będą pochwalone. Powiedziały, że były wraz z Nathanem Brazilem na planecie Studni, a On nie tylko powiedział o sobie, że jest Bogiem, lecz także dowiódł tego uczynkami.

— Och, moi dziadkowie — dodała Mavra. — To by się zgadzało.

Czугacz zwrócił się do drobnej kobiety, która z każdą chwilą zdawała się coraz bardziej tracić inicjatywę.

— No i co dalej?

Wzruszyła ramionami.

— O te sprawy lepiej byłoby spytać Obiego. Przechowuje ich wspomnienia i pamięta wszystko lepiej ode mnie. Co ty na to, Obie?

Komputer nie odpowiedział, usłyszeli jedynie jękliwy dźwięk wydany przez dysk ponad ich głowami. Marquoz zaczął krzyczeć i chciał już zeskoczyć z platformy, lecz było na to za późno. Fioletowe światło pochwyliło ich wszystkich.

Znajdowali się w dziwnym pomieszczeniu, w pomieszczeniu niepodobnym do żadnego, jakie dotąd widzieli. Otaczały ich ściany pełne różnych kontroltek, przełączników, dźwigni i przycisków, zaś na wprost widniało coś na kształt olbrzymiego ekranu. Po chwili spostrzegli, że nie był to wcale ekran, lecz długi i mroczny tunel wiodący w głąb tak daleko, jak tylko sięgali wzrokiem albo pozwalała perspektywa. Po bliższych oględzinach okazało się, że efekt czerni wywołany był przez biliony drobnych, smolście czarnych kropek. Przypominały guziki umieszczone tak blisko siebie, że na szaroczanym tle zdawały się same tworzyć ścianę. Pomiędzy tymi czarnymi punktami strzelały ciągle wyładowania elektryczne, miliony cieniutkich błyskawic przeskakujących pozornie zupełnie przypadkowo od kropki do kropki. Nabrali jednak w jakiś sposób przekonania, że te ruchy były ściśle zaplanowane.

Nie byli sami w tym pomieszczeniu. Oprócz nich znajdowało się tam jeszcze troje ludzi. Młoda, pozbawiona zupełnie cech żeńskich kobieta, pochodząca najwyraźniej z któregoś ze światów mrowisk. Następna młoda kobieta, tym razem w pełni rozwinięta, lecz wyglądająca wiotko i słabowicie. Był też chłopak, niewątpliwie również z jakiejś fabryki klonów. Obok nich stali: wielki stwór przywodzący na myśl olbrzymiego karalucha, na którego grzbiecie jechała syrena; zielone, przypominające roślinę stworzenie z głową jak powyginana dynia i poskręcany mi spiralnie kończynami; wielki potwór, który wyglądał niczym sześcioreki korpus człowieka wraz z twarzą wąsatego morsa osadzony na ciele zwiniętego węża oraz monstrum, na którego widok cała reszta wydawała się całkiem przyjemną gromadką.

Była to bryłowata, bezkształtna poczwara — olbrzymie bijące i pulsujące serce wsparte na sześciu mocarnych mackach. Nie widać było żadnych oczu, uszu ani innych narządów zmysłów.

— Ten ostatni stwór to Markowianin — wyjaśnił Obie. — Nathan Brazil w swojej prawdziwej postaci. Znajdujecie się we wnętrzu Studni Dusz, w pokoju kontrolnym którejś z ras — prawdopodobnie waszej. Wszystko jest takie, jakim zapamiętały to owe dwie kobiety, Vardia i Wu Juli, Pramatki Juy, oraz, nieprzypadkowo, przyszli dziadkowie Mavry.

Zdali sobie dopiero teraz sprawę, że cała scena, ukazana w trzech wymiarach i zdająca się tętnić życiem, była w rzeczywistości kadrem zamrożonym w miejscu. Obie puścił playback. Dopiero w tym momencie spostrzegli, że sześcióręki morsowąż trzyma broń wycelowaną w stworzenie, które Obie nazwał Nathanem Brazilem.

— *Nathan! Nie ruszaj się!* — ostrzegł groźnie człowiek-wąż — *Wiesz, że mogę cię zabić!*

Pulsująca bryła pochyliła się nieco w stronę węzowatego stwora.

— *Nie, Serge, nie możesz. Widzisz, w tym właśnie cały problem. Mówiłem już, że nie jestem Markowianinem, ale nikt z was nie słuchał. Przybyłem, gdyż możecie uszkodzić konsolę sterowniczą, zrobić krzywdę rasom, których istnienia nawet ja nie jestem świadom. Wiem, że nie jesteście w stanie wykorzystać możliwości tego miejsca. Jednak w chwili obecnej jesteście dość szaleni, by ktoś z was zaczął niszczyć różne rzeczy, a w każdym razie próbować. Lecz nikt w swym obłądnie nie pomyślał, by zadać podstawowe pytanie, jedyne nie wyjaśnione w całej tej układance. Kto w ogóle ustanowił równanie Markowian, podstawę całego Wszechświata?*

Zapadła nagła, głucha cisza, a jedynym dźwiękiem było dziwaczne bum, bum, bum niczym bicie olbrzymiego serca. W końcu przemówił Brazyl.

— *Zrodziłem się przypadkowo z pierwotnej energii kosmosu. Po nieprzeliczonych miliardach lat osiągnąłem samoświadomość. Byłem Wszechświatem i wszystkim w nim zawartym. Gdy minęły eony, zacząłem eksperymentować, bawiąc się siłami, które mnie otaczały. Stworzyłem materię oraz różne rodzaje energii. Powołałem do istnienia czas i przestrzeń. Lecz wkrótce znudziły mnie te zabawki. Ukształtowałem galaktyki, gwiazdy oraz planety. Pomyślałem tylko i oto były.*

— *Obserwowałem, jak wszystko się rozwija i formuje zgodnie z ustanowionymi przeze mnie prawami. Aż w końcu również i to mnie zmęczyło. Stworzyłem więc Markowian i obserwowałem, jak się rozwijają, tak jak to zaplanowałem. Lecz nie było to rozwiązanie satysfakcjonujące, gdyż oni wiedzieli o mnie, bali się, a ich równanie było zbyt doskonałe. Wiedziałem, dokąd zmierzają, więc zmieniłem to. Umieściłem w równaniu Markowian czynnik przypadku i zerwałem bezpośredni kontakt.*

— *Rośli, rozwijali się, ewoluowali i zmieniali. Zapomnieli o mnie i dawali sobie radę zdani na własne siły. Lecz, jako że byli odbiciami mojego ducha, dzielili również moją samotność. Nie mogłem dołączyć do nich taki, jakim byłem, gdyż z pewnością baliby się mnie i unikali. Oni z kolei zapomnieli o mnie i — rozwijając się duchowo — umierali cieleśnie. Nie wyrosli na równych mnie, by zakończyć mą samotność. Duma nie pozwoliła im na równanie się ze mną dla towarzystwa, zaś strach i egoizm sprawiły, że nie przyjaźnili się ze sobą.*

— *Zdecydowałem więc, że stanę się jednym z nich. Stworzyłem pustą skorupę Markowianina i wszedłem do niej.*

Kadr znów zamarł i rozległ się głos Obiego:

— Ostatni zapis sprzed ponad tysiąca lat przedstawiający Studnię Dusz. Później nikt tam już nie był i nie czynił żadnych zmian w równaniach. Faktyczny obraz tego, co widzieliście, mógł być nieco inny. Ujrzełiście rekonstrukcję wspomnień, ale korzystałem z dwóch niezależnych źródeł i zapewniam, że rezultat jest wystarczająco wierny rzeczywistości.

Znaleźli się z powrotem na platformie, a niewielki dysk wrócił do pozycji spoczynkowej. Cygan spostrzegł, że Obie skorzystał z okazji i uprzątnął stół.

— Hej! Komputer! Moglibyśmy zbić majątek budując taki sprzęt dla teatrów — zawołał z nadzieją w głosie smagły mężczyzna. Zignorowano tę propozycję.

Jua triumfowała.

— Ostateczny dowód! — Wyszeptała. — Widzicie teraz, że mieliśmy rację. Widzicie teraz cały problem oraz jego pilność. Pozwólcie nam odnaleźć Nathana Brazila, abyśmy mogli Go wielbić i błagać o łaskę.

Marquoz był nieco bardziej sceptyczny.

— Obie? Wszyscy kupili tę opowieść?

— Ortega nie; to ten Ulik, sześcioreki wąż, którego widzieliście. Nie uwierzyła również bliźniaczka Vardii, to drzewiaste stworzenie, Czillianka, która zgodziła się z Ortega, że Brazył jest szalonym wyrzutkiem społeczeństwa Markowian. Nie przyłączył się do wielkiego eksperymentu i pełnił funkcję nadzorcy Komputera Studni, jeśli wolicie — głównego mechanika. Zostawiono go, aby nadzorował pracę urządzenia. Większa część mieszkańców Świata Studni nadal tak uważa.

— A co ty o tym wszystkim myślisz? — spytał Czugacz.

— Według mnie, istniał Pierwszy Stwórca i być może sposób jego powstania jest zgodny z tym, co wiemy na temat praw rządzących naszym Wszechświatem — odrzekł komputer. — Charakter Nathana Brazila cechuje się wielką wewnętrzną sprzecznością. Po części sugeruje to, że jego opowieść jest prawdziwa, a po części — iż jest kimś o wiele mniej ważnym, niż twierdził. Ortega jest Kluczem. Na samym początku był kapitanem konfederacyjnego frachtowca i, podobnie jak Brazył, został przemieniony w przedstawiciela innej rasy. Ortega znał Brazila prywatnie oraz służbowo i nie uwierzył w tę opowieść. Osobiście skłaniał się do chłodnego werdyktu Ortegi i Czillianki. Ortega był pewnym siebie kłamcą, złodziejem i łajdakiem. Brazila oceniał w ten sam sposób.

— Pragnąłbym jednak dodać, że nie ma to żadnego znaczenia, czy wierzymy, czy też nie wierzymy w boskość Brazila. Jest to zupełnie nie związane z całą sprawą — zagadka, na którą odpowiedzi możemy nigdy nie odnaleźć. Jedyna rzecz, jaką wiemy na pewno, to fakt, że Brazył potrafi obsługiwać olbrzymią maszynę zwaną Studnią Dusz. Jest jedyną znaną nam istotą, która może tego dokonać. Na-

than zaprogramował Studnię w taki sposób, aby wysyłała sygnał w razie jakiegokolwiek awarii. Musimy przyjąć, że tak właśnie się stało i rzeczywiście przechwytyłem ten sygnał. W konsekwencji logicznym wnioskiem jest, iż Brazil postanowił nie odpowiadać na wezwanie, jeśli oczywiście w ogóle żyje. Powstaje pytanie: dlaczego? Podczas wcześniejszego wypadku stracił większość wspomnień. I tym razem mogło mu się przytrafić coś podobnego, musimy więc tym bardziej skupić wysiłki na jego odnalezieniu. Będąc ostatnim razem w Studni zaprogramował ją, aby wpuszczała tylko jego.

Marquoz westchnął.

— Dobrze więc. Znajdźmy go.

Wielebna Kapłanka wyglądała na zaskoczoną taką nagłą zmianą stanowiska, lecz wydawała się niezwykle zadowolona.

— Potrzebujemy znaczącej pomocy — zauważyła Mavra Czang. — Z pewnością doskonale się ukrył. Nawet jeśli uda nam się do niego dotrzeć, może próbować się wymknąć i schować jeszcze głębiej. Jeśli rzeczywiście jego zniknięcie jest świadome, a nie wywołane czymś dużo bardziej złowieszczy. Nie możemy skorzystać z pomocy rządu — Nathan najwyraźniej posiada tam znaczny wpływ. Pozostaje nam jedynie Zgromadzenie.

Jua była w siódmym niebie.

— Skupimy wszystkie nasze siły na poszukiwaniach. Ogłoszę...

— Ja ogłoszę! — przerwała jej Mavra. — Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli sama dobiore sobie współpracowników.

— Ale ty przecież nie możesz pojechać na Olimpusa! — zaprotestowała Jua. — To zabronione, a poza tym i tak byś tam nie przeżyła. Nie jesteś przystosowana.

Mavra uśmiechnęła się.

— Nie bój się. Marquoz, czy ty i Cygan moglibyście zejść z platformy i stanąć tam, gdzie staliście, nim podano obiad?

— Z przyjemnością! — oświadczył Cygan i odsunął się dość daleko. Marquoz ruszył w jego ślady nie mając ochoty stanąć obiektem manipulacji komputera częściej, niż tego wymagały okoliczności.

Mavra uśmiechnęła się z satysfakcją.

— Obie, wiesz co robić?

— Jasne — odparł uprzejmie komputer.

Dysk wysunął się. Jua wstała i zaczęła coś mówić, pewnie żeby zaprotestować, ale było już za późno. Postacie, stół oraz krzesła zostały skapane w fioletowym świetle i zniknęły. Platforma była pusta.

— Co teraz? — zastanowił się na głos Cygan, lecz Marquoz przerwał mu unosząc zieloną dłoń.

I były już z powrotem. Na platformie zmaterializowały się dwie postacie, ale już bez mebli.

Stały tam dwie Juy absolutnie identyczne. Dwie Wielebne Kapłanki.

— Jua, zabierzesz mnie do Świątyni. Polecimy zwyczajnym statkiem. Nie chcę wzbudzać sensacji — odezwała się jedna z nich.

Druga klęknęła przed swą rozmówczynią.

— O tak, moja Pani — odparła ulegle, niemal z uwielbieniem. — Wystarczy, że powiesz słowo.

Marquoz odezwał się do Cygana:

— Przypomnij mi, abym nie wchodził więcej na tę platformę, dobrze?

Cygan pokiwał w zamyśleniu głową.

— Niezdecydowana klientka na pchlim targu wolniej zmienia zdanie, niż człowiek stojący na tej machinie — dodał sucho.

Olimpus

Olimpus leżał z dala od głównych szlaków przewozowych. Został odkryty bardzo wcześnie przez ziemskie wyprawy badawcze i mógł posłużyć za poletko doświadczalne dla eksperymentów inżynierii planetarnej. Ten sam wszakże napęd kosmiczny, który umożliwił ludziom dotarcie do tej planety, pozwolił niemal równocześnie odkryć wiele znacznie atrakcyjniejszych i tańszych w eksploatacji systemów.

Olimpus liczył z górą trzydzieści dwa tysiące kilometrów obwodu — nieco mniej niż stara Ziemia. Był też dużo od niej chłodniejszy. W zasadzie przeciętna letnia temperatura wahała się w okolicach trzech stopni Celsjusza, a zimą — minus osiemnastu. Pod względem geologicznym Olimpus był planetą bardzo aktywną. Wulkany, większe od tych widzianych kiedykolwiek na Ziemi, wypływały gorące gazy i płynną magmę. Wstrząsy były rzeczą powszednią, choć naprawdę poważne należały do rzadkości. Ponadto atmosfera składała się nie tylko z tlenu, lecz także z mnóstwa innych gazów. Powietrze pachniało podobnie, jak w pobliżu wielkich zakładów chemicznych. Choć padało tu regularnie, to deszcze owe były mieszaniną słabych kwasów. Silniejszych jednak od tych spadających wokół okręgów przemysłowych na innych światach typu ziemskiego. Zwyczajne materiały szybko ulegały tu korozji. Deszcze drażniły i raniły nie osłonięte ciało. Szkodliwe substancje zawarte w atmosferze zmuszały do sztucznego wytwarzania świeżego powietrza. Rosły tam bujnie rośliny, które zaadaptowały się do panujących warunków. Występowało również wiele drobnych owadów i stworzeń morskich, lecz brakowało bardziej rozwiniętych form. Środowisko ciągle było zbyt nieprzyjazne życiu.

Pramatki, wspierane finansowo przez Radną Alainę, nabyły Olimpusa po bardzo okazyjnej cenie. Choć Benowi Julinowi przyświecała myśl stworzenia idealnych kochanek-niewolnic, spod jego ręki wyszły superkobiety mogące znosić nawet najcięższe warunki. Obie był odpowiedzialny za tę przemianę i wywiązał się z zadania bez zastrzeżeń. Pramatki spostrzegły, że mogą żyć na Olimpusie bez przeszkód — ich metabolizm trawił niemal wszystkie substancje pochodzenia organicznego.

Z początku warunki życia na Olimpusie były bardzo prymitywne. Budynki z wyciętych laserami bloków skalnych dawały schronienie pionierkom. Przez pierwsze pokolenie całą populację tworzyła mała grupka, żyjąca na poziomie prymitywnych gromad myśliwych-zbieraczy z epoki kamiennej. Miała jednak nad tamtymi dwie zasadnicze przewagi: spore konto kredytowe w Banku Konfederacyjnym oraz nieprzerwany kontakt z resztą ludzkości i jej zasobami.

Po kilku miesiącach wszystkie Pramatki odkryły, że są brzemienne. Narodzone dzieci okazały się w większości płci żeńskiej, lecz na świat przyszło również dwóch przedstawicieli płci męskiej. Wówczas właśnie Pramatki zdały sobie sprawę, że zapoczątkowały nową rasę.

Aby zagwarantować duży, stały dopływ partnerek dla obu mężczyzn, korzystano z usług zagranicznych fabryk klonów.

Dziewczęta dorastały w przekonaniu, że ich obowiązkiem jest mieć dzieci tak długo i często, jak to tylko możliwe. Populacja rosła gwałtownie, co pozwoliło w końcu Olimpiańczykom obejść się bez klonowania i niezbędnego przy tym procesie współdziałania obcych. Obecnie, po z górą siedmiuset latach, ludność Olimpusa liczyła ponad trzydzieści milionów mieszkańców i stale rosła, choć wskaźnik urodzeń i tak już ograniczono przed paroma wiekami.

Wszystkie kobiety wyglądały prawie identycznie, różniły się jedynie kolorem włosów i oczu oraz jeszcze jednym szczegółem. Otóż Julin pierwszym dwóm Pramatkom nie dodał ogona dla ozdoby. Po siedmiu stuleciach u dziesięciu procent populacji brakowało ogonów. Ta grupa nosiła miano Atenek. Pozostałe były Afrodytami. Swą własną rasę nazywały Pallasami, choć wszyscy z zewnątrz zwracali się do nich jako do Olimpianek, zgodnie z nazwą planety. (Jedna z pierwszych wydanych u nich książek zawierała informacje na temat ludzkich legend, mitów i religii.)

Podającą się za Pallaskę Mavra Czang wraz z odmienioną przez Obiego, wręcz służalczą Juą, po przesiadce z handlowego frachtowca zbliżały się do Olimpusa na pokładzie tutejszego statku. Zdając sobie sprawę z czyhających niebezpieczeństw, Pramatki od samego początku utrudniały możliwość lądowania obcych na ich planecie. Minęło parę stuleci, a zasady owe nie uległy złagodzeniu nawet na jotę, a nawet zostały zaostrzone. Na Olimpusie lądować mogli jedynie Olimpiańskie. Nawet frachtowce musiały być własnością Olimpian i to oni musieli stanowić załogę.

Choć obecnie planeta była nowoczesna, a stopa życiowa wysoka, produkowano tam niewiele rzeczy nadających się do handlowania. Stare kredyty bankowe zostały zainwestowane w koncern przewozowy, który wykonywał usługi również na rzecz innych światów. Jakkolwiek mało kto o tym wiedział, można było wynająć doskonale wyszkolone Olimpianki jako kurierów, strażników albo kapitanów statków. Były całkowicie oddane swemu pracodawcy, absolutnie nieprzekupne, oraz — jak wskazuje nazwa „superkobiety” — raczej trudne do pokonania. Te ce-

chy czyniły z nich niezwykle dobrych kurierów do przewożenia tajnych informacji. Zgromadzenie zainwestowało również sporo na terenie Konfederacji. Wzrost popularności przyniósł mu krociowe zyski.

Wszystkie te informacje Obie wydobył z umysłu Juy. Nie zapomniał oczywiście o subtelnościach językowych, formach grzecznościowych i sposobach zachowań w najróżniejszych sytuacjach. Mavra została od tej strony zabezpieczona przed gafami. W sumie jednak Jua nie na wiele się przydała. Wychowywana w Zgromadzeniu od samego początku z przeznaczeniem na Kapłankę, nie miała szerszych kontaktów ze społecznością swego rodzimego świata. Nie знаła innych istot poza tymi urodzonymi i wychowanymi w zakonie. Nawet jej edukacja skierowana była na kontakty z przedstawicielami Konfederacji.

Nie widziała na przykład nigdy mężczyzny Olimpiańczyka, lecz wiedziała oczywiście, że tacy istnieją. Nie była ignorantką w sprawach seksu, choć pociąg w tym kierunku został u niej w pewnym stopniu wytłumiony. Nie spotkała dotąd żadnego mężczyzny swego gatunku, ale miała o nich bardzo kiepską opinię. Nauczono ją, że nie są w stanie wyciągać jakichkolwiek głębszych wniosków ani poczuwać się do najmniejszej odpowiedzialności. Nie różnili się zbytnio od inteligentnych zwierząt, maszyn rozplodowych niezdatnych do niczego więcej.

Mavra oraz Obie byli zaskoczeni taką opinią, chociaż powstrzymywali się od wysuwania pochopnych wniosków. Brakowało powodów, dla których mężczyźni mieliby być właśnie tacy. Biorąc pod uwagę sposób, w jaki Julin stworzył załazek tej rasy oraz jego egomanię, mężczyźni rzeczywiście powinni być potężnymi maszynami rozplodowymi. Powinni jednak również przynajmniej dorównywać swemu twórcy pod względem intelektualnym. A trzeba przyznać, iż mimo swych chorobliwych ambicji oraz całkowitej amoralności Julin był niemal geniuszem. Obie z pewnością nie wpisał półkretynizmu w genotyp olimpiańskich samców.

W niewielkim, urządzonym po spartańsku porcie kosmicznym nie oczekiwała ich odprawa celna ani inne tym podobne formalności. Wiadomo było, że tylko Olimpiańczycy mogli dotrzeć aż tutaj. Nie było również barów, spelunek czy innych przybytków w tym guście, typowych dla portów kosmicznych. Jedyne parę pasów startowych, doki dla promów oraz niewielka poczekalnia. Wszystko nowoczesne, funkcjonalne — zbudowane z prefabrykatów, bez krzty wyobraźni twórczej.

Stolica Sparta w pełni zapracowała na swą nazwę — żadnych zbędnych luksusów, wszystko czysto użytkowe. Leżąc w olbrzymiej dolinie w kształcie misy — otoczonej z trzech stron ośnieżonymi szczytami, zaś z czwartej dziwnie niepokojącym, purpurowym oceanem — miasto zdawało się wręcz wstydzić za własną brzydotę kontrastującą z przepięknym krajobrazem. Kłocowate budowle, szerokie ulice ograniczone betonowymi murkami, całość utrzymana w tonacjach brązu i szarości. Prawie wszędzie kursowały trolejbusy wożąc ludzi cicho i bezpiecznie. W góry można było się dostać wsiadając do któregoś ze specjalnych wagoników.

W zasadzie nie było widać prywatnych pojazdów, choć po drogach pędziło mnóstwo ciężarówek.

Mieszkanki chodziły również dużo pieszo, prezentując się we wszelkich możliwych kreacjach i negligach. Często wyzywająco umalowane, z mnóstwem biżuterii, w nieomal każdej możliwej fryzurze głowy, a także ogona. Tatuaze wydawały się również obecnie w modzie. Niektóre Olimpianki wyglądały jak prawdziwe klauny cyrkowe.

Mavra od razu zrozumiała sens całej tej bzdurnej z pozoru maskarady. Po ukończeniu piętnastego roku życia wszystkie Olimpianki wyglądały identycznie. Starzały się wewnętrznie, lecz nie zewnętrznie. I tak było aż do śmierci nadchodzącej zazwyczaj w wieku około dwustu lat. Wszystkie były jednakowego wzrostu, posiadały tę samą barwę głosu. Wszystko inne również identyczne, z wyjątkiem barwy włosów i oczu. Kolory te mogły być zmieniane przy pomocy barwników oraz specjalnych szkieł kontaktowych.

Uczynienie z siebie wyróżniającej się jednostki było więc ambicją każdej z tych kobiet. Setki, tysiące identycznych piękności spacerowało po całym mieście. Nie było jednak w ogóle widać mężczyzn.

Większość cięższych prac, takich jak noszenie bagażu za nowoprzybyłymi, wykonywały roboty przystosowane do wytrzymywania niszczycielskiej atmosfery. Istniały Olimpianki inteligentne, jak i przytępawe, ponieważ i wśród Pramatek były zarówno jedne, jak i drugie, nie mówiąc już o innych przyczynach. Żadna z kobiet nie musiała jednak wykonywać prac fizycznych i żadna ich nie wykonywała — od tego były maszyny.

— Hotel Central — Jua poleciła szorstko maszynie. Mavrze kojarzyła się ona z ulepszonym, samobieżnym wózkiem na zakupy.

— Tak, ma'am — oznajmił mechaniczny głos, a urządzenie błyskawicznie zebrało bagaże i ruszyło w stronę sieci podziemnych dróg.

Nie było tu w ogóle taksówek — Olimpianki na ogół wiedziały, gdzie są i do którego trolejbusu należy wsiąść. Jua wybrała któryś i razem wsiadły do niego. Musiały stać, tak jak i inne pasażerki. Najwidoczniej nikt w Sparcie nie uznaje miejsc siedzących, co bez entuzjazmu spostrzegła Mavra.

Podróż trwała około dziesięciu minut, w czasie których pojazd ani razu się nie zatrzymał. Toczył się po prostu w żółtym tempie, a ludzie wskakiwali i wyskakowali. Nikt nie pobierał żadnych opłat.

Hotel Central był kwadratową budowlą, mieszczącą się w pobliżu centrum miasta. Podobnie jak i reszta budynków w Sparcie był niski, pięciopiętrowy, wybudowany z myślą o częstych trzęsieniach, których strefa pokrywała praktycznie całą powierzchnię planety. Nim weszły do środka przez frontowe drzwi, Mavra przyjrzała się krytycznie budynkowi. Pewnie wynajmują tu małe klitki, w których możesz przespać się na stojąco, opierając się plecami o betonową ścianę — pomyślała ponuro. Nie olśniło ją bynajmniej dzieło następców jej dziadków. Wiedziała,

że i oni sami nie byliby również zbyt zachwyceni obecnym wyglądem Olimpusa. Czasami jest prawdziwym błogosławieństwem, że wielcy ludzie nie doczekują ziszczenia swoich marzeń.

Jak można się było spodziewać, hall był utrzymany w tonacji brązowej i sprawiał przygnębiające wrażenie. Z dostaniem pokoju nie było żadnych problemów. Tu także nie żądano pieniędzy ani dokumentów. Społeczeństwo zostało do tego stopnia podporządkowane, że przyjmowano za pewnik, iż gdy ktoś potrzebuje pokoju w hotelu, to ma ku temu ważne powody. Mimo wszystko trzeba się było jednak zarejestrować. Mavra podejrzewała, że czasami ktoś przegląda te wpisy, by sprawdzić kto, co, z kim i kiedy.

Zarejestrowała się jako Mavra A 332-6. Jak zdążyła zauważyć, Mavra było dość często używanym imieniem na Olimpusie, co zresztą wcale jej nie przeszkadzało. Nikki Zinder, jedna z Pramatek, miała córkę — założycielkę Olimpusa — której ojcem był Renard, w swej normalnej postaci wciąż zaczytany satyr. Nikki nadała swemu dziecku imię na pamiątkę Mavry Czang. Tak więc Mavra wcale by się nie zdziwiła, gdyby imiona: Nikki, Vistrau oraz jeszcze z jakiś tuzin dalszych cieszyły się tutaj także popularnością.

Mavra używała osobistego kodu Juy, co dawało jasno wszystkim do zrozumienia, iż są „skojarzoną” parą. Podobne związki były na Olimpusie bardzo powszechne. W pewnym momencie życia niemal każdy decyduje się na dziecko. Występowała więc naturalna potrzeba istnienia dwuosobowej rodziny. „Skojarzona” para w hotelu znaczyła tylko jedno: przybyły do Sparty, by odwiedzić Świątynię Narodzin i zostać zapłodnionymi.

Pojęły szybko, że traktuje się je jak młodą parę. Mavra czuła się nieco skrępowana takim stanem rzeczy, lecz był to pomysł Obiego. Tłumaczył łatwo, dlaczego zawsze trzymają się razem, a uwielbienie Juy dla Mavry można było poczytać za normalną czułość kochanki.

Ich pokój okazał się miłą niespodzianką. Pośrodku stało gigantyczne, miękkie i puszyste łóżce, zaś obok znajdował się pulpit rozrywkowy oraz automatyczny dozownik posiłków. Z przysłoniętego firanką okna na piątym piętrze roztaczał się widok na część miasta.

Jua z zapalem wskazywała Mavrze najróżniejsze, według niej godne uwagi miejsca.

— O tam, niedaleko gór, znajdowało się pierwsze osiedle Pramatek, obecnie zamienione w świątynię. U podnóża tej wielkiej góry mieści się Główna Świątynia, najważniejszy ośrodek międzyplanetarnej religii i olimpiańskiej teokracji. Zaś tu, trochę na prawo, ten wielki sześciokątny budynek to miejsce, gdzie się wychowałam.

Na rano następnego dnia zaplanowały sobie wycieczkę po mieście, a później wizytę w Głównej Świątyni. Mavra ciągle nie była do końca pewna, co w zasadzie ma teraz robić, skoro jest już na miejscu. Postanowiła jednak odłożyć ten problem

na jutro. Wciąż nurtowało ją pytanie: gdzie się podziiali mężczyźni? Czy to możliwe — przemyślała — aby na tej samej zasadzie, według której pozbawione ogonów Atenki przewyższały rangą Afrodyty z ogonami, mężczyźni — jeszcze mniej liczni członkowie populacji — mogli kryć się gdzieś w centrum Głównej Świątyni?

Pomysł ten nie miał jednak większego sensu, gdy wzięło się pod uwagę fakt, jak mierne mniemanie o nigdy nie widzianych mężczyznach wpojono Jui. Kryła się w tym wszystkim jakaś zagadka, którą Mavra miała zamiar rozwikłać. Obie również był ciekaw. Być może odpowiedź odnajdą w Głównej Świątyni. Pozostawało jednak wiele bardziej naglących spraw do załatwienia. Tymczasem *Nautilus* wraz z niecierpliwym się Obiem — nie wspominając już Cygana i Marquosa — ciągle czekał.

Gdy słońce, rozmyte czerwono-pomarańczowe kółko, zniknęło już za górami, Jua zamówiła dla nich obu posiłek i napoje. Potem leżały razem na łóżku wystarczająco obszernym mimo płaczących się ogonów. To w zasadzie najprzyjemniejszy moment w ciągu całej tej wyprawy — pomyślała Mavra. Czuła się jakoś dziwnie. Nie potrafiła opisać tego doznania — zatarło się w pamięci. Jestem podniecona jak wszyscy diabli — pomyślała nagle. Musiano coś dodać do jedzenia i drinków. Jakiś afrodyzjak silnie działający na ustrój Olimpianek. Musiała skupić całą swą siłę woli, by odrzucić zapędy Juy i położyć się normalnie spać.

Zbudził je dzwonek. Dźwięk był głośny i świdrujący. Z gatunku tych, które zawsze warto mieć w budziku, gdy trzeba wcześnie wstawać. Jua ziewnęła, spojrzała na Mavrę, uśmiechnęła się słodko, po czym wstała.

— To u drzwi. Ja otworzę — oznajmiła przymilnie.

Mavrę dręczyły różnorakie problemy. Najgorsze było wciąż narastające pożądanie — za chwilę może już nie być w stanie się opanować. Z drugiej strony, kto może wiedzieć, że one tu są — i dlaczego ów ktoś je budzi?

Okazało się, że to tylko robot obładowany dziwnymi z wyglądu, lecz niezwykle apetycznymi daniami oraz olimpiańskim odpowiednikiem szampana.

Mavra wstała.

— Co to takiego? — spytała. — Nie zamawialiśmy przecież śniadania.

— Pozdrowienia od hotelu — wypiszczał mechaniczny kelner. — Wszystko naturalne, żadnych syntetyków. Pozwoliliśmy sobie również zaanonsować was w Świątyni Narodzin. To jeszcze jedna przysługa naszego hotelu — dodał niemal z dumą. — Teraz mamy ósmą. Jesteście zapisane na dziesiątą. Nie zapomnijcie karty leżącej na stole. Skorzystajcie z tramwaju linii sto osiemdziesiąt siedem. Dziękuję.

Wytoczył się z pokoju, a drzwi zamknęły się za nim automatycznie.

Mavra była poirytowana.

— Nieźle sobie poczynają, co?

— Co teraz zrobimy? — spytała Jua. — Jeśli się nie stawimy, będzie to mocno podejrzane.

Mavra skinęła głową. Do jasnej cholery, miałam ochotę na miłosne igraszki! Sama się o to w zasadzie prosiłam! Ale Jua ma rację — jeśli nie pójdziemy wzbudzi to podejrzania i utrudni działanie. Zresztą pewnie cały ten zabieg będzie raczej klinicznej natury i szybko dobiegnie końca. Później będą mogły pójść spokojnie do Głównej Świątyni.

Jua była wyraźnie podekscytowana zbliżającymi się wydarzeniami. Mavra westchnęła i skapitulowała. Usiadły razem do posiłku. Jedzenie było z pewnością nafaszerowane afrodyzjakiem, ale diabli z tym, pomyślała. Dzisiaj wreszcie się dowiem gdzie ukryli się mężczyźni.

Doświadczeni biochemicy robiąc doświadczenia na rasie niezwykle podobnych osobników są w stanie z łatwością uwydatnić każdy pożądany szczegół budowy. Fakt, że jak na razie ludność Olimpusa została poddana jedynie dość nieznacznym modyfikacjom, świadczył bardzo pochlebnie o ich przywódcach, jeśli w ogóle takich posiadali. Jednakże w kwestii reprodukcji niewiele zostało pozostawione czystemu przypadkowi. Mieszanina afrodyzjaków, dostosowanych do właściwości organizmów Olimpierek, wprowadziła Mavrę i Juę w odpowiedni stan emocjonalny. Pod koniec drogi, jaką przebyły do Świątyni Narodzin, z trudem mogły skupić myśli nad czymś innym niż seks, a żądze targające ich umysłami i ciałami były niemal nie do zniesienia.

Czekano już na nie, a raczej chłodnego powitania dokonały sztywne i otoczone aurą profesjonalizmu kobiety-technicy. Niewielki myślący jeszcze racjonalnie kącik mózgu Mavry zastanowił się nad wszystkimi tymi przygotowaniami — były zbyt staranne.

Mavrę i Juę skierowano do oddzielnych wind, z których każda sprawiała wrażenie przeznaczonej dla jednej osoby. Gdy weszły do środka, drzwi same się zamknęły i windy zaczęły zjeżdżać powoli w dół. Mavra poczuła, jakby olbrzymia chmura pyłu zleciała jej z ciała i umysłu.

— *Przepraszam, Mavro* — głos Obiego rozległ się w jej głowie. — *Nie chciałbym cię do niczego przymuszać.*

— *Obie!* — odrzyknęła mu w myślach — *Jak, u diabła?...*

— *Jestem doczepiony do twojego mózgu i centralnego układu nerwowego* — wyjaśnił komputer. — *Przykro mi. Musisz zrozumieć — to są dzieci moich dzieci. Sam ich stworzyłem. Po prostu muszę wiedzieć.*

— *Zaaranżowałeś całą tę hecę z urodzinami! Ty za tym wszystkim stałeś!*

Głos Obiego brzmiał nutą przeprosin.

— *Nie zabierze to zbyt wiele czasu. Muszę wiedzieć, jak wyglądają mężczyźni. Gdy tworzyłem Olimpię, nie naznaczyłem mężczyzn w jakiś specjalny sposób.*

— *No cóż, może tutaj kobiety są sztucznie zapłodnione, w co jednak wątpię. Tak więc spotkam się za chwilę z jakimś maniakiem seksualnym, a wszystko dzięki tobie. Wyciągnij mnie z tego!*

W głosie Obiego wciąż dało się słyszeć przepraszający ton, lecz tym razem już nieco słabszy — *jestem pewien, że jakoś sobie poradzisz.*

Mavra była zielona z wściekłości.

— *Obie, nie waż się już nigdy więcej wyprawiać takich rzeczy bez mojej wiedzy i zgody, zrozumiano?*

Nastąpiła chwila przerwy, a później maszyna odparła z niejaką skruchą:

— *W porządku.*

W przeszłości niejednokrotnie doświadczała podobnych kontaktów mentalnych, lecz nigdy w takich warunkach. Nigdy też nie była wówczas tak roztrzęsiona.

Drzwi windy rozwarły się ukazując sypialnię — całą podłogę zajmowało łóżko. Pomieszczenie było ładnie przyozdobione, w tle grała kojąca muzyka, w powietrzu unosił się przyjemny zapach, a dookoła leżało mnóstwo poduszek. Po drugiej stronie pokoju leżał wygodnie rozparty Olimpiańczyk.

Wyglądał tak jak się tego spodziewała — żywy pomnik atlety, niesamowicie przystojny i doskonale zbudowany. Odpowiadający życzeniu Bena Julina.

Zbliżyła się do niego ostrożnie, próbując wymyślić w jaki sposób wybrnąć z sytuacji.

— *Cześć* — przywitał ją cicho, zmysłowo. — *Podejdz proszę bliżej, usiądź obok.*

— *Twoje hipno działa na Olimpian* — uspokoił ją Obie. Właśnie dzięki niemu byli odporni na niemal wszystkie rodzaje toksyn. Lecz równocześnie, jako ich twórca, Obie wiedział doskonale, w jaki sposób można obejść własne zabezpieczenia.

Napięła mięśnie opuszków palców, czując jak toksyna sączy się z niewielkich gruczołów wprost do igiełek umieszczonych przez Obiego pod jej paznokciami. Uspokoiła się — znów nad sobą panowała.

Zbliżywszy się nerwowym krokiem, jakby ciągle pod wpływem afrodyzjaku, ułożyła się obok niego i objęła go ramionami, tak jak się tego spodziewał. Wbiła mu igiełkę w plecy, a on nawet tego nie poczuł. W ciągu paru sekund toksyna zaczęła działać. Mavra puściła go i usiadła, rozkazując mu uczynić to samo. Usłuchał.

— *Jak ci na imię?*

— *Doney* — odparł cicho, mrugając oczyma.

Mavra skinęła z zadowoleniem głową.

— *Od jak dawna już tu jesteś, Doney?* — usiłowała zaspokoić ciekawość zarówno Obiego, jak i swoją własną.

— *Nie mam pojęcia* — odrzekł. — *Długo.*

— Ile masz lat?

Nie wiedział.

— Robisz coś jeszcze poza tym?

Mimo narkotyku był wyraźnie zaskoczony.

— Cóż innego mogą robić mężczyźni? Do tego się przecież urodziliśmy.

Reszta przesłuchania ustaliła dostatecznie wyraźnie obraz Olimpijczyków. Wychowywani byli w Świątyni tylko w jednym celu. Nie wiedzieli kompletnie nic o zewnętrznym świecie, nawet że taki w ogóle istnieje. Dzieciństwo spędzili beztroskie, choć w klasztornych warunkach. Mieli mnóstwo zabawek, gier, rozrywek, lecz niewiele poza tym. Nie nauczono ich czytać ani pisać, ani dokonywać najprostszych rachunków. W okresie dojrzewania zapoznawali się z umiejętnościami niezbędnymi w ich przyszłej pracy. Pod wszystkimi innymi względami pozostawali dziećmi obmyślającymi nowe zabawy i bawiącymi się w dziecinne gry w wielkiej sali gimnastycznej. Nawet słownictwo mieli starannie ograniczone. Każda wolna chwila była zagospodarowana przez Świątynię. Mężczyźni nie przebywali nigdy w grupach bez nadzoru, nie dawano im okazji do myślenia, do zadawania pytań. Nic ich nie ciekawiło, nad niczym się nie zastanawiali. Wyższość kobiet we wszelkich dziedzinach życia była niekwestionowana — mężczyźni istnieli jedynie, by służyć. Mavra była wstrząśnięta. Obie starał się zanalizować sytuację.

— *Nie zapominaj* — upomniał ją komputer — *że twój dziadek był kobietą, która lubi kobiety, a mężczyzną stał się jedynie dzięki Nathanowi Brazilowi. Później zaś w wyniku działania Studni zmienił się w Yaxa, przedstawiciela jednej z motylowatych ras, u których samice mają całkowitą dominację, zaś samce są bezmózgowymi maszynami rozplodowymi. Początkowo tutejsza populacja składała się prawie wyłącznie z kobiet. Najważniejsze funkcje z braku alternatywy piastowały osobniki płci żeńskiej. Zaś obaj samce mieli zasadnicze znaczenie — musiano ich ochraniać. Łatwo dostrzec jak ewoluował ten system.*

— *To odrażające* — stwierdziła Mavra. — *Nie różni się niczym od instytucji domów publicznych, gdzie wychowywano dziewczyny na dziwki.*

— *Och, z pewnością* — zgodził się Obie. — *Wcale mi się to nie podoba. Lecz po prostu zastanawiam się, jak taki system mógł się, logicznie rzecz biorąc, rozwinąć poczynając od stanu wyjściowego, który miał miejsce przy zakładaniu kolonii na tej planecie. Naprawdę fascynujące.*

— *Powinniśmy coś z tym jednak zrobić!* — wykrzyknęła porywczo Mavra.

— *Niewiele możemy uczynić, chyba że chcesz, abym zmienił całe oblicze planety* — odparł komputer. — *Poza tym stoimy obecnie przed groźbą zagłady całej Konfederacji i być może w ogóle rzeczywistości. Zostawmy w spokoju Olimpusa i jego ustrój społeczny. Czy to w ogóle ma jakiegokolwiek znaczenie?*

Na to pytanie nie było rozsądnej odpowiedzi. Mavra zmieniła temat.

— *Jak długo powinnam tu jeszcze zostać?* — zastanowiła się, kierując to pytanie bardziej do siebie niż do Obiego.

Mimo to komputer odpowiedział.

— *Mniej więcej godzinę. Włocz temu facetowi wspomnienia przyjemnych igraszek i ułóż go do snu. Dam ci znać, kiedy nadejdzie pora, by stąd wyjść.*

Zrobiła, jak radził, wszczepiając niezwykle sugestywne reminiscencje do mózgu niedoszłego kochanka. Niedługo potem smacznie chrapał tuląc do siebie poduszkę niczym ulubionego misia i uśmiechając się przez sen.

Pewien czas pochłonęło jej omawianie kolejnych posunięć z Obiem.

— *Dostań się jakoś do Głównej Świątyni* — podsunął. — *Musimy skontaktować się z przywódcami politycznymi — nieważne kim są. Pewne poszlaki świadczą, iż cała władza skupiona jest w jednym ręku. Dowiedz się w czym. Przeprowadź wywiad delikatnie i ostrożnie. Na wszelki wypadek będę ci towarzyszył.*

Czas włókł się niemiłosiernie.

Jua była w szampańskim nastroju — sprawiała wrażenie lekko oszołomionej jeszcze przez jakiś czas po wyjściu ze Świątyni Narodzin. Wsiadły do tramwaju jadącego w kierunku Głównej Świątyni, której wieżycę dostrzec można było w oddali.

— *Komu zdałaś raport?* — spytała Mavra.

— *Przełożonej* — odparła Jua. — *To Atenka* — dodała z pewnym niesmakiem. *Atenki nie mają ogonów.*

— *A kto odbiera jej sprawozdanie? To znaczy, kto tu rządzi?*

— *W zasadzie chyba Święta Matka* — odrzekła Jua. — *Nigdy jej nie widziałam.*

— *Święta Matka mieszka w Głównej Świątyni?*

Jua skinęła głową.

— *Tak słyszałam.*

Główna Świątynia robiła imponujące wrażenie. Choć nie przewyższała okolicznych budynków, z wyglądu przypominała średniowieczne zamczysko z błyszczącego metalu, zwieńczone wieżami i niskimi basztami. Nocą skąpana była w różnokolorowym świetle, lecz nawet w samo południe robiła niemałe wrażenie.

Jedyne wejście stanowiła niesamowicie długa kaskada kamiennych schodów. Sam budynek był solidnie osadzony, spoczywał na fundamencie otaczających miasto gór.

Po prawej stronie Jua i Mavra spostrzegły Szlak Pielgrzymów prowadzący w stronę pierwotnych, historycznych osiedli. Spacer w tamtym kierunku nie zapowiadał się zbyt męcząco, Mavra zaproponowała więc, aby przed wejściem do Świątyni zwiedzić najpierw tamto miejsce. Olimpianki mogły sobie być dziećmi Obiego, lecz dwie najważniejsze Pramatki były przede wszystkim dziadkami Mavry Czang.

Dobrze utrzymany szlak obficie dekorowały różnorakie znaki, gablotki i napisy przybliżające historię założenia Olimpusa. Opowiadały o tym, jak Pramatki dały się opętać przez Złego w czasie pobytu na mistycznym Świecie Studni, przedstawianym jako uosobienie raju. Znajdowała się tam również historia powrotu do Konfederacji dzięki machinacjom kolejnego bliżej nie zidentyfikowanego Złego. Został on pokonany w wielkiej bitwie, pozostawiając Pramatki zwycięskie, lecz oderwane od raju. Była tam także opowieść o tym, jak postanowiły zbudować swój własny świat tutaj, na Olimpusie.

Najwcześniejsze osady były istotnie prymitywne. Mavra podejrzewała, że wcale nie musiały stać aż na tak żalonym poziomie. Owa surowość była raczej świadomą próbą zbudowania kultury nowej rasy od samego początku, przy ograniczeniu kontaktów z Konfederacją do niezbędnego minimum. Pramatki wiedziały od samego początku, że jedynie z zewnątrz przybrały postać pięknych kobiet. Wewnątrz pod względem biologicznym oraz wszystkimi innymi czuły się całkowicie obcą rasą. Mogły być traktowane jak swego rodzaju ciekawostka w zupełnie wówczas zdominowanej przez ludzi Konfederacji. Jednak, co do jednej kwestii nie miały sobie równych — pod względem umysłowym wyrastały ponad ludzkość i ten stan rzeczy trwał po dziś dzień.

W pewnym miejscu w skale wykuto i pozłożono imiona jedenastu Pramatek. Większość z nich nic nie mówiła Mavrze, jako że były uciekinierkami z Nowych Pompejów. Dostrzegła tam jednak także nazwiska: Kally „Wuju” Tonge oraz Vistrau, jej pradziadków, jak również Nikki i córki Nikki — Mavry. Zaś pod tymi jedenastoma imionami, trochę z boku wyryto jeszcze jedno i otoczono złotą ramką.

MAVRA CHANG TONGE.

— Niech mnie diabli — wyszeptała Mavra cicho. — Niech mnie diabli, jeśli nie czuję się idiotycznie podekscytowana.

Znalazła tu początek własnego istnienia, własnej rodziny, co chwyciło ją mocno za serce.

Jua była zaskoczona.

— Hej, to przecież ty, prawda? — sapnęła z wrażenia. — Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam!

Mavra przerwała milczenie. Odwracając się powiedziała głucho:

— Zakończmy już tę wycieczkę.

Pomaszerowała z powrotem drogą nie odwracając głowy, a Jua ruszyła za nią. Z pozoru Mavra znów była całkowicie opanowana.

— *Obie, gdzie teraz jesteś?*

— *W okalającej przestrzeni jest mnóstwo najróżniejszych śmieci* — odparł natychmiast komputer. — *Jestem dobrze ukryty, lecz w zasięgu łączności.*

— *Masz na mnie zamiar?* — spytała wspinając się po długich schodach ku wrotom Głównej Świątyni.

— *Jestem ciągle w kontakcie* — uspokoił ją. — *Daj mi tylko znak, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.*

Olimpianki nieustannie wpinały się i schodziły po schodach, wchodziły i wychodziły przez masywne wrota Świątyni. Większość stanowiły Afrodyty, lecz trafiło się również parę Atenek odzianych w zakonne szaty i spieszących w jakichś sprawach. Było tu po prostu tłoczno.

Wnętrze Głównej Świątyni przypominało bardziej poczekalnię w porcie kosmicznym niż centrum kultu. Skomplikowany model Świata Studni wisiał pośrodku olbrzymiej sali, mozaikowe podobizny tysięcy najróżniejszych stworzeń zdobiły posadzkę i ściany. Mnóstwo drzwi i korytarzy wiodło z tej sali, a na początku każdego stało biurko, za którym siedziała kapłanka. Wszystko było doskonale zorganizowane — Mavra musiała to przyznać.

Jua przemierzyła niemal całą komnatę, podeszła do właściwego biurka i pozdrowiła siedzącą tam Afrodytę krzyżując ręce na piersiach.

— Jua z Mendat pragnie zobaczyć się z Jej Świątobliwością — oznajmiła nie tracąc czasu.

Recepcjonistka skinęła nieznacznie głową i sprawdziła listę, a następnie zwróciła się na powrót do Juy.

— Szybko wracasz, Wielebna Kapłanko. Nie wiedzieliśmy nic o twoim przybyciu.

— Pragnę zdać Jej Świątobliwości raport ze spotkania z rządem Konfederacji — odparła chłodno Jua. — To bardzo ważne.

Urzędniczka wzruszyła niemal niedostrzegalnie ramionami. To nie był już jej problem.

— Powiadomię Jej Świątobliwość, że czekasz — odparła i przeniosła wzrok na Mavrę. — Tak?

— Ta siostra jest ze mną — wyjaśniła pospiesznie Jua — i przewozi raport. Całą odpowiedzialność biorę na siebie.

Ciemne brwi uniosły się nieznacznie do góry. Recepcjonistka wystukała kod Juy. Po paru sekundach zapaliła się zielona lampka. — Możecie wejść — oznajmiła. — Poczekalnia numer trzy, po prawej stronie.

Minęły biurko i ruszyły w głąb Świątyni. Było tu jakoś niezwykle anonimowo w porównaniu z fasadą i olbrzymim halle — czuły się jak we wnętrzu biurowca. Drzwi do poczekalni numer trzy rozsunęły się same, gdy podeszły bliżej. Niemal pośrodku stały dwie kamienne ławki bez oparcia, a naprzeciw nich na małym podwyższeniu znajdowało się niewielkie krzesło z jakiegoś tworzywa sztucznego, przystosowane kształtem do ludzkiej postaci. Konstrukcja uniemożliwiała korzystanie z niego Afrodytom — widocznie ten teren znajdował się pod rządem Ate-

nek. Jedynym innym meblem w pomieszczeniu był mały stolik ustawiony przed krzesłem.

Mavra i Jua zdążyły zaledwie usiąść, a już drzwi za nimi otworzyły się. Wstały i zwróciły się w stronę Olimpianki odzianej w purpurową togę. Kobieta podeszła do krzesła, a następnie na nim usiadła z czego wynikało, że nie posiada ogona. Pod pachą niosła kilka dokumentów, które teraz ułożyła na stole.

— Witaj, Juo — zaczęła, skinąwszy głową w stronę Wielebnej Kapłanki. — A kim jest twoja towarzyszka?

Jua chciała już coś odpowiedzieć, lecz Mavra przerwała jej. — Jestem szpiegiem — odparła niedbale. — Nazywam się Mavra Czang.

Atenka wyglądała na nieco zaskoczona.

— O co tu, do diabła, chodzi? — warknęła. — Oszalałaś?

— *Obie? Trzymasz ją na celowniku?*

— *Nie ma sprawy, Mavro.*

Fioletowa poświata otoczyła Atenkę, a jej postać zaczęła migotać. Zaraz potem poświata niespodziewanie zgasła.

Atenka stała wyprostowana, uśmiechając się. Pozdrowiła je chyląc głowę i krzyżując ramiona na piersi. Potem spytała cicho:

— Czym mogę wam służyć?

Jua była kompletnie oszołomiona i spoglądała raz na swą przełożoną, a raz na Mavrę Czang. Nie mając zielonego pojęcia o więzi łączącej Mavrę i Obiego, przeczytała to zdarzenie za kolejny dowód na potwierdzenie jej obcowania z boginią.

— Kto rządzi na Olimpusie? — spytała Mavra.

— Święta Matka, rzecz jasna — odparła Atenka.

Mavra skinęła głową.

— Ona trzyma w swym ręku absolutną, całkowitą władzę?

— Tak, oczywiście. Wszyscy jesteśmy posłuszni woli Świętej Watki.

— Ona mieszka tu, w Świątyni?

— Owszem — zapewniła ją Atenka.

— Chciałabym uzyskać audiencję, najszybciej jak to możliwe. Jesteś w stanie coś takiego przygotować?

— O tak, z pewnością, choć ona niezwykle rzadko udziela audiencji. Będę potrzebowała jakiegoś powodu.

Mavra zastanawiała się przez chwilę.

— Powiedz jej, że Mavra Czang Tonge powstała z martwych, by odnaleźć Nathana Brazila!

Atenka wróciła po niedługim czasie.

— Proszę za mną — poleciała.

Krótki korytarzyk doprowadził je do windy. Po przyciskach Mavra zorientowała się, że budynek liczy dziesięć pięter — najprawdopodobniej pięć nad oraz pięć pod ziemią. Atenka nie wcisnęła jednak żadnego guzika — drzwi zamknęły

się i winda ruszyła sama. Mavra obserwowwała, jak zapalają się światełka kolejnych kondygnacji, aż wreszcie dotarły na sam spód. Wtedy opuściły się jeszcze około trzydziestu metrów, sądząc po czasie, jaki im to zajęło.

Drzwi rozwarły się ukazując słabo oświetlone pomieszczenie. Mavra widziała doskonale w podczerwieni, podobnie jak wszystkie Olimpianki. Widziała wszystko wyraźnie. Komnata zbudowana była na planie koła. Ściany wykonano z wytrzymałego syntetyku, bez śladów jakichkolwiek innych otworów, nie licząc wejść do windy. Znajdowały się one w czterech przeciwległych punktach pomieszczenia i najwyraźniej stanowiły jedyną możliwość dostania się do środka.

Mavra zwróciła się w stronę dwóch towarzyszących jej Olimpianek.

— Wróćcie na powierzchnię i czekajcie na dalsze instrukcje — rozkazała szeptem. Oddały jej pokłon i uczyniły, jak poleciła. Została sama w zimnym pomieszczeniu.

Czy jednak aby na pewno? Żałowała teraz, że nie ma tej zdolności co Cygan, by stwierdzić to z całą pewnością. Instynkt podpowiadał, że ktoś ją obserwuje, lecz nie mogła nic szczególnego dostrzec.

Nagle pomieszczenie zostało zalane powodzią światła. Nic więcej się nie stało, lecz przez moment efekt był zupełnie dezorientujący.

Usłyszała głos Obiego.

— *Próbuj cię teraz zahipnotyzować. Zneutralizuję działanie ich środków.*

To nawet pasowało. Nie można być przecież groźnym władcą, nie dając od czasu do czasu wzbudzającego grozę przedstawienia. Znow pomyślała o Cyganie. Spodobałoby mu się tutaj.

I nagle rozległ się głos, niesamowicie stary, niesłychanie zmęczony i nieludzki. Był to głos niezwykle władczy, lecz równocześnie nieskończenie smutny, głos niepodobny do żadnego, jaki dotąd słyszała. Głos, który zdawał się dobywać ze wsząd i równocześnie znikąd.

— Kim i czym jesteś?

— *Komputerowo wzmocnione fale myślowe, pierwsza klasa* — poinformował ją Obie. — *Nie jest to jednak część tego przedstawienia. Zbyt całościowe i skomplikowane przedsięwzięcie jak na takie coś.*

Był wyraźnie zbity z tropu, a Mavrze wcale się to nie podobało.

— Nazywam się Mavra Czang — odparła próbując zlokalizować źródło głosu. Jeśli Obie miał rację, źródło mogło znajdować się w jej własnej głowie.

— Mavra Czang nie żyje — odrzekł na to głos. — Mavra Czang nie żyje od ponad siedmiuset lat.

— Mavra Czang wcale nie umarła — odparła zwracając się do niewidzialnej osoby czy też istoty. — Nikt nie może zabić Mavry Czang.

Zauważyła, że jej własnemu głosowi wtóruje nieznaczące echo, zaś głosowi tej drugiej osoby — nie.

— Jesteś szalona, moje dziecko. Przyjmij ducha swojej Świętej Matki.

Niespodziewanie Mavra poczuła ból, straszliwy ból głowy i całego centralnego układu nerwowego. Upadła na podłogę w drgawkach. Powoli zaczynała odczuwać tę drugą obecność, pełznącą, wkradającą się do jej umysłu, przejmującą kontrolę.

Obie, z początku również zaskoczony, rozpoczął błyskawiczną kontrakcję. Dzięki specyficznej więzi łączącej go z ciałem Mavry, starał się odrzucić obcą agresję mentalną. Nie była to bitwa w dosłownym tego słowa znaczeniu. Zanalizowawszy rodzaj ataku, natychmiast go powstrzymał, pozwalając by Mavra — już bezpieczna — upadła z wyczerpania na podłogę. Znajdowała się w szoku i pewnie z chęcią zaczęłaby wyrzucać na zewnątrz histerię, lecz opanowała się. Jej życie zależało od zachowania zimnej krwi. Powoli, chwiejąc się na nogach, wstała i rozejrzała dookoła. Przepełniona wojowniczym duchem nie zdawała sobie sprawy, że krzyczy.

— No i co? Porozmawiamy, czy mam teraz z kolei ja wdrzeć się do twojego umysłu?

Złość jest zawsze niezłym środkiem pobudzającym, a w tam tej chwili Mavra była wściekła jak wszyscy diabli.

— Kto ośmiela się atakować umysł Mavry Czang?

Obie był pełen aprobaty.

— *Wszystko w porządku, kotku! Uspokój się trochę, a wróć cię do poprzedniej postaci! To powinno przepelnić ich bogobojnym strachem!*

Czuła jak Obie sięga po nią, jak jej postać zostaje skąpana w fioletowym świetle. Jednak sama przemiana zaszła błyskawicznie i Mavra nie była do końca jej świadoma. Zdawała sobie jednak sprawę, iż jej gibka ubrana w czerń ludzka postać jest obserwowana przez niewidoczne istoty. Jeśli były w posiadaniu jakichkolwiek zapisów historycznych, to z pewnością rozpoznają oblicze, które mają przed oczyma.

Wyczuła zaskoczenie w owym obcym głosie-niegłosie, gdy ponownie się odezwał.

— Ty jesteś Mavrą Czang!

— Rzeczywiście — przyznała wdzięczna Obłemu, że usunął resztki szoku. W pełni już nad sobą panowała. — A kim ty jesteś?

Przez chwilę głos milczał, najwyraźniej zbity z tropu i może nieco przestraszony potęgą, z jaką przyszło mu się zmierzyć. Wreszcie oznajmił:

— Nazywam się Nikki Zinder.

Tym razem to Mavra była szczerze zaskoczona.

— Poczekaj tylko! Wiem, że ja istnieję, ale ty to co innego! Niemożliwe!

Jedynym wyjaśnieniem był inteligentny komputer, jak sądziła. Komputer zaprogramowany tak, by myślał, że jest rzeczywiście Nikki Zinder. Musi o to chodzić. Obie zachowywał powściągliwe milczenie — stworzony przez ojca Nikki, uważał ją za swoją siostrę.

Mavra pamiętała prawdziwą Nikki. Gruba, naiwna, ochraniająca przez ojca przed okrutną rzeczywistością, póki nie wylądowali na Świecie Studni. Nikki nafaszerowana była gąbką po same uszy. Mavra przeforsowała pomysł, by zabrać ją oraz Renarda — służącego, który również nie miał długiego życia przed sobą — do rozdzielnika Świata Studni. Gdy oboje myśleli, że już po nich, postanowili się po raz ostatni kochać. Renard został jednak przemieniony przez Studnię Duszy w podobnego do satyra Agitara. Obie zaopiekował się natomiast Nikki i umieścił ją w jednym z pomniejszych pomieszczeń kontrolnych. Tam wydała na świat dziecko Renarda, które nazwała imieniem Mavra. Tam już oboje rodzice zostali przemienieni w stworzenia zwane dziś Olimpianami lub Pallasami. Należeli do grona Pramatek.

Lecz wszystkie te wydarzenia miały miejsce z górą siedemset lat temu.

Maszyna, która uważa się za dawno zmarłą w rzeczywistości osobę — pomyślała niewesoło Mavra. Jak tu rozmawiać z czymś takim?

— Nowe Pompeje zostały zniszczone — podjął głos. — Widziałam to na własne oczy. Obie uległ zagładzie. Moje istnienie natomiast potwierdzają zapisy historyczne. Ty nie możesz być Mavrą Czang.

— Obie nie zginął. Ja również przeżyłam. Udaliśmy tylko śmierć. Znasz potęgę Obiego; wiesz, że leżało to w granicach jego możliwości. Widzisz teraz, w jaki sposób ciągle jeszcze chodzę po tym świecie. Pamiętasz mnie pewnie także z dawnych dni. Posiadasz wspomnienia Nikki Zinder. Zdajesz sobie sprawę, iż tak mogło być rzeczywiście.

Nastąpiła krótka pauza.

— Mówisz tak, jakbym to ja nie była tym, za kogo się podaję — oznajmił głos. — Powiedziałam już, że nazywam się Nikki Zinder. Pozostałam żywa, związana na stałe z tą maszyną. Lecz nie jestem maszyną. Mój umysł i dusza żyją własnym życiem, znajdują jedynie schronienie w jej wnętrzu.

Mavra rozważyła jej słowa.

— Ale dlaczego? Dlaczego ty, Nikki? Dlaczego nie inni?

— Pozostali podobnie jak ja zestarli się. Kiedy stało się jasne, że niedługo nadejdzie śmierć, kiedy umarła Touri, wszyscy się zebrali i podjęli decyzję. Postanowili odnaleźć bramę Markowian, powrócić do Świata Studni i narodzić się tam powtórnie. Wszyscy razem opuścili to miejsce i z tego, co wiem, powiodło im się, a mojej córce między nimi.

— Ale ty nie poleciałaś?

— Ja nie poleciałam. Byliście tu, na Olimpusie, zaledwie od dwustu lat. Nasza populacja zaczynała się dopiero stabilizować. Pallasowie potrzebowali przewodnika, który pomógłby im zbudować tę właściwą społeczność, przewodnika, którym mogła zostać jedynie któraś z Pramatek. Dysponowałyśmy odpowiednią technologią. Zgłosiłam więc propozycję, aby nas, Pramatki, w sposób cybernetyczny wtłoczyć do komputerów zdolnych ochraniać i podtrzymywać życie w nieskończoność, tak

abyśmy stale mogły przewodzić. Inne się nie zgodziły, lecz nie były w stanie mnie zmusić, abym poszła w ich ślady. Tak więc zostałam sama. Kształtowałam wzrost i rozwój mojego społeczeństwa i wiodłam je przez wszystkie koleje tworzenia Zgromadzenia. Ta wielkość, którą dziś podziwiacie, jest moim dziełem.

— *Obie?*

— *Obawiam się, że to prawda. Też bym wolał, żeby było inaczej. Te fakty tłumaczą jednak anormalny rozwój tej kultury. Umysł i dusza mogą być przecho-
wywane, tak jak powiedziała, lecz komórki mózgu nie odradzają się wówczas. Mavro, ona musi być zgrzybiałą staruszką — staruszką pewnie zupełnie szaloną, sprawującą absolutną władzę nad ludźmi, którzy nie znają alternatywy. Postaraj się coś zrobić.*

Mavra ostrożnie ważyła słowa.

— Posłuchaj, Nikki. Musiano ci już o tym donieść. Konfederacja stoi w obliczu zagłady, może wszystko stoi w obliczu zagłady za sprawą idiotów, którzy nie potrafili obchodzić się należycie z wynalazkiem twojego ojca. Musimy temu zaradzić, a jedynym sposobem jest naprawienie samej Studni Dusz. Tego z kolei dokonać może jedynie Nathan Brazil. Musimy więc połączyć siły — wy i my. Rząd Konfederacji i moja grupa zawarliśmy już sojusz. Potrzebujemy jednak waszej współpracy. Pomożecie nam? Czy wydasz taki rozkaz?

Zdawało się, że Nikki była pogrążona w rozmyśleniach. Wreszcie rzekła:

— Owszem, Mavro. Otrzymasz wszystko, o co poprosisz. Jedynym warunkiem jest obecność Olimpianki w chwili odnalezienia Nathana Brazila.

— Sądzę, że możemy na to przystać — odparła Mavra. — Obawiamy się jednakże, iż wasz kult, to znaczy Zgromadzenie, może go przestraszyć. Musimy więc być niezwykle ostrożni, aby nam powtórnie nie umknął. Daję ci jednak słowo — słowo tej samej osoby, która uratowała cię z Nowych Pompejów i ocaliła ci życie na Świecie Studni — że będziecie miały do niego swobodny dostęp. Zgadzasz się?

— To wystarczy — odparł głos. — Idź teraz. Odpowiednie rozkazy zostały już wydane. — Moment wahania. — Przeżyjesz na zewnątrz w swej obecnej postaci?

Mavra skinęła głową.

— O, tak.

Drzwi windy rozwarły się. Ruszyła w ich kierunku, lecz po paru krokach przystanęła i skierowała twarz w stronę pustej komnaty.

— Żegnaj, Nikki — wyszeptała i po tych słowach weszła do windy. Drzwi zamknęły się za nią.

W tej samej chwili z windy znajdującej się po drugiej stronie wysiadły dwie Olimpianki odziane w szaty koloru kapłańskiego szkarłatu. Wkroczyły do pomieszczenia, przyklęły i oczekiwały na rozkaz.

— Z pomocą komputera tej klasy co Obie, archiwów Konfederacji oraz naszych wyznawców Nathan Brazil wkrótce zostanie odnaleziony — oznajmiła Nik-

ki Zinder. — Lecz miejcie się na baczności. Widziałyście, jak opętano Wielebną Kapłankę Juę i Arcykapłankę Tale?

— Widziałyśmy, Święta Matko — odparły z pokorą.

— Obie nas stworzył, lecz rozkazał mu to Zły — ciągnęła Nikki. — Nie wiemy, co uczynił Zły, gdy miał władzę nad Obiem, lecz możemy być pewne, że dzieło mojego ojca nie powinno nigdy dostać się w jego ręce. Toteż jest więcej niż prawdopodobne, że Obie nadal wypełnia wolę Złego, gdyż — jako maszyna — nie ma innego wyboru. Ciało Mavry Czang uległo deformacji, a ona sama zginęła w wyniku ataku Złego — wiem to na pewno, gdyż byłam wtedy tam obecna. Ten stwór, którego przed chwilą widziałyśmy, był jedynie rekonstrukcją wykonaną przez Obiego. Tak więc również na nim ciąży przekleństwo Złego. Nie zapominajcie nigdy, iż mamy do czynienia z wcielonym diabłem. Upewnijcie się, że nikt więcej nie dostał się pod jego urok, tak jak to spotkało nasze dwie siostry. Potrzebujemy ich, by odnaleźć Nathana Brazila. Musimy zawrzeć sojusz ze Złym, lecz ten demon dotrzyma słowa tylko do tego momentu, kiedy będzie to odpowiadało jego potrzebom. Nie ma w nim ani krzty honoru, uczciwości czy boskości. Śledźcie uważnie przebieg poszukiwań, uczynicie wszystko, o co was poproszą, lecz nie dajcie się opętać przez Złego, nie ufajcie nikomu. Zaś kiedy odnajdziecie już Nathana Brazila, upewnijcie się, że nikt poza nami nie będzie miał do niego dostępu. Czy wszystko jasne?

— Tak, Święta Matko — odparły z pokorą.

Wiedziały, że posłuchanie dobiegło końca. Weszły do windy.

Nikki Zinder, zamknięta we wnętrzu komputera, została znów sama. Mimo to dziwny głos wciąż brzmiał w pomieszczeniu straszliwym, skrzeczącym śmiechem.

— Och, Zły! — mówiła do pustki. — Masz zamiar uwięzić Pana Boga, by zniszczyć cały Wszechświat! Lecz nie uda ci się, zobaczysz. Gdy byłam jeszcze chłopcem, twe oblicze nawiedzało mnie i znęcało się nade mną okrutnie, a teraz przybywasz sam, by wciągnąć mnie w pułapkę! Nie pozwolę ci na to, nie pozwolę, nie pozwolę. . .

W końcu w komnacie zaległa cisza, a po chwili dziwny głos odezwał się ponownie. Tym razem płaczliwym, chwytającym za serce kwileniem malutkiej dziewczynki.

— Och, tatusiu! Tatusiu! Tak mi ciebie brak. . .

Kwangsi

Marquoz zapalił fajkę dmuchając w lukę, a następnie zaciągał się przez dłuższą chwilę, żeby wypuścić kłęby gryzącego dymu. Wreszcie rzekł:

— Problem oczywiście w tym, by przez cały czas trzymać Konfederację na dystans. Musiałem im nakłamać jak wszyscy diabli, aby uzyskać dostęp do danych.

Mavra Czang uniosła nieco swe ostre, czarne brwi. Zaczynała powoli lubić tego małego smoka. Nie tylko za jego cyniczną, świadomą własnych ułomności osobowość, lecz także za żyłkę łobuzerską. Obie uważał natomiast, że sympatia Mavry do Marquozza wypływa z tego, iż jest on niższy od niej, nie licząc ogona. Pod względem ciężaru wszakże Marquoz miał czterokrotną przewagę.

— Sądzisz, że coś podejrzewają? — spytała.

Przytaknął.

— Moim zdaniem wiedzą, że za tym wszystkim kryje się coś więcej, niż to, co im powiedzieliśmy. Nie są przecież głupcami. Agenci donieśli im o wielkim zwrocie w poczynaniach Zgromadzenia i o gruntownej przemianie, jakiej uległy ich Świątynie. Teraz pewnie, w związku z ekonomiczną ekspansją Olimpusa, zjednują sobie poparcie wpływowych lobby. Są poważnie zaniepokojeni niespodziewanym wzrostem popularności tego do niedawna regionalnego kultu. Zdają sobie sprawę, że istnienie takiej potężnej siły może przysporzyć wiele kłopotów.

Mavra rozparła się na fotelu, wsadziła do ust cygaro o ściętych kwadratowo obu końcach, odrzuciła propozycję smoka, który chciał podać jej ogień i przeszła do sedna sprawy.

— Więc ile nas jeszcze dzieli od sukcesu? Obie przerzuca olbrzymie ilości danych, lecz pochodzą one przeważnie z drugiej ręki. Wiesz, że nie mamy dość odwagi, by podciągnąć go bliżej Suby i samej Rady.

Głośnik dał o sobie znać. Był to zwyczajny interkom, choć dokonano w nim paru modyfikacji. Obie nie mógł ryzykować bezpośredniego połączenia z konfederacyjną siecią komputerową, lecz kontakt przez prywatną linię był do przyjęcia.

— Witaj, Mavro — odezwał się przyjemny i niesamowicie ludzki głos Obiego. — Nie potrafiłem powstrzymać się i podsłuchiwałem. Chcesz zestaw najświeższych danych?

— Jeśli będziesz tak miły — poprosiła i usiadła. Rzecz jasna Obie mógł porozumiewać się z nią w ten sam sposób co na Olimpusie, lecz Mavra paranoicznie nie znosiła utrzymywania takiego kontaktu przez dłuższy czas. Uważała Obiego za osobę i ceniła wysoko własną prywatność. Nawet jeśli wiedziała, iż zależy ona jedynie od dobrej woli komputera.

— Ukrył się dobrze, tyle mogę powiedzieć na pewno — zaczął Obie. — Niczyje dane nie mogą być usunięte całkowicie z banków komputerowych, to już wiesz. Lecz jeśli ktokolwiek twierdzi, że żadna istota nie może zrobić nawet kroku bez wiedzy komputerów, to fatalnie się myli.

— Miałeś jakieś problemy ze znalezieniem danych dotyczących Nathana Brazila?

— Och, nie. Wcale nie, Mavro. Mimo naprawdę porządnego kamuflażu, z łatwością prześledziłem jego dzieje wstecz o parę tysięcy lat — aż do Starej Ziemi. Narodził się przynajmniej na trzech tuzinach planet, a umarł na jeszcze większej ich liczbie.

— O co w tym chodzi? — wtrącił się Marquoz.

Obie zachichotał. Dość dziwnie było słyszeć maszynę w tak bardzo ludzkim odruchu, a szczególnie maszynę o takiej potędze i możliwościach, co Obie.

— Przecież po coś są te wszystkie dokumenty i jeśli nawet nie masz logicznie wykazanej przeszłości, ktoś to w końcu spostrzeże. Musiałem wyśledzić niezwykle inteligentny umysł, który zrobił wszystko, by nie zostać wyśledzony. Gdyby nie trzy czynniki, powiem wam, że nigdy nie udałoby mi się ta sztuka.

— Trzy czynniki? — zaciekawiła się Mavra.

— Właśnie. Po pierwsze, Brazyl prawdopodobnie nie jest w stanie zmienić na stałe swego wyglądu, nawet chirurgicznie. Próbował już. Nie jest częścią rzeczywistości markowiańskiej, tak jak my, lecz powstał w pierwotnym okresie Wszechświata, przed genezą samych Markowian. Dlatego jest najwidoczniej niepodatny na wszelkie zmiany dokonywane przez obiekty, które podlegają Studni Dusz. Niegdyś, bardzo dawno temu, na Świecie Studni zmieniał kształty ciała i pewnego razu sam został poważnie ranny. Wydaje się, że potrafi zregenerować się i wyleczyć niemal wszystkie obrażenia i nie można go zabić. Jednakże można zadać mu rany i to bardzo dotkliwe. Choć nawet wtedy gdy pozbawiony został normalnego ciała, na obszar Konfederacji powrócił w swej starej postaci. To zastanawiające — pełno w nim sprzeczności. Ktoś mógłby rzec, że jego obecna postać jest rzeczywista, jako że zawsze do niej w końcu powraca. Wszelkie dane świadczą jednak, iż przewyższa wiekiem początki ludzkości.

Mavra rozważała przez chwilę te słowa.

— Często zastanawiałam się nad różnymi sprawami. Nie rozumiem między innymi, jak można zranić Boga, jak Bóg może utracić pamięć lub przywiązać się na stałe do jednej postaci. Nathan Brazyl wydaje się straszliwie tajemniczy, jeśli jest rzeczywiście tak, jak powiedziałeś.

— Zgadzam się z tobą. Jest w nim mnóstwo zagadek, a żadnych odpowiedzi. Z wielką ochotą poznałbym choć ich część.

— Staramy się — Marquoz ponownie włączył się do rozmowy.

— Mówiłeś o trzech czynnikach. Niezmiennosc postaci to dopiero jeden.

— A, rzeczywiście. No cóż, drugi to fakt, iż Nathan Brazil jest żeglarzem. Na Starej Ziemi dowodził przynajmniej jednym żaglowcem, pływającym po bezkresnym oceanie. Zaś na całym mnóstwie innych światów również miał pod swą komendą kupę okrętów, choć wtedy już z mechanicznym napędem. Kombinacja niezmienności postaci oraz tego zamyślenia do żeglugi czyni go celem łatwiejszym do wyśledzenia.

— A trzeci czynnik? — spytała Mavra.

— Religia, jaką wyznaje. Wiecie, to bardzo ciekawe, że w ogóle posiada jakąś wiarę. Jest to stara, pochodząca jeszcze z Ziemi religia, która rozwinęła się wśród paru wspólnot plemiennych parę tysięcy lat temu. Wydaje się, że na początku byli to normalni politeiści. Później bardzo gwałtownie przerodziła się w pierwszy monoteistyczny kult w historii ludzkości oraz połączyła religię z prawami i obyczajami. Z ich pnia wyrosło mnóstwo potężnych religii, lecz wyznawcy pierwotnej wiary przetrwali dość nieliczni tysiąclecia, trzymając się własnych zasad. Ich religia zwie się judaizm, zaś wyznawcy noszą zazwyczaj miano Żydów. Nawet dziś jest ich jeszcze trochę na świecie, niewielka garstka.

— A Nathan Brazil wyznaje ich wiarę? — spytał Marquoz.

— Na to wygląda. Chociaż nie żyje obecnie w żadnej z ich wspólnot i chyba nigdy tego nie próbował. Często się z nimi kontaktuje, szczególnie podczas ich świąt, i wiadomo, że roztacza nad nimi ochronę.

Marquoz był zafascynowany, ale jego spojrzenie na sprawę pokrywało się z odczuciami Obiego. Obraz, jaki malował się przed oczyma Mavry, był dużo bardziej romantyczny, choć równie tajemniczy.

— Twierdzisz więc, że wyznaje właśnie tę religię i że dobro jej wiernych leży mu specjalnie na sercu — zastanawiał się głośno smok. — Choć nie ma dowodu, że odgrywa w ich rytuałach jakąś rolę poza rolą zwykłego uczestnika? Nie jest uważany za świętego ani jakiegoś bóstwo?

— Absolutnie nie — odparł Obie z mocą. — Ich bóg jest uniwersalny, lecz nie można go dotknąć, a z pewnością nie jest zwyczajnym człowiekiem. W samej rzeczy dawno temu, kiedy ktoś wyglądający na normalnego człowieka pojawił się w ich ojczyźnie, głosząc że jest Synem Bożym, oni go uśmiercili. Na tym podłożu wyrosła nowa, dużo większa religia.

— Wciąż coraz więcej niewiadomych — dumął Marquoz. — Dlaczegoż Nathan Brazil miałby interesować się tą grupą? Jeśli jest rzeczywiście Bogiem, po co miałby być wyznawcą? Jeśli zaś nie jest Bogiem, to jest przynajmniej pogrobowcem Markowian. Doskonale wie, skąd wzięła się na świecie ludzkość — włączając w to jego ulubieńców. To się w ogóle nie trzyma kupy!

— Jeszcze gorzej — odezwał się Obie. — Ta religia, która powstała po egzekucji człowieka podającego się za Syna Bożego, nosi nazwę chrześcijaństwo. Ciągłe jest dość popularna i w zasadzie raczej nieźle zorganizowana, mimo podziału na sekty. Wśród wiernych istnieje legenda o nieśmiertelnym człowieku, Żydzie, który przeklął Syna Bożego w czasie jego drogi na stracenie. Został za to skazany na życie wieczne, póki nie odrodzi się Stracony i nie ustanowi królestwa niebieskiego. Nie ma wątpliwości, iż Nathan Brazil, bez względu na swe prawdziwe pochodzenie, jest właśnie tym Żydem — Wiecznym Tułaczem.

— Nie ma w tym wszystkim za grosz sensu — parsknął Marquoz. — Coś mi się zdaje, że nie poznamy odpowiedzi, póki nie odnajdziemy samego Nathana Brazila. Sam zacznym być ciekaw.

— Obie? — zawołała Mavra. — Mógłbyś streścić nam, pokrótce rzecz jasna, co udało ci się dotychczas ustalić? Jak daleko sięgnąłeś w poszukiwaniach?

Obie milczał przez chwilę. Potem zaczął:

— Cóż, daty nic wam nie powiedzą. Powiem tylko, iż pierwszy zapis, jaki udało mi się odkryć, pochodzi jeszcze ze starej Ziemi, kiedy podróże kosmiczne znajdowały się w powijakach. Był kapitanem frachtowca pływającego z portów śródziemnomorskich do Ameryki Północnej i Południowej. Te nazwy pewnie nic dla was nie znaczą. Wiem o tym — przykro mi. Natknąłem się na parę interesujących faktów pochodzących z tamtego okresu. Nazywał się wtedy Mark Kreisel i był obywatelem niewielkiej wyspy-państwa — Malty. Jednakże przedsięwzięcie, dla którego pracował, nie było maltańskie. Znajdowało się w dużo większym kraju, odległej Brazylii.

— Aha! — skomentował Marquoz.

— Interesujące jest również to, iż owa Malta leży niedaleko kraju Izrael — jedyne państwa żydowskiego w dobie rozwoju przemysłowego i kolebki religii, o której wspominałem.

— Kiedy to wszystko się działo, Obie?

— Gdzieś około osiemnastu wieków temu. System datowania zdążył się od tamtego czasu zmienić kilkunastokrotnie, a co do wielu starych dokumentów, to nie ma pewności, jakiego systemu się trzymały. Można jednak wyrobić sobie ogólne pojęcie.

Marquoz znów oniemiał z wrażenia.

— Tak dawno... A już wtedy trzymał się blisko tych niezwykłych ludzi i ich religii. Już wtedy. To ciekawe. Może był obywatelem tamtego kraju?

— Nie, to by go ograniczało — odparł Obie. — Żydzi niemal od samego początku nie byli przyjaźnie traktowani przez resztę ludzkości. Większa część świata nie uznawała ich państwa i dawno byłaby je zniszczyła, gdyby nie silna armia i paru potężnych sprzymierzeńców, jakich posiadali Żydzi. Na obczyźnie zawsze ich piętnowano za odmienną kulturę, gdyż nigdy w pełni się nie asymilowali.

— Wydaje mi się, że mogę coś powiedzieć o braku zaufania w związku z nieco odmiennym wyglądem — zauważył sardonicznie Marquoz.

— Z drugiej strony, Malta była niewielką wysepką, o której rzadko kto słyszał. Tygłem najróżniejszych ras i kultur. Nie prześladowano tam nikogo za przekonania polityczne — ciągnął Obie. — Wymarzony punkt wypadowy, doskonała baza, państwo, które nikogo nie obchodziło.

— No i co dalej? — popędziła go Mavra. — To znaczy, co z tego wynikło?

— Pewne fakty świadczą — podjął Obie — że statek kapitana Marka Kreise-la dostał się w szpony straszliwego sztormu i został opuszczony. Kapitan, starym zwyczajem, został na pokładzie, by kontrolować ewakuację. To prawo przetrwało zresztą po dziś dzień w niemal niezmienionej formie. I choć statek nie zatonął, marynarze po powrocie nie zastali już Kreise-la na pokładzie. Nie brakowało ani jednej szalupy czy tratwy. Ponieważ znajdowali się wtedy na otwartym morzu, więc uznano, iż zmyła go fala i utonął. Była to pierwsza odnotowana śmierć mężczyzny, którego dziś znamy jako Nathana Brazila.

Cała ta historia zafascynowała Mavrę, która domagała się dalszego ciągu. Obie opowiedział więc o wielu życiach i wcieleniach Nathana Brazila na przestrzeni wieków. Jako astronauta o nazwisku David Katz był jednym z inicjatorów budowy pierwszej stacji orbitalnej ze stałą załogą. Walczył w wielu wojnach, pojawiał się w mnóstwie krajów. W zamierzchłej przeszłości, pod wieloma postaciami, stał się czymś na kształt legendy. Jako Warren Kerman był naczelnym astronawigatorem na pierwszym ziemskim statku kosmicznym. Jako rosyjski kosmonauta Iwan Krawski był trzecim człowiekiem, który postawił stopę na obcym świecie nazwanym Gagarin — pierwszej planecie typu ziemskiego, jaką odkryto w kosmosie. Gdy ludzkość zaczęła ekspansję, podążył i Nathan Brazil. Nie jako przywódca, ale jako wierny towarzysz.

Mavra była jak w transie, lecz Marquoz pokusił się o komentarz.

— Zabawne. Myślałem, że raczej trzymał się na uboczu, a tu — wszędzie o nim pełno.

— Nic w tym dziwnego — odrzekł Obie. — Każde jego wcielenie było realnie istniejącą postacią, która gdzieś się urodziła, gdzieś dorastała, pięła się po drabinie, aż wreszcie umierała. Mogę tylko dodać, że nigdy nie ze starości. Miał zamiłowanie do tajemniczych zniknięć.

— Twierdzisz, że byli to ludzie z krwi i kości — wtrąciła Mavra. — Lecz przecież nie mogli, prawda? To znaczy, wszyscy oni byli tym samym człowiekiem. . .

— A jednak. Co do tego nie ma wątpliwości — odparł komputer. — Naprawdę byli ludźmi z krwi i kości. Nie pojmuję, jak tego dokonał, lecz jakoś mu się przecież udało. Co ciekawe, wszyscy pochodzili z rodzin osieroconych lub małych rodzin nie mających wielu krewnych. Łączyło ich także dość wyraźne fizyczne podobieństwo. Brazil zazwyczaj podstawał się za ludzi młodych, gdy znajdowali się daleko od domów. Jedną rzecz wiemy na pewno — znał ich na tyle gruntownie,

że nigdy nie wpadł, ani razu. Wszyscy, łącznie z bliskimi danej osoby, zdawali się nie zauważać różnicy.

— Ciekawe, czy ich mordował? — spytał Marquoz z troską w głosie. — A jeśli tak, to w jaki sposób udawało mu się przybierać ich postać. Przecież nie potrafi zmieniać własnych kształtów? Zastanawiające.

Mavra zdawała się oburzona tymi przypuszczeniami.

— Nigdy nie zamordowałyby z zimną krwią! — krzyknęła. — Wszystkie fakty świadczą, że nie byłby do tego zdolny. Jako małe dziecko miałam wspomnienia z przeszłości. Najsilniejsza z tamtego okresu była wizja, jak Nathan Brazil przemycił mnie przez kordon havrichańskiej tajnej policji. Był łagodny, uprzejmy.

Marquoz wzruszył ramionami.

— Niemniej, jeśli ich nie wykończył, to co się z nimi stało?

— To jest właśnie klucz — odezwał się Obie przez interkom. — Oto najważniejsza kwestia. Jeśli poznamy odpowiedź na nią, odnajdziemy Nathana Brazila. Bo, widzicie, ponad tysiąc trzysta lat temu złamał zasadę. Przyjął nazwisko Nathana Brazila, wynajął frachtowiec i stał się kupcem. I był nim aż do zniknięcia przed dwudziestu laty.

— Interesujące — mruknął Marquoz. — Ciekawe dlaczego?

— To bardzo proste — wyjaśnił Obie. — Proces odmładzania był już wówczas znany od z górą wieku. Z czasem udoskonalono go, zwiększając tym samym potencjalną długość życia. Oczywiście, jak wiecie, komórki mózgowe ostatecznie giną nawet mimo odmładzania. Lecz zanim przytrafiłoby się to Brazilowi, każdy, kto go znał i mógł zacząć coś węszyć, umierał, a on zdobywał nowych przyjaciół. Biurokracja konfederacyjna, taka jaka jest, wymagała jedynie, by odnawiał swą licencję pilota co cztery lata i na tym koniec. Stał się legendą wśród braci kosmicznej — najstarszy pilot w służbie. Pił razem z nimi, grał w karty, walczył ramię przy ramieniu, walczył przeciwko nim. Niósł im pomoc, gdy jej potrzebowali, byli jego dłużnikami. Piloci uważali, że jemu jedynemu poszczęściło się naprawdę i potrafi znieść nieskończoną liczbę odmłodeń. Wraz z ekspansją Konfederacji wydłużył się okres przerw między spotkaniami nawet najbliższych przyjaciół. Względność czasu splątała wszystko, zaś on sam z pewnością szybko znudził się identycznymi światami, przywodzącymi na myśl mrowiska, które powoli przeważyły w Konfederacji.

— I w końcu dał sobie w ogóle spokój, co? — spytała Mavra.

Obie podchodził do tej sprawy dość filozoficznie.

— No cóż, owszem. Gdyby jakaś religia okrzyknęła cię bogiem i zaczęła na gwałt szukać, to czy nie przyszłoby ci do głowy, że pora zmienić tożsamość? Coś mi się zdaje, że każdy z nas na jego miejscu postąpiłby identycznie.

— Wszystkich tych rzeczy dowiedziałeś się z archiwów komputerowych? — spytała zaskoczona Mavra.

— Tak i nie. Owszem, były tam, lecz rozdrobnione i fragmentaryczne. Żeby wszystko połączyć w logiczną całość, potrzebowałem nie tylko banków danych, ale także współpracy tysięcy członków Zgromadzenia rozsianych po wielu światach — odrzekł Obie. — Bez nich nie byłbym w stanie tego dokonać. Lecz na razie utknęliśmy, póki nie uda nam się ustalić, gdzie odrodził się ostatnim razem.

— Czy to znaczy, że Nathan Brazil zniknął znów?

— Właśnie, Marquoz. Latał statkami straszliwie długo — dwieście, trzysta lat, a nieraz nawet więcej, dopóki ich całkiem nie wyeksploatował. Wszystkie nosiły nazwę *Stehekin*, której znaczenia nie znam. Ostatni okręt, jaki znaleziono, miał wielką dziurę w kadłubie. Był obrabowany. Na mostku widniały plamy po sporych ilościach krwi odpowiadającej grupie Brazila, lecz nie znaleziono ani śladu po nim samym czy cennym ładunku. Podejrzewa się, iż wyszedł z podprzestrzeni na fałszywe wezwanie o pomoc, został zaatakowany przez piratów i zamordowany. W Pałacu Kosmonautów znajduje się tablica ku jego pamięci.

— Chyba w to jednak nie wierzysz — zauważyła Mavra.

— Jasne, że nie. To jego ulubiony sposób usuwania się w cień. Nie, osobiście wydaje mi się, że znalazł właściwą osobę, osiągnął punkt, który pozwolił mu przejąć jej tożsamość i tak właśnie zrobił. Jest pewnie teraz daleko stąd jako ktoś zupełnie inny. Odczeka pewien czas, by potem znów rozpocząć normalne życie.

Nagle do rozmowy włączył się nowy głos.

— No cóż, w takim razie wydaje mi się, że znalezienie go będzie dziecinną igraszką.

Odwrócili się błyskawicznie i ujrzeli Cygana.

Marquoz skinął tylko głową, lecz Mavra spojrzała na Cygana jakoś dziwnie i osobliwa myśl przemknęła jej przez głowę. To oczywiście śmieszne, ale... Nie, jest za wysoki, trochę zbyt muskularnie zbudowany, ma za ciemną karnację. Ta myśl nie dawała jej jednak spokoju. Kiedy za pierwszym razem Obie zabrał ich wszystkich ze Świątyni, sprowadzało się to jedynie do zwyczajnej teleportacji. Komputer nie przeprowadził szczegółowych analiz, nie sporządził matryc pamięci Marquoza i Cygana. Później odmówili ponownego skorzystania z systemu teleportacji. Obydwaj upierali się przy podróży statkiem kosmicznym. Potem Mavra i Obie jedynie z czystej ciekawości przeprowadzili kontrolę danych na temat Cygana i nie znaleźli nic. Kompletnie nic. Podczas gdy w archiwach komputerowych można było się dokopać nawet do wczesnej historii życia Mavry Czang, znaleźć zapisy wszystkich podróży i opłat — na jego temat nie było ani słowa. Odciski kciuków, wzory siatkówki oka i grupa krwi nie pasowały dokładnie nigdzie.

W końcu nie mogła się już dłużej powstrzymać.

— Cygan? Słyszałeś kiedy o Malcie?

Spojrzał na nią z niejakim zaskoczeniem, lecz odpowiedział nie zdradziwszy się nawet mrugnięciem oka.

— Jasne. To chyba stolica Sorgosa.

Marquoz zachichotał.

— Wiem, o czym myślisz. To samo mi czasami chodziło po głowie. Ale nic z tego — fizjologia całkiem nie ta. Brazilowi udałoby się może z trudem zmienić odciski kciuka, ale przecież nie wzór siatkówki ani grupę krwi. Zapomnij o tym pomyśle. Cygan to kolejna zagadka.

Sam zainteresowany wyglądał na zmieszanego.

— O co tu chodzi?

— Ta dama zastanawiała się właśnie, czy przypadkiem to ty nie jesteś Nathanelem Brazilem, ot co.

Cygan zachnął się.

— Co, u diabła? Gdzie tam! Czy słyszał ktoś o żydowskim Cyganie?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Mavra nadal jednak była przekonana, że z tym człowiekiem wiąże się coś krańcowo osobliwego. Jego dziwne właściwości wykraczały daleko poza zwyczajną empatię. W czasach gdy każdy był zmuszony przedkładać odpowiednie dokumenty, by pójść tylko do toalety i nawet Mavra musiała bardzo starannie fałszować własne papiery, od Cygana — według słów Marquoz — nigdy żadnych nie wymagano. Przy odprawie celnej po prostu go ignorowano. Zazwyczaj nieustępliwym recepcjonistom hotelowym, nawet gdy były nimi roboty, nigdy przez myśl nie przeszło, by żądać od niego jakiegoś dowodu tożsamości. Nawet na Nowych Pompejach wchodził do pilnie strzeżonych budynków bez żadnych problemów. Dlaczego? Jakimi siłami dysponował? Skąd je czerpał? Czy potrafiłby wpłynąć na Obiego? Czy to właśnie dlatego komputer nie pobrał zapisu z jego mózgu?

Na pozór nie zdając sobie sprawy z tych rozważań, Cygan opadł na krzesło, ziewnął i przymknął oczy.

Wciąż mu się przyglądająca Mavra, zmieniła jednak zupełnie tok myśli. Odsunęła od siebie tajemnicę Cygana jako nieistotną w ich obecnym położeniu. Skoncentrowała się na interkomie oraz Obiem i nawet nie zadała sobie pytania, dlaczego tak nagle temat Cygana stał się rzeczą niegodną jej uwagi.

Nautilus

Komputery konfederacyjne były, nie licząc Obiego, najpotężniejszymi oraz najszybszymi zbieraczami, analizatorami oraz przetwarzalnikami danych na terenie Wspólnoty Światów. Do tego należy dodać samego Obiego o osobowości uprzejmego człowieka, która maskowała maszynę zdolną dokonywać milionów różnych kompleksowych operacji równocześnie. Ograniczona szybkość oraz stopień skomplikowania ludzkiej mowy, a także powolność ludzkiego mózgu musiały komputerowi mocno doskwierać. Nigdy jednak na to nie narzekał i nie dawał po sobie poznać, że uważa się za kogoś lepszego. Obie myślał o sobie jako o istocie ludzkiej i stosownie do tego działał.

Wszakże mimo całej tej wszechstronności i szybkości komputerów, ciągle stała na przeszkodzie biurokracja i odległości między światami. Wymagane informacje Obie mógłby z pewnością dostarczyć w ułamku sekundy, gdyby dysponował wszystkimi danymi. Jednakże dane rozsiane były po tysiącach planet, na ogromnej przestrzeni. Zbierano je w milionach departamentów, tam sortowano, porównywano i w końcu — czasami po wielu latach — wysyłano wyżej. Nie można było czekać, aż te informacje same spłyną. Należało samemu je ściągać.

I w tym momencie właśnie włączało się Zgromadzenie Studni. Akolici badali, przesiewali, gromadzili i wysyłali dalej wszystko, co tylko znaleźli. Byli wszędzie. Jeśli mogli zdobyć informacje bez przeszkód, zdobywali je. Kiedy wymagało to specjalnego nakazu, starali się o niego. Jeśli nie mogli go uzyskać, wówczas błagali, przekupywali kogo trzeba lub kradli potrzebne dokumenty. Podobnie Mavra Czang była ekspertem w dziedzinie włamań do komputerowych banków danych, zaś Obie radził sobie z tym jeszcze lepiej.

Czasami łapano Akolitów na gorącym uczynku, gdy bez pozwolenia szperali w tajnych archiwach. W takich wypadkach, jeśli miano do czynienia z ludźmi i agencjami rządowymi niższego szczebla, całą sprawę przejmował w swe ręce Marquoz. Gdyby wszystko inne zawiodło, pozostawała jeszcze Mavra oraz załoga *Nautilusa*. Oni byli w stanie wyciągnąć w zasadzie każdego z dowolnego miejsca odosobnienia. Jeżeli potrzebny byłby natomiast kamuflaż, można było z kolei liczyć na Obiego.

Obie skupił swe wysiłki na trzech dobrze znanych faktach z przeszłości Brazyli. Z całą pewnością Nathan będzie usiłował się jakoś zamaskować, i to naprawdę starannie, nie korzystając z tych nowych technik służących zmianie postaci. Nie zaryzykuje przecież wpadki eksperymentując na sobie.

Ostało się bardzo niewiele wspólnot żydowskich i poddano je ścisłej obserwacji. Następna w kolejce była kwestia jego ulubionego zajęcia — Brazyl od niepamiętnych czasów był kapitanem. Dawało mu to swobodę poruszania się bez ograniczeń, spokój, niezależność i anonimowość — wszystko, czego potrzebował. Mavra codziennie kontaktowała się z Obiem, by na bieżąco śledzić rozwój wypadków. Wróciła właśnie z misji mającej na celu wyciągnięcie z aresztu dwóch członków Zgromadzenia. Zostali oskarżeni o kradzież nikomu niepotrzebnych dokumentów ze stolicy na jednym z zapadłych, pogranicznych światów. Mavra paliła chęcią usłyszenia informacji o najnowszych postępach w poszukiwaniach.

— Postęp to rzecz względna — odparł Obie filozoficznie. — Jak na razie zgromadziłem mnóstwo danych dotyczących kapitanów pochodzenia żydowskiego. Jest ich zaskakująco duża liczba, jeśli wziąć pod uwagę, jak niewielką grupę stanowi ta mniejszość. Nie natrafiłem jednak na nic konkretnego. Materiały, jakie otrzymałem dzisiejszego ranka, rzuciły nowe światło na całą sprawę, choć nie wyjaśniają wszystkiego. Mam wielu podejrzanych, żaden jednak — jak na razie — nie może być Brazyliem. Potrzeba mi dodatkowych zestawień porównawczych.

— Czego z czym, mianowicie?

— Wykaz wszystkich kapitanów pochodzenia żydowskiego, kompletne dzieje życia Brazyli i jego zniknięcie — te rzeczy ciągle spływają. Skontaktuj się ze mną znów za parę godzin, powinienem dysponować wtedy kompletem danych. Może uda mi się je połączyć we właściwą całość.

Udała się więc na Wierch i poprosiła Marquoza oraz kilka Olimpienek, by spotkali się z nią później. Nawet bardzo się spiesząc, zebranie wszystkich w jednym punkcie *Nautiliusa* mogłoby zabrać dzień albo dwa.

Późnym popołudniem, kiedy Mavra ponownie skontaktowała się z Obiem, komputer zdążył już znacznie ograniczyć pole poszukiwań.

— Po pierwsze — zaczął — czy wiesz, kto to jest rabin?

Przyznała, że nie ma zielonego pojęcia, więc Obie kontynuował swój wywód.

— Cóż, u Żydów jest to nazwa kapłana. Nie dysponuje on jednak żadną mistyczną siłą, czy to prawdziwą, czy też urojoną. Dokładnie słowo to tłumaczy się jako „nauczyciel”, co oznacza, iż taki człowiek specjalizuje się w prawie i kulturze żydowskiej. Jest więc w tej dziedzinie ekspertem. Podobnie jak każdy, kto poświęci się danej profesji. Każda żydowska świątynia posiada takiego rabina, obranego przez gminę ze względu na najlepszą znajomość zasad wiary. Istnieje jednakże wielu rabinów, którzy nie posiadają swych gmin. Pracują gdzie indziej, lecz są niezaprzeczalnymi ekspertami i mogą nauczać innych. Wielu z nich specjalizuje się w rozstrzyganiu spornych kwestii i krzewieniu ducha wiary, choć

na życie zarabiają pracując jako ludzie świeccy. To naprawdę fascynujące. Czy wiesz, na przykład, że istnieje trzech rabinów będących równocześnie kapitanami frachtowców?

Mavra była zaskoczona.

— Kapitanami? Kaznodzieje?

— Pojmujesz, co to znaczy? Takie życie ma trzy zasadnicze zalety. Nie dość, że zapewnia dostatek i mnóstwo czasu na studia, to jeszcze umożliwia dotarcie do niewielkich grupek wiernych, rozrzuconych po setkach światów. Z owej trójki kapitanów wszyscy, w tym czy innym okresie, wykonywali zadania, w które zaangażowany był również Brazil jako prywatny kontrahent. Tak więc mieli możliwość spotkania go. Dwóch z nich zdawało się zawrzeć z Brazilem bliższą znajomość, kontynuowaną przez lata — właściwie całe dekady. Ci dwaj mogą być uznawani za jego bliskich przyjaciół. Lecz tylko jeden posiada własny statek. Pozostali pracują dla kompanii przewozowych. Znałem tę historię już wcześniej, lecz wykluczyłem tego mężczyznę, ponieważ jest chasydem — przedstawicielem najbardziej ortodoksyjnej sekty albo odłamu judaizmu. Jego wyznawcy są zobowiązani do przestrzegania zasad dotyczących odpowiedniego ubioru, posiłków, rytuałów i obrzędów. Chasydzi istnieją we współczesnym świecie, nie złagodzili w ogóle swej reguły. Trzymają się sztywno praw ustanowionych przed tysiącami lat. Nie spodziewałem się Brazila w takiej roli, gdyż przestrzegał niewiele ze wspomnianych zasad. Poza tym ów rabin jest dość sędziwy. Poddał się już dwóm odmłodzeniom, jest wyższy i cięższy od Brazila, a także posiada długą, białą brodę. Jednakże dane, które dziś otrzymałem, przekonały mnie o możliwości takiego rozwiązania.

Mavra zmarszczyła brwi.

— No cóż, wydaje mi się, że samo przebranie nie nastęrczałoby zbyt wielu trudności — podpinka pod kurtkę, sztuczna broda, wkładki w butach podobne do moich. Zgoda. Ale co z tego?

— Hm, udało mi się zrekonstruować trasy lotów owego mężczyzny oraz Brazila w ciągu ostatnich trzech dziesięcioleci. Zdziwiłabyś się, wiedząc ile razy się pokrywają. A musisz pamiętać, że obaj dysponowali własnymi statkami, nie byli więc skrępowani sztywną trasą lotu. Szczególnie interesowały mnie ich podróże prywatne — w zasadzie odwiedzali każdą wspólnotę żydowską w dwu, trzyletnich odstępach czasu. W ciągu dwudziestu lat poprzedzających zniknięcie Brazila wspólnie obchodzili największe święta. Znali się bardzo dobrze przez bardzo długi czas.

— Ale czy to go równocześnie nie wyklucza? Przecież Brazil wybierał zawsze młodych.

— W tym wypadku nie robiło to różnicy. Starzec, który przeżył swych rówieśników. Kapitan frachtowca cieszący się sławą i zaufaniem. Lecz, co ważniejsze, na około sześć miesięcy przed zniknięciem Brazila spotkali się na małej planecie. Nasz podejrzany był już stary, miał kłopoty ze zdrowiem, tył w zawrotnym tem-

pie i najpewniej bez odmłodzenia nic na to nie mógłby poradzić. Zaś diagnoza mówiła wyraźnie, że nie przetrzyma trzeciego zabiegu. A tu po chyba czterech miesiącach, nie poddając się odmłodzeniu, zdał śpiewająco wszystkie egzaminy kontrolne!

Mavra była zaskoczona.

— Po czterech miesiącach? Mówiłeś przedtem, że spotkali się na pół roku przed zniknięciem Brazila.

— To prawda. Nie rozumiesz? Zamienili tożsamości trochę prędzej! Brazil spożytkował ten czas na lepsze wczucie się w nową rolę. Stary rabin z kolei, już jako Brazil — który zdał testy sprawdzające przed rokiem i miał jeszcze trzy lata do następnych — odleciał *Stehkinem*.

— Przecież ktoś mógł zauważyć, że Brazil nagle stał się starcem — oznajmiła Mavra.

— Jasne. Gdyby miał szansę go zobaczyć. Lecz jeśli kapitan zawijał jedynie do portów, gdzie nie był znany i pozostawał ciągle na statku, nikt nie dostrzegł niczego dziwnego. *Stehkin* nie wioził wówczas pasażerów, lecz miał na pokładzie nieco towarów. Dwa miesiące po zamianie zaaranżowano „napad”. Brazil zostaje zabity i na tym koniec.

— Lecz co się stało z mężczyzną, który go zastąpił? Zginął?

— Być może. To zależy. Zastanów się: co Brazil mógł mu zaproponować. Staremu człowiekowi, który był już wszędzie i wszystko widział, który przeżył miłość i troski egzystencji. Musisz pamiętać, że miał na to wszystko ponad dwa stulecia. I oto stanął w obliczu nieuchronnej śmierci. Brazil mógł mu obiecać nowe życie w nowym ciele, powrót do młodości, nowe doświadczenia i przygody.

Mavra zbeształa się za własną niedomyślność.

— Jasne! Dookoła jest przecież pełno markowiańskich wrót! Brazil mógł mu wyjaśnić, jak należy z nich korzystać, a może nawet sam go tam zaprowadził. Rabin wyruszył do Świata Studni!

Obie zachichotał.

— Ciekawe, kim teraz jest? Dużo dałbym także, żeby zobaczyć czy ciągle wszystko musi mieć koszerne!

— Słucham?

— Nieważne. Jestem pewien, że Nathan Brazil to obecnie rabin David Korf, kapitan frachtowca *Jerusalem*.

Mavra była szczerze poruszona tą wiadomością.

— A więc jedyne co musimy teraz zrobić, to dowiedzieć się, gdzie nastąpi kolejne lądowanie tego frachtowca i po prostu zaczekać.

— Na to by wyglądało — zgodził się Obie. — Jest tylko jeden problem. Po zamianie miejsc Korf przeniósł się w zupełnie inne strony. Jak sądzę po to, by zmniejszyć szansę na spotkanie kogoś, kto dobrze znał prawdziwego Korfa. Cały

kłopot w tym, że on jest niezależny. Mogą upłynąć lata zanim dokumentacja o niezależnych dotrze na górę. Sprawdziłem wszystko, co tylko mogłem, lecz sześć lat temu ślad się urywa. Wygląda na to, że *Jerusalem* nie zawarł od tego czasu żadnego kontraktu ani nie przewiózł towarów nigdzie w naszym zakątku wszechświata. Najwidoczniej Brazil nie zniknął sam — tym razem zabrał ze sobą statek.

Według danych wydziału do spraw licencji, rabin Korf odnowił swoją licencję przed rokiem. Było to jeszcze bardziej zaskakujące, niż jego całkowite zniknięcie. Świadczyło bowiem, iż zarówno Korf, jak i *Jerusalem* wciąż latali i potrzebne im były dokumenty. Lecz gdzie? I dla kogo? Nie było o tym nigdzie ani słowa.

— Może w ściśle prywatnych sprawach? Może coś nielegalnego? — podsunęła Mavra.

Marquoz, który stał na samym przodzie o krok przed resztą towarzystwa, był wyraźnie sceptycznie nastawiony do tego domniemania.

— Po cóż w ogóle zawracać sobie głowę dokumentami, jeśli interes jest lewy. Jeśli zaś działa w majestacie prawa, potrzebuje papierów, więc licencji. Osobiście uważam, że ciągle przewozi towary między Światami Konfederacji w najzupełniej jawny i legalny sposób.

— To niemożliwe — odparł Obie. — Ludzie ze Zgromadzenia mogą potwierdzić, że obstawiamy wszystkie planety.

Marquoz przekrzywił swą wielką gadzią głowę, a na jego ustach zagościł przebiegły uśmiech.

— Nie, wcale nie wszystkie. Bynajmniej. Zgromadzenie obstawia jedynie ludzkie światy. W innych stronach Akolici nie cieszą się zbyt dużą popularnością i tam właśnie, jak sądzę, znajduje się wymarzona kryjówka dla kogoś, kto pragnie uniknąć spotkania z nimi.

Obie milczał przez chwilę. Potem rzekł:

— Kosztowałem majątek, moim twórcą był prawdopodobnie największy geniusz, jakiego wydała ludzkość. Jestem w stanie przeprowadzać dowolne obliczenia w czasie niemożliwym do uchwycenia przez organiczny mózg. Wyjaśnij mi więc, dlaczego o tym wcześniej nie pomyślałem?

— To proste — odrzekła sucho Mavra. — Problem polega na tym, że myślisz jak człowiek, tylko szybciej.

— Niech będzie — uciął Obie, decydując się odwrócić uwagę od swoich wad. — Więc co teraz? Na terenie Konfederacji istnieje mnóstwo nieludzkich światów. Wiele jest również luźno z nią powiązanych. A my nie posiadamy żadnych danych na ich temat, ani nie dysponujemy odpowiednim personelem do zebrania tych informacji.

— Na samym początku odrzuciłbym wszystkie luźno stowarzyszone i satelickie światy — odparł Marquoz. — Gdyby operował jedynie tam, nie potrzebowałby w ogóle zezwolenia. Nie, Brazil znajduje się na terenie właściwej Konfederacji, co ogranicza pole działania do zaledwie paru ras. Z tych możemy również

od razu kilka wyeliminować. Na przykład moją, gdyż korzystamy z usług jedynie naszej własnej kompanii przewozowej. Podobnie trzeba wykluczyć wszystkie nieorganiczne rasy, z uwagi na całkowicie odmienne rodzaje towarów i specyficzne wymagania. Pod tę kategorię podchodzą również wszystkie gatunki nie oparte na węglu. Brazyl unikał sektorów zamieszkałych przez ludzi przecież właśnie po to, by nie musiał siedzieć cały czas na statku. Chciał normalnie żyć, a to oznacza, że siłą rzeczy wybrał miejsce, gdzie znajduje się atmosfera zdatna do oddychania i alkohol można pić bez żadnych sztucznych uzdatniaczy. A to już znacznie zawęży pole poszukiwań, chyba się z tym zgodzicie?

— Masz rację — odparł Obie. — To wszystko trzyma się kupy. Znalazłem wzmiankę w moich archiwach, że zawsze darzył szczególną sympatią centaury z Rhone na Świecie Studni, zwane Dilliańczykami. Spełniają one także resztę wymaganych warunków, choć stanowi to osobny problem. Rhone są rasą dość ekspansywną i do tego znającą napęd kosmiczny. Pod względem liczebności dorównują niemal ludziom, a są najprawdopodobniej starsi i zajmują większy obszar. Bez pomocy Zgromadzenia wysłedzenie Brazyla zapowiada się jako cholernie ciężka robota. Trzeba przyznać, że wybrał nieźle.

Teraz odezwała się Mavra.

— Nie sądzę, aby musiało to być rzeczywiście aż tak trudne. Nie wiem dosłownie nic na temat tamtejszych mieszkańców i ich kultury. W zasadzie tylko raz przelotnie byłam na Dalii. Lecz jeśli stoją na wysokim szczeblu rozwoju, to muszą posiadać rozbudowaną biurokrację i jakieś władze. Przechowują gdzieś dokumenty oraz akta i to pewnie w podobnych ilościach co ludzie.

— Trudno, żeby było inaczej — rzucił Obie.

Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

— Znajdźmy więc te dokumenty.

Wszystkie oczy spoczęły na Marquozie. Ten westchnął i powiedział:

— W porządku, zobaczę co się da zrobić.

Cała operacja zajęła dziesięć dni, a nie obyło się też bez drobnego włamania. Rhone, dużo sprawniej zorganizowani pod tym względem niż właściwa Konfederacja, prowadzili bieżący rejestr statków w pięciu lokalnych oddziałach. W ten sposób, w razie jakichś opóźnień, łatwo było prześledzić lot danej jednostki. Natomiast na obszarze Konfederacji zamieszkałym przez ludzi statek musiał przed załadunkiem oznaczyć jedynie punkt docelowy. W wielu przypadkach nie przestrzegano nawet tego przepisu, a władze niewiele się tym przejmowały. W końcu cała procedura ma na uwadze bezpieczeństwo samych frachtowców.

Siedmiu ludzi z załogi *Nautiliusa*, przebranych za Rhone i wyposażonych w doskonale podrobione dokumenty, zostało skierowanych do centrów nadzoru floty. Mieli za zadanie odszukać jakiegoś niższego rangą urzędnika ze swobodnym dostępem do wszelkich danych dotyczących ruchu żeglugowego. W miarę możliwości powinni starać się znaleźć kogoś nowego w środowisku, lecz nie było

to konieczne. Bazy zawiadujące ruchem na tak olbrzymich obszarach są na tyle rozbudowane, że mało kto zna wszystkich osobiście. Obcy mógł swobodnie wszędzie wejść nie narażając się na poważniejsze trudności. Jeśli oczywiście dysponował kodami, hasłami oraz kartami identyfikacyjnymi.

Dopiero znacznie później Rhone zaostrzyli środki bezpieczeństwa. Między innymi na każdym dokumencie stwierdzającym tożsamość znalazła się próbka struktury komórkowej właściciela. Tkanki Rhone odznaczały się niepowtarzalną budową, więc elektroniczne porównanie komórek znajdujących się na karcie identyfikacyjnej z komórkami aktualnego posiadacza — pobranymi, powiedzmy, z dłoni — dawało absolutną pewność, iż właściciel jest tym, za kogo się podaje.

Karty identyfikacyjne mogły wszakże zawierać jakiś specyficzny układ energii wiązań, niewykrywalny do końca nawet przez drobiazgowy Obiego. Zdecydowano więc, iż używać należy wyłącznie oryginalnych dokumentów. System był prosty: zwabić w ustronne miejsce upatrzonego urzędnika, nafaszerować go narkotykami, dostarczyć Obiemu, a następnie przepuścić przez dysk. W wyniku tego samego procesu, jakiemu poddana została Jua i jej przełożona, mózg takiego osobnika zostawał przeprogramowywany. W ciągu dajmy na to następnym trzech dni obserwował on na monitorach informacje dotyczące ruchów statków i zapamiętywał wszystko dokładnie, bez względu na ilość jednostek i stopień skomplikowania tras przelotów. Później dzwonił pod odpowiedni numer i powtarzał wszystkie te dane. Ani przez chwilę nie był świadom swoich poczynań. Nie miał w ogóle zielonego pojęcia o porwaniu, o Obiem czy w ogóle o czymkolwiek. Kiedy misja dobiegała końca, wracał do swych normalnych obowiązków, nie wiedząc nawet, że był przedmiotem manipulacji.

Gdy zaczęły spływać pierwsze informacje, Marquoz poprosił Obiego o ich kopie, żeby reszta także mogła śledzić wszystko na bieżąco. Z trzeciego oddziału nadzoru ruchu nadeszły dane, na które czekali. Obie mógł zawiadomić ich o tym od razu, gdyby zapytali. Lecz znał ludzi dostatecznie dobrze, aby pozwolić im na chwilę triumfu.

— Mamy go — oznajmił nagłe Marquoz, wskazując na wydruk. — „*Jerusalem*, HC-23 A 768744, klasa M zmodyfikowana, przylot na Meouit 27 HYR”. Nie może wieść niczego cennego — nie ma kodów klasyfikujących. Pewnie zboże, piwo albo coś w tym rodzaju.

Mavra uśmiechnęła się nieznacznie.

— Z tego co wiem, Nathan Brazil z pewnością nie pogardziłby ładunkiem piwa.

— Ja również — mruknął smok. — Data 27 HYR oznacza, jak sędzę, 24 czerwca. Mamy więc pięć dni. Wie ktoś może, gdzie leży Meouit?

— Obie na pewno — odparła z przekonaniem Mavra. — Myślę, że dotrzemy tam grubo przed Brazilem. — Westchnęła. — Cóż, sędzę, że nadeszła pora, by

zwołać naradę wojenną. Wiemy już, gdzie człowiek, którego szukamy, będzie za pięć dni. Musimy zrobić wszystko, aby nie przegapić tej okazji.

Ponownie znaleźli się na *Nautilusie*, wśród jego pięknych ogrodów i grecko-romańskich budowli. Następnie odbyli długą podróż windą do samego jądra asteroidy. Tam przeszli krętymi korytarzami aż do ogromnego pomostu. Stanowił on główną podporę dla wielkiego dysku — gigantycznego projektora, zajmującego większą część spodniej strony asteroidy. Był zdolny nie tylko niszczyć, lecz także przekształcać oraz modyfikować całe planety.

Po jednej stronie pomostu mieściła się w zasadzie prawie nigdy nie używana główna sterownia. Obie sam nadzorował własną pracę oraz całą resztę maszynerii, która stanowiła serce *Nautilusa*. Po drugiej stronie znajdowało się niewielkie pomieszczenie, wyposażone w mniejszy dysk. Był tam też straszliwie zagracony najróżniejszymi urządzeniami balkon. Było to oryginalne laboratorium Zindera, przeniesione tutaj na polecenie Treliga. W zasadzie dzięki monitorom Obie mógłby rozmawiać z nimi wszędzie, lecz wolał, żeby tutaj odbywały się zebrania. To było jego „biuro”, jego prawdziwy dom.

W pomieszczeniu zebrali się: Mavra, Cygan, Marquoz oraz pięć Olimpienek spowitych w obszerne płaszcze. Trzy były Afrodytami, a dwie Atenkami. Jedyne Mavra spośród całej tej grupy czuła się tam w miarę pewnie — to był również jej dom. Obie uważał ją za równorzędnego partnera, a nie jedynie przedmiot manipulacji. Pozostali czuli do niej z tego powodu pewien respekt — raczej pożądanym efektem psychologicznym. Prócz Juy wszystkie Olimpianki usiłowały za wszelką cenę ukryć swój lęk. Doskonale wiedziały, że znajdują się w samym centrum olbrzymiej potęgi — w miejscu, gdzie narodziła się ich rasa i to nie za sprawą łaski Boga, lecz kaprysu maniaka.

Gdy wszyscy zajęli już miejsca, Obie rozpoczął zebranie. Jedyne Marquoz nie skorzystał z wygodnego fotela i jak zwykle usiadł podpierając się ogonem.

— Pozwólcie, że na początku przedstawię stan naszej obecnej wiedzy — rzekł komputer. Jego głos rozbrzmiewający wprost z powietrza robił niepokojące wrażenie. — Właśnie przygotowujemy się do bezpośredniego lotu na Meouit. Podróż normalnym statkiem zajęłaby nam całe tygodnie. Czekam tylko na znak od załogi Wierzchu, że wszyscy goście są należycie przygotowani do tego, co u nas nazywamy mianem „spadki”. Będziecie się czuli jak podczas spadania w głęboką otchłań. Proszę się nie obawiać — to uczucie towarzyszyć nam będzie jedynie przez chwilę. Może was to pocieszy, że i ja za nim nie przepadam. Szczególnie dokuczliwe jest teraz, gdy powstała ta wyrwa w czasoprzestrzeni.

Olimpianki siedzące w pomieszczeniu sprawiały wrażenie porządnie przestraszonych, ale miały niewielki wpływ na dziejące się dookoła rzeczy. Były zdane na łaskę maszyny. Pozostawało im jedynie żywić nadzieję, iż komputer uzna je za dostatecznie godne zaufania i nie dokona żadnych zmian w ich mózгах. Nie mogły wiedzieć, bo nikt nie pofatygował się ich o tym poinformować, iż Obie

mógł dokonywać takich rzeczy jedynie, gdy dany osobnik znajdował się w polu emitowanym przez mały dysk.

— Musicie cały czas pamiętać — kontynuował Obie — że po tylu miesiącach wytężonej pracy udało nam się zaledwie ustalić z dużą dozą prawdopodobieństwa, że rabin Korf to Nathan Brazil. Istnieje również możliwość, choć osobiście uważam, że bardzo nikła, iż Korf to rzeczywiście Korf. Na wszelki wypadek musimy wziąć i to pod uwagę.

Jedna z Olimpierek zabrała głos.

— Dysponujesz wielką mocą; mocą, dzięki której jesteś w stanie przemieszczać ludzi wedle własnej woli. Dlaczego nie uczynisz tak właśnie z Korfem? Zaoszczędziłbyś nam masę kłopotów. Możemy chyba równie dobrze dowiedzieć się wszystkiego, co nas interesuje, tutaj, bez zbędnego ryzyka.

— To wszystko prawda — przyznał Obie — lecz tylko do pewnego stopnia. Aby, jak to ujęłaś, przemieścić daną rzecz, muszę dysponować specjalnymi sensorami umieszczonymi w pobliżu. Poprzednio Mavra była owym sensorem, lecz nie możemy liczyć, że i tym razem uda nam się zbliżyć na wystarczającą odległość i że w ogóle będziemy mieli dość czasu. Nie zapominajmy również, że jeśli ów człowiek rzeczywiście jest Nathanem Brazilem, to jedynie z zewnątrz wygląda jak człowiek. Tak naprawdę jest zupełnie inny niż my, jest częścią innego wszechświata. My wszyscy — wszyscy — jesteśmy wynikiem markowiańskich równań. Nasza rzeczywistość istnieje dzięki olbrzymiemu komputerowi stworzonemu przez Markowian — Studni Dusz. Natomiast Nathan Brazil jest zupełnie niezależny. Komputer nie ma na niego żadnego istotnego wpływu, a jedynie umożliwia zachowywanie wybranej postaci i chroni przed śmiercią. Nathan Brazil nie jest częścią podstawowych równań i próba teleportowania go mogłaby skończyć się dla mnie raczej fatalnie. Nie możemy ryzykować, przynajmniej dopóki nie dowiemy się czegoś więcej. W tym wypadku stawiam stanowczo na rozwiązanie bezpośrednie. Musimy sami nakłonić go do współpracy.

— W takim razie wietrzę spore kłopoty — wtrącił Marquoz. — Skrył się na peryferiach, by uniknąć rozpoznania. Jeśli zorientuje się, że jesteśmy na jego tropie, ucieknie i możemy go już więcej nie odnaleźć. Musimy pojawić się znienacka, dyskretnie, a przedtem odciąć wszystkie drogi ucieczki.

— To śmieszne! — parsknęła jedna z Atenek. — Gdybyśmy Go spytali, czy rzeczywiście jest Nathanem Brazilem, spełniła by się jego misja i marzenie — okazałby nam swą potęgę.

— Skąd ta pewność? — odparła Mavra. — To prawda, że jak na razie wszystko zdaje się potwierdzać dogmaty waszej wiary, ale to przecież jeszcze niczego nie dowodzi. Nie zapominaj, że niedawno, zaledwie przed dwunastoma laty, był osobą dobrze znaną, prowadzącą normalne życie. Sami celnicy musieli setki razy pytać go, czy jest rzeczywiście Nathanem Brazilem. Rozumiecie, o co chodzi? I tu zabiję wam ćwieka, jak sądzę. Wydaje mi się, że nawet w obrębie waszej wiary

obowiązuje elementarna logika. Macie zamiar spytać go, czy naprawdę nazywa się Nathan Brazil. Ale przecież to nie jest jego prawdziwe imię. Jeśli się co do tej kwestii nie mylę, to będzie tak jak mówił Marquoz — spłoszycie go.

Olimpianki wydawały się mocno poruszone. Nigdy nie spojrzały w ten sposób na całą tę kwestię, skądinąd niezwykle ważną. Nathan Brazil to nie było jego prawdziwe imię. Tak tradycyjnie nazywano go od jednego z Ziemskich państw, którego był niegdyś obywatelem.

— Chcesz... chcesz nas koniecznie zapędzić w ślepy zaułek — broniła się Olimpianka. — To jest logika Złego!

Przeżegnała się, a pozostałe kobiety uczyniły to samo, nawet Jua.

— Zdobądźcie się na odrobinę zdrowego rozsądku — zaapelował Obie. — Gdyby okazało się, że to wy miałyście rację, wówczas i tak nic nie straciec przy stając na nasz plan. Z pewnością będziecie miały okazję, by go o wszystko wpytać. A z kolei jeśli to my mamy rację, straciec bezpowrotnie szansę wciąż upierając się przy swoim. Naprawdę nie macie wielkiego wyboru.

Jedna z Atenek, najwyraźniej przywódczyni, spojrzała na swe siostry, a następnie jej wzrok spoczął ponownie na reszcie towarzystwa. Mimo fanatyzmu, nie była pozbawiona rozsądku. Za moment mieli zanurzyć się w jakąś bezdenną otchłań, by błyskawicznie przenieść się na orbitę odległej planety. Komputer bez większych kłopotów mógłby pozbyć się opornych, zostawiając ich po prostu w próżni.

— Zgoda — odparła wreszcie. — Zróbcie to po swojemu. Ale mamy zapewniony swobodny dostęp do Niego natychmiast po nawiązaniu kontaktu?

— Owszem, zaraz jak tylko zdobędziemy pewność, że nie może nam uciec — zapewnił Obie. — Daję słowo honoru. *I niech wam ością w gardle stanie* — dodał dla siebie, a z wyrazu twarzy Mavry łatwo można było wywnioskować, że myśli tak samo.

— Brazil ma do dyspozycji szybki statek — Marquoz ponownie włączył się do dyskusji. — Nietrudno będzie mu uciec. Musimy więc podejść go ostrożnie, wziąć przez zaskoczenie, bardziej podstępem niż siłą. Chcemy, by został naszym przyjacielem. Wspominaliście, że natychmiast po stwierdzeniu uszkodzenia Studni Dusz Nathan Brazil powinien się tam zjawić i naprawić defekt. On jednak nie przybył i to mnie najbardziej martwi.

— To prawda — przyznał Obie. — Albo więc znów doznał amnezji, albo też świadomie ignoruje sygnały. Jeśli mamy do czynienia z tą pierwszą możliwością, może uda nam się jakoś przywrócić mu pamięć. Gdyby natomiast chodziło o drugą ewentualność, wówczas sprawa wykracza poza nasze możliwości. Musimy zachować maksymalną ostrożność. Czy ktoś ma jeszcze jakieś propozycje?

Mavra skinęła głową.

— Jak sądzę jedną. Pamiętasz, Obie, jak odtwarzałeś wspomnienia moich dziadków o spotkaniu z Brazilem na Świecie Studni?

— Tak?

— Odniosłam wówczas wrażenie, że Brazil kocha Wu Julię. A ona pewnie kochała jego. Świat Studni przemienił ją w Dilliankę — centaura — a sam przecież powiedziałeś, że Nathan ma do dziś dziwną słabość do centaurów. Może... może mógłbyś także mnie przemienić w centaurzycę? Nikomu by to chyba nie zrobiło różnicy z wyjątkiem Nathana Brazila. Nawet jeśli jego mózg zaczął szwankować, mój widok mógłby poruszyć jakiś trybik. Dla wszystkich zainteresowanych na Meouit byłabym kolejną powabną rhonyjką. Przejrzałam rejestry okrętowe — Brazil nie przewozi w drodze powrotnej żadnego ładunku, musi więc zabrać coś na Meouit. Wyląduje i będzie szukał kontrahentów. Przypuśćmy, że zostanę na pewien czas przedstawicielką kompanii handlowej. Po jego reakcji na mój widok będziemy mogli się zorientować, czy Korf to rzeczywiście Brazil. Sądzę, że spotkanie ze mną będzie dla niego nieodpartą pokusą zarówno pod względem finansowym, jak i emocjonalnym.

— A nam pozostanie jedynie czekać w umówionym miejscu — wtrącił Marquoz. — Podoba mi się ten pomysł.

— Mnie za to wcale — prychnęła przywódczyni Olimpianek. — Jeśli na samym początku nie zadamy Świętego Pytania, ryzykujemy, że Nathan Brazil zwieździe pułapkę i nie stawi się na spotkanie.

— Och, nasi ludzie będą cały czas deptać mu po piętach — uspokoiła ją Mavra. — Jeśli zacznie coś kombinować, zaraz się nim zajmiemy. Gdyby skrył się na *Jerusalem*, zawsze możemy użyć siły. Natomiast jeśli ucieknie w innym kierunku, to na świecie zamieszkałym przez centaury nietrudno będzie go odnaleźć.

— A zresztą i tak będziecie tam cały czas z nami — dodał Obie — choć Rhone nie przepadają specjalnie za Zgromadzeniem i Olimpiankami. Daj spokój, ustaliliśmy już przecież, że zrobimy to po naszymu.

Olimpianka stała przez chwilę i już miała coś odpowiedzieć, lecz zamiast tego usiadła.

— W porządku. Wygraliście.

Marquoz odezwał się do Cygana:

— Powinieneś z nami pojechać. Widziałeś go już przedtem.

Cygan pokręcił głową.

— Nie ma mowy. Bardzo przepraszam, lecz nie zamierzam na razie zmieniać skóry. Ale pomysł jest niczego sobie — powinien wypalić. Będę stąd na bieżąco śledził rozwój wypadków.

— Twoja wola — odparł Czugacz wzruszywszy ramionami. Potem zwrócił się w stronę pustki. — Ja natomiast, mimo że chcę z wami jechać, nie mam najmniejszego zamiaru paradować w przebraniu centaura.

— Nie ma wcale takiej potrzeby — uspokoił go komputer. — Wszyscy na razie tu zostaniecie. Na planetę wyślemy jedynie część załogi, by wynajęli jakiś magazyn i zarejestrowali fikcyjne przedsiębiorstwo. Nie powinno to zająć więcej

niż jeden dzień. Mogą się też przy okazji trochę rozejrzeć. Następnie którymś z zapasowych okrętów przemycimy was na powierzchnię planety — w skrzyniach z towarami, powiedzmy. Potem będziemy czekać.

Marquoz westchnął.

— Tak, potem będziemy czekać.

— Uwaga, zaczynamy spadkę! — ostrzegł Obie. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, świat dookoła stanął na głowie i pochłonęła ich nieskończona czerń. Spadali czując nieprzyjemne mdłości, spadali hen, hen, daleko.

Meouit

Oddział z *Nautiliusa* odwalił kawał dobrej roboty. Magazyn był obskurny i mieścił się w dzielnicy biedoty, jednak od portu dzielił go jedynie kawałek drogi. Łatwo było tam trafić, nawet jeśli kompletnie nie znało się terenu. Na niewielkim szyldzie widniał napis, wykaligrafowany zarówno w ogólnokonfederacyjnym języku handlowym, jak i miejscowym dialekcie Zhosa — Durkhańska Korporacja Przewozowa. Szyld sprawiał mylące wrażenie starego i wysłużonego.

Nad Taiiai, największym miastem Meouit, zapadał mrok. Było zimno, a tu i ówdzie w powietrzu wirowały pojedyncze płatki śniegu. Młoda rhonyjka, odziana w kosztowną futrzaną kurtkę, stała w otoczeniu kilku potężnie zbudowanych samców i uważnie lustrowała otoczenie.

Nie wyglądała na więcej niż osiemnaście lat. Nie była piękna, raczej przeciętna, lecz nie pozbawiona kobiecego powabu. Jej głowę zdobiły długie, kasztanowe włosy. Skórę miała koloru jasnego brązu, zaś uszy sterczały lekko na boki i zdawały się obracać zupełnie niezależnie. W okolicach talii niemal zupełnie ludzki tułów przechodził w porośnięty krótką sierścią korpus koński. Jako okrycie przed chłodem służyła jej kurtka. Poniżej tułowia futro i podskórna warstwa tłuszczu zapewniały doskonałą izolację.

— Nieźle — oznajmiła z podziwem — wcale nieźle.

Najbliżej stojący rhonyjczyk, dużo pokaźniejszych rozmiarów i wyraźnie lepiej umięśniony, sprawiał wrażenie mile połączanego.

— Może wejdziemy do środka i przywitamy się z resztą? — zaproponował i uchylił jedne z drzwi, puszczając ją przodem. Światło bijące z wnętrza wdarło się jasnym klinem w półmrok panujący na dworze. Weszli do środka gęsiego, a ostatni centaur zamknął za sobą drzwi.

Młoda rhonyjka weszła przez chwilę, a następnie spojrzała w kąt pomieszczenia.

— No i jak spędziłeś wolny czas, Marquoz?

Smok wyszedł z cienia miętosząc w ustach olbrzymie cygaro. — Po prostu bosko, skoro musisz naprawdę wiedzieć — parsknął. — Ciekawe, jak ty byś się bawiła, siedząc przez dwa dni zamknięta w stajni na obcym świecie, za jedyne towarzystwo mając religijne fanatyczki.

Spojrzała na niego ze współczuciem.

— Przykro mi, ale musieliśmy przesz muglować was wszystkich razem, skoro nadarzyła się odpowiednia okazja. Możesz zresztą poprosić Obiego, aby zamienił cię w rodowitego rhonyjczyka — przypomniawsza — i spędzić resztę czasu na powietrzu, korzystając z wszelkich wygod.

— Wielkie dzięki, wolę jednak pozostać sobą — odburknała. — Coś mi się wydaje, że jednak Cygan był z nas najsprytniejszy. Mogę się założyć, że śpi sobie wygodnie na *Nautilusie* w puchowej pościeli i objada za wszystkie czasy.

— Wytrzymaj jeszcze trochę, już niedługo tu zabawimy — pocieszyła go Mavra. — Czekanie dobiegło niemal końca. Nasz ptaszek jest na orbicie i za jakieś dwie godziny skończy wypełniać deklaracje celne oraz całą resztę formularzy.

Jedna z Olimpianek wyszła z cienia.

— Nie zapominajcie o przyrzeczeniu! — ostrzegła. — Obiecaliście, że będziemy mogły natychmiast z nim porozmawiać!

— Nie obawiajcie się, my dotrzemy warunków umowy — uspokoiła ją Mavra. Następnie zwróciła się do towarzyszących jej dwóch członków załogi *Nautilusa*. — Dobra, idziemy. Wolę być w porcie nawet przed czasem. Nie mam zamiaru się z nim rozminąć.

Pożegnała się i ruszyła do wyjścia. Jeden z załogi uchylił drzwi, a następnie zatrzasnął je, gdy wszyscy byli już na zewnątrz. W pomieszczeniu pozostał jedynie obłok mroźnego powietrza i aura oczekiwania.

Olimpianki ponownie skryły się w cieniu, a przywódczyni szeptem zwróciła się do swych współtowarzyszek.

— Dwie godziny. Jesteście gotowe?

Jedna z nich zdjęła pled okrywający koński zad i z podszewki wydobyla cztery niewielkie, bardzo dziwaczne pistolety. Rozdała je w milczeniu.

Owa broń była właśnie głównym powodem, dla którego Olimpianki nie chciały skorzystać przy podróży na Meouit z usług Obiego.

Marquoz wolny czas spędzał pracowicie w towarzystwie paru członków załogi *Nautilusa*, występujących obecnie pod postacią wielkich Rhone. Jeden z nich miał przy sobie parę kostek do gry. Nie zwracali kompletnie uwagi na poczynania Olimpianek. Wszyscy jak jeden mąż starali się ich przez dwa bite dni w ogóle nie zauważać. A Olimpiankom właśnie o to chodziło.

— Sprawdźcie stan baterii — poleciła przywódczyni. Nikt nie usłyszał cichego trzaśnięcia odsuwanych bezpieczników.

Mavra Czang wałęsała się koło biura odpraw, usiłując ze wszystkich sił sprawić wrażenie osoby absolutnie znudzonej. W głębi duszy czuła się jednak jak mała dziewczynka czekająca na przybycie ulubionego wujaszka, nieco zaniepokojona, czy aby on jeszcze ją pamięta.

Nathan Brazil... To imię związane było z tak nikłą częścią jej długiej egzystencji, że nie miało z pozoru prawa znaczyć dla niej wiele. A jednak prześlado-

wało ją od dzieciństwa. Sama była niegdyś kapitanem frachtowca, słyszała o nim niejedno. Słyszała opowieści o twardym, lubiącym zaglądać do kieliszka mężczyźnie, który zdawał się nie odczuwać upływu lat. Od dziadków nasłuchiwała się legend o czarodziejskim Świecie Studni. Wówczas często przewijało się również imię Brazila, zawsze otoczone nimbem chwały. To także właśnie Brazył wyrwał ją, gdy była małą dziewczynką, ze szponów totalitarnych oprawców, z których rąk zginęli jej krewni i jej świat. Oddał ją w ręce wspaniałej Makki Czang, która wychowała ją na pokładzie wielkiego frachtowca. Później, gdy była już na samym Świecie Studni, ciągle słyszała jego imię, wymawiane czasami z uwielbieniem, a czasami ze strachem. Ponadto, nie dalej niż kilka miesięcy temu, Obie odtworzył wspomnienia jej dziadków. Przedstawił ohydny, pulsującą, sześciorożną masę, obwołującą się panem istnienia, stwórcą Wszechświata. To także był Brazył.

Holowniki umieściły już statek na odpowiedniej orbicie. Teraz przyszła kolej na znającego teren i obowiązujące tam zasady pilota, który dokonałby wszystkich formalności przy przeładunku. Następnie będzie trzeba poczekać jeszcze trochę, nim transportowce opróżnią obszerne ładownie frachtowca, jako że on sam nigdy nie ląduje na planecie.

Mavra uważnie obserwowała świetlną tablicę w poczekalni biura odpraw. Serce mało nie wyskoczyło jej z piersi, gdy dostrzegła nazwę JERUSALEM, numer rejestracyjny i słowa: W PORCIE.

Na zewnątrz reflektory oblały jaskrawym blaskiem niewielką szalupę, która gładko wylądowała na pierwszym z ośmiu stanowisk skupionych wokół budynku nadzoru ruchu. Mavra z rosnącą niecierpliwością zwróciła twarz w kierunku drzwi, gdzie za parę chwil mieli pojawić się kapitan wraz z pilotem. Wstrzymywała oddech. Czas włókł się niemiłosiernie i przez moment ogarnął ją strach, że kapitan wcale nie wylądował, że poleciał dalej bez ładunku.

Jeden z towarzyszących jej członków załogi *Nautilusa*, markujący wypisywanie jakichś formularzy, pochylił się i szepnął:

— Czemu się nie odprężysz? Wyglądasz, jakbyś w każdej chwili spodziewała się powrotu dawno zaginionego małżonka.

Uświadomiwszy sobie nagle, jak wyraźnie uczucia odbijają się jej na twarzy, Mavra odwróciła się tyłem do drzwi i udała, że wertuje druki okrętowe, leżące na stolikach. Teraz przynajmniej wyglądała bardziej naturalnie. Lecz jeśli Brazył się nie pospieszy, jakiegoś urzędnika może zainteresować, dlaczego tak długo wybiera właściwy formularz.

Nagle drzwi rozwarły się ze świstem zasysanego powietrza. Pierwszy szedł pilot, trzymając w garści niewielką aktówkę. Jego twarz porwana była zmarszczkami starości, które zdawały się doskonale pasować do plamistej, szarej cery. Za nim dostrzegła zwalistą postać celnika. Obaj byli wyraźnie zajęci rozmową. Mavra dopiero po kilku sekundach zorientowała się, że nie dyskutują między sobą, lecz z kimś trzecim, skrytym między nimi.

Na pierwszy rzut oka Korf wydał się Mavrze za wysoki. Mierzył niemal metr siedemdziesiąt. Na głowie nosił dziwaczny, spłaszczony kapelusz z oklapniętym rondem. Spod niego spływały kaskadą pasma szarobiałych włosów zlewając się w całość z brodą tego samego koloru. Widać było jedynie oczy i nos, a kształty ciała doskonale maskował gruby, czarny płaszcz sięgający kolan. Sądząc po wyglądzie, ważył o dwadzieścia kilogramów za dużo, a wiekiem rozmiął się z oryginałem o jakieś stulecie.

Również głos nie robił dobrego wrażenia. Bardzo piskliwy i nosowy, zupełnie niepodobny do niskiego tenoru Brazila, jaki Mavra miała w pamięci. Serce ścisnęła jej ból zawodu. To na pewno nie był ten człowiek, którego szukali. Raz po raz zerknęła ukradkiem znad kwestionariuszy. Usiłowała dopatrzeć się choć jednej z cech tego zabawnego człowieczka, którego znała, gdy była dzieckiem — nieco ciepła, uprzejmości, czegokolwiek.

Ale spotkał ją zawód. Przegraliśmy — stwierdziła ze smutkiem Mavra. Cała praca poszła na marne. Spojrzała na swych towarzyszy i spostrzegła podobne emocje, malujące się na ich twarzach. Jeden z nich skinął nieznacznie głową w kierunku drzwi, a ona potaknęła niemal niedostrzegalnie. Ruszyli ku wyjściu, stukając kopytami po twardej, gładkiej, plastikowej posadzce. Po drodze minęli dwóch Rhone i rabina Korfa spierających się zawzięcie nad umową frachtową.

— Zatem kukurydza w dwustutonowych kontenerach jest gotowa do załadunku? — pytał głęboki bas księgowego.

Korf pokiwał głową i dodał:

— Owszem. To nie powinno zabrać więcej niż dwie, najwyżej trzy godziny. Półfabrykaty dla budownictwa są. . .

W tym momencie Mavra, zupełnie nieobecna myślami, zapomniała na śmierć o rozporządzeniu nakazującym pastować podłogi w biurach i pośliznęła się, na szczęście niegroźnie. Korf i dwaj Rhone spojrzeli na nią z zaciekawieniem.

Rabin, widząc że nic się jej nie stało, powrócił do swych papierów. Ale zaraz potem pokręcił z niedowierzaniem głową i bardzo szybko jeszcze raz rzucił na nią okiem. Mavrze, dość zakłopotanej, niemalże umknęła ta dziwna reakcja. Lecz jednak dostrzegła, że stała się obiektem czegoś więcej, aniżeli tylko zwyczajnego zainteresowania. Przystanęła niedaleko drzwi i powoli obróciła swój ludzki tułów, by przyjrzeć się uważniej rabinowi. Przez moment ich oczy spotkały się i coś w jego spojrzeniu sprawiło, że przebiegł ją dreszcz.

Jej obstawa, zupełnie nieświadoma tego zajścia, zdążyła już wyjść na zewnątrz, nie dostrzegając, że ona została.

Zdrowy rozsądek podpowiadał Mavrze, że ten dziwny mężczyzna może być raczej Dziadkiem Mrozem niż Nathanem Brazilem, lecz jego reakcja oraz jej szósty zmysł mówiły co innego. Żaden człowiek nie patrzyłby na rhonyjkę w ten sposób, żaden oprócz jednego, który przecież nie wchodził w grę.

— Proszę mi wybaczyć, jeśli przeszkodziłam państwu swoją niezdarnością — odezwała się cicho, starając opanować emocje. — Moi współnicy i ja czekaliśmy razem na kapitana statku, który niedawno przybył. To musi być pan, ale widzę, że jeszcze przez jakiś czas będzie pan zajęty. — Wyglądała na zakłopotaną. — Przepraszam, ale... chyba jeszcze nie nadaję się do prowadzenia interesów.

Korf błyskawicznie opanował emocje, lecz w dalszym ciągu przyglądał jej się jakoś dziwnie.

— Zgadza się, to ja jestem kapitanem tego frachtowca, szanowna obywatelko. Czym mogę służyć?

— Mój ojciec prowadzi firmę eksportowo-importową. Razem ze współnikami bierze udział w konferencji na Hsuirze, gdzie właśnie podpisali poważny kontrakt. Polecił mi, abym zorientowała się, czy jakieś statki nie czekają w porcie i czy może któryś z nich nie jest do wynajęcia — ma martwy kurs, tak to się chyba fachowo nazywa? Widzi pan, na co dzień nie pracuję w firmie ojca, lecz wszyscy pojechali na to spotkanie, więc zostałam tylko ja. — Mówiła z takim przekonaniem, że niemal sama uwierzyła we własne kłamstwa. — Ale widzę, że przyszłam za wcześnie.

Korf pokiwał głową.

— Ma pani rację. Rozładunek zajmie parę godzin, a sam marzę o porządnej kąpieli i miękkim łóżku. Ale istotnie, jestem do wynajęcia. Czy możemy spotkać się jutro po południu?

Uśmiechnęła się słodko i skinęła głową.

— Oczywiście. Gdzie się pan zatrzyma? Zadzwoń do pana przed wizytą. Znam pańskie nazwisko oraz nazwę statku, gdyż przeglądałam rejestr przyłotów.

— W hotelu „Pioneer”. To jedyne miejsce na tej planecie, gdzie dysponują apartamentami wyposażonymi w oddzielne kuchnie. Widzi pani, mam pewne specyficzne wymagania co do posiłków.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

— Zadzwoń... nie za wcześnie — obiecała.

— Przepraszam, bo nie dosłyszałem, jak nazywa się pani firma? — spytał jeszcze. — I może poda pani od razu własne nazwisko, na wypadek gdybym załatwił wszystko wcześniej?

— Tourifreet, tak to się chyba u was wymawia — odparła gładko. — A przedsiębiorstwo nosi nazwę: Durkhańska Korporacja Przewozowa. — Znowu uśmiech. — Zatem do jutra — pożegnała się i odeszła, a on wciąż patrzył na drzwi, które zamknęły się za jej plecami.

— Jesteś pewna, że to on? — mruknął Marquoz. — Chłopaki są wręcz przeciwnego zdania.

Mavra skinęła głową.

— Jestem pewna na tyle, na ile można mieć w ogóle pewność w takiej sprawie. Nasz mały zabieg charakteryzatorski zakończył się sukcesem. Z całą pewnością

wie, kogo mu przypominam — z jego pamięcią wszystko jest w porządku. Patrzył na mnie jak urzeczony. Można było to wyczytać w jego spojrzeniach — wojna zdrowego rozsądku, który podpowiadał, że nastąpić musiał jakiś straszliwy zbieg okoliczności, z emocjami, które w końcu zwyciężyły.

Jeden z obstawy, który akurat siedział razem z nimi, powiedział:

— A według mnie opowiadasz głupstwa. Jest za wysoki, zbyt tęgi, zupełnie nie pasuje do rysopisu Brazila.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

— Może zauważyłeś, że na nogach miał buty na grubej podeszwie, takie same jakie i ja noszę, kiedy zamiast kopyt mam normalne stopy. Odziany w długi płaszcz, który jeszcze bardziej maskował prawdziwą sylwetkę. Mógł równie dobrze chodzić na szczudłach, które z powodzeniem dodałyby mu następne kilkanaście centymetrów. Chodził, jak przystało na zgrzybiałego staruszka, co czyniło również mylące wrażenie, ale miał przecież mnóstwo czasu na trening. Płaszcz dodatkowo jest z całą pewnością zaopatrzony w grubą podpinkę, która czyni go cięższym, niż jest w rzeczywistości. Ciemne rękawice zaś, wystające zza długich rękawów, wieńczą pewnie zbyt wąte i krótkie ręce, nie pasujące zupełnie do wyglądu. Broda jest niezła, ale widywałam już nieraz doskonale sztuczne owłosienie. A kapelusz też robi swoje. Nie, to z całą pewnością Brazil. Ręczę własnym życiem.

— Nie sądzisz, że to dość ryzykowne pozwolić mu tak po prostu odejść? — spytała przywódczyni Olimpierek. — Może zobaczywszy cię, zaczniesz węszyć pułapkę.

— Naprawdę wątpię, by spodziewał się zasadzki, ale w każdym razie sprawdzi mnie. Na Hsiurze rzeczywiście odbywa się konferencja — to wszystko czego jest w stanie się na ten temat dowiedzieć, gdyż świat ten leży na drugim końcu galaktyki. Kolejną rzeczą, jaką z pewnością uczyni, będzie wystukanie na klawiaturze komputera nazwy mojej korporacji, by się przekonać, czy istnieje odpowiedni numer ewidencyjny. Nie zawiedzie się i tym razem. Aż wreszcie, w ostateczności, może zakraść się tutaj późnym wieczorem albo z rana, by osobiście przekonać się, iż nasza firma rzeczywiście istnieje i dysponuje odpowiednim lokalem. Zastanie nas na swoich miejscach, zaś wysłużony szyld będzie wisiał nad wejściem.

— A jeśli w którymś miejscu popełniłaś błąd? — nie ustępowała Olimpianka.

Mavra zachichotała, sięgnęła pod kurtkę i wydobyla stamtąd niewielki nadajnik. Włączyła go i na obudowie zapłonęła mała czerwona dioda.

— Halka? Co porabia nasz człowiek? — spytała do mikrofonu.

— Opuścił port przed jakąś godziną — padła ledwie dosłyszalna odpowiedź. — Stamtąd natychmiast udał się do hotelu „Pioneer”, niosąc ze sobą ogromną torbę. Wszedł do przydzielonego pokoju numer czterysta cztery A i nie wychodził dotąd. Nikt również go nie odwiedzał.

Obdarzyła Olimpiankę wyniosłym uśmiechem, uśmiechem niosącym pewność siebie i chłód.

— Zadowolona? Śledzimy każdy jego krok. Niedługo zamontujemy nawet podsłuch na jego linii telefonicznej. Mamy go jak na patelni.

Olimpianka w dalszym ciągu była nastawiona sceptycznie.

— Obawiam się, że jeśli rzeczywiście jest Nathanem Brazilem. . .

— Dobra, ja jestem zadowolony — oznajmił Marquoz ziewając. — Proponuję, abyśmy wszyscy chwilę się przespali. Jutrzejszy dzień zapowiada się niezwykle interesująco, a nikt z nas nie wie, jak i kiedy to wszystko się skończy.

Hotel „Pioneer”, pokój 404 A

Zaraz po wejściu do pokoju mężczyzna podający się za kapitana Davida Korfa zamknął starannie drzwi i sprawdził, czy w pomieszczeniu nie ma „pluskiew”. Usiadł na wygodnym łóżku, które — podobnie jak resztę wyposażenia — wyraźnie wzorowano na wystroju wnętrza najlepszych apartamentów w ludzkiej części Konfederacji. Zadowolony pograżył się w myślach.

Ktoś siedzi mu na karku, co do tego nie miał wątpliwości. Ktoś, kto dużo o nim wie, kto zastawił pułapkę z bardzo niebezpieczną przynętą. Na jego szczęście popełnił jednak błąd — agenci śledzący go od samego portu zbyt rzucali się w oczy. Lecz, z drugiej strony, trudno przecież tropić starego wygę przez całe miasto, gdy ma się cztery nogi i na dokładkę znaczną nadwagę. W dodatku późnym wieczorem, gdy ulice świecą pustkami. Nawet starannie owinięte kopyta kłapią o bruki, nie tak łatwo skryć w cieniu pięćset kilo żywej wagi.

Korf rzucił okiem na telefon leżący koło łóżka. Mógł zadzwonić do paru osób, między innymi po gliny. Nie, policja aresztowałaby jedynie śledzących go agentów, nie dając później żadnych wyjaśnień. A zresztą ktoś tak dobrze przygotowany nie wynająłby ludzi sypiących przy lada sposobności.

Nie miał przyjaciół wśród miejscowych, choć zazwyczaj nawiązywał znajomości w czasie postojów. Ta planeta była dla niego nowa. Pozostawało wprowadzić jeszcze paru znajomych, stojących tak jak on akurat w porcie lub goszczących na krótkich wakacjach. Na kilku z nich mógł liczyć, gdyby doszło do walki. Jeśli chce się przekonać, o co w tym wszystkim chodzi, to zamiast uciekać, powinien rozpocząć poszukiwania.

Mimo dręczącej go ciekawości, perspektywa szybkiej ucieczki była bardzo kusząca, lecz równocześnie trudna do zrealizowania. Na świecie zamieszkałym niemal wyłącznie przez centaury łatwo było wytropić człowieka. Jedyne porty na pewno zostały obstawione. Pewnie, że na upartego można by się jakoś wymknąć, na przykład w kontenerach z ładunkiem lub kradnąc po prostu jakiś statek. Tolerancja wagowa zapobiegłaby przedwczesnemu wykryciu pasażera na gapę. Odrzucił jednak pomysł z kontenerem, bo istniało spore prawdopodobieństwo, że nie będą one hermetyczne. Mógłby porwać jakąś szalupę albo coś podobnego — może nawet holownik — ale co potem? Gliny mogłyby obstawić *Jerusalem*, a powolnym

holownikami nigdzie dalej nie miał żadnych szans dolecieć. Dryfowanie w próżni kosmicznej przez całe eony nie wydało mu się wcale pociągającą perspektywą.

Westchnął. Nie, ucieczka pociągała za sobą zbyt wielkie ryzyko, niosła za dużo niewiadomych, lepiej stawić czoło nieznanemu. Wolał konfrontację, szczególnie że ciekawość nie dawała mu spokoju.

Ale przecież nie wejdzie w pułapkę z gołymi rękami. Znów spojrzął na telefon, rozmyślając do kogo mógłby tu zadzwonić. Już miał podnieść słuchawkę, gdy nagle puknął się w czoło. Dysponując tak doskonałą organizacją, na pewno zdążyli przekupić już dyrektora hotelu — sam by to zrobił na ich miejscu. Nawet pieniądze nic by tu już nie poradziły. Potrzebował budki telefonicznej, najlepiej wybranej zupełnie przypadkowo. Przydałoby się też przyjrzeć nieco strażnikom dla orientacji, kto gra w przeciwną drużynę. „Pioneer”, mimo niewielkich rozmiarów, gościł wielu ludzi. W drodze do swego pokoju zdążył obrzucić przelotnym spojrzeniem mieszczącą się po lewej stronie część hallu hotelowego wydzieloną dla ludzi. Pomimo późnej pory dostrzegł chyba ze dwa tuziny kobiet i mężczyzn.

Zaczął dochodzić w myślach, czego spodziewają się po nim agenci, a następnie ujął słuchawkę telefonu i zażądał numeru Durkhańskiej Korporacji Przewozowej. Pojawił się on natychmiast na niewielkim wyświetlaczu, co wcale go nie zaskoczyło. Samo przedsiębiorstwo również mogło naprawdę istnieć. Nie miał już zamiaru sprawdzać, czy obecnie istotnie odbywa się konferencja importowo-eksportowa na Hsiurze. Skoro potrafią założyć fikcyjną firmę, to na pewno tak. Nawet gdyby mieli sami ją zorganizować.

Lecz kim byli oni? Z pewnością nie chodzi w tym wypadku o kult. Może najemnicy wynajęci przez tę zwariowaną religię? Lecz jacy najemnicy, jeśli tak rzeczywiście miałyby być? Szczerze mówiąc, nie sądził, by Zgromadzenie Studni stało za tym wszystkim — za wysokie loty jak na nich. Ale jeśli nie oni, to kto? Kto rozporządza środkami umożliwiającymi nie tylko samo wytropienie, ale również prześledzenie całej jego trasy kończącej się na Meouit — tym zapadłym skrawku nicości. A do tego dysponuje miejscowymi agentami i tą dziewczyną!

Ona właśnie najbardziej nie dawała mu spokoju. Chirurgia plastyczna? Neofornia? Nieważne co to było — jasne jest, że nikt nie był po prostu w stanie dokonać takiej rzeczy w czasie między tym jak podpisał kontrakt i wylądował tutaj.

Co gorsza, kto wiedział, jak ona wygląda? W grę wchodziłi jedynie ludzie ze Świata Studni, ale oni już dawno nie żyją. No może z wyjątkiem tego łajdaka Ortegi, ale nawet on nie ma wpływu na rzeczy dziejące się poza Studnią. To wszystko nie trzyma się kupy. Bardzo niewielu wróciło żywych ze Świata Studni. Ci nieliczni, którym się udało, zostali usunięci. A już z pewnością wszyscy, którzy ją kiedykolwiek widzieli.

To spotkanie wciąż zaprzętało jego myśli. Działał tu jakiś nowy czynnik, czynnik potencjalnie niebezpieczny. Wyrwa w czasoprzestrzeni, którą wywołali

ci idioci — czy mogła mieć jakieś efekty uboczne? Od pokoleń nie pokazywał się na Świecie Studni. Może ktoś skorzystał z wyrwy i uciekł przez nią do tego wszechświata? Ale czy w wyrwie mogło istnieć życie?

To wszystko nie ma sensu, zadecydował wreszcie. Istniało tylko jedno wyjście. Wstał z łóżka, położył na nim swoją walizkę i ostrożnie ją otworzył. Zdjął gruby płaszcz i watowaną podpinkę, która nadawała mu bardziej tęgi wygląd. Zrzucił niewygodne buty z wkładkami, odkleił olbrzymią brodę i spryskał ją odpowiednim roztworem ze swego podręcznego zestawu. Stopniowo usunął całkowicie aparycję rabina Davida Korfa — krzaczaste siwe brwi, kręgi wokół oczu, wszystko. Następnie podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Wcale nie tak wysoko, z pewnością do zrobienia. Ale będzie raczej ciężko. Najważniejsze, żeby okno dało się otworzyć dostatecznie szeroko. Przy tym było zimno jak diabli i ciągle padał śnieg.

Ale gdy uda mu się już jakoś zejść — co dalej? Jasne, śnieg będzie jego sojusznikiem. Tylko że ludzie, którzy wiedzieli, jak wygląda Wuju, znają doskonale każdy cal jego ciała. Musi się dobrze przebrać, naprawdę dobrze. Na tyle dobrze, aby zmylić nawet najbardziej doświadczonego wywiadowcę. Miał coś właśnie na taką okazję. Nie lubił korzystać z tego przebrania, lecz było naprawdę skuteczne. Przy jego pomocy zaaranżował nawet raz czy dwa własną śmierć.

Stanął przed walizką. Zawsze woził ze sobą przebrania, na wszelki wypadek, bo czasami miewał ochotę urwać się nie wzbudzając sensacji. To akurat przebranie nazywał „ostatnią deską ratunku”.

Włosy Korfa były oczywiście peruka, lecz pod spodem kryła się bujna, czarna czupryna Brazila. Przyszyty ją krótko nożyczkami, a następnie ogolił twarz. Teraz nieco kremu charakteryzatorskiego, by ukryć naturalne zmarszczki i rumianą cerę oraz trochę przyciemnić karnację. W tym pomagał mu zestaw kosmetyków dla aktorów. Stopniowo przeobraził się w osobę, która bardzo mgliście przypominała oryginalnego Brazila. Nie był w stanie usunąć rzymskiego nosa, ale mógł go zatuszować, na przykład rozszerzając nozdrza. Jeszcze peruka, za którą ponad dwa wieki temu zapłacił niemałą fortunę. Teraz drobne poprawki i wreszcie specjalny strój. Był mężczyzną bardzo niskiego wzrostu, co przy tym akurat przebraniu stanowiło spore udogodnienie. W swym podręcznym pakiecie bezpieczeństwa woził pięć różnych tożsamości. Przy użyciu środków charakteryzatorskich mógł tworzyć różne ich warianty.

Wszystkie elementy jego ubioru na lewej stronie były czarne, co nieraz okazywało się niezwykle przydatne. Teraz jednak bardziej przydałby się biały płaszcz. Ale cóż robić, niech i tak będzie.

Po przeszło półgodzinnej pracy stanął wreszcie przed lustrem. Doskonale. Nie miał jednak odpowiedniego płaszcza na tak mroźną i wietrzną pogodę. Przez jakiś czas przyjdzie mu znosić chłód.

Mimo że było to jego najlepsze przebranie — osobiście za nim nie przepadał. Tak naprawdę bawiło go ryzyko. Kiedy jest się dość długo w tym samym miejscu, kusi ucieczka, zmiana otoczenia. Nęcą rozmowy z ludźmi, do których normalnie nie odważyłby się otworzyć ust ze strachu, że zostanie to dostrzeżone przez niepowołane oczy. Czasami trzeba po prostu odmiany.

Musiał upodobnić się do zdjęcia widniejącego w fałszywych papierach. Były one na tyle dobre, że na większości planet nie wzbudziłyby żadnych podejrzeń. Lecz tutaj istniał tylko jeden port, a urząd celny i imigracyjny nie posiadały przecież dokumentów stwierdzających lądowanie. Na jakimś większym, ludzkim świecie nie miałyby to większego znaczenia, lecz tu mogłoby spowodować całe dochodzenie.

Po raz ostatni ocenił krytycznym okiem swe przebranie, a następnie podszedł do okna. O Boże, na zewnątrz było naprawdę zimno! Uniósł skrzydło okna nie bez pewnych trudności, gdyż usiłował zrobić to cicho. Powinien się jako tako zmieścić — ocenił. Uderzył go powiew lodowatego powietrza. Wprost nie cierpiał wszelkich niewygód, ale uwielbiał wyzwania i ryzyko. Po namyśle cofnął się i uruchomił program odtwarzający miejscową muzykę. Zakodował wyłączenie jej po kwadransie. Następnie zamówił budzenie na jutrzejszy ranek. Właśnie o to chodziło, zdecydował, dokładnie o to.

Wycisnął nieco przezroczyściego żelu z tuby, wtarł go w dłonie, zaczerpnął głęboko tchu i podszedł do okna. Ustawił się odpowiednio, a następnie, używając uszczelnionych dłoni jak przyssawek, zszedł po trzydziestometrowym, ceglanym murze na dół. Stojąc już na ziemi, odszukał tylne wejście do hotelu i wkroczył do środka. Poświęcił chwilkę na odtajanie i usunięcie żelu, a następnie ruszył pewnym krokiem w kierunku hallu.

Robiło się już naprawdę późno, lecz — zgodnie z jego przewidywaniami — w części hallu przeznaczony dla ludzi ciągle było tłoczno. Goście przeważnie odpoczywali delektując się kojącymi narkotykami i lekkimi drinkami, niektórzy tańczyli. Robili po prostu wszystko, co można robić z nudów na obcym świecie, gdy na dworze hula śnieżycą.

Dostrzegł szatnię, najwyraźniej nie pilnowaną. Kto tutaj chciałby ukraść płaszcz człowiekowi? Wszedł do środka, wybrał jeden, który odpowiadał zarówno potrzebom przebrania, jak i jego figurze. Założył go bez pośpiechu, wrócił do hallu i skinąwszy głową w kierunku kontuaru wyszedł głównym wejściem wprost na mroźny wicher. Nie pojawił się żaden tajniak. Odetchnąwszy nieco, zaczął z cicha pogwizdywać. Zabawa była coraz bardziej interesująca.

Wstawał świt. Mroźna noc upłynęła centaurom obserwującym magazyn i hotel Pioneer zupełnie spokojnie. Wszyscy byli gotowi przysiąc, że nikt ich nie zauważył, a Korf przespał całą noc w swym pokoju.

Jeden z agentów, siedzący u wylotu korytarza wiodącego do pokoju 404A, niemal podskoczył słysząc nagły zgrzyt. Zdał sobie sprawę, że zapadł w drzemkę.

Spojrzał na windę, wielką klatkę zbudowaną z myślą o centaurach, która podjechała i stanęła na pilnowanym przez niego piętrze. Drzwi rozsunęły się. Z windy wysiadła tylko jedna postać i ruszyła korytarzem w jego stronę. Była to młoda i piękna kobieta, szykownie ubrana i wyzywająco stąpająca. Odgarnęła do tyłu kaskadę długich kasztanowych włosów, wyjęła niewielkie puzderko, przeglądnęła się w nim i zaczęła sprawdzać po kolei numery pokoi, dopóki nie znalazła apartamentu 404A. Zaalarmowani agenci obserwowali ją uważnie z przylegających pomieszczeń i końca korytarza. Zapukała, a ze środka dobiegła jakaś odpowiedź. Później dały się słyszeć odgłosy niezdarne człapania i drzwi uchyliły się nieznacznie. Pchnęła je, weszła do środka i błyskawicznie zatrzasnęła za sobą.

— Niech mnie diabli — odezwał się niewyraźny głos w uchu strażnika. — Sądziłem, że to jakiś święty mąż, czy coś takiego.

— Nigdy nic nie wiadomo — odparł tamten. — W każdym razie zaczyna mi się podobać jego religia!

Pewnie bardzo by go zaskoczył fakt, że w pokoju 404A znajdował się tylko jeden człowiek. Kobieta zrzuciła buty, zdjęła perukę i kilka plastikowych wypełniaczy, lecz nie zwracała sobie głowy resztą przebrania. Już świtało, a Nathan Brazil chciał jeszcze się chwilę zdrzemnąć przed powrotem do postaci rabina Korfa. Legł na łóżku i niemal natychmiast zapadł w sen. Wąty uśmieszek błąkał mu się po twarzy na myśl o zaskoczonych minach jego prześladowców, gdy jutro, sprawdzisz całe pomieszczenie, nie znajdą ani śladu kobiety.

W magazynie — południe

— Wyszedł przed godziną — oznajmił głos dobywający się z radiotelefonu. — Tolga i Drur nie spuszczaają z niego oka. Nie ustaliliśmy jednak jak dotąd, kim była tamta dziewczyna.

Mavra skrzywiła twarz w ponurym uśmiechu.

— Sądę, że już to wiem — odparła sucho i przerwała połączenie.

— Dziewczyną był sam Nathan Brazil?

Skinęła głową.

— Oczywiście, Marquoz. Wziąwszy pod uwagę całe jego doświadczenie, była to dziecinnie prosta sztuczka.

— Ale w jaki sposób wydostał się z pokoju? — spytała Olim-pianka. — Mówiłaś, że wasi ludzie obserwują to pomieszczenie bez przerwy.

Mavra pokiwała głową, czując się trochę głupio.

— Nieraz kradłam pieniądze z lepiej strzeżonych miejsc, korzystając ze sposobów, których teraz powinnam się była po nim spodziewać. Niech to cholera! Zaczynam myśleć schematami. Za bardzo polegałam na Obiem. A Brazil wystrychnął nas wszystkich na dudka. Jeśli zaś chodzi o to, jak wrócił do swojego pokoju, to po prostu skorzystał z banalnej sztuczki z brzuchomówstwem, uprzednio pozostawiwszy nie zamknięte drzwi.

— Wiesz, co to znaczy — stwierdził Marquoz.

Przytaknęła.

— Jasne. Śledził nas.

— Na dodatek w ogóle nie zadzwonił, co oznacza, że będzie próbował jakoś się wyrwać — dodał Czugacz. — Obawiam się, że czekają nas poważne kłopoty, jeśli szybko go nie pochwycimy.

Mavra myślała gorączkowo.

— Nic nie przychodzi mi do głowy. Jest środek dnia, a my jak dotąd widzieliśmy go jedynie w zatłoczonych miejscach. Mógł powiadomić gliny, że ktoś go śledzi, albo coś w tym guście, i teraz odstawią go pod eskortą na statek!

— I co w takim wypadku? — spytała przywódczyni Olimpianek. — Co nam pozostanie?

— Wezwać Obiego na pomoc i porwać cały pieprzony, dwuipółkilometrowy frachtowiec — odparła Mavra ze złością. Nie była wściekła na samego Brazila — ucieczka w zasadzie podtrzymała jej wiarę w jego legendę — lecz raczej na siebie za to, że dała się tak podejść. Swego czasu była największym włamywaczem w dziejach Konfederacji, a pozwoliła się podejść w tak prosty sposób. Prawdziwa hańba!

Rozprawiali z ożywieniem nad wypadkami ostatnich godzin, kiedy przez pusty magazyn echo poniosło dźwięk elektrycznego dzwonka. Ponieważ wrzeszczeli na siebie gromkimi głosami, zatem dobra chwila upłynęła, nim dotarło do nich, że ktoś dzwoni. Nagle zapadła grobowa cisza.

Telefon dzwonił dalej.

Mavra skinęła głową rhonyjce ze swej obstawy. Centaurzyca wzruszyła ramionami i podeszła do aparatu leżącego na podłodze i stanowiącego jedyny element wystroju wnętrza. Przynajmniej na razie na Meouit nie znano wideofonów.

Gdy przebrzmiał piąty dzwonek, rhonyjka podniosła słuchawkę i powiedziała:

— Durkhańska Korporacja Przewozowa.

— Przepraszam, ale nie władam waszym językiem — odparł uprzejmy, dość piskliwy głos. — Czy zna pani standardowy?

— Oczywiście, proszę pana — odparła agentka, grając rolę uprzejmej sekretarki. — Czym możemy panu służyć?

— Proszę połączyć mnie z Wielmożną Panią Obywatelką Tourifreet, jeśli ła-ska — odparł rozmówca. — David Korf przy telefonie.

— Ach. . . Och tak, chwileczkę, proszę pana.

Rhonyjka spojrzała na Mavrę unosząc pytająco brwi i jednocześnie wduszając przycisk „pauza” na obudowie telefonu.

Mavra zwróciła się z kolei do pozostałych.

— No i co o tym sądzicie?

— Powiedziałbym, że ciekawość zwyciężyła — oznajmił Marquoz. — Albo też po wczorajszej nocy nabrał pewności siebie.

— Powiedzcie jednak, co mam teraz robić? Czugacz wzruszył ramionami.

— Trzymaj się starego planu. Przecież w końcu chcemy z nim tylko porozmawiać.

Skinęła głową i podeszła do telefonu. Wcisnęła ponownie przycisk „pauza” i powiedziała słodko:

— Tourifreet.

— Witam panią, Obywatelko — odparł uprzejmie Korf. — Chciała pani omówić ze mną pewien interes?

— Wystarczy Tourifreet — odparła niedbale. — U nas nie używa się tytułów. Tak, owszem, skontaktowałam się z ojcem i znam już szczegóły proponowanego kontraktu. Dwadzieścia standardowych kontenerów — produkty rolne.

— Nie za wiele tego — zauważył. W jego głosie pobrzmiewało szczere rozczarowanie.

— Nie znam się na tym — odparła nieśmiało — ale nie widzę problemów, by zabrał pan również inny ładunek oprócz naszego.

— Dokąd?

To zadziwiające, że dalej brnie w tę farsę, pomyślała. Jest najbardziej opanowanym operatorem, jakiego zna, zdecydowała. Lepszym nawet od jej dawno zmarłego męża.

— Na Tugami. . . to pograniczny świat. Nowy szlak przewozowy, raczej daleka droga, ale to dobra baza wypadowa. Tak przynajmniej uważa mój ojciec.

Słyszała jakieś głosy w słuchawce, w tle. Przywodziły na myśl zatłoczone biuro albo targowisko. Usłyszała również szelest wertowanych kartek papieru, a później odezwał się znów jego głos.

— A tak. Rozumiem. Wygląda na to, że mój atlas nie obejmuje całego pogranicza. Ale w porządku. Sądzę, że uda mi się znaleźć kilku kontrahentów, tak że ładownie będą pełne. Nie ma chyba zbyt wielkiego pośpiechu?

— O ile wiem, to nie.

— Zatem postanowione. Czy możemy ustalić warunki i podpisać wszystko jeszcze dzisiaj? Chciałbym wystartować jutro o szóstej.

W ostatniej chwili powstrzymała się z propozycją wspólnego zjedzenia obiadu. Po pierwsze, jadłospis Rhone był zupełnie odmienny od ludzkiego. Zaś po drugie, jeśli Brazyl cały czas grał Korfa, to jadał posiłki koszerne.

— Może wpadłby pan tutaj do biura w wolnej chwili? Siedzę tu całe dzisiejsze popołudnie i część wieczoru — zaproponowała. — W zasadzie nie mam wiele do roboty.

— W porządku, ale musi pani przynajmniej opisać mi drogę — odparł gładko. — Powiedzmy, za godzinę? Mam nadzieję, że to niedaleko portu?

— Bardzo blisko — potwierdziła i opisała mu dokładnie położenie magazynu. Pożegnali się, wymieniając zwyczajowe uprzejmości. Potem Mavra zwróciła się do pozostałych.

— No i co o tym sądzicie? Marquoz zaśmiał się sucho.

— To najbardziej zabawna historia, jaką ostatnio słyszałem. Genialne! Ty wiesz, że kłamiesz, on wie, że łąga jak najęty, oboje zdajecie sobie sprawę z waszego udawania. Ale rozmowę prowadziliście tak pewnym tonem, że niemal sam w to wszystko uwierzyłem! Naprawdę, nie do wiary!

— Sądzisz, że przyjdzie? — spytała nerwowo Olimpianka.

Marquoz pokiwał głową.

— Och, to nie ulega wątpliwości. Jasne, że przyjdzie. Przecież go to wyraźnie bawi, nie widzicie? — Nagle spoważniał. — Ale nie przyjdzie ot, tak sobie. Gdy pojawi się na ulicy, przetnie placyk i zacznie się zbliżać do naszego magazynu, możecie być pewni, że będzie doskonale uzbrojony. Chowa w zanadrzu

mnóstwo najróżniejszych sztuczek na wszelki wypadek. Założę się również, że ma w pobliżu przyjaciół. To niebezpieczny człowiek, skoro tak bezczelnie pcha się w pułapkę, o której doskonale wie. Nie wolno nam go ponownie zlekceważyć.

Wszyscy zgodnie pokiwali głowami. Mavra podeszła do drzwi i uchyliła je nieznacznie. Na dworze było wciąż dość chłodno, a na dodatek siał deszcz ze śniegiem. Lecz chmury powoli rozstępowały się i słońce zaczynało oblewać wszystko złotą poświatą. Wkrótce tak intensywną, że odbite od śniegu promienie raziły w oczy. Wskazała palcem na dach pobliskiego budynku.

— Tam siedzi Talgur uzbrojony w karabinek obeszwałniający z lunetą. Po przeciwnej stronie znajduje się stanowisko Galgana wyposażonego w tę samą broń. Zaś na tamtej wieżyczce, czy jak to się, u diabła nazywa, ukrył się Muklo. Do tego dodajmy nas oraz Tarla i Kibbi śledzących go od początku. Powinno wystarczyć — powiedziała i zatrzasnęła drzwi.

— Aż nadto — dobiegł ich z tyłu głos Olimpianki. Przez magazyn przeleciała seria celnie wymierzonych promieni obeszwałniających, kładąc pokotem Mavrę, Marquoza oraz resztę załogi *Nautiliusa*. Przywódczyni Olimpianek rozejrzała się z satysfakcją dookoła, a potem rzekła do swych towarzyszek:

— Jeszcze ta trójka na dachu. Wiecie, co robić.

Skinęły głowami i ruszyły w kierunku specjalnych otworów na drugim piętrze, których przygotowanie zajęło im dwa ostatnie dni. Po niespełna pięciu minutach były już z powrotem.

— Będą spali do wieczora — oznajmiła jedna z Afrodyt.

— Nieźle wybrali sobie te punkty obserwacyjne — stwierdziła przywódczyni. — Jeśli zajmiemy te pozycje na skraju dachu oraz na szczycie tamtej wieżyczki, będziemy miały pod kontrolą wszystkie drogi dojazdowe. Unieszkodliwicie wywiadowców i każdego, kto się pojawi, strzelając z karabinków naszych niedawnych przyjaciół. Nastawcie na pełną moc rażenia.

— A gdyby mieli kamizelki antyobeszwałniające? — spytała któraś.

— Wówczas zabijcie ich.

— A gdzie będziesz ty? — zapytała inna.

— Na placyku — odparła przywódczyni. — Będę udawała posąg, póki nie zbliży się na wyciągnięcie ręki. Wtedy i tylko wtedy zadam Święte Pytanie. — Uśmiechnęła się szeroko, a w jej oczach zalśniło coś więcej niż jedynie błysk fanatycznego uniesienia. — I tym razem będzie to odpowiedź oczekiwana, siostry! Zbawienie i raj są tuż tuż!

Przywódczyni rozejrzała się dookoła. Wszystko było zapięte na ostatni guzik. Jej siostry zajęły już strategiczne pozycje, a ona sama rozplynęła się niemal całkowicie w tle wielkiego pomnika. Póki nie zacznie się ruszać, nikt nie będzie w stanie określić, w którym miejscu stoi. Pod względem „militarnym” w pełni polegała na siostrach. Chłód wcale jej nie przeszkadzał — na Olimpusie takie śnieżyce zdarzały się nawet w środku lata. Mogła długo tak stać w całkowitym

bezruchu. Olimpianki czekały na tę chwilę od tak dawna, że kolejne czterdzieści minut byłyby kroplą deszczu pośród wściekłej nawałnicy. Ten głupi jaszczur na usługach policji i tamta bezczelna suka — bękart Złego — oraz ich wspólnicy nie mieli już głosu. Dała słowo! Jakby słowo dane sługom Złego do czegokolwiek zobowiązywało! Święta Matka miała rację. Zaplanowała wszystko w szczegółach, a ona i jej siostry wypełniły zadanie bez zarzutu. Nie popełniły żadnego błędu. Wszystko poszło jak po sznurku.

W rzeczywistości popełniły jednak dwa błędy. Jeden był w pełni zrozumiały — religia nie pozwalała im podejrzewać, iż Nathan Brazil skorzysta z pomocy ludzi postronnych, by zabezpieczyć się przed nieprzyjemnymi niespodziankami. W rzeczy samej, trzech naprawdę paskudnych gości, których Brazil zatrudnił jeszcze zeszłego wieczora, siedziało na pobliskich dachach i obserwowało całe zajście. Nagłe zniknięcie przywódczyni na środku placu zaskoczyło ich. Lecz pozostali członkowie jej grupy, choć również złani nie do rozpoznania z powierzchnią dachu, stanowili jednak dobry cel. Zdradzały ich karabiny wycelowane w środek skweru. Po położeniu broni łatwo można było określić pozycję trzymających ją Olimpianek.

Drugim błędem Olimpianek było zlekceważenie faktu, iż siła rażenia pistoletów obezwładniających ustalona została dla ciała przeciętnego humanoida. Rhone, których postać przybrała obecnie Mavra i reszta jej grupy, byli dużo masywniejsi i wymagali silniejszego ładunku. Co unieruchomiłoby ludzi — a także Marquozę, mimo jego wagi — na całe godziny, nie było w stanie powalić rosnącego Rhone na dłużej niż trzydzieści minut. Mavra i pozostali, leżący dotychczas pokotem w magazynie, zaczęli powoli wracać do przytomności. Czuli, jak odzyskują władzę po kolei w każdej komórce. Mozolnie i w bólu stopniowo wracała im zdolność ruchu.

Mężczyzna podający się za Davida Korfa stał o dwa bloki dalej i obserwował uważnie otoczenie. Czuję się jak rabin z pogranicza, dwulufowy mędrzec Talmudu, pomyślał bez związku. Już wcześniej usunął większość watowanej podszewki z płaszcza i jedynie zarzucił okrycie na ramiona, tak by móc błyskawicznie się go pozbyć. Przedziurawił również kieszenie. Pozornie wydawać się mogło, że jego ręce tkwią w nich zwyczajnie. W rzeczywistości spoczywały na dwóch niezwykle skutecznych pistoletach maszynowych, będących na wyposażeniu Policji Konfederacyjnej. Należały do rodzaju tych, z których nawet nie trzeba celować.

Była to broń, której mogli używać jedynie gliniarze.

Włączył trzymany w prawej dłoni radiotelefon.

— I jak leci, Paddy? Co my tam mamy?

— No cóż, na pewno trudno tu szukać niewiniątek, jeśli o to chodzi — odezwał się niewyraźny męski głos.

Większość pilotów kosmicznych była na swój sposób świrnięta. Dajmy na to Paddy, którego hobby stanowiły piosenki ludowe. Ubzdurał sobie, że niegdyś był

Irlandczykiem i trzymał się tego kurczowo, choć skórę miał czarną jak Afrykanin z buszu.

— Wygląda, że serio szykują gdzieś tu małe spotkanko.

— Ale nikogo poza tym? — upewnił się Brazil. — A więc? Twoi chłopcy gotowi?

— Możesz mi zaufać w tej sprawie, Nate — odparł Paddy. — Ale coś mi się zdaje, że na dachach czai się kilka tych superpanien.

Brazil był wyraźnie zaskoczony.

— Olimpianki? Tutaj? Niech to cholera! Więc mimo wszystko to sprawka tego zwariowanego kultu!

Czuł się niemal rozczarowany. Liczył na coś bardziej zajmującego. Lecz dalszy komentarz Paddy'ego na nowo rozbudził w nim nadzieję.

— Wygląda na to, że twoje paniusie zdążyły wykończyć już innych gości. Na dachu leży pokotem cała kupa nieżywych albo ogłuszonych szkap. Coś ostatnio sporo luda siedzi ci na karku, Natty!

Wreszcie coś się dzieje.

— Widzisz Olimpianki? — spytał. — Ile?

— Ze trzy na dachu. Może być więcej, ale jakoś nie włączają pod celownik.

Możliwe, że reszta kryje się w samym magazynie. Jeśli ma szczęście, to Olimpianki odwały już za niego brudną robotę i na swej drodze spotka jedynie te fanatyczki, zamiast nieznanego wroga. Tylko czy to w ogóle cokolwiek zmieni?

— Kiedy tylko mnie zobaczysz, wal na całego — polecił Brazil. — To nie są ludzie i potrafią wiele wytrzymać, więc nie żałuj im.

— A jeśli ciągle będzie za mało? — dopytywał się gorliwe Paddy.

— Rób, co uznasz za stosowne — odrzekł Brazil. — Teraz zajmijcie stanowiska i osłaniajcie mnie.

— Możesz spokojnie ruszać — zapewnił go tamten.

Brazil schował radiotelefon do kieszeni i rozpoczął marsz w dół ulicy. Piękny dzisiaj dzień, pomyślał. To strasznie głupio marnować taką pogodę na idiotyczne pochody.

W oddali dostrzegł niewielki skwer, pośrodku którego ustawiono pomnik przedstawiający olbrzymiego, ośniedziałego Rhone ciągnącego wóz — bóstwo handlu czy coś w tym guście. Za statuą mógł się ktoś ukryć, pomyślał. Ale nie, chłopcy Paddy'ego daliby mu o tym znać.

Czy na pewno? Zatrzymał się na skraju placu, jeszcze niewidoczny dla tamtych, i popatrzył uważnie na pomnik. Ile Olimpianek mogło rozpuścić się w jego tle? — medytował. Położył dłonie na kolbach pistoletów. No cóż, superkobiety czy nie superkobiety, ale trzeba je unieszkodliwić. Przełknął ślinę, zaczerpnął tchu, odetchnął głęboko i wkroczył na plac.

W tym samym momencie Paddy i jego ludzie otworzyli ogień. Olimpianki ukryte na dachach zeszytywniały i wypuściły broń. Na placu zapanowała komplet-

na cisza i bezruch. Brazil znając Paddy'ego wiedział, że akcja się powiodła, bo inaczej słyhać byłoby krzyki, wrzaski, a może nawet eksplozje.

Przyjrzał się uważnie magazynom skapanym w jaskrawym, słonecznym świetle. Zauważył na jednym z nich szyld „Durkhańska Korporacja Przewozowa” i ruszył ostrożnie w jego kierunku, cały czas obserwując spod oka statwę. Zielony centaur, pokryty gdzieniegdzie warstwą śniegu, wyglądał, jakby cierpiał na parchy.

W magazynie Mavra jako pierwsza odzyskała przytomność i wstała niepewnie na nogi.

Olimpianki zdradziły, co do tego nie miała wątpliwości. To znaczyło, że teraz same zaczęły się na Brazila! Dopadła drzwi, uchyliła je i spostrzegła męzczyznę zbliżającego się w jej kierunku. Błyskawicznie sięgnęła po nadajnik i przełączyła go na wywołanie.

— Talgur! Galgan! Muklo! — krzyknęła. Nie było odpowiedzi. Odłożyła nadajnik ze zniechęceniem. Wiedziała, że musi jakoś ostrzec Brazila, musi go usunąć z linii strzału. Lecz jak to zrobić, nie dając się jednocześnie zastrzelić?

Było zimno, to prawda, ale do diabła z tym! Zdjęła płaszcz oraz ciepły sweter i stała teraz kompletnie naga. W ten sposób przekona go, że nie ma ukrytej broni. Bez dłuższego namysłu popędziła co sił w kierunku skradającej się niskiej postaci.

— Uciekaj! — krzyknęła w biegu. — To pułapka.

Skamieniał pozornie zaskoczony i postąpił parę kroków do tyłu, jakby w obawie przed stratowaniem.

Przywódczyni Olimpianek, przeklinając, wyskoczyła ze swej kryjówki i rzuciła się w stronę Brazila wrzeszcząc:

— Zastrzelcie ją, siostry! Zastrzelcie!

Jej świrdujący głos odbił się echem od otaczających skwer budynków.

Brazil, widząc nadbiegającą z lewej strony amazonkę oraz szarżujące widmo Wuju, kompletnie osłupiał.

— Jasna cholera — zaklął.

Paddy działał szybciej. Gdy tylko dostrzegł postać Olimpianki odrywającą się od pomnika, starannie wycelował i przygotował się do strzału. Olimpiance udało się wyprzedzić nieco Mavrę i krzyknąć

— Panie, czy nazywasz się Nathan Brazil?

W tym momencie Paddy pociągnął za spust i Olimpianka runęła na ziemię. Legła w bezruchu z wyrazem niedowierzania malującym się na twarzy.

Ten strzał kompletnie zaskoczył Mavrę, lecz pomyślała, że pewnie któryś z jej ludzi odzyskał wreszcie przytomność i zrobił właściwy użytek z broni. Dwaj Rhone, którzy śledzili Brazila, wypadli niespodziewanie z odbezpieczonymi pistoletami na skwer z przeciwnych stron. Mavra poczuła się nieco pewniej. Spróbowała wyhamować, lecz siłą bezwładności minęła jeszcze Brazila.

Z dachów odezwały się kolejne strzały, kładąc pokotem obydwu Rhone. Zdana ponownie na własne siły, skręciła, by uniknąć zderzenia z Brazilem. Ten zaszedł jej drogę i rzucił płaszcz, odsłaniając solidny pas z dwoma olstrami. W lewej ręce trzymał pistolet maszynowy. Nie robił uników, lecz w momencie gdy zwolniła i zaczęła skręcać, wskoczył jej na grzbiet!

Zachwiała się niebezpiecznie pod wpływem niespodziewanego ciężaru i wyhamowawszy stanęła dęba próbując go zrzucić. W tym momencie poczuła na swych ludzkich plecach zimną lufę pistoletu.

— Tylko nie próbuj żadnych sztuczek — ostrzegł ją ostro. Znała ten głos, bo Obie puszczał jej stare nagrania. Skamieniała.

— Ruszaj tą ulicą w kierunku portu — polecił.

Posłusznie skierowała się we wskazanym kierunku. Była kompletnie zaskoczona rozwojem wypadków.

— Co to za ludzie? — wydusiła z siebie wreszcie wskazując na dachy.

Brazil roześmiał się, zadowolony że przejął kontrolę nad sytuacją.

— Moi chłopcy, rzecz jasna! Powinniście byli wczoraj obstawić alejkę na tyłach i zasłonić okna!

Spociała się i nagle poczuła, jak bardzo jest jej zimno. Wstrząsnęły nią dreszcze.

— Może powiesz wreszcie dokąd idziemy? Zamarznę tu na śmierć!

Znów się roześmiał.

— Oko za oko. Wczoraj mało nie zdechłem na tej śnieżycy, przełaząc przez wasz cholerny mur. Nic ci nie będzie! Kieruj się w stronę portu!

Odwróciła głowę i spojrzała na jeźdźca. Prezentował sobą zabawny widok. Odziany był w skórzane buty z cholewami, obcisłe brązowe spodnie oraz niedo-rzecznie szeroki pas z dwoma olstrami. Do tego nosił także cienką bawełnianą koszulę w niebiesko-białą kratę, olbrzymią brodę, długie siwe włosy i kapelusz z obwisłym rondem.

— Dobra. Zatrzymaj się tutaj — rozkazał, gdy znaleźli się nie opodal zatłoczonej ulicy. Po drugiej stronie widać było zabudowania portowe. — Zsiądę na razie, ale nie sądz, że przeszkodzi mi to w celowaniu. Tubylcy mogliby poczuć się urażeni widokiem człowieka Jadącego na centaurze. Jednak ten pistolecik, na wszelki wypadek, dysponuje własną inteligencją i wolą.

Spojrzała na broń i łatwo w to uwierzyła.

Zeskoczył na ziemię, a Mavra poczuła się, jakby z grzbietu spadł jej tonowy ciężar. Zdrętwiała nieco.

— Chłopcy w biurze odpraw zostali nieźle opłaceni, więc będą udawać, że nas nie widzą — oznajmił. — Lecz ponieważ ty jesteś miejscowa a ja nie, poczucie solidarności rasowej może przeważać nad zachłannością, choć szczerze mówiąc nie liczyłbym na to. Zamierzam zatem schować tę zabawkę do olstra i poprowadzić cię przez poczekalnię, gdzie spotkaliśmy się wczoraj, do wyjścia numer cztery.

Tam czeka na nas prom. Nie zakończono jeszcze rozładunku mojego frachtowca, nie będzie więc prawdopodobnie żadnych problemów. W każdym razie tymczasem pozostajemy na orbicie.

Przytaknęła świadoma, że nie czułby się tak pewnie, gdyby jego ludzie nie kryli się ciągle w pobliżu, a cała rzecz nie była z dawna zaplanowana. Nie miało to zresztą znaczenia. I tak chciała z nim porozmawiać.

Żałowała teraz, że nie pozwoliła Obiemu, by połączył ich tą samą więzią co na Olimpusie. Ciągle jednak czuła wściekłość za ten numer ze Świątynią Narodzin i tym razem była nieubłagana. Brakowało jej jednak jego obecności. Wiedziała, że Obie miałby dużo większe szanse w konfrontacji z Nathanem Brazilem.

Weszli do budynku i jakby na potwierdzenie jego słów nikt nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Nawet ona, naga — jak ją Pan Bóg stworzył — w środku zimy, nie wzbudziła niczyjego zainteresowania. A cały czas sądziła, że jest raczej atrakcyjną centaurzycą!

Wahadłowiec był sterowany automatycznie, a sama podróż na orbitę trwała bardzo krótko. Cieszyła się, że w środku działa ogrzewanie i wreszcie jest trochę czasu, by odsapnąć. Brazil rozparł się wygodnie w fotelu i obserwował ją uważnie z mieszaniną podziwu i fascynacji.

— Wyjaśnij mi więc, Tourifreet, czy jak tam się naprawdę nazywasz — zaczął — czy jesteś szefem tego całego spisku, czy tylko płatnym najemnikiem? Kto dysponuje możliwościami, byś wyglądała tak, jak wyglądasz?

Zdobyła się na uśmiech, ciągle nieco zadyszana.

— Nie, bynajmniej nie Tourifreet — wysapała. — Mavra, Mavra Czang. Twoja praprawnuczka, panie Brazil.

Wyjął cygaro, zapalił je i oparł się o grodz.

— Ciekawe, ciekawe... Opowiadaj dalej. Czy ktoś ci już powiedział, że jesteś bardzo podobna do prapradziadka?

Na pokładzie *Jerusalem*

Po wstępnej wymianie zdań prawie się już do siebie nie odzywali. Nathan zadokował gładko i oboje przeszli przez układ śluz do centrum statku. Z rufy dochodziły głośne stuki i łomoty — dźwięki towarzyszące rozładunkowi towarów z ładowni na kontenery doczepione do holowników. Przepuścił ją przodem i razem ruszyli płataniną wąskich korytarzy, aż w końcu dotarli do salonu.

W pomieszczeniu panował straszny bałagan. Puste puszki po jedzeniu wały się dookoła, na podłodze piętrzyły się sterty papierów. Widać było mnóstwo książek w językach, o których nie miała nawet pojęcia. Okładki świadczyły o bardzo specyficznych gustach czytelniczych właściciela.

— Przepraszam za ten śmietnik, ale ostatnio nie byłem w nastroju do robienia generalnych porządków. A zresztą nie spodziewałem się gości — powiedział bezceremonialnie Brazil. Strzepnął kurz z wyściełanego fotela i rozparł się w nim wygodnie.

— Nie obawiasz się, że teraz gdy jesteśmy sami mogę cię obezwładnić? — spytała. — Mimo wszystko jestem dużo większa i silniejsza od ciebie.

Zachichotał.

— Spróbuj. Tylko ja potrafię obsługiwać autopilota, w części rufowej panuje próżnia podczas wyładunku, a okręt jest unieruchomiony do czasu, gdy robotnicy portowi zakończą pracę.

By zademonstrować absolutną pewność siebie, odpiął pas z bronią i złożył go na podłodze.

Podniosła jedną z książek i spojrzała na okładkę.

— Nigdy dotąd nie widziałam na terenie Konfederacji prawdziwych książek — stwierdziła ze zdziwieniem w głosie. — Powiedz... czy okładka istotnie oddaje jej treść?

Obrzucił ją rozbawionym spojrzeniem.

— Oczywiście, moja droga. Choć zawartość nigdy nie jest tak pieprzna, jak obiecuje winietka. — Nagle spoważniał. — Dawniej właśnie książki dostarczały ludziom wiedzy o świecie... no i oczywiście rozrywki. Rzecz jasna, takie zwyczajnie panowały dawno temu, jeszcze p.n.e. — przed napływem elektroniki do każdego domu i biura. Ja jednak wciąż lubię książki, a dookoła można znaleźć

dość muzeów i bibliotek, gdzie nietrudno je kupić. Bądź co bądź, choć część spuścizny udało im się ocalić! Phi! — Urwał znów i przyjrzał się jej uważnie. — Więc nazywasz się Mavra Czang, co?

Skinęła głową.

— Nie wydajesz się zbyt zaskoczony tym faktem — zauważyła.

Uśmiechnął się.

— Och, do diabła, wiedziałem, że ciągle gdzieś tam latasz po kosmosie na tej piłeczce golfowej.

Była szczerze zaskoczona.

— Wiedziałeś? Skąd? — Przed oczyma stanął jej obraz wszechmocnego boga.

Znów się roześmiał.

— Och, nie ma w tym nic tajemniczego. Komputer po prostu spartolił scenę waszej śmierci. Odczekał pełne trzy milisekundy, nim zniknął — zbyt długo. Inne komputery miały dość czasu na dokonanie analiz. Był w stanie i powinien dokonać tej operacji dużo szybciej — powiedzmy w przeciągu nanosekundy. Wówczas obraz wymknąłby się wszelkim analizom, gmatwany dodatkowo przez obłoki cząstek antymaterii. Lecz Obie zwlekał w obawie, że możesz nie wytrzymać szoku związanego z gwałtownym przyspieszeniem.

— Trzy milisekundy to według mnie raczej szybko — zauważyła sucho.

Wzruszył ramionami.

— Wszystko jest kwestią spojrzenia. W każdym razie sprawa nie wydała się. Nikt nie poddał tej sceny tak drobiazgowym analizom, jak ja. Widzieli na własne oczy, jak zginęliście, taśma to potwierdziła i na tym poprzestali.

To wyjaśnienie jedynie w części rozwiało jej wątpliwości.

— Więc cały czas byłeś na bieżąco? Sądziliśmy, że twoja pamięć. . .

— Pamięć działa bez zarzutu — przerwał jej. — Istnieje po prostu jakiś limit informacji, które może pomieścić ludzki mózg. Później pewne rzeczy są wyrzucane, by zrobić miejsce dla nowych. Raz już doszedłem do tego krytycznego momentu, lecz jakoś się z tym uporałem podczas ostatniego pobytu w Studni. Ale owszem, wiem o wszystkim, w każdym razie o Treligu. Najpierw Alaina przysłała do mnie z propozycją, żebym był jej przedstawicielem na pokazie. Poczyłem pewne kalkulacje i wyszło mi, że istnieje niewielka szansa, iż wszyscy wylądują na Świecie Studni, co później okazało się istotnie prawdą. Pomyślałem też, że powitanie, jakie by mi tam zgotowali, nie składałoby się raczej z parad i popisów orkiestr dętych. Zasugerowałem więc twoją kandydaturę. Nie wiem czemu, ale wcześniej wcale cię nie skojarzyłem! Do diabła! Chyba się starzeje!

— Zasugerowałeś moją kandydaturę? — zaczął kotłować się w niej gniew. — To wiele tłumaczy!

Wzruszył ramionami.

— Spisałaś się na medal. Na dodatek jesteś ciągle żywa, a normalnie już od wieków byłabyś martwa. Czegóż chcesz więcej?

Nie znalazła odpowiedzi na to retoryczne zresztą pytanie, więc puściła je mimo uszu.

— A teraz, moja praprawnuczko, o co, do jasnej cholery, w tym wszystkim chodzi? — spytał obcesowo.

— Wyrwa — wyjaśniła. — Musi zostać załatwana u źródła. Wiesz przecież. Dlaczego nic nie robisz?

Nagle spowaźniał.

— Bo tak zdecydowałem — odparł po prostu.

Była zaszokowana.

— Może nie wiesz w czym rzecz? Za jakieś sto lat. . .

— . . . ludzkość przestanie istnieć — dokończył za nią. — A zaraz potem Rhone, Czugacze i reszta narodów Konfederacji. Zdaję sobie z tego sprawę.

Nie mogła wprost uwierzyć własnym uszom i usiłowała wymyśleć jakieś motywy dla tak okrutnego postępowania. Nic nie przychodziło jej do głowy.

— To znaczy, że nie potrafisz załatać wyrwy?

Pokręcił smutno głową.

— Nic z tych rzeczy. Pęknięcie będzie rosło i rozszerzało się, aż w końcu zniszczy cały wszechświat, jaki teraz znamy i rozumiemy. Nie pochłonie jednak wszystkiego — pozostanie pierwotny wszechświat Markowian. Lecz większość jego słońc i wszystkie niemal planety są już teraz całkiem jałowe. Jeśli nie pojawi się jakiś nowy czynnik, ten wszechświat pozostanie martwy, będzie cmentarzyskiem Markowian.

Ciszę, jaka zapadła, można by krajać na plasterki. W końcu Mavra spytała:

— I nie chcesz powstrzymać kataklizmu?

Uśmiechnął się.

— Owszem, powstrzymałbym, gdyby cena nie była aż tak wysoka. Nie mogę po prostu wziąć na siebie całej odpowiedzialności.

Szczęka jej opadła.

— Odpowiedzialność? Cena? O czym ty, do diabła, mówisz? Cóż może być gorszego niż martwy wszechświat?

Popatrzył na nią w zamyśleniu.

— Nie wiem, czym się zajmowałaś przez ostatnie lata, lecz ja, dysponując komputerem Zindera, podróżowałbym, odwiedzałbym wszystkie możliwe zakątki. Inne galaktyki, inne rasy.

Skinęła głową.

— Tak, między innymi.

— Lecz przez to straciłaś ostrość widzenia, utraciłaś perspektywę — wyjaśnił. — Dzięki modyfikowaniu markowiańskich równań, Obie może przenieść cię natychmiast w dowolne miejsce. Czy zdajesz sobie w ogóle sprawę z odległości między światami, z olbrzymich przestrzeni? Wspomnij czasy, gdy byłaś jeszcze kapitanem frachtowca. Podróże trwały całe miesiące, mimo że zyskiwaliśmy

na względności czasu. Przeważnie gwiazdy rozrzucone są co sto lat świetlnych. Średnica naszej galaktyki wynosi setki tysięcy lat świetlnych. Najbliższa sąsiadka leży jeszcze dalej. Drilom zabrało tysiące lat przebycie tego dystansu. Wyrwa rozszerza się rocznie zaledwie o sześćdziesiąt lat świetlnych. Potrzeba wieku, by połączyła Konfederację i niemal kolejnych dwudziestu tysięcy lat, by zniszczyła resztę Drogi Mlecznej. Upłyną miliony, nim pochłonie naprawdę znaczący skrawek wszechświata. Wśród tych wszystkich gwiazd kryje się niezliczona liczba narodów, rodzą się potężne cywilizacje. Jakim prawem mam im odmówić szansy zaistnienia, szansy uczestniczenia w markowiańskim marzeniu? Jedynie by ocalić garstkę, która i tak nie ma szans na ocalenie?

Nie rozumiała, nie była w stanie.

— Nikt cię nie prosi, byś ich wszystkich poświęcał. Chodzi przecież o to, abyś załatał wyrwę i tym samym uratował nas.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się smutno.

— Nie, nie rozumiałaś. Studnia Duszy zasilana jest przez pewien punkt osobliwy, pewną nieciągłość z innego wszechświata. Jest to potężne źródło energii, lecz niestety istnieje tylko ono jedno. Aby naprawić komputer Studni Duszy, musiałbym odłączyć zasilanie. Wówczas zginęłoby wszystko, co Markowianie stworzyli przy użyciu tego komputera. Wszystko. Prosisz, bym zniszczył wszechświat, aby go ocalić.

Spojrzała na niego zaszokowana, a potem przez chwilę błędziła wzrokiem po pomieszczeniu. Więc tak wygląda zimna, wyrachowana logika skazująca na śmierć dziesiątki ras.

— Co zatem uczynisz? — spytała wreszcie. — Nie możesz tu zostać?

Westchnął.

— Zawsze dysponowałem dostateczną siłą, by ocalić własne istnienie albo przystosować się do panujących warunków. Nigdy dotąd nie było po prostu powodu, aby z niej korzystać. Żyłem na tych terenach, gdy niczego jeszcze nie było. Nikt nie był dłużej człowiekiem ode mnie — stałem się istotą ludzką. Wszystko co zrobię, to przetrwam — jak zawsze. Przetrwam, póki nie zastąpi mnie Markowianin albo ktoś inny. Przetrwam — jeśli w ogóle można sobie wyobrazić tak odległą przyszłość — aż wyrwa nie stanie się zbyt wielka. Wówczas wyłączę zasilanie i naprawię wszystko. — Uśmiechnął się ponuro. — Ale w końcu nie będę sam, co? Ty, Obie i jeszcze paru, których postanowicie ocalić, dotrzymacie mi towarzystwa.

Nagle w jej oczach zapłonęła znów nadzieja.

— Zdecydujemy ocalić! Jasne, to jest myśl! Obie potrafi tworzyć całe planety! Możemy przenieść na nie...

— *Nie, Mavro, nie potrafisz* — usłyszała smutny głos Obiego. Aż podskoczyła z wrażenia strasząc przy tym Brazila, który nie miał pojęcia, co zaszło.

— Obie! — zawołała na głos. — Ty sukinsynu! Mimo wszystko zainstalowałeś przekaźnik!

Brazil usiadł prosto, wyraźnie zaintrygowany.

— Czuje się tutaj jak nachalny komiwojażer — oznajmił sucho.

— *Przepraszam, Mavro. Sprawa była zbyt wielkiej wagi. Musiałem znać na bieżąco rozwój wypadków. Gdyby wszystko poszło gładko, nawet byś się nie zorientowała.*

— Powoli łapię, o co chodzi — wtrącił się Brazil. — Nie jesteśmy tu sami. Cholera! — zaklął z wyraźnym sarkazmem.

Mavra, nadal wściekła mimo logicznych wyjaśnień Obiego, rozpoczęła swą tyradę. Pozwolił, by się do woli wykrzyczała. A trwało to dobrą chwilę, jako że dysponowała bogatym zasobem słownictwa. Wreszcie, gdy już nieco ostygła, spytał: — *Przekażesz mi, co mam do powiedzenia?*

Opuściła ręce w geście rezygnacji.

— *Dobra, zczynaj* — zgodziła się. — Chce z tobą porozmawiać. — dodała na użytek Brazila. — Ja będę przekaźnikiem.

— Wał śmiało.

— Przede wszystkim — zaczął Obie ustami Mavry — zapomnij o przenoszeniu całych planet. Tego nie potrafię. Przemieniać kształt i formę, owszem, lecz wprawienie planet w ruch wymaga więcej energii, niż potrzeba jej do zbudowania samej Studni Dusz. Nie wspomnę już, że trzeba dysponować prawie nieograniczonymi możliwościami kondensowania tej energii. Nie jestem w stanie ocalić wszystkich, Mavro. Może kilka światów przenosząc samą ludność, ale na tym koniec. A z resztą to i tak nie załatwiłoby sprawy.

— Brzmi nieźle. Może warto spróbować — rzekł Brazil. — W końcu wszystkie rasy zaczynały od pojedynczej planety. Na odbudowanie cywilizacji mamy miliony lat i dysponujemy solidnym zapleczem technicznym. Powiedziałaś, że możesz przemieniać oblicza planet. To powinno znacznie ułatwić sprawę. Po raz pierwszy zaczynam dostrzegać wąty promyczek nadziei.

— Nie ma mowy — odparł Obie. — Prawda, że trwałoby to długo, a my nie mamy czasu do stracenia. Musisz natychmiast dokonać niezbędnych napraw. Wyrwa w strukturze czasoprzestrzeni wcale nie jest symbolem powrotu do pierwotnego stanu spoczynku, lecz jedynie umożliwia dwukierunkowy przepływ energii. Wraz ze swym wzrostem pochłania olbrzymie ilości standardowej energii i materii. Pęknięcie wcale nie transformuje energii, lecz ją transmituje. Wyrwa powoduje zwarcie. Im więcej pochłania, tym gwałtowniejsze wybuchy wstrząsają Studnią Dusz. Czas nagli. Może już wkrótce nie wytrzymają obwody kompensujące i Studnia ulegnie nieodwracalnemu samozniszczeniu. Wtedy Wszechświat będzie naprawdę martwy.

Brazil rozważał przez chwilę te słowa, aż w końcu potrząsnął głową.

— To solidne urządzenie — odparł. — Wytrzyma jeszcze długo. Nie, jestem zmuszony odrzucić ten argument. Mam uśmiercić niezliczone miliardy istnień w imię hipotetycznego zagrożenia, które może nastąpić dopiero za miliony lat? Na Świecie Studni żyją przodkowie zaledwie ostatniej partii tysiąc pięciuset sześćdziesięciu ras. Obecnie w całym wszechświecie jest ich tysiące razy więcej. Narody. Życie narodzone ma prawo, by dorosnąć, by egzystować, by zdobywać doświadczenie. Zdmuchnąć je na zawsze w imię prawdopodobnej i do tego odległej zagłady — nie, umyłam ręce. Nie biorę na siebie odpowiedzialności.

— *Mavro, nie przekazuj tego, co teraz powiem! Przygotuj się! Mam zamiar przenieść was oboje do mnie!*

— *Ależ, sądziłam, że nie możesz go teleportować bez narażenia siebie na poważne konsekwencje!* — zaprotestowała.

— *Muszę wykorzystać okazję. Uwaga... teraz!*

Cały świat uleciał gdzieś i pozostało jedynie uczucie spadania.

Nautilus — Spód

Nathan Brazil z mieszaniną podejrzliwości oraz ciekawości przyglądał się niewielkiemu laboratorium i autentycznej sterowni.

Mavra, nadal jako centaurzyca, czuła przede wszystkim dziwny lęk. Tym razem, podczas teleportacji na *Nautilusa*, czuła się jakoś osobliwie, nieco inaczej niż zwykle. A na dodatek Obie nie wrócił jej do normalnej postaci. Niedobrze.

— Obie? — zawołała niepewnie. — Obie? Nic ci nie jest?

— Żyję jeszcze — odezwał się znajomy głos, jak zwykle prosto z rozrzedzonego powietrza. — Jestem... ranny. Tylko tak mogę to określić.

— Co się stało? — spytała poważnie zaniepokojona. — Jak poszło?...

Spojrzała na Brazilę, który właśnie zszedł z platformy i zaczął spacerować po pomieszczeniu, przyglądając się wszystkiemu ciekawie.

— Średnio — odparł Obie. — Najpierw potraktowałem go jako całość i mogłem w zasadzie bez problemów teleportować. Spróbowałem jednak dokonać pełnej analizy jego mózgu. Nie byłem w stanie. W moich obwodach powstały spięcia, które wymknęły się spod kontroli. Normalnie szybko bym sobie z nimi poradził, lecz obecnie w grę wchodziła również ta cholerna wyrwa w czasoprzestrzeni! Znacznie opóźniła czas reakcji, gdyż nie dysponowałem już całym potencjałem obliczeniowym.

— Gdybyś nie działał tak pospiesznie, mógłbym cię ostrzec — wtrącił się Brazil z nutką współczucia w głosie. — Za każdym razem, gdy chcesz zanalizować strukturę czyjegoś mózgu, w zasadzie zabijasz go, uprzednio sporządziwszy odpowiednie elektroniczne matryce. Następnie wskrzeszasz mózg korzystając właśnie z tamtych matryc. Studnia nie pozwoli, żebyś mnie zabił, gdyż — jak już wspominałem — nie jestem częścią markowiańskiego wszechświata. To tak jak w matematyce: sam wynik końcowy nic nie mówi o składnikach.

Mavra była wciąż zaniepokojona.

— Obie, czy uszkodzenia są poważne? Możesz normalnie funkcjonować?

— Będzie ciężko — odparł. — Sądzę, że uda mi się jakoś obejść bez uszkodzonych sektorów. To oznacza jednak, że moje możliwości zostaną poważnie ograniczone. Muszę zachować maksymalną ostrożność, przynajmniej dopóki znajdujemy się tak blisko wyrwy.

— Dlaczego zatem nie odlecimy gdzieś dalej? Po co te męczarnie?

Przez moment panowało milczenie, aż w końcu odezwał się Obie.

— Spytaj jego.

Odwróciła się w stronę Brazila, wymownie unosząc brwi.

— No i?

Brazil, który zdążył już wejść na balkon, przystanął i spojrzał na nią z góry.

— On cierpi na kompleks męczennika — odparł. — Wyobraża sobie, że straszając śmiercią nas wszystkich zmusi mnie tym gadaniem do ustąpienia.

— Jeszcze cię przekonam — zapewnił go Obie.

Brazil uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Wątpię. — Rozejrzał się. — Jak wyjść stąd na górę? Ciekawi mnie, jak wygląda na zewnątrz.

Drzwi za jego plecami rozsunęły się cicho, ukazując pomost przerzucony ponad olbrzymim dyskiem głównego promiennika. Skinął głową w podziękowaniu, odwrócił się i ruszył przed siebie. Drzwi zamknęły się za nim bezgłośnie.

— Inaczej go sobie wyobrażałam — oznajmiła Mavra Czang.

— Nie oceniaj go zbyt surowo — rzekł komputer. — Trawi go wewnętrzne rozdarcie. Jest bliski obłędu. Pomyśl, jak byś się czuła stojąc w obliczu alternatywy: zniszczyć wszystkie rasy we wszechświecie, by naprawić pewne urządzenie, albo patrzeć na śmierć istot, które uważałaś niemal za rodzinę. Nie zazdroszczę mu. Nie chciałbym nigdy dokonywać podobnego wyboru.

Westchnęła.

— Masz rację. Postaram się być dla niego uprzejma, ale nie będzie to łatwe. Z początku, na Meouit, polubiłam go nawet. Był zdecydowany, prawdziwy profesjonalista. Teraz jednak wieje od niego chłodem, jest nieprzystępny, nieznośnie rzeczowy. Sprawia wrażenie, jakby sam chciał się odgradzić od nas barierą.

— Tak właśnie jest — przyznał Obie. — Bo widzisz, ma w sobie wiele cech ludzkich. Można go zranić zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. Wyobraź sobie, co to za uczucie: żyć od zarania świata i obserwować, jak wszystko, co kochasz więdnąć i umierać, a ty musisz iść dalej. Brazil musi być twardy. To jedyny sposób, by znieść cierpienie. Ta, której powłokę przybrałaś, znaczyła dla Brazila bardzo wiele. Sądzę, że ją kochał. Jednak jej życie było dla niego jak mrugnięcie okiem. A na samym końcu, gdy ukazała się jego prawdziwa natura — widziałaś sama ten moment — nawet ona była tak przerażona i wstrząśnięta, że nie zawahałaby się strzelić. Brazil jest godzien współczucia, Mavro. Znajduje się w piekle, z którego nie ma wyjścia.

Uśmiechnęła się słabo. Większość jej własnego, długiego życia znaczyły rany z gatunku tych, które nigdy się nie zblźniają. Nurtowała ją wątpliwość, czy inni postrzegają ją w ten sam sposób, co ona Brazila. Nie chciała się jednak nad tym długo zastanawiać — bała się prawdy.

— Jeśli mówimy już o mojej protoplastce — zmieniała szybko temat — to czy mam ciągle wyglądać jak ona?

Obie milczał przez chwilę zastanawiając się nad czymś i w końcu rzekł:

— Owszem, jeszcze jakiś czas. Wydaje mi się, że twój wygląd będzie dla niego jak kotwica, podpora dla skołatanych nerwów. Zgodzisz się?

— W porządku, mogę grać tę rolę — oświadczyła. — Ale poleć komuś, żeby przygotował odpowiednio łazienkę i resztę pomieszczeń.

Obie roześmiał się.

— Nie ma sprawy. Już wydaję rozkazy. To nie potrwa długo — obiecał.

Roześmiała się razem z nim, a potem nagle spowaźniała.

— Obie? A jeśli go nie przekonamy? Co wówczas? Przepuścisz przez dysk i tym samym zmusisz do wykonania poleceń? A może nie jesteś w stanie?

— Mógłbym — odparł komputer. — Mógłbym zrobić z nim większość tych rzeczy, jakie mogę uczynić zwyczajnym ludziom. Kłopot w tym, że gdy znajdzie się wewnątrz Studni Dusz, przestanie podlegać równaniom markowiańskim. Wróci tak jak poprzednio do postaci Markowianina i uwolni się tym samym od wszelkiego zewnętrznego przymusu. Jestem w stanie go tam przenieść, lecz później nie będę miał już nad nim żadnej kontroli. Nie, musi dać się jakoś namówić. Gdyby udało nam się go przekonać, sądzę, że moglibyśmy zagrać na jego poczuciu obowiązku.

Ruszyła w kierunku schodów, lecz w pół drogi zatrzymała się i spytała.

— Obie?

— Tak?

— Przypuśćmy, że to zrobi istotnie? Co się stanie wówczas z nami?

Nastąpiła długa pauza. W końcu komputer przemówił:

— Nasi ludzie znajdują się do tego czasu na Świecie Studni, a ty wraz z nimi. Operacja będzie niezwykle trudna i nie chciałbym popełnić tu błędów. Świat Studni, w przeciwieństwie do reszty Wszechświata, nie podlega głównemu komputerowi Studni Dusz, lecz posiada własny, nie uszkodzony system. Wszyscy, którzy znajdują się na nim, przeżyją.

Nagle przypomniały jej się słowa Brazila o męczennictwie.

— A co będzie z tobą, Obie? Nie możesz przecież pójść tam z nami.

— Zostałem skonstruowany w markowiańskim wszechświecie, zgodnie z planami powstałymi w markowiańskiej czasoprzestrzeni — oznajmił Obie. — Znaczy to, że istnieję, gdyż istnieje wszystko inne. Kiedy wszystko zniknie — no cóż. W zasadzie kiedy Brazil wyłączy zasilanie, nasz wszechświat wcale nie przestanie istnieć. Nasza rzeczywistość i wszystko w niej zawarte — każdy, kto kiedykolwiek żył, każde marzenie, wszystkie wydarzenia wielkiej i małej wagi, każda wzniosła idea i okrutna nikczemność — zostaną usunięte ze wszystkich wymiarów. Nie tylko znikną — nigdy się w ogóle nie narodziły! Pozostanie jedynie

Świat Studni, gasnące słońca i martwe planety Markowian. One będą tworzyć rzeczywistość.

— Zatem ty umrzesz także.

— Nigdy się nawet nie narodzię. Nie będę w ogóle istniał, poza pamięcią tych, którzy mnie znali i schronili się na Świecie Studni.

Poczuła napływające do oczu łzy. Wytarła je zakłopotana, że tak łatwo okazuje emocje i nie potrafi zapanować nad sobą.

— Och, Obie. . . — wydusiła wreszcie.

Milczał, pozwalając by zawładnęły nią uczucia. Był jednak mocno poruszony, w prawdziwie ludzkim tego słowa znaczeniu. Czy jednak komputery potrafią płakać?

Wreszcie wzięła się w garść i ruszyła ku schodom. Gdy była już na górze, odezwała się ponownie.

— Obie? A nawet jeśli Brazil da się namówić. To znaczy wyłączy zasilanie i naprawi komputer Studni Dusz. Po co? Nie zostanie nikt, by to docenić.

— Nie rozumiałaś do końca ogromu jego odpowiedzialności — odparł Obie. — Świat Studni to laboratorium, zgoda, ale także centrum sterowania. Dysponuje potęgą zdolną odrodzić stary Wszechświat. Nie, dać życie nowemu. Prosimy Brazila nie tylko, by wszystko zniszczył, lecz by wszystko rozpoczął.

W tych słowach kryło się coś przerażającego. Mavra podeszła do rozsuwanych drzwi, ruszyła przez pomost, a następnie korytarzem w kierunku windy na Wierzch. Było to jedno z niewielu miejsc na *Nautilusie*, których Obie nie monitorował.

Szlochała przez większość drogi.

Nautilus — Wierzch

— Marquoz?

Widok znajomej, przysadzistej sylwetki smoka, kopącego nieśmiertelne cygaro, dodał jej nieco pewności siebie i przywrócił do rzeczywistości. Mavra nigdy jeszcze nie czuła się równie bezradna i osamotniona. Nawet gdy była kompletnie sama, wspinając się mozolnie po drabinie kariery. Od bezdomnej żebraczki, ulicznicy, poprzez kapitana statku, aż do pozycji asa włamywaczy.

Miała ochotę uściskać małego Czugacza, ale w końcu zrezygnowała. Zamiast tego uniosła dłoń w geście pozdrowienia i poczekała, aż Marquoz minie trawnik i zbliży się. Mógłby chodzić nieco zwawiej — pomyślała.

— Cóż za spotkanie! Rozmawiam z Mavrą, jak mniemam? — zadudnił tubalny głos smoka. — Że tak powiem, ciągle w gorsecie?

Wzruszyła ramionami.

— Według Obiego będzie lepiej, jeśli jeszcze przez jakiś czas pozostanę w postaci centaury. Obie tu rządzi.

W tym, między innymi, tkwił cały problem. Jeszcze na Świecie Studni, wiele lat temu, gdy była skazaną na śmierć kaleką, czuła się jak pionek, malutki ornament w olbrzymim kobiercu tkanym przez innych. Nie była pewna jutra, nawet tego czy go doczeka i w zasadzie do dziś nie otrząsnęła się do końca z tego uczucia.

Marquoz rozumiał jej sytuację.

— Chyba już wiesz, że Obie cały czas miał nas na podsłuchu — ciągnął. — Kiedy Olimpijki zdradziły, wysłał prawie całą załogę na ratunek. Człowieku, czy te Amazonki poszalały?

Tak lepiej. Coś realnego. Przyziemnego.

— Co się z nimi stało? — spytała.

— Obie przepuścił je przez dysk, rzecz jasna — odparł smok. — Teraz są potulne jak owieczki.

Pokiwała głową.

— A gdzie Brazyl?

— Obzera się. Potrafi nieźle zjeść, jak na takiego karzełka. Mówi, że jeśli nie liczyć przetworów zbożowych, to od wieków nie miał w ustach prawdziwego

jedzenia, tylko same syntetyki. Później jeden z chłopaków ma go obwieść po okolicy.

Stała wreszcie na ziemi i wołała, żeby tak już zostało.

— Co porabia Cygan? — zainteresowała się. — Mam ochotę w coś pograć, na przykład w karty. Idę o zakład, że siedział tu sobie wygodnie cały czas w zaciszu, podczas gdy my nadstawialiśmy karku!

Marquoz przechylił wielką głowę na bok.

— To zastanawiające. Nie ma go tu. Obie powiedział, że Cygan poprosił o statek i polecał załatwić jakieś osobiste sprawy, zanim — jak się wyraził — kompletnie nie ugrzęźnie w tym interesie. Ciekawe. Nie wiedziałem, że umie pilotować. A co jeszcze bardziej zadziwiające — Obie pożyczył mu statek bez dyskusji.

Skinęła głową, czując coś dziwnego w okolicach żołądka.

— To bardzo zagadkowy człowiek — stwierdziła — dysponujący bardzo tajemniczymi zdolnościami. Ciekawe dokąd polecał?

— To właśnie jest najbardziej frapujące — oświadczył smok. — Nigdzie konkretnie nie polecał. Cały czas znajdowaliśmy się w sektorze Rhone, nadal tu jesteśmy, a jego statek stoi w otwartym kosmosie o kilka lat świetlnych stąd. Tak przynajmniej utrzymuje Obie.

To było naprawdę dziwne.

— Czy Obie wyjaśnił, o co w tym wszystkim chodzi? To znaczy, czy Cygan załatwia jakąś sprawę, o której nam nie powiedziano?

Marquoz wzruszył ramionami.

— Kto go tam wie? A zresztą kto, u diabła, chciałby wysłać Cygana z jakąkolwiek misją? Nie, coś mi mówi, że Obie wie na ten temat równie mało co my. Wynika z tego, iż Cygan ma wpływ nie tylko na celników, strażników i całą resztę, ale nawet na Obiego.

Mavra wzdrygnęła się lekko.

— Mam jedynie nadzieję, że jest po naszej stronie.

— Nie łudźmy się, Cygan jest tylko po własnej stronie — stwierdził Czuczacz. — Lecz ręczę życiem, że nie jest przeciwko nam.

— Pozostaje wierzyć, że się nie mylisz — odparła Mavra słabym głosem. — Jednak gdy wróci, z przyjemnością zadam mu kilka pytań. Ciekawe też, że musiał wyjechać akurat, gdy znaleźliśmy Brazila. Zastanawiam się, czy on w ogóle wróci? Może nie chce spotkać Nathana Brazila?

— Może masz rację — przyznał smok. — Czas pokaże. . . Ale koniec tych rozważań. Chodźmy się nieco zrelaksować. Nie jestem może równie dobry w kartach co Cygan, ale — wspólnie z resztą chłopaków — będziemy czuć się zaszczytzeni, jeśli zechcesz z nami zagrać.

Olimpus, komnata Matki Świętej

Drzwi windy rozwarły się i do komnaty wkroczył mężczyzna. Popęłił tym samym świętokradztwo, a fakt, że nie był nawet Olimpiańczykiem, stawił to wydarzenie w kręgu najzwyczajniej niemożliwych.

Nikki Zinder spostrzegła jego obecność, gdy tylko wysiadł z windy. W zasadzie powinna zorientować się dużo wcześniej, lecz sama sterowała wszystkimi windami i wiedziała, iż żadna z nich nie przewoziła pasażerów. Wyglądało na to, że mężczyzna po prostu zmaterializował się bezpośrednio w windzie.

— Kto śmie zakłócać spokój Matki Świętej? — zagrzmiała. Obcy zatrzymał się, rozejrzał uważnie dookoła, pokiwał głową z wyrazem zamyślenia na twarzy, jak turysta zwiedzający ruiny starej kaplicy. Wyjął papierosa, zapalił go i stanął nieruchomo pośrodku komnaty, patrząc na przeciwległą ścianę.

— Witaj, Nikki — powiedział po chwili milczenia.

W całej Świątyni, kilka pięter nad nimi, rozległy się dzwonki alarmowe. Komputer usiłował gorączkowo zapanować nad sytuacją. Święta Matka szalała z wściekłości.

— Kim jesteś, że śmiesz wchodzić tu bez zaproszenia? — spytała.

— Znasz mnie, Nikki — odparł cicho, delikatnie. — Wystarczy, że się przyjrysz.

— Jesteś Złym we własnej osobie! — wykrzyknęła przez głośniki. — Odważyłeś się tu przyjść pod tą postacią? Jak śmiałeś!

Strumienie plazmy wystrzeliły ze wszystkich stron, prosto w mężczyznę stojącego pośrodku komnaty i spokojnie palącego papierosa. Choć ich temperatura zdolna była spopielić każde żywe stworzenie, a nawet rozbić strukturę istoty złożonej z czystej energii, człowiek ów stał nadal pośród wściekłej nawałnicy, jakby chroniło go nieprzenikalne pole. Żaden promień nie dosięgnął celu.

Gdy stało się jasne, że ta broń jest tu bezskuteczna, Nikki ją wyłączyła i zastanowiła się nad innymi rozwiązaniami. W powietrzu czuć było zapach ozonu.

— Nadszedł czas, by pójść na małą przechadzkę, Nikki — odezwał się znów cicho i delikatnie.

— O nie, Zły! Nie zabierzesz mnie z sobą! — zagrzmiała.

Uśmiechnął się.

— Nadeszła już pora, Nikki. Twój czas się skończył. Dawno temu. Twój świat ginie. Niektóre jego części nie powinny być się w ogóle narodzić. Reszta jest potrzebna gdzie indziej. — W jego oczach zalśniły łzy. — Przykro mi, Nikki. Twe życie mogło wyglądać inaczej, lecz nikt z nas nie jest do końca panem swego losu. Przeznaczenie zgotowało ci niewesołą egzystencję. Może lepiej, żebyś się w ogóle nie narodziła. Wówczas nie wydarzyłoby się to wszystko, nie byłoby wcale konieczne. Lecz stało się inaczej, Nikki. Nie sposób cofnąć minionego czasu. Zostałaś oszukana przez życie, twój czas minął. Musisz iść za mną.

Mówił te słowa ze smutkiem i tak bezmiernym przekonaniem, że jej starczy umysł niemal uległ perswazji.

— Ale jesteś przecież Wrogiem! — zaprotestowała, czując narastający strach. Uśmiechnął się.

— Jestem Przyjacielem — odparł. — Spójrz na mnie, Nikki. Powiedz, kim jestem.

— Jesteś martwy! — wykrzyknęła. — Martwy! Martwy! Martwy!

Rozległ się grzmot i mętne światła rozpraszające mrok w komnacie zgasły do końca. Pozostała poświata nie pochodząca wszakże od urządzeń oświetleniowych, lecz od sylwetki stojącej pośrodku. W tej samej chwili mężczyzna uległ przemianie. Stał się nagle wyższy, odziany w pelerynę z kapturem zarzuconym na głowę. Jego postać, spowita fałdami czarnego materiału, była upiorna i blada.

Szkielet. Obserwował ją, świdrował pustymi oczodołami przez ścianę, w głąb elektronicznej struktury, gdzie głęboko kryły się jej mózg i układ nerwowy, otoczone odżywką z półorganicznej substancji.

Szkielet z papierosem w trupich wargach.

— Ty jesteś śmierć! — krzyknęła. — Precz! Precz! Nie podlegam śmierci!

— Jestem odpoczynkiem — odparł. — Przyszedłem po ciebie, Nikki.

— Nie! — wrzasnęła, przerażona do głębi duszy. — Nie! Precz, mówię! Nie!

Komputer usiłował załagodzić jej emocje, przywrócić do równowagi roztrzęsione nerwy. Lecz wewnątrz prastarego mózgu coś pękło i puściły naczynia krwionośne. Wykresy kontrolne zamrugały rejestrując krótką walkę i zgasły do cna.

Przerażone Olimpianki, wzywane świdrującym zawodzeniem alarmu, wiedziały już, że Święta Matka nie żyje. Mimo to biegły do wind, usiłując dostać się do jej komnaty. W końcu któraś z nich przypomniała sobie o zapasowym systemie bezpieczeństwa i uruchomiła go. Windy podjechały na poziom Świątyni i wypełniły się szczelnie Kapłankami. Zjechały na dół, roztrzęsione, niepewne. Po chwili wyspały się do komnaty Matki Świętej.

Nie było tam nikogo. Nikogo. Jednak na podłodze, pośrodku owalnego pomieszczenia, leżał pomięty, wciąż tłący się słabym żarem niedopałek papierosa.

Nautilus — Spód

Podejrzenie Mavry Czang, jakoby Cygan unikał spotkania z Nathanem Brazilem, okazało się najzupełniej bezpodstawne. Tajemniczy śniadoskóry mężczyzna wrócił jeszcze tego samego dnia, w którym ona przyleciała z Meouit. Nie zdradził jednak ani słowem celu swej podróży, oprócz enigmatycznego stwierdzenia: „chciałem być przez chwilę zupełnie sam”. Czuć było jednak, że zaszła w nim jakaś zmiana. To prawda, że posługiwał się nadal dość archaicznym językiem i z zewnątrz był wciąż taki sam, lecz w jego wnętrzu coś się zmieniło. Coś, co wyczuwał każdy, kto znał go już od jakiegoś czasu. Trudno to było dokładnie sprecyzować. Dotąd Cygan miał w sobie dużo z dziecka; nie przerażały go zdolności, jakimi dysponował. W zasadzie był raczej lubiany ze względu na dość duże poczucie humoru. Teraz wszystko to znikło. Pozostały jedynie pewne nabyte maniere, zewnętrzna otoczka.

Wszyscy zebrali się w sterowni i czekali. Na co? — tego nikt nie był do końca pewien. Od samego początku Obie tu dowodził i nadal do niego należało ostatnie słowo. Mówił jednak tylko tyle, żeby zbyć czymś natrętnych. Jeśli nawet pytał Cygana o powody jego dziwnej wyprawy, to nikomu nie zwierzył się z wyników tej rozmowy.

Z początku Brazil nie mógł przypomnieć sobie Cygana. Lecz gdy ten wspominał parę wydarzeń, mających miejsce przed wieloma laty, zaczęło mu coś świtać.

Tak więc zebrali się wszyscy na zaproszenie Obiego: Brazil, Cygan, Marquoz, Mavra — wciąż jako centaurzyca — oraz, co ciekawe, również Jua.

— Przygotujcie się na spadki — ostrzegł Obie. Mavrę zawsze ciekawiło, dlaczego komputer w ogóle zawraca sobie tym głowę. Praktycznie nie można było się do tego w żaden sposób przygotować. Była tylko czerń i nieprzyjemne uczucie spadania, a potem znów wszystko wracało do normalnego stanu.

Obie poprosił, by zgromadzili się w sterowni. Chciał, aby razem z nim mogli obserwować na ekranach monitorów obraz przekazywany z wielkiego dysku, olbrzymiego zinderowskiego promiennika, który stanowił spory procent dolnej części planetoidy.

Ujrzeni świat w większości niebiesko-zielony i biały, lecz nie brakło również w krajobrazie plam czerwonych oraz żółtych. Jua od razu rozpoznała znajomy kształt i wykrzyknęła:

— To Olympus!

Perspektywa, z jakiej oglądali planetę, zmieniła się nieco, gdy Obie przesunął olbrzymią antenę tak, by obraz znalazł się pośrodku ekranów. Zgrał prędkość orbitalną z szybkością obrotową planety, dzięki czemu wszyscy odnieśli wrażenie, jakby wisieli ciągle nad tym samym punktem.

— Olimpianki są nam potrzebne — odezwał się głos Obiego. — Łatwo można je adaptować do naszych potrzeb, dokonując minimum zmian. Proponuję tym razem pójść na całość. Rzadko używałem tego wielkiego dysku — w zasadzie jedynie po to, by przemieścić się z miejsca na miejsce dzięki rewersji pola. Obecnie jednak czas nagli i jestem zmuszony skorzystać z tego dysku. Mój wybór padł na Olimpusa również dlatego, iż znam dokładnie budowę jego mieszkańców i nie muszę dokonywać czasochłonnych badań. Są w końcu moim dziełem. Myśle... — Urwał, a cisza trwała niemal półtorej minuty.

Co się, u licha, dzieje? — zastanawiali się wszyscy.

— Wybaczcie — odezwał się znów głos Obiego. — Odebrałem właśnie komunikat z Olimpusa. Jedyne poważny problem, który stał mi na drodze, został szczęśliwie usunięty. I to bez mojej ingerencji. Nikki Zinder nie żyje.

Jua była zaszokowana.

— Matka Święta? Ale to przecież niemożliwe!

— Niezupełnie — zaoponował komputer. — Komórki mózgowie starzeją się, wyrodniją i giną nawet w idealnych warunkach. A wierzcie mi, że Nikki miała wszystko, co najlepsze. Musiał nastąpić zator. Olimpianki twierdzą, że bardzo się czymś zdenerwowała. Nie ma śladów mogących wskazywać, że popełniono morderstwo. Na posadzce jej komnaty znaleziono jednak niedopałek papierosa. Zadziwiające!

Cygan rozparł się wygodnie na krześle i zapalił. Zaciągnął się głęboko.

— Nie znaleziono żadnych oznak włamania. Nikt nie mógł też wejść ani wyjść niepostrzeżenie — ciągnął komputer. — Zdobyłem jednak dane z aparatury medycznej. Po ich gruntownej analizie mógłbym przysiąc, że Nikki przeraziła się śmiertelnie! Zdumiewające!

Mavra Czang westchnęła ciężko.

— Biedna Nikki. Tak mi jej żal. Nie posmakowała nigdy prawdziwego życia.

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu Brazil postanowił wreszcie przemówić.

— Lepiej, że odeszła. Życie to wieczna tragedia.

Wydawał się szczerze przygnębiony. Mavra przyjrzała mu się uważnie. Bez makijażu wyglądał jak normalny człowiek. Drobny, niemal filigranowy mężczyzna o miłych rysach twarzy, czarnych oczach i włosach. Nie był przystojny. Jed-

nak mimo niedużego wzrostu i słabej budowy było w nim coś klasycznego, jak w greckim posągu ze starych rycin.

— Jesteś podobno Bogiem — mruknęła. — Czy istnieje życie po życiu, gdzie mogłaby zaznać prawdziwego szczęścia?

Odpowiedział na pytanie, co ją zaskoczyło.

— Szczerze mówiąc nie wiem, bo sam podlegam śmierci — wyjaśnił cicho. — Z matematycznego punktu widzenia jest to możliwe, ale kto wie, jak jest naprawdę. Trudno w tej kwestii o dowody. Ale nie ma to większego znaczenia — to życie i tak przestałoby istnieć wraz ze zniknięciem tej części Wszechświata.

Ogarnęło ich wszystkich przynębenie i nikt już nie miał ochoty ciągnąć dalej tego tematu.

— Na ekranach nie będzie się teraz wiele działo — oznajmił Obie. — Zaczęłam przeprogramowywać Olimpianki. Odnaleźliśmy Nathana Brazila i on teraz będzie nimi rządził oraz wyznaczał nowe zadania. One muszą być mu posłuszne — spełnią każde żądanie z uśmiechem na ustach. Wy natomiast wcielicie się w role świętych. Będą słuchać was tak, jakby słuchały jego.

— Zdajecie sobie pewnie sprawę, że stwarza to pewne możliwości — mruknął Brazil. — Planeta superkobiet gotowych na każde moje skinienie. Niech żyje pornografia!

Nagle usłyszeli potężne buczenie. Przez główny promiennik przebiegła silna wibracja, od której zakółysały się ściany sterowni. Jedyne obraz planety na monitorach ani drgnął. Została wyemitowana olbrzymia porcja energii zinderowskiej.

A w chwilę potem przez całego *Nautiliusa* przetoczyła się fala wstrząsów. Planetoida ruszyła z miejsca. Zrozumieli to mimo gwałtownych wibracji, gdyż perspektywa, z jakiej oglądali planetę, zaczęła ulegać powoli zmianie. Olimp usadowił się tonąć w aureoli blasku. Wstrząsy trwały jeszcze jakiś czas, dopóki Obie nie okrążył całej planety. Wówczas stopniowo zamarły.

— Dzieło skończone — oznajmił Obie. — Dysponujemy teraz milionami pełnych zapału pracowników.

— Odnoszę wrażenie, że jest w tym coś niemoralnego — zauważył cierpko Brazil. — Pstryk i mamy całą planetę niewolników. — Sprawiał wrażenie szczerze poruszonego. — Gdybym znał potęgę tego urządzenia, nie omieszkałbym przyjąć zaproszenia na spotkanie u Treliga.

Mavra posłała mu gniewne spojrzenie.

— Niewczesne żale — syknęła.

— Czy to rzeczywiście prawda? — spytała Jua z przejęciem. — Czy jestem teraz boginią dla moich sióstr?

— Owszem — zapewnił ją Obie.

— Ale... jak odróżnią mnie od innych?

— Nikt na tej planecie nie ma już ogona i nie pamięta, aby go kiedykolwiek posiadał. Wszyscy są święcie przekonani, iż jedyną Olimpianką z ogonem jesteś ty — wyjaśnił Obie. — Ogon stał się teraz oznaką boskości.

Marquoz zachichotał cicho.

— Wygląda na to, że naszej panience powiodło się wręcz nadspodziewanie. Z pewnością nikt przy narodzinach nie wróżył jej takiej kariery.

Cygan roześmiał się głośno.

— Proszę teraz wszystkich, by przeszli do starego laboratorium — zaproponował Obie. — Jest jeszcze parę rzeczy do zrobienia i kilka spraw, które trzeba omówić. Uważajcie tylko na tym wąskim zakręcie przy wyjściu — promiennik nagrzał się solidnie.

Obie nie przesadzał. Żar był niemiłosierny. Ci, którzy mogli się pocić, już po paru krokach dzielących sterówkę od laboratorium, byli całkiem mokrzy.

Wewnątrz panował chłód — tak przynajmniej im się wydawało po niedawnej saunie. Stali przez chwilę, dysząc ciężko.

Mavra, łapiąc oddech, rozejrzała się dookoła i spostrzegła uzbrojonych ludzi, ustawionych wzdłuż korytarza. Trochę ją to zaniepokoiło. Obie zaczął się jakoś dziwnie zachowywać od czasu powstania wyrwy w czasoprzestrzeni. To, co teraz widziała, wcale jej się nie podobało. Bała się, że pęknięcie mogło mieć fatalny wpływ na komputer.

— Proszę, zjedźcie na niższy poziom — polecił Obie.

Nie protestowali, cały czas uważnie obserwując uzbrojonych strażników i zastanawiając się, o co, u diabła, w tym wszystkim chodzi. Niedługo potem stali już przed platformą piętro niżej. Był to mały dysk, oryginalne dzieło Zindera, od którego wszystko się zaczęło przed wiekami.

— Wybaczcie, proszę, tę obstawę — oznajmił Obie — lecz spodziewam się nieprzychylnych opinii na temat tego, co musi za chwilę nastąpić. A jako że umrę dziś, nie chciałbym, aby ktoś pokrzyżował mi szyki.

— Obie! Nie! — krzyknęła Mavra.

— Muszę, Mavro — odparł, niemal przeproszającym tonem. — Nie chcę tego. Nie chcę umierać. Nikt chyba nie pragnie śmierci. Ale... sędzę, że muszę. Zresztą... nie wiem. Może wcale nie umrę. Zobaczymy. Ale na razie będę postępował tak, jakbym miał jeszcze dziś odejść z tego świata.

Nathan Brazil nie wyglądał na zbyt przejętego rozwojem wypadków.

— Po co ta teatralna scena, Obie? Wiesz przecież, że nie jesteś w stanie mnie do niczego zmusić, a ja po prostu nie spełnię twojego żądania.

— Twe słowa płyną z serca — rzekł komputer — czego bardzo ci zazdroszczę. Ja również posiadam serce w poetyckim znaczeniu, lecz całe przekleństwo mojego istnienia polega na tym, iż jestem olbrzymią maszyną. Maszyny muszą myśleć logicznie, muszą dokonywać błyskawicznych kalkulacji i dostarczać potrzebnych informacji. My maszyny nie możemy ignorować faktów ani zasad elementarnej

logiki — są zawsze z nami, na wyciągnięcie przysłowiowej dłoni. Jestem w stanie dokonywać bilionów najróżniejszych obliczeń równocześnie. Nie posiadam podświadomości, a jedynie samą świadomość mieszczącą się w mózgu o olbrzymich rozmiarach. Mogę odczuwać smutek i szczęście. Potrafię cierpieć po śmierci siostry i bać się nadejścia własnego końca. Jestem w stanie żywić nienawiść, miłość i współczucie. Nie potrafię jednak, tak jak wy, pozwolić emocjom, by zwiodły mnie z drogi prawdy. Zdolność do interpretowania faktów pod wpływem danej chwili jest waszą charakterystyczną cechą. Czasami potraficie zachowywać się jak szaleńcy. To obszary zamknięte dla mnie. Zostałem stworzony do wręcz przeciwnych celów, co nie znaczy, że nie mogę wam zazdrościć. Jestem zawsze doskonale trzeźwy. To właśnie jest moim przekleństwem i piętnem, które odróżnia mnie od was. Szybkość działania ma tu rolę drugorzędną.

Milczeli. Nikt nie wiedział, do czego Obie właściwie zmierza.

— Twierdę, iż Nathan Brazil musi wejść do Studni Dusz — ciągnął dalej komputer — i odłączyć ją od źródła energii. To posunięcie skasuje ostatnie, powiedzmy... licząc z grubsza, dziesięć miliardów lat. Wszystko, co znamy, przestanie istnieć. Następnie Brazil musi naprawić poważniejsze uszkodzenia. Musi tego wszystkiego dokonać. Jeśli uczyni to teraz, albo w najbliższej przyszłości, będzie w stanie przy użyciu Świata Studni stworzyć nowy Wszechświat. Wszystko zacznie się rzecz jasna od początku. Rasy markowiańskie w połączeniu z siłami ewolucji dadzą w wyniku nowe formy. Jeśli Brazil będzie zwlekał, tak jak zamierza obecnie, wówczas zaryzykuje dwadzieścia jeden procent prawdopodobieństwa, że Studnia wybuchnie w ciągu najbliższych paru stuleci. Oznacza to, iż istnieje siedemdziesięciodziewięcioprocentowe prawdopodobieństwo, iż Studnia wytrzyma, i na to właśnie liczy. Moim zdaniem szansa pięć do jednego niesie ze sobą zbyt wielkie ryzyko.

— Rozumiecie chyba, że jeśli Studnia wybuchnie, nie będzie już możliwości, by ją naprawić. Odrodzenie Wszechświata przestanie wchodzić w rachubę. Zapanuje ciemność, a życie istnieć będzie jedynie na Świecie Studni. I tak już pozostanie na zawsze.

Marquoz, Jua, Cygan i Mavra spojrzeli pytająco na Brazila.

— Czy to prawda? — spytał smok.

— Chcę podjąć to ryzyko — odparł cicho Brazil. — Prawdopodobieństwo, że rasy wszechświata przeżyją spokojnie należne im miliony lat, wynosi cztery do jednego.

— Ale równocześnie szansa niepowodzenia wynosi dwadzieścia procent? — naciskał Marquoz.

Brazil skinął głową.

— Coś koło tego. Moim zdaniem zresztą, Obie z pewnością nieco zawyżył tę statystykę. Ja daję pięć do ośmiu procent — w najgorszym wypadku jedną dwunastą — że wybuch nastąpi przed upływem kolejnych dwóch milionów lat.

— To już się lepiej słyszy — oznajmił Czugacz. — Takie ryzyko jest do przyjęcia.

— Brazyl uparcie nie chce przyjąć do wiadomości faktów — odrzekł Obie. — Dwadzieścia jeden procent. Teraz. W tej chwili. Po następnym stuleciu już trzydzieści. Pięćdziesiąt za dwa tysiące lat. I będzie ciągle rosło. Rasa może dokonać sporych postępów w ciągu pięciu tysięcy lat, lecz nie jest w stanie wznieść się na wyżyny. To zbyt krótki okres, by wynaleźć nawet pomniejsze ogniwo w łańcuchu ewolucji. Wystarczy, aby pogrzebać cały dorobek, lecz nie by go zbudować. A pan Brazyl zamierza ofiarować wszystkim narodom we wszechświecie parę tysięcy lat. Ryzykując zniszczeniem wszystkiego bez szans na rekonstrukcję. Pragnę zaznaczyć, że ryzyko, na jakie się skazujemy nie podejmując żadnej akcji, jest zbyt wielkie. Studnia musi zostać naprawiona. Natychmiast!

— Wiem dużo więcej na temat Studni — oświadczył Brazyl. — Moim zdaniem, Obie nie ma racji.

— Ja natomiast jestem komputerem, który z pewnością jest szybszy i bardziej dalekowzroczny od ciebie, panie Brazyl — odparł Obie.

Nathan Brazyl zachichotał.

— Skoro znasz się na tym lepiej ode mnie, wyłącz zasilanie i sam napraw Studnię.

Była to celna riposta, lecz Obie miał już uszykowaną odpowiedź.

— Wiesz dobrze, że nie jestem w stanie. Wiem, co należy uczynić, lecz stanowię część składową równań. W chwili gdy zostanie odłączone zasilanie, sam przestanę istnieć. Zresztą Studnia i tak mnie nie wpuści, gdyż do środka może wejść jedynie istota, której istnienie opisują staromarkowiańskie równania. Potrafię opisać, co należy zrobić, lecz jedynie Brazyl może tego dokonać. I on doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Wzrok wszystkich zebranych skupił się na tajemniczym mężczyźnie. Wyraz jego twarzy świadczył o przeżywanym rozterce.

— Mimo wszystko, nie mogę tego zrobić — odparł. — Mój Boże! Czy wiecie, ile istot pozbawiłbym tym samym życia? Nie wezmę na siebie takiej odpowiedzialności! Nigdy!

— Zatem impas — mruknął Cygan.

— Niezupełnie — odparł Obie. — Jak już rzekłem, Brazyl ma pewną przewagę: jest człowiekiem, może ciągle uciekać przed prawdą. Ja nie. Dlatego też on musi spojrzeć na świat z mojego punktu widzenia. Siłą nakłonię go do poznania prawdy. Za chwilę wysunę mały dysk, ustawię Brazyla w polu i wówczas złączymy się. Ujrzy to, co ja widzę. Będzie zmuszony ujrzyć to, co ja jestem zmuszony widzieć. Potem niech odmówi.

— Ależ... Obie! — wykrzyknęła Mavra. — Nie rób tego! Gdy próbowałeś jedynie zanalizować jego strukturę, mało nie eksplodowałeś!

— Biorę pod uwagę możliwość, iż ta próba okaże się fatalna w skutkach — odrzekł komputer z nutką obawy. — Nie jestem całkiem pewien. Wiem, że istnieje takie prawdopodobieństwo. Wiem także, iż Studnia zapobiegnie jego śmierci. Ale tak czy inaczej, ujrzy on prawdę.

Brazil zaśmiał się nerwowo.

— Hej, poczekaj chwilę! Nie ma mowy, żebym przeszedł przez ten dysk. Jeżeli sądzisz. . .

— Nie masz wyboru — uciał Obie. — Ci ludzie z karabinami dopilnują wszystkiego. Albo zrobisz to, co mówię, albo podziurawią cię jak sito i bezwładnego wrzucą na platformę.

Brazil wyglądał na szczerze przestraszonego. Nie cierpiał bólu tak jak każdy człowiek.

— Dobra! W porządku! Zrobię, co każesz! — krzyknął przezornie. — Nie ma potrzeby, żebyś się narażał!

— Przykro mi, Brazil. Naprawdę — rzekł Obie. — Chciałbym, abyś mówił prawdę, lecz obaj doskonale wiemy, że nie jesteś szczerzy. Jedynie dysk może dać mi pewność. Sądzisz, że posunąłbym się do tak ostatecznych środków, jeśli istniałoby inne wyjście? Gdybyśmy zamienili się miejscami, dałbyś wiarę swej własnej deklaracji?

Brazil westchnął ciężko i jakby zapadł w sobie. Sprawiał wrażenie doszczętnie pokonanego.

— Tu mnie masz.

— Zanim zajmę się Brazilem, chciałby zamienić parę słów z każdym z was na osobności — oznajmił Obie grobowym głosem. — Mavro, czy mogłabyś stanąć na platformie?

Z trudem powstrzymując łzy, Mavra wdrapała się na podwyższenie.

Gdy oblał ją strumień fioletowego światła, zatraciła kompletnie poczucie czasu. Wiedziała jednak, że ma rozmawiać z Obiem.

— Mavro, nic nie mów — rozległ się jego głos. — Co do jednego zgadzam się z tobą całkowicie. Nie chcę tego robić. Ale muszę. Spróbuj to zrozumieć.

— Staram się, Obie. . . ale nie mogę się z tą myślą w żaden sposób pogodzić.

— Posłuchaj. To nie tak, jak mówi Brazil. Nie mam wcale ochoty odgrywać męczennika. Po śmierci Nikki jestem ostatnim z Zinderów. Nie spodziewałem się jej śmierci. Miałem nadzieję, że zdążę jej jeszcze dopomóc, że zacznie wszystko od nowa.

— Jeśli może cię to pocieszyć, Obie, to moim zdaniem i tak nie mógłbyś jej wiele pomóc bez narażenia na utratę zmysłów.

— Wiem, wiem. Ale. . . czy to nie dziwne? Odeszła właśnie dziś. Razem pójdziemy. . .

— Daj spokój, Obie! Głowa do góry! Jesteśmy w końcu partnerami. Wszystko na pół. Nie masz prawa samemu rozwiązywać naszej umowy.

— Umowa została rozwiązana przez wzgląd na sytuację. Wiesz o tym. Uległa anulowaniu już w chwili, gdy użyto Spopielaczy Zindera. Oboje wiemy, że nasza współpraca mogła trwać w nieskończoność. Nowe światy, nowe wyzwania. Sądzę, że główny błąd polegał na tym, iż tak rzadko odwiedzaliśmy te tereny. Gdybyśmy poświęcali tej galaktyce więcej uwagi i w porę zapobiegli inwazji Dri-li, nie byłoby tych wszystkich kłopotów.

— Nie masz pojęcia, ile razy już o tym myślałam — przyznała ze smutkiem.

— Ale teraz już za późno, Mavro. Nie cofniemy czasu. A najbardziej boli, że dokonaliśmy już tyle dobrego. Bez względu na to jak krętymi szli ścieżkami, zawsze udawało nam się jakoś powstrzymać ich w porę i ustawić na właściwym torze. To zadziwiające jak podobni jesteście do innych ras. Choć gdy weźmie się pod uwagę, że wszyscy wyrosliśmy z tych samych, markowiańskich korzeni, wszystko zaczyna być jasne. Uratowaliśmy jednak mnóstwo istnień, kilka planet i przynajmniej dwie cywilizacje.

Skinęła głową i uśmiechnęła się.

— Możemy być z tego dumni. A przecież poza tym, co równie ważne, sprawiło nam to mnóstwo radości.

— To prawda. Lecz po co nasz wysiłek? Kiedy Brazil wyciągnie wtyczkę, wszystko zniknie. Nie będzie nigdy w ogóle istniało. Czas i przestrzeń, które zostały nałożone na wszechświat Markowian, zginą. Naprawdę szkoda.

— Mówisz zupełnie jak Brazil. Dlaczego zatem nie dasz im szansy? O to mu przecież właśnie chodzi.

— Oni nie mają żadnej szansy, Mavro. Zresztą tak samo jak ja. Istnieją dwie drogi do wyboru: albo zniszczymy wszystko na zawsze, bez cienia szans na odbudowę, albo też zaczniemy tworzyć wszechświat od nowa już teraz. Jeśli wybierzesz drugą możliwość, ja umrę. To jednak najlepsze wyjście.

— Ale czy rzeczywiście musisz umierać? — naciskała. — Dlaczego akurat teraz? Będziemy cię potrzebować.

— Nie powinniście byli się ode mnie uzależniać — odparł. — W tym cały problem. Przyzwyczailiście się, że wszystko załatwiają za was moje dwa dyski. Obrosliście w tłuszcz podczas tej zabawy w bogów. Zresztą, mogę w ogóle nie umrzeć. Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia, co się stanie. Może zwariuję. Może ulegnę uszkodzeniu. Prawdopodobnie przestanę istnieć jako świadomość. Lecz nie przejmuj się. Odłączyłem już spod mojego nadzoru system podtrzymywania życia, wszystko jest jak za dawnych czasów. *Nautilus* będzie działał dalej zupełnie normalnie — przynajmniej przez pewien czas. Kto to zresztą wie? Nie jestem Bogiem, lecz czasami bardzo łatwo było o tym zapomnieć. Nie mam pojęcia co się stanie. Wiem jedynie, że czyniąc to, co muszę, czuję zaskakująco mały niepokój o własne życie. Nie żałuję, że się spotkaliśmy, Mavro. A reszta? — dla nich jestem jedynie potężną maszyną, obcą istotą, której należy się bać. Tyl-

ko ty, Mavro, widzisz mnie z innej strony. Tylko ty byłeś mi kimś bliskim, byłeś przyjacielem.

Umilkli na chwilę. Mavra czuła żal ściskający ją za serce i nie mogła wykrztusić ani słowa. Była jednocześnie w jakiś przedziwny sposób pewna, że Obiego dręczy to samo jakże ludzkie uczucie.

W końcu komputer odezwał się.

— Przekażę ci teraz, co należy zrobić w najbliższym czasie i objaśnię rolę każdego z was. Polegać to będzie na skopiowaniu fragmentu mojej pamięci. Jesteś dostatecznie silna, by wytrzymać tę operację. W pewnym sensie ofiaruję ci część siebie, tę najbardziej ludzką. Będzie spoczywała w najgłębszych zakątkach twojego mózgu i pomoże ci w razie potrzeby. Trzymaj się mocno, Mavro.

— Trzymaj się, Obie — zdołała jeszcze wydusić.

Nagle znalazła się z powrotem w laboratorium. Wszyscy wlepili w nią zachłanne spojrzenia. Zeszła z platformy.

— Marquoz, zapraszam do siebie — oznajmił Obie.

Smok westchnął, wdrapał się na podwyższenie i rozejrzał dookoła.

— Nie przeszkodzi ci, jeśli będę palił? — spytał. Oblała go fioletowa poświata.

— Marquoz — rzekł Obie — nie znalazłeś się w tej historii przypadkowo, lecz byłeś z góry zaplanowaną postacią w dramacie. Nie ja jednak jestem tego sprawcą. Nie wiem, kto nim był. Może istnieje w kosmosie siła potężniejsza od nas wszystkich. Ale według moich ustaleń najlepiej nadajesz się do tego zadania. Trzeba dokonać wielkiej rzeczy i ty musisz wziąć na siebie część odpowiedzialności.

— Jesteś cholernie pewien, że Brazil jednak ulegnie — zauważył smok. — Jesteś także cholernie pewien, że my się na wszystko zgodzimy, cokolwiek szykujesz. Przypuśćmy, że Brazil po powrocie odmówi. Przypuśćmy, że w ogóle nie wróci.

— Wróci — zapewnił go Obie. — Musisz wreszcie zrozumieć, że tylko jego ciało jest częścią naszej rzeczywistości. Dusza, duch, ta część, która składa się na osobowość, wspomnienia — nie należy do naszego wszechświata. Jest tak obca, że nawet nie potrafię sobie jej wyobrazić. To tak, jakby składał się z antymaterii — wygląda normalnie, zachowuje się normalnie, jest normalny pod każdym względem. Lecz spróbuj dotknąć, a eksplodujesz. Rozumiem antymaterię. Potrafię nawet sam stać się antymaterią. On pochodzi ze starego wszechświata, jest całkowicie obcy. Nie jestem w stanie objąć go umysłem, nie mam bowiem żadnego oparcia, niczego, z czym mógłbym go porównać.

— Więc co się za chwilę stanie? — spytał Marquoz zmartwiony. — Macie zamiar połączyć się i razem wybuchnąć?

— Nie, nie sądzę. Przystosował się już do naszego wszechświata. Można by rzec także, iż staliśmy się częścią jego własnej rzeczywistości. On jest wiadrem,

a my wodą. Można nalać wody do wiadra, lecz nie na odwrót. Ujrzy wszystko to, co ja widzę i zrozumie, że nie ma innej drogi poza tą, którą proponuję. Lecz ja z kolei ujrzę wszystkie jego wspomnienia i to może mnie zabić. Jemu niewielki szok nie powinien zaszkodzić. Lecz ja ucierpię na pewno.

— Słuchaj uważnie. Opowiem ci o roli, jaką odegrasz w tej historii. Brazyl będzie dowodził, lecz trzymaj się jednej podstawowej zasady. Zaakceptuj jego przywództwo, ale nie uważaj go za Boga. Nie jest Bogiem, lecz normalnym człowiekiem, co wielce mnie dziwi. Myśl o nim jako o jedynym inżynierze zdolnym naprawić zepsute urządzenie. Działaj zgodnie z tym założeniem. Twoje zadanie polega na dostarczeniu Brazyla do Studni Duszy. Teraz otrzymasz szczegółowe informacje.

Jua dostała bardzo podobne instrukcje. Jednak gdy wynurzyła się z fioletowej poświaty, sprawiała wrażenie zupełnie innej osoby — bardziej doświadczonej, pewnej siebie i mocno stojącej na ziemi. Otrzymała od Obiego to, co jego zdaniem mogło się jej przydać.

Następny w kolejce był Cygan. Nie chciał iść, ale uzbrojeni strażnicy nie zostawili mu wielkiego wyboru. Westchnął ciężko i wstąpił w łunę fioletowego światła.

— Witaj, Obie — odezwał się niepewnie.

— Witaj — odparł komputer. — Dam ci jak najmniej wytycznych i powierzę najbardziej niesprecyzowaną rolę w nadchodzącym dramacie. Uważam, że posiadasz potencjalnie największe możliwości z całej grupy. . . — Obie zawahał się. — Zgadzasz się z tym, co chcę uczynić i co staram się przeforsować?

Zniknęła cała żartobliwa nonszalancja.

— Owszem, Obie. Wiedziałeś, prawda? Skąd?

— Nie mógłbyś ukrywać tego przede mną w nieskończoność. Tak, wiedziałem i sądzę, że rozumiem w pewnym sensie. Nie pytam cię o motyw, ani jak to zrobiłeś. Chcę jedynie wiedzieć, czy mnie popierasz.

— To bardzo trudne pytanie — odparł Cygan z wahaniem. — Z akademickiego punktu widzenia, owszem. Lecz obawiam się, że jestem bardziej podobny do Brazyla niż do ciebie. Po prostu. . . nie mógłbym tego zrobić. Nie mógłbym również zmusić nikogo do takiego czynu.

— Raz jednak się przemogłeś — stwierdził komputer.

Skinął głową, jakby nieobecny.

— Masz rację. Sądzę, że najsłabiej znamy zawsze samych siebie.

Rozejrzał się, lecz nie napotkał niczyjego wzroku.

— Obie? Wybaczysz mi?

— Wybaczam ci — odparł cicho komputer. — Niewiele tu do wybaczenia. Ale pomożesz im, zgoda?

— Zrobię, co będę mógł — obiecał. — I kto by pomyślał, że to wszystko spadnie na moje barki, he? — zaśmiał się bez cienia wesołości.

— Żegnaj.

— Obie, musi istnieć jakieś inne... — zaczął, lecz urwał w pół zdania. — Do widzenia — wydusił wreszcie. Poświata zniknęła.

— Pora na ciebie, Nathanie Brazilu.

Brazil rozejrzał się po otaczających go twarzach i dostrzegł malujące się na nich skupienie.

— Jesteście szaleni! — mruknął. — Szaleni! — Obrócił się na pięcie i stanął przed platformą. — Obie, to dla ciebie bardzo ważne?

— Bardzo — odparł komputer.

Brazil wahał się przez moment.

— Zatem zgoda. Zrobię, co każesz. Zabierz mnie na Świat Studni, umieść na Alei, a ja załatwię resztę.

Teraz z kolei Obie milczał niezdecydowany. Brazil wyczuł to i jego nadzieje zaczęły rosnąć. Szybko jednak zostały rozwiane, gdy Obie odparł:

— Chciałbym ci wierzyć. Naprawdę. Lecz gdybyś znalazł się w środku, mógłbyś po prostu wymazać moje istnienie i tym samym zakończyć całą sprawę. Mógłbyś zamienić nas wszystkich w ropuchy i zapomnieć o całym kłopotcie. Już o tym rozmawialiśmy. Poza tym to, co proponujesz, jest najzwyczajniej niewykonalne. Odniosłem poważne uszkodzenia. Bardzo dokucza mi ból. Nie jestem w stanie dokonać skoku potrzebnego, aby dostać się w pobliże Świata Studni. Trudno. Postaraj się mnie nie zabić.

Nathan Brazil westchnął ciężko.

— Nie mam zatem najmniejszego zamiaru brać udziału w całej tej farsie. To moje ostatnie słowo!

— Kiedy doliczę do trzech, strażnicy otworzą ogień — stwierdził sucho Obie. — Będzie bolało, naprawdę mocno bolało. A kiedy upadniesz bezwładny wijąc się z bólu, podniosą cię i wrzucą na platformę. Nadeszła na nas pora, Nathanie Brazilu. Jeden... dwa...

Brazil rzucił ciężkie spojrzenie na strażników i wskoczył na podwyższenie.

— Co za melodramatyczny kicz — mruknął wyzywająco. Jednak na jego twarzy malowało się zaniepokojenie.

Fioletowa poświata oblała Brazila i zaraz potem zniknęła im z oczu.

— Obie! Nie! — krzyknęła Mavra Czang rzucając się na podium. Lecz było za późno. Brazila już tam nie było.

Czekali. Mavra nasłuchiwała odgłosów eksplozji, wstrząsów lub innych oznak świadczących o straszliwym końcu Obiego. Lecz do jej uszu dochodziło jedynie wszechobecne buczenie maszynerii. Może Obiemu nic się nie stało.

Obie, który był w stanie zmienić oblicze całej planety w ciągu godziny, przez bite cztery więził Brazila w swym wnętrzu nie dając przy tym znaku życia. Nerwy zebranych zostały wystawione na ciężką próbę. Jua chodziła w kółko, Marquoz

i Cygan grali w remika błędząc myślami zupełnie gdzie indziej. Wreszcie poirytowana Mavra zaczęła strofować strażników za ich bezczelność wiedząc doskonale, że to Obie zmusił ich do takiego postępowania. Przyjęli ten wybuch ze spokojem, a kiedy Mavra opadła z sił, dwóch udało się na Wierch po jedzenie i coś do picia.

Czas mijał. Jua zaproponowała, aby się nieco przespali, lecz wszyscy, nawet Cygan, odmówili.

— Nie wiem jak wy — odezwał się Marquoz — ale ja zostaję tu, aż piekło nie zamrznie na kość. Muszę, wiedzieć jak to się wszystko skończy. — Spojrzał bystro na Mavrę. — Zdajesz sobie chyba sprawę, że jeśli Obiemu coś się stanie, zostaniesz na zawsze centaurzycą.

Nie zastanawiała się nad tym.

— To nie ma znaczenia — odparła w końcu. — Jeśli Obie nie może zabrać nas do Świata Studni, będziemy musieli skorzystać z którejś z markowiańskich bram. A to oznacza, że przejdziemy przez Studnię i tak czy inaczej ulegniemy przemianie. Ale tym razem spędzimy w nowej postaci resztę swych dni.

Ta myśl wytrąciła wszystkich z odrętwienia. Cygan zachichotał.

— Tak, Marquoz. Zamienią cię w człowieka.

— Boże broń! — prychnął smok. — Prawdopodobieństwo wynosi jeden do siedmiuset osiemdziesięciu. Mała szansa. Ale pamiętaj — ty możesz zostać Czuczaczem.

— O cholera! — krzyknął Cygan. — Przynajmniej będę mógł bez problemów zapalać papierosa. A może na tym Świecie Studni nie można palić?

Jua włączyła się do rozmowy kierując swe pytanie do Mavry, której koński korpus górował nad pozostałymi.

— Jak tam jest?

Mavra uśmiechnęła się blado.

— Zupełnie zwyczajnie. Wyobraź sobie po prostu planetę złożoną z mnóstwa małych światów — dokładnie z tysiąca pięciuset sześćdziesięciu — liczących na równiku około sześciuset piętnastu kilometrów średnicy i nieco zniekształconych w okolicach biegunów. Wszystkie światy mają kształt sześciokąta — Markowianie mieli świra na punkcie szóstki. Każdy taki odrębny świat ma własne rośliny, owady i dominującą rasę. Południową półkulę zajmują rasy oparte na węglu — wszystkich razem, siedemset osiemdziesiąt. Ci na północ od równika to gatunki nie oparte na węglu. Mogą być dosłownie wszystkim.

— I można bez przeszkód wędrować między tymi światami? — spytała Olimpianka.

Mavra skinęła głową.

— Dzieli je jedynie niewidzialna ściana. Po jednej stronie może panować trząskający mróz, a po drugiej — nieznośny upał. Ale rzeki, łańcuchy górskie i jeziora przechodzą na sąsiedni heks bez względu na granice. Możecie odnieść wrażenie,

że to klatka, lecz będziecie w błędzie. Linie brzegowe są poszarpane, nieregularne, a erozja i siły górotwórcze działają jak wszędzie. Każdy heks jest jednak sztucznie stworzoną biocenozą, przeznaczoną przez Markowian dla danej formy życia. Przepuszczalnie niegdyś wszystkie stanowiły oddzielne laboratoria. Markowiańscy inżynierowie obmyślali kolejne heksy, zaludniali je, a następnie obserwowali, jak się rozwijają. Pogoda, klimat, atmosfera — wszystko to odpowiadało specyficznym warunkom na pewnej konkretnej planecie. Wprowadzono również pewne ograniczenia wyrównujące szansę. W pewnych obszarach, na przykład, nie działają żadne urządzenia poza napędzanymi siłą mięśni. W innych jedynie niektóre, dajmy na to silniki parowe. W pozostałych wszystko działa tak jak u nas. Jak się zdaje, miało to na celu uwzględnić zasób surowców — albo ich brak — na planetach przewidzianych jako docelowe dla poszczególnych ras. W niektórych heksach działa również magia — zdolność kontrolowania sił natury poprzez Studnię. Prawda — jest to magia sztuczna, lecz wcale przez to nie mniej realna dla tej rasy, która z niej korzysta. Sądzę, że mogą istnieć również inne ograniczenia, o których nie wiem.

— Muszą toczyć między sobą nieustanne walki... albo pogodzić się z nadmiernym zagęszczeniem — zauważył Marquoz.

— Studnia kontroluje populacje, utrzymując je na poziomie około miliona w każdym heksie — wyjaśniła Mavra. — Jeśli wydarzy się coś nieprzewidzianego — wojna, zaraza, klęska żywiołowa — i zdziesiątkuje ludność danego heksu, wówczas populacja zaczyna mnożyć się w króliczym tempie, póki nie załata ubytku. Co do wojen — owszem, zdarzają się czasami potyczki. Mieszkające tam istoty ludzkie stworzyły rozwiniętą technologicznie cywilizację i w końcu skończyły im się surowce. Zaatakowały więc sąsiedni, nietechnologiczny heks — Ambreżę. Ci, w obliczu inwazji, zakupili gaz od pewnej rasy z Północnej Półkuli i przy jego pomocy cofnęli ludzi z powrotem do epoki kamiennej. Następnie zamienili się z nimi heksami. Ludzie żyją we wspólnotach plemiennych i są strasznie prymitywni — tak przynajmniej było, gdy gościłam tam ostatnim razem. Zaś Ambrezowie utrzymują ich na tym poziomie. Korzystają z surowców zalegających ich dawny heks i z urządzeń technicznych, zgromadzonych w ludzkim. Uważaj teraz, Cygan — jedynym poważnym towarem eksportowym jest tytoń. Rzadko można go spotkać, lecz wszyscy znają jego cenę. Palenie jest więc tam raczej kosztownym nałogiem.

— Ale muszą zdarzać się i większe wojny — odezwał się Marquoz. — To przecież naturalne.

— Naturalne, być może — przyznała Mavra — lecz ja słyszałam jedynie o dwóch. Był pewien sławny zdobywca o sporych ambicjach, który napotkał na swej drodze duże kłopoty. Jego wymyślna broń nie działała w większości heksów. Pistolet laserowy jako broń obuchowa to raczej kiepski oręż w obliczu wyszkolonego kusznika. Na dodatek niektóre heksy były tak trudno dostępne, iż linie

zaopatrzeniowe dla wojska stały się w krótkim czasie zupełnie niedrożne. Dało to wszystkim dobrą lekcję — nie można podbić Świata Studni. Kiedy byliśmy tam z Obiem ostatnim razem, wybuchła Wojna o dostęp do promu kosmicznego, który nas tam zawiózł. Stawką było zdobycie kontroli nad Obiem. Tak już jest, że statki wyprodukowane na naszym Świecie Studni po prostu nie działają, lecz to był pojazd z zewnątrz. Wojna o niego była krwawa i brutalna, ale zakończyła się fiaskiem, gdyż silniki okrętowe zostały zniszczone przez rasę pustelników, które uważała, że nikt nie powinien nimi zawładnąć.

Marquoz pokiwał głową.

— Czytałem raporty na ten temat.

— Powiedziałaś, że zawiózł cię tam okręt — zauważyła Jua. — W takim razie nie przesłaś przez Studnię Dusz i nie uległaś transformacji.

Mavra pokiwała głową.

— To prawda. Pewna paskudna rasa zwana Olbornami posiadała kamienie, dzięki którym mogła zamieniać wszelkie istoty w zwierzęta pociągowe z gatunku niewielkich osłów. Uległam połowicznie temu przeistoczeniu i spędziłam wiele lat patrząc w ziemię, chodząc na czterech nogach zaopatrzonych w kopyta. Nie miałam rąk, nie miałam nawet możliwości spojrzeć na niebo.

W jej oczach załśnił gniewny błysk.

— Utrzymywali mnie przy życiu na wypadek, gdyby potrzebny był im pilot. Nie mogli pozwolić, żebym przeszła przez Studnię, gdyż nie wiedzieliby, gdzie się wówczas pojawię ani kim będę.

— Co za oni? — spytał Marquoz.

Mavra parsknęła gniewnie.

— Łajdak o nazwisku Serge Ortega. Olbrzymi stwór z łbem morsa, sześćo-
ma ramionami i długim, węzowatym ciele. Podobno eksczłowiek i były kapitan
frachtowca. W jakiś sposób udało mu się uzyskać faktyczną nieśmiertelność na
czas przebywania w Strefie będącej wejściem do Świata Studni i swego rodzaju
ambasadą. W zasadzie sprawował władzę nad całym Światem. Bardzo prawdopo-
dobne, że dotąd jeszcze jej nie utracił.

Zaśmiała się bez cienia wesołości.

— Jeśli istnieje jakakolwiek istota, której szczerze nienawidzę, to jest nią wła-
śnie Ortega. Przysięgłam, że któregoś dnia go zabiję, tak jak zabiłam mordercę
mojego męża. Nie miał prawa wyrządzić mi tyle krzywd!

Gwałtowne tony w jej głosie zaniepokoiły wszystkich. Cygan, dotąd milczący, odezwał się:

— Mogłaś już dawno załatwić tę sprawę.

— Obie mi nie pozwalał — wyjaśniła. — Nie miał żadnej władzy nad Świa-
tem Studni i nie chciał mnie tam puścić jedynie dla wyrównania starych rachun-
ków. Mam dziwne uczucie, że zawsze z jakiegoś powodu darzył sympatią Ortegę.

Przez wiele lat losy moje i Ortegi splatała jakaś przedziwna nić, choć ani razu nie spotkałam go osobiście. Dziwne.

Stare rany znów zaczęły krwawić. Na wpół zapomniane przeżycia teraz wypełzły z zakamarków umysłu.

— I tam właśnie znajduje się cel naszej wyprawy — westchnęła Jua. — To brzmi niewiarygodnie. Podniecająco. Nie mogę się wprost doczekać.

— Ciesz się, póki jeszcze jesteś w stanie — odparła ostro Mavra. — Świat Studni ma w sobie wszystko prócz romantyzmu. Jest tam niebezpiecznie i naprawdę łatwo stracić życie. Nigdy za tym Światem nie tęskniłam.

— No cóż, nawet jeśli. . . — zaczęła Jua, lecz w tym samym momencie rozległ się głośny huk. Jakby gdzieś w pobliżu uderzył piorun. Wszyscy aż podskoczyli z wrażenia.

Blady jak śmierć i wstrząsany drgawkami Nathan Brazil stał na platformie. Patrzył przed siebie, patrzył w pustkę. Przez chwilę stali w absolutnym bezruchu, obserwując go zachłannymi spojrzeniami.

Zachwiał się nieco, nadal patrząc niewidzącym wzrokiem. Wreszcie stwierdził:

— Muszę się napić. Stop, wróć. Muszę się naprawdę porządnie spać.
A potem stracił przytomność.

Nautilus — Wierzch

Minęły dwa dni, zanim Brazil zaczął powoli z tego wychodzić. Puls miał bardzo słaby — czasem nie można go było prawie wyczuć. Wstrząsały nim częste drgawki, lecz nigdy nie doszło do delirium. Cały czas leżał na pół martwy, a medycy powątpiewali, czy w ogóle się z tego wyliże. Przeniesiono go na Wierzch, umieszczono w luksusowym apartamencie pod silną strażą i zapewniono doskonałą opiekę lekarską. Diagnoza była prosta: doznał bardzo poważnego szoku i niewiele można było mu pomóc. Utrzymywano ciało w stałej temperaturze, stosowano regularne masaże i odżywiano dożylnie.

W tym samym czasie, by zapobiec masowym pielgrzymkom na *Nautilusa*, Jua i Cygan odwiedzili Olimpusa. Wrócili nazajutrz i donieśli, iż Obie dokonał prawdziwych cudów. Między innymi usunął wszystkim Olimpiankom, poza Juą, ogony. Wielebna Kapłanka była cokolwiek zaskoczona zaistniałą sytuacją, szczególnie że wszystkie dokumenty historyczne na Olimpusie wyraźnie wskazywały, iż nikt tam nigdy nie miał ogonów. Wszyscy mieszkańcy zwani byli Pallasami. Zniknęły jakiegokolwiek ślady istnienia niegdyś dwóch odmian — Atenek i Afrodyt. Nic takiego nie miało miejsca.

Mężczyzn można było normalnie spotkać na ulicy. Nadal pełnili funkcję urzędzeń rozplodowych, lecz stanowili normalną część społeczeństwa — od wieków.

Co więcej, Zgromadzenie Studni zmieniło kurs. Stało się to dzięki „boskiemu objawieniu”, którego doznały wszystkie Wielebne Kapłanki równocześnie, tak że nie mogło być mowy o pomyłce. Dowiedziały się, iż aby stworzyć uniwersalny Raj, Nathan Brazil musi najpierw osobiście stanąć na Świecie Studni, przejść przez Studnię i wymazać stary wszechświat. Siły zła będą próbowały mu w tym przeszkodzić. Olimpianki, by zasłużyć na miejsce w Niebiosach, muszą stworzyć armię, która pomoże Brazilowi w osiągnięciu, celu. W nagrodę staną się częścią nowego, Świętego Wszechświata, w którym nie będzie już miejsca dla zła. Zginie ono do szczętu wraz z obecnym kosmosem. Nawet śmierć w czasie świętej krucjaty zapewnia miejsce w przyszłym, wspaniałym Wszechświecie.

Zaś uczniowie Brazila — Jua z Olimpusa, Marquoz Czugacz, Cygan z Gwiazd oraz sama Mavra Czang, legenda ożywiona z martwych ręką Brazila — będą

przewodnikami i przywódcami w nadchodzącej, ostatecznej batalii. Zgromadzenie stanęło w obliczu najważniejszej misji i było do niej przygotowane.

Po wysłuchaniu raportu Marquoz wyraził podziw dla możliwości Obiego.

— Dużo łatwiej prowadzić świętą krucjatę mając wsparcie boskiej interwencji.

Mavra Czang uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

— Historia znów się powtarza. Nigdy nie można dostać czegoś za nic. Obiecaliśmy im Raj, którego nie możemy zapewnić. Życie po zniszczeniu Wszechświata w zamian za ich usługi otrzymają być może jedynie nieliczni. Będą walczyć i umierać za kłamstwo.

— Jak zwykle — dodał Marquoz.

Ich rozmowę przerwał dzwonek z komunikatora Mavry. Zdjęła go ze sprzączki przy pasku i spytała:

— Tak?

— Sądzę, że zaczyna odzyskiwać przytomność — stwierdził medyk.

Wszyscy pospieszyli do apartamentu Brazila.

Nathan Brazil szybował we własnym, przyjemnym, mrocznym i cichym zakątku. Nie trzeba było tam w ogóle myśleć. Czuł się niewypowiedzianie szczęśliwy i odprężony. Lecz teraz ten zakątek ulatywał, a wspomnienia zalewały budzący się mózg. Z początku nie widział w nich sensu i nawet nie próbował. Lecz one ciągle napływały, atakowały jego umysł niczym żołnierze idący do natarcia, próbując ustawić się w jakimś określonym porządku.

Niewielki gaik palmowy wokół kryształowo błękitnej sadzawki. Już wtedy był to suchy i gorący kraj, lecz i zieleń nie należała do rzadkości — nie tak jak późniejszymi czasami. Lekka bryza wiała od południowego wschodu — sucha, okropna pieczota, która nie niosła ani odrobiny ulgi. Dwie młode kobiety — jedna całkiem urodziwa — oraz dwoje małych dzieci. Siwobrody starzec z twarzą czerstwą od wiatrów i niepogody. Rozmowa się nie klei. W tych ciężkich czasach mało się mówi i nie zawiera pochopnie znajomości.

Tętent kopyt. Ludzie na koniach. Ledwie starcza czasu, by podnieść głowę. Rzymianie! Tylko pięciu, lecz wyglądają paskudnie. Będą problemy. Ukrył się w krzakach i leżał bez ruchu. To dziwne jednak, pomyślał: dałby sobie rękę uciąć, że powinno być więcej koni. Może nadjechali z różnych stron i teraz część kryje się w krzakach tak jak on.

Rzymianie zsiadli z koni. Dwoje dzieci, chłopców, pluskało się nago przy brzegu sadzawki. Rzymianie obrzucili ich uważnym spojrzeniem, a potem przenieśli wzrok na starca i dwie kobiety. Wiedzieli, że sprawują tu absolutną władzę. Jeden z Rzymian zawołał po łacinie do pozostałych i wskazał na bawiących się chłopców. Wiatr przyniósł na swych skrzydłach jedno słowo — „obrzezani”. Będą kłopoty Antiochus zakazał tej praktyki. Jeden Rzym, jedna wiara, jedne cła. Nazywali to kulturą asymilacją. Cały świat w jednym ręku.

Starzec jest oporny. Krzyczy na centuriona, ten też coś krzyczy, śmieje się i łapie młodszą kobietę. Starzec doskakuje do niego wrzeszcząc i złorzecząc. Dwóch Rzymian biegnie na pomoc dowódcy z obnażonymi mieczami i siecze starca niemal na kawałki. Kobiety krzyczą. Rzymianie otaczają je kręgiem. Młodszą łapia dwaj Rzymianie i częściowo obnażają. Starsza atakuje ich sztyletem, lecz cios płazem gruchocze jej czaszkę. Pada na ziemię i nieruchomieje.

On leży ukryty w krzakach, jest zły i wstyd mu za siebie. Ma włócznie i miecz. Nagle, jakby wbrew sobie, rusza na napastników w ślepej furii.

Jeden z Rzymian podrzyna gardła chłopcom. Obraca się zaskoczony i patrzy z niedowierzaniem, jak włócznia przebija pancerz i zagłębia się w jego brzuch.

Dwóch innych zdążyło już rozciągnąć kobietę na ziemi. Odwracają się zdezorientowani, lecz ich towarzysze wyciągają miecze i ruszają do ataku.

Był niezłym fechtmistrem, szczególnie teraz, ogarnięty szałem. Najbliższemu przeciwnikowi rozplątał prawe ramię silnym cięciem od wewnątrz, lecz drugi nie uległ tak łatwo. Rzymianin, będąc doskonałym szermierzem, zapędził mężczyznę prosto w ręce swych towarzyszy, którzy przestali zabawiać się z dziewczyną i zaszli go od tyłu.

— Zabiję tego skurwiela! — warknął Rzymianin i ruszył w stronę jeńca.

— Nie! Stój! — krzyknął jeden z żołnierzy. — Ta suka musi dla niego coś znaczyć, skoro walczył tak zażarcie. Przywiążmy go do drzewa. Niech patrzy i cierpi przed śmiercią!

— Dobrze! Odetnijmy mu także członki i pozostawmy żywego, by wykrwawił się na śmierć lub wegetował do końca swych dni jako kaleka! — warknął mężczyzna z rozplątaną ręką, który leżał wciąż na piasku zwijając się z bólu. Zaśmiali się z tego pomysłu i obandażowali kompana.

Zrobili tak, jak mówili. Przywiązali go do drzewa grubymi linami i zmusili, by przyglądał się, jak gwałcą ją po kolei, a potem zabijają powoli, bez miłosierdzia.

Szlochał nie tyle nad okrucieństwem świata, co nad ludźmi, którzy doznawali tortur i straszliwej śmierci. Znał niegdyś prawych, odważnych i szlachetnych żołnierzy Legionów. Ludzi, którzy postąpiliby tak samo jak on w obliczu barbarzyństwa. Ale teraz wszystko się zmieniło. Rzym się rozrastał, rozszerzał swe wpływy na krańce świata. Potrzebował więc wielu ludzi. Ludzi potrafiących zabijać i delektować się zabijaniem. Jeśli takie zdeprawowane zwierzęta niosą pochodnię „cywilizacji”, to trzeba tylko czasu, aby ich okrucieństwo wróciło rykoszetem do korzeni, na sam tron!

Otoczyli go i obserwowali przywiązanego do drzewa.

— Więc tak wygląda wielkość Rzymu — zadrwił z nich.

Roześmiali się, lecz po twarzach poznał, że zaskoczyło ich jego opanowanie w obliczu tortur i śmierci.

Obnażyli miecze i popatrzyli na niego uważnie. Jeden z nich wskazał na pojowisko.

— To byli twoi?
Spojrzał żołnierzowi prosto w oczy.
— Nigdy przedtem nie widziałem tych ludzi — oznajmił w płynnej łacinie.
— Zatem dlaczego za nich walczyłeś? — spytał inny, zaskoczony i nieco zbity z tropu przez całkowitą obojętność więźnia na sprawę własnego życia.
— Dzieci Izraela nie powinny być prześladowane przez bestie z piekła rodem.
— Dość tego! Jesteś odważny, lecz głupi — rzekł centurion. — Zabijemy cię.
— Naprawdę szkoda, że nie jesteście w stanie.
Rzymianin dobył miecza i zawahał się na chwilę, patrząc w oczy więźnia przed zadaniem ostatecznego ciosu.
W powietrzu rozległ się nagle świst, a zaraz potem dało się słyszeć coś jakby „łup! łup! łup! łup!” Rzymianie stali przez chwilę z wyrazem zaskoczenia malującym się na twarzach, a potem runęli na ziemię ze strzałami sterczącymi z pleców.
Czterech mężczyzn wyszło z przyległych krzaków. Od razu spostrzegł, że byli to Żydzi. Nieśli łuki. Jeden z nich był wyraźnie starszy. Pozostali, sądząc z wyglądu, to jego synowie. Dwóch z nich pochyliło się nad ciałami zamordowanych Żydówek, a trzeci przy użyciu miecza upewnił się, że Rzymianie już na zawsze spoczną w ziemi. Starszy mężczyzna podszedł do niego, wyciągnął zza pasa niewielki, rzeźbiony nóż i rozciął krepujące więzy. Mężczyzna niemal runął na piach, gdyż mocno zaciśnięte sznury tamowały przez długi czas dopływ krwi do członków. Jednak stary Żyd był silny, złapał go w porę i ułożył delikatnie na ziemi.
— Miałeś ciężką przeprawę — oświadczył po hebrajsku.
Skinął głową.
— Było ich za wielu — odparł w tym samym języku.
Żyd pokiwał głową.
— Byliśmy ciut za daleko — westchnął. — Słyszeliśmy krzyki, lecz przybyliśmy za późno i być może skradaliśmy się zbyt ostrożnie. — Spojrzał na martwych Rzymian. — To zemsta — mruknął prawie do siebie — lecz jakoś nie wydaje się stosowna. — Potem znów zwrócił się do uwolnionego mężczyzny. — Masz krewnych, którzy cię przygarną?
Pokręcił głową.
— Wszystko, co było mi drogie, leży tu na ziemi — mruknął.
— Znów jestem sam na świecie.
— Jesteś młody, odważny i potrafisz machać mieczem — oznajmił starzec. — Zasługujesz na szansę. Wstań! Mam w sobie ducha. Jestem Mattathias, syn Jana, kapłan synów Joariba z Modinu. Oto moi synowie — Joannan Caddis, Simon Thassi, Eleazar Avaran oraz Jonathan Apphus.
— Moje imię i rodzina umarły wraz z nimi — rzekł mężczyzna ze smutkiem w głosie. — Ja sam umarłem tak samo.

— Zatem bądź moim synem — oznajmił Mattathias. — Zostaniesz tym, który był ich najstarszym bratem, lecz umarł dawno temu na pustkowiu. — Odwrócił się ku synom, którzy stali za nim. — Co powiecie?

— Jest odważnym człowiekiem, który wiele stracił — odparł jeden z nich. — Zaś jego duch i wiara przydadzą się w tych czasach próby.

Pozostali pokiwali zgodnie głowami.

— Każdy wojownik tak niskiego wzrostu jak ty, któremu udało się przebić rzymską zbroję, ma w sobie ducha i bożą przychylność — rzekł inny.

— Postanowione więc — oświadczył Mattathias z satysfakcją. — Jesteś teraz moim synem, witaj w domu i w klanie. Od dziś zwać się będziesz Judas Maccabeas. Utracony syn wraca do ojca w dniach próby.

Uklękli i modlili się wspólnie dziękując Bogu Izraela, że doprowadził do tego spotkania. Widzieli w tym Jego palec. A kiedy skończyli, mężczyzna spojrział na nich i rzekł:

— Być może z waszą wiarą i waszym patriotyzmem powalimy samego potężnego Antiochusa na kolana!

Nathan Brazil obudził się.

Czuł, jakby pękała mu głowa. Mógł jedynie jęczeć i medycy zaaplikowali mu środki uśmierzające, by złagodzić cierpienia. Wreszcie skupił wzrok i spróbował usiąść. Z cichym jękiem opadł jednak znów na łóżko.

— No cóż, widzę tu całą paczkę — mruknął.

— Jak się czujesz? — spytała Mavra, wyraźnie przejęta jego stanem.

Zdobył się na nieznaczny uśmiech.

— Och, chyba jak każdy, kto przeżył eksplozję będąc w epicentrum.

— Co ci się przydarzyło... tam? — spytał Marquoz. — Pamiętasz cokolwiek?

Brazil skrzywił się — nie z bólu, lecz na myśl o tamtych chwilach. — Wolałbym nie mieć żadnych wspomnień! Bo, widzicie, Obie nie żartował. Ludzki mózg jest fantastyczną krainą, która ludzi nas zmuszając do przyjęcia punktu widzenia, z którym najłatwiej żyć. Potraficie wyobrazić sobie konfrontację oko w oko z samym sobą — prawdziwym ja — bez szans na ucieczkę? Nawet Obie nie zdaje sobie sprawy, jaki koszmar mi zgotował, na jakie tortury wystawił. Gdyby wiedział, co mnie czeka, nie sądzę, by się na to zdecydował. Wiecie, że my wszyscy — nie maszyny — jesteśmy szaleni? Kompletnie pomyleni? Bez wątplenia Markowianie nie zdawali sobie sprawy z tego, iż nie osiągnęli wcale utopii — nie mieli o tym pojęcia. Może przydarzyło im się właśnie coś takiego. To znaczy połączywszy się mentalnie z olbrzymim komputerem, musieli doznawać podobnych wrażeń co ja, stawać otwarcie w obliczu własnej osobowości. To musiało pozbawić ich wszelkich złudzeń! Mój Boże! Nie ma wątpliwości! Tak było! To wszystko wyjaśnia! Studnię, i to dlaczego stworzyli ten wielki eksperyment, dlaczego tak bardzo pragnęli popełnić samobójstwo i dlaczego im się nie udało. My wszyscy jesteśmy ich odbiciami, owszem, lecz odzwierciedlamy również ich ciemną stronę duszy!

— Lecz czy sam nie brałeś w tym udziału? — spytała Mavra. Oszłomił ją ten długi monolog. — Jesteś przecież Markowianinem, prawda?

Zaśmiał się smutno, a potem jęknął cicho przesyty bólem:

— Nie, jestem kimś... innym. Ale nie martw się. Potrafię naprawić ich maszynę. — I znów powrócił do przerwano wątku. — Mój Boże! To pewne, że Studnia nie jest samoświadoma. Nie mogliby znieść...

— Obie... czy Obie nie żyje? — spytała Mavra z trwogą.

— Nie wiem. Ale nie sędzę. Nie, jestem pewien, że żyje. Ale... no cóż, raczej już nam nie pomoże, w każdym razie nie w najbliższej przyszłości. Bo, widzicie, Obiemu cały wszechświat i wszystko w nim zawarte jawi się jako coś logicznego, matematycznie uporządkowanego. Jesteśmy dla niego ciągami cyfr, równoważącymi się stosunkami liczb. Lecz ja niczego nie równoważę i nic nie równoważy mnie. Nie jestem częścią składową jego matematyki. Nie posiada odpowiedniego klucza, by zrozumieć moją „formułę”. Chcąc mnie przyswoić musi znać odpowiedni klucz. Musi rozwiązać problem, lecz nie może go rozwiązać, póki go nie rozwiąże. Znalazł się w błędnym kole. W pewnym sensie można powiedzieć, że przyprawiłem go o szaleństwo.

— A co z tobą? — wtrącił Marquoz. — Obie zdawał sobie sprawę, że możesz doprowadzić go do obłądu, lecz liczył równocześnie, że ciebie z kolei sprowadzi na drogę rozsądku. Udało mu się?

Brazil znów się zaśmiał.

— Umysł to twór elastyczny. Jestem teraz prawdopodobnie najbardziej trzeźwo myślącą istotą w dziejach wszechświata. Bardziej trzeźwą niż Markowianie, gdy łączyli się ze swymi komputerami. Lecz zarazem jestem zupełnie szalony i z każdą myślą coraz bardziej pograżam się w obłądzie. Gdy stajemy twarzą w twarz z niepojmowalnym, uciekamy, odrzucamy fakty w najodleglejszy zakątek mózgu.

— Na własne nieszczęście sędzę, że cię rozumiem — odparł Czugacz. — Lecz te rozważania metafizyczne nie mają obecnie wielkiego znaczenia. Podstawowym pytaniem jest, czy zmieniłeś zdania i naprawisz Studnię Dusz?

Nathan Brazil westchnął.

— Efektem ubocznym złączenia umysłów jest to, że później pamięta się rzeczy, których wcale nie ma się ochoty pamiętać. A najgorsze w tym wszystkim, że im więcej wspomnień uda ci się przyoblec mgłą zapomnienia, tym boleśniej zdajesz sobie później sprawę z daremności swego trudu. Rzym wzniósł się na wyżyny, lecz zniszczyła go od środka jego własna broń. Zastanawiam się, czy ten sam los nie spotkał Markowian. Czy my znów powielimy stary schemat, osiągniemy ten sam krytyczny punkt? Czy życie na zawsze skazane jest na powtarzanie starych błędów, gdyż eksperymentatorzy coś kiedyś popsuli? Zastanawiam się...

— Ale czy naprawisz Studnię? — napierał smok.

Brazil przytaknął niechętnie.

— Udam się do Studni, jeśli będzie to możliwe. Wejdę do środka, wszędzie gdzie trzeba i zobaczę w czym problem. Lecz nie wezmę na siebie odpowiedzialności za zamordowanie takich rzeszy! Nie mogę ciągle sam podejmować decyzji.

Obrócił się bokiem, spojrzął po nich i zawiesił wzrok na Mavrze Czang. Wskazał na nią.

— Ty weźmiesz na siebie odpowiedzialność — oznajmił. — Kiedy stanę w Studni, ty będziesz wraz ze mną. Wydasz mi rozkaz. Ty polecisz, abym wyciągnął wtyczkę wszechświata.

Opadł na poduszkę i znów stracił przytomność, lecz wskazania aparatury świadczyły, iż tym razem znacznie bardziej przypominało to zwyczajny sen.

Nautilus — Wierzch, później tego samego dnia

Mavra Czang przemierzała długimi krokami ogromną recepcję, w której spędziła większość popołudnia i sporą część wieczoru. Była wyraźnie markotna i jakaś zamyślona.

Marquoz wyszedł zza rogu rozkołysanym krokiem, przystanął, ziewnął i obserwowił ją przez parę chwil.

— Wiesz co? Naprawdę powinnaś trochę odpocząć i wreszcie coś przekąsić. Nie możesz jadać tyle co ptaszek. Jesteś teraz rhonyjką i potrzebujesz wielkich ilości energii.

Mavra stanęła i obrzuciła go krótkim spojrzeniem. Była blada i zmęczona. Na jej twarzy wyraźnie rysował się wysiłek. Wyglądała, jakby w ciągu ostatnich kilku dni przybyło jej dobrych dziesięć lat.

— Może i masz rację — powiedziała ochryłym głosem. — Sama nie wiem... ale tak chyba miało być. Wszystko się zmieniło. Obie odszedł, a my wciąż siedzimy tutaj wygodnie. Wszelchświat kręci się dalej. Czy uświadomiłeś sobie fakt, że to, co zamierzamy uczynić, ma zniszczyć wszystko, co znamy? A ja, no cóż, ja tkwię w powłoce mojej przodkini ze Świata Studni, lecz nie czuję się jak centaur. Czy wiesz jak to jest, kiedy masz ochotę na wołowinę z rusztu albo coś podobnego i nagle zdajesz sobie sprawę, że możesz trawić jedynie liście i trawę?

— Ty po prostu za bardzo się nad sobą rozczulasz — stwierdził smok. — Wiem, jak to jest... ale to przecież do ciebie niepodobne. Słyszałem, że w Świecie Studni zostałeś zamieniona w bezrękiego kalekę. A jednak zdołałaś pokonać trudności i zwyciężyłaś Ortegę oraz całą resztę, choć to oni ustanowili reguły. Co się z tobą stało?

Zastanowiła się.

— Och, nie mam pojęcia. Może się starzeję. Może po prostu obrosłam w tłuszcz i pograżyłam się w samozadowoleniu podczas tych lat z Obiem.

Cygan odchrząknął, więc oboje odwrócili się w jego stronę. Nie wiedzieli, jak długo ten tajemniczy śniadoskóry mężczyzna przysłuchiwał się ich rozmowie.

— Człowiek dostrzega błędy dopiero w ich obliczu — stwierdził.

Mavra obrzuciła go pytającym spojrzeniem.

— Tym razem to nie ty dowodzisz — ciągnął Cygan. — Nie wiesz, co jest grane, nie masz kontroli. Podczas porwania w ogóle się nie bałaś, bo wiedziałaś, że i tak wszystkim sterujesz. Teraz już z tym koniec. Nie jesteś nawet równorzędnym partnerem. Dla Obiego byłaś partnerem tylko dlatego, że on na to pozwalał. Teraz wszystko spoczywa w rękach faceta, którego nawet nie znasz. Na Świecie Studni pozostawiono cię niegdyś samą — byłaś panią swego losu. Teraz i tego zabrakło. Oto co cię gryzie. Cały czas chcesz stać na czele albo przynajmniej myśleć, że stoisz na czele.

Jego słowa były tym boleśniejsze, iż — wiedziała w głębi — mówiły prawdę. Cygan posiadał niewytłumaczalną zdolność sięgania w głąb duszy i widzenia rzeczy takimi, jakimi są w rzeczywistości. Nie miał jednak w sobie nic z dyplomaty i mówił to, co widział. Przez moment rozumiała, co czuł Brazil, gdy był wewnątrz Obiego. Widział rzeczy, którym nie chciał stawiać czoła, o których nie chciał nawet wiedzieć — rzucone w twarz wywoływały wstyd i zakłopotanie.

— Kim jesteś, Cygan? — spytała. — Skąd pochodzisz?

Uśmiechnął się.

— Mógłbym podać ci długą, zmyśloną biografię, a i tak nie wiedziałabyś, czy powiedziałem prawdę. Co za różnica? Żadne z nas nie zna tak naprawdę drugiego. Weźmy na przykład Marquozę. Dlaczego opuścił swoich, żyje i pracuje całkowicie odcięty od środowiska i kultury, w której wyrósł? Jestem facetem, który był w każdym śmierzącym porcie kosmicznym. Wyciągałem wiadomości najróżniejszymi sztuczkami. Jestem człowiekiem, który nigdzie nie pasuje, nieudacznikiem, który znalazł sposób, by przetrwać i cieszyć się życiem. Kapitanowie frachtowców, włamywacze, tajni agenci i im podobni — to ludzie mojego pokroju. Moim zdaniem Marquoz to też nieudacznik. Ty tak samo. Cała załoga *Nautiliusa* to w mniejszym czy większym stopniu nieudacznicy. Dlatego właśnie my jesteśmy tutaj, a oni tam. — Jego głos stał się ponury i jakby odległy.

— Dlatego właśnie my przeżyjemy, a oni nie.

Zapadła długa cisza. W końcu odezwała się Mavra Czang.

— Chyba wyjdę na zewnątrz i poszczypię trochę trawkę. Myślę, że powinniśmy już zacząć działać.

Nie musiała się fatygować i szukać trawnika. Dobrze wiedziała, że Obie, właśnie na wypadek gdyby poczuła się głodna, przygotował spore ilości ziarna zagarnięte ze starego statku Brazila. Nie smakowało może najlepiej, lecz jej apetyt rósł w miarę jedzenia. Z pewnością posiłek ten nie wprawił ją w szampański nastrój, lecz bez wątpienia poczuła się lepiej.

Kiedy wróciła do głównego hallu, zastała tam Nathana Brazila. W sklepie odzieżowym znaleźli dla niego czarny pulower, parę szortów i miękkie sandały. Nieco czasu zajęło mu usunięcie resztek makijażu i wyglądał teraz prawie tak jak zwykle. A już z całą pewnością sprawiał wrażenie rześkiego i pewnego siebie. Był

mężczyzną niskim — nie miał nawet metra siedemdziesiąt — drobnym, bardzo szczupłym, choć ramiona miał silne i muskularne. Posiadał ciemną karnację, niemal jak Cygan. Lśniące, brązowe oczy spoglądały na świat po bokach wydatnego rzymskiego nosa. Usta miał szerokie, mięsiste, a wewnątrz pełen garnitur zębów. Włosy nosił krótko przycięte — by móc łatwo zakładać maskę — i był gładko ogolony, głównie z tego samego powodu.

Spojrzał na nią, skinął głową i uśmiechnął się nieznacznie.

— Jak leci, moja praprawnuczko? — pozdrowił ją uprzejmie.

— Jakoś przeżyję — odparła chłodno.

Obie miał rację w tym względzie — byli do siebie zbyt podobni, by czuć się dobrze w swojej obecności.

— Tak, przeżyć, to wszystko na co nas teraz stać — stwierdził. — Zwołałem małe zebranko. Niedługo wszyscy zaczną się schodzić. Szczególnie uciążliwy jest brak danych. Wszystko było w Obiem. Kiedy byłaś ostatnio na Świecie Studni?

— Ponad siedemset lat temu — odparła, zafascynowana jego nagłą, ale jakże radykalną przemianą: ze zmęczonego światem mędrca w dziarskiego biznesmena. — Później czasami także tam zaglądaliśmy, lecz były to jedynie rutynowe kontrole, przy których obstawał Obie — nic poza tym. Śmiesznie proste do przeprowadzenia — wystarczyło posłuchać paru rozmów. Ortega i doktor Zinder mieli nadajniki o dużym zasięgu, lecz Obie nigdy się z nimi nie połączył. Przypuszczano powszechnie, że zostaliśmy zniszczeni przez Policję Konfederacyjną. Obie sądził, że lepiej, aby uważano go za martwego. Ja naprawdę nie cierpię tego miejsca. Zindera ledwie znałam, a choć nigdy nie spotkałam Ortegi, mam mniej powodów aby go kochać niż ktokolwiek inny.

Brazil uśmiechnął się.

— Ciągłe jesteś wściekła na tego drania? Myślałem, że już ochłonęłaś na tyle z emocji, aby zrozumieć, iż w podobnej sytuacji zrobiłabyś z nim dokładnie to samo, co on zrobił z tobą. Nigdy nie posądziłbym jednak tego starego łotra nawet o odrobinę sumienia — to fakt.

Była wyraźnie zaskoczona.

— Znasz Ortege?

Skinął głową.

— Owszem. Jeden Bóg wie, ile razy wspólnie obmyślaliśmy różne łajdactwa. To podstępny stary drań. Zawsze darzyłem go sympatią, mimo faktu, że przeważnie jesteśmy po przeciwnych stronach. Kiedy byłem ostatnio na Świecie Studni, zgotował mi mały komitet powitalny, a później długi czas usilnie bruździł. Powinien był już dawno umrzeć, lecz informacje, jakie otrzymałem z Olimpusa świadczą, że ciągle żyje.

Pokiwała głową.

— Słyszałam, że to jakiś czar. Jest jednak więźniem w Strefie, choć rządzi tam praktycznie niepodzielnie.

— A więc wciąż tam jest i zdobywa coraz większą władzę — oznajmił Brazyl. — Może się to okazać zbawcze bądź fatalne i nie mam pojęcia, jak będzie w istocie. Cholera! Najgorszą rzeczą po stracie Obiego jest to, że lecimy tam na ślepo. Nie poznam panujących obecnie w Świecie Studni warunków, dopóki sam tam nie dotrę. *Kriegspiel* na żywo. Nigdy nie lubiłem tej gry.

— *Kriegspiel*?

— Szachy. Znasz tę grę? Tylko że tym razem przeciwnicy siedzą do siebie plecami i każdy ma własną szachownicę. Sędzia mówi, kiedy przeciwnik zrobił dozwolony ruch. Po niewłaściwych posunięciach należy odkryć, gdzie partner trzyma swoje figury. A u nas na dodatek nie ma sędziego.

— Mówisz tak, jakby na Świecie Studni czekała nas kolejna wojna — zauważyła lekko zdumiona. — Nie jestem pewna, czy wszystko dobrze rozumiem.

— Bo prawdopodobnie czeka — odparł, po czym obejrzał się. — O, widzę, że przybywają spóźnialscy. Kiedy nieco odsapniecie, wyjaśnię, o co w tym wszystkim chodzi.

— Po pierwsze, poznajmy sytuację — rozpoczął Brazyl. — Najpierw muszę dostać się z heksu leżącego na południu Południowej Półkuli do Alei — wejścia do Studni znajdującego się na równiku. W najlepszym wypadku odległość wyniesie jakieś czterysta dziewięćdziesiąt kilometrów.

— Przepraszam — wtrącił się Marquoz. — Dlaczego aż tyle?

— Słuszne pytanie — odparł Brazyl. — Ciągle zapominam, że nie orientujecie się za bardzo w tych sprawach. W zasadzie tylko ja i Mavra byliśmy tam, więc zacznę od podstaw. Świat Studni to obiekt sztuczny. Został stworzony nieco ponad dziesięć miliardów lat temu przez rasę znaną wam jako Markowianie. To stara historia — prowadząc eksplorację kosmosu co rusz natykamy się na pozostałości ich martwych planet. Miasta owszem są, lecz nie ma żadnych przedmiotów codziennego użytku — maszyn, magazynów z żywnością, nawet starych garnków. Dosłownie niczego. Powód jest dość prosty. Markowianie byli pierwszą rasą, jaka rozwinęła się po Wielkim Wybuchu zapoczątkującym historię naszego wszechświata. Ich ewolucja przebiegała w normalnym tempie, no może nieco szybciej ze względu na warunki naturalne. Przeszli przez większość stadiów rozwoju, które i my przeszliśmy. W niecałe dwa i pół miliarda lat — wiem, że może wydawać się to długo, lecz w skali kosmicznej to naprawdę niewiele — rozrośli się i poznali każdy zakątek w ich części wszechświata. Osiągnąwszy granice ekspansji, skupili się nad wnętrzem, ostatecznie tworząc komputer połączony bezpośrednio z ich umysłami. Po kolei usuwali całkowicie płaszcz z każdej ze swych planet i zastępowali go quasiorganiczną substancją, grubą na jakieś dwa kilometry — komputerem. Następnie wprowadzali do niego całą swoją wiedzę. Łączyli umysły z miejscowym komputerem i przez to mamy cywilizację bez żadnych problemów materialnych. Kładli oczywiście płaszcz z powrotem na powierzchni komputera i budowali miasta. Bardziej dla określenia terytorium przynależnego każdemu

z nich, niż w jakimś użytkowym celu. Potem usiedli sobie wygodnie i wymarzyli, jak ma wyglądać wnętrze ich domów. Komputer stworzył wszystko, co sobie życzycy, przemieniając energię w materię. Byłeś głodny? Wystarczyło pomyśleć i już komputer serwował zamówioną potrawę. Chciałeś sztuki? Tworzyłeś wszystko w myślach, a komputer urzeczywistniał te wizje. Żadnych potrzeb, żadnych pragnień. Idealna materialistyczna utopia.

— Dla mnie brzmi to wspaniale. Trochę jakby pachnie magią — stwierdziła Jua.

Brazil zachichotał.

— Magią? Magia to robienie czegoś, czego nikt inny nie potrafi. Nie wiemy na razie, jak oni dokonywali tych wszystkich rzeczy, więc jest to dla nas magia. Kiedy magia zostaje obłąskawiona, ujarzmiona — zaczynamy nazywać ją nauką. Obie potrafił korzystać z owej magii. Jego twórca, Gilgram Zinder, odkrył te same zasady, dzięki którym działały komputery Markowian. Naturalnie Obie, w porównaniu z tamtymi, był tylko niewielkim, prymitywnym prototypem. Potrafił jednak w pewnych granicach dokonywać tych samych rzeczy. Zinder nie był pierwszym, który natknął się na historię Markowian, ale pierwszym, który był w stanie zbudować urządzenie mogące dokonywać przemiany.

— Lecz wszyscy Markowianie już nie żyją — stwierdził Cygan.

Brazil skinął głową.

— Tak, wszyscy. Ogarnęło ich znużenie, obrośli w tłuszcz, stali się leniwi, nieruchawi. Według mojej ostatniej teorii, spędzali zbyt wiele czasu podłączeni do swych komputerów. Zmusiło ich to w końcu do zrozumienia faktu, iż doszli do granic możliwości twórczych, osiągnęli punkt krytyczny, do którego nieuchronnie zdążają wszystkie rasy. A tam nie było niczego — ani nowego wyzwania, ani nowego celu. Niezwykle szybko ów dekadentyzm ogarnął wszystkich, po najdalsze krańce ich imperium. Wygląda na to, że bardzo niedługo bawili się w bogów. Kilka pokoleń, nie więcej. A potem, jak jeden mąż, postanowili rzucić wszystko i rozpocząć od początku.

— Brzmi to logicznie — przyznała Mavra. — Ale po co teoretyzujesz? Byłeś przecież wtedy z nimi!

Brazil odchrząknął lekko.

— Hm, no tak. Ale cóż, to było po prostu tak dawno temu, że moje wspomnienia z tamtego okresu już się raczej zatarty. Wiele z tych rzeczy musiałem odkrywać na nowo. Zrozumcie mnie. Żyję już okropnie długo.

Zaakceptowali to tłumaczenie, choć nie bez pewnych zastrzeżeń. Mavra odniosła wrażenie, iż w Nathanie Brazilu jest coś zdecydowanie fałszywego, coś, czego nie potrafiła jasno określić. „Jest pełen sprzeczności” — powiedział o nim Obie. Określenie to było bardzo delikatne.

— W każdym razie — ciągnął Brazil — Markowianie uznali, iż gdzieś na drodze ewolucji popełnili błąd. Nie potrafili pogodzić się z myślą, że osiągnę-

li granicę możliwości. Ta myśl nie dawała im spokoju. Postanowili więc zniszczyć wszystko i zacząć od nowa. Wybrali dość szczególny sposób. Nie mogli unicestwić całego wszechświata bez jednoczesnej samozagłady. Stworzyli więc gigantyczny komputer wielkości planety, wymagający jednak ręcznej obsługi. Markowianie byli stworzeniami raczej sporych rozmiarów — nam wydawaliby się prawdziwymi potworami. Przypominali wyglądem bijące serca ludzkie, wsparte na sześciu długich, zaopatrzonych w przyssawki mackach. Lecz jako formy życia oparte na węglu byli do nas podobni — na tyle, że moglibyśmy oddychać w ich atmosferze. Pokryli skorupą powierzchnię planety-komputera, tego supermózgu, i podzielili go na 1560 heksagonalnych biosfer. Ponieważ nie można pokryć całej sfery sześcianami, olbrzymie obszary biegunowe podzielili na minibiosfery. Tak powstały Strefy: Północna i Południowa. Miały to być tereny, gdzie rasy, które zamierzali stworzyć, mogłyby się swobodnie spotykać, rozmawiać, handlować czy robić cokolwiek innego.

— W jaki sposób rozwiązano problem komunikacji? — spytał Marquoz.

— Dzięki wrotom — wyjaśnił Brazil. — Pośrodku każdego heksu znajduje się brama. Wygląda jak duża, czarna dziura w kształcie sześciokąta. Przenosi ona każdego z heksu do odpowiedniej Strefy. W Strefie natomiast jest wiele mniejszych bram, którymi można wrócić do macierzystego heksu. Można je traktować jako przekaźniki materii, podobne jak u Obiego. Jednak istnieje podstawowa różnica: on mógł przemieszczać wszystko dowolnie, zaś owe bramy potrafią teleportować jedynie z heksu do Strefy i na odwrót. Nadają się nieźle do celów handlowych. Północna Półkula to dziwne miejsce, stworzone z myślą o formach życia nie opartych na węglu. Markowianom przyszło bowiem na myśl, iż — być może — rozwijali się od samego początku w złym kierunku. Południowa Półkula stanowi domenę form węglowych. W obu Strefach istnieją specjalne bramy przeznaczone do transportu między nimi, by zapewnić możliwość handlu i kontaktów pomiędzy półkulami.

— A heksy? Są zamknięte? — spytała Jua z wyraźnym zafascynowaniem.

— Och, nie — odparł Brazil. — Oddzielają je bariery z czystej energii. Ale wiesz już chyba na ten temat sporo — o ograniczeniach technologicznych i tak dalej. Obawiam się, że czeka mnie ciężki, czterystudziwiećdziesięciokilometry spacer przez Południową Półkulę do równika, gdzie istnieje fizyczna bariera oddzielająca północ od południa. Tam właśnie znajduje się system transportacyjny, używany przez markowiańskich inżynierów do wchodzenia i wychodzenia ze Studni Dusz. Tam także są Aleje — szerokie ulice, jeśli wolicie — stanowiące granice równikowych „heksów”. Owe heksy jako jedyne nie mają kształtu sześciokąta, gdyż kończą się prostą linią i są zbliżone do półkola. Właśnie Aleje stanowią wejścia do Studni Dusz.

— Studnia Dusz — powtórzył Marquoz. — Dziwna nazwa.

Brazil wzruszył ramionami.

— Dlaczego akurat „Studnia” — nie wiem. Druga część nazwy jest wystarczająco jasna. W każdej rozumnej istocie istnieje coś, czego nie można zmierzyć, a co odróżnia ją od zwierząt. Nazywamy to duszą. Prawie wszystkie religie są na niej oparte. Mam dowód, że istnieje coś takiego jak dusza. Pewnego razu na Świecie Studni grupa szamanów, przekonanych że za chwilę umrę, przeniosła mnie w ciało jelenia. Dusza jest osobowością, całym tobą. Studnia wykorzystuje właśnie jej istnienie i przemiana ciała nie zabijając osobowości. Markowianie byli bezradni w obliczu duszy. Nie potrafili jej stworzyć. Aby dać początek nowym rasom, musieli użyć swych ludzi — jeśli to odpowiedni termin — a następnie ich zmienić. Markowiańscy inżynierowie, filozofowie i artyści zebrali się razem i każdy z nich zaprojektował heks. Później przemienili swych ziomków w rasy odpowiadające warunkom panującym w każdej biosferze. W ten sposób markowiańscy ochotnicy porzucili swe postacie, a co więcej, porzucili nieśmiertelność. Byli przekonani o słuszności tego, co robią — że powinni raz jeszcze stać się śmiertelni i prymitywni. Żyli, umierali i wzrastali. Kiedy okazywało się, że dana rasa zdała egzamin, wówczas inżynierowie udawali się do Studni Dusz i dokonywali drobnych zmian na nowo powstających planetach. Dostosowywali je do warunków panujących w danym heksie. W odpowiednim momencie ewolucji cywilizacja zostawała usuwana z heksu, i zasiedlała określoną planetę duszami — to chyba niezła przenośnia. Następnie stary heks zostawał oczyszczany bardzo dokładnie i przekazywany następnemu projektantowi.

— Ciekawe — stwierdził Marquoz. — Ale jeśli masz rzeczywiście rację, to kim są ci wszyscy ludzie żyjący teraz na Świecie Studni? Czy to miejsce nie powinno być nagie i puste jak kula bilardowa?

— Cóż, zawsze znajdą się tacy, którzy nie chcą iść razem z całą grupą — wyjaśnił Brazil. — Lecz ponieważ ich rodzime hekсы przeznaczone były do kasa-cji, nie mieli wielkiego wyboru. Obecnie na Świecie Studni znajduje się ostatnia partia 1560 ras, których rozwój uwieczniony został tak sukcesem, jak i fiaskiem. Same resztki.

— Zauważyłam, będąc na Świecie Studni, że wiele ras Południowej Półkuli jest mi jakby znajomych — wtrąciła Mavra. — Niektóre, nie wszystkie naturalnie. Widziałam olbrzymie, podobne do bobrów stworzenia, jakby żywcem wyjęte z ludzkich mitów — tak przynajmniej utrzymywał mój stary przyjaciel Renard. Twierdził, iż w starych legendach występowały również centaury, skrzydlate konie, a nawet Agitary — podobne do kozła diabelskie stwory. Nigdy tego tak do końca nie rozumiałam.

Brazil wzruszył ramionami.

— Stopniowo, tworząc kolejne rasy, inżynierowie docierali do dna worka z pomysłami. W wyniku tego ci o ograniczonej wyobraźni, naciskani by stworzyć nowy gatunek, kradli koncepty na rośliny i zwierzęta z sąsiednich heksów. Tak więc wiele sześciokątów jest bardzo podobnych pod tym względem. Studnia zmieniała

jedynie odrobinę faunę i florę każdego heksu, tak aby nie mogły się one rozwijać gdzie indziej. Zmiany te objęły również praktycznie wszystkie mikroorganizmy, nie ma więc wielkich epidemii. Co do mitów, no cóż, mówiłem już, że teraz żyją tam praktycznie same resztki. Niektórzy, szczególnie ci myślący, nie chcieli zostawać i patrzeć, jak inne gatunki lecą zasiedlać planety. Załapywali się do tych transportów czasami legalnie, czasami drogą oszustwa. Na naszej Ziemi znalazła się mała kolonia centaurów oraz wielu przedstawicieli innych ras, z których jedni mieli zamiar żyć w pokoju, a inni — wojować. Tych drugich eliminowali sami Markowianie, zaś pierwszych, na przykład centaury, wymordowali ludzie ze względu na ich odmienność. — Urwał i nagle jakby oddalił się od tego miejsca, błędząc gdzieś daleko. — Spartanie w starożytnej Grecji polowali na nie jak na zwierzęta. Wypchali nawet parę sztuk dla muzeum. Nie byłem w stanie ich powstrzymać, lecz spaliłem przynajmniej to cholerne muzeum. — Znow skupił swą uwagę na zebranych. — Byli także i inni, wielu innych — ciągnął — ale wszystkich wytepiono. Podejrzewam, że właśnie ze względu na tę sprawę z cenaturami, Rhone nie darzą ludzi zbyt dużym zaufaniem. Kto wie? Może ginąca cywilizacja Rhone dotarła wcześniej do gwiazd i odkryła prawdę. Trudno powiedzieć.

— Studnia przecież cię rozpozna — zauważył Marquoz. — Dlaczego po prostu nie przeniesiesz się tam bezpośrednio? Po co iść aż tak długą drogą?

Brazil zamilkł na chwilę, zamyślony.

— Głównie dlatego, że nie mogę się z nią skontaktować, dopóki nie znajdę się w jej wnętrzu. Studnia stwierdzi, że jestem technikiem i wyśle mnie tam, gdzie powinienem się znaleźć — do ludzkiego heksu. Muszę zacząć stamtąd. Co gorsza, ci, którzy dzierżą władzę w Świecie Studni i dysponują odpowiednimi dokumentami, również o tym wiedzą. Będą starali się powstrzymać mnie, nim dotrę do Studni, a znają heks, od którego muszę rozpocząć wędrówkę. To stawia mnie w dość niekorzystnej sytuacji.

— Dlaczego miałiby cię powstrzymać? — spytała Jua. — Obie powiedział, że to, co masz zrobić, nie obejmie Świata Studni.

— Zgadza się — przyznał Brazil. — Jest on zarządzany przez zupełnie osobny i niezależny komputer. Ale, wiecie, moje poczynania zniszczą cywilizowany Wszechświat. Och, sądzę, że dwie albo trzy rasy przetrwają. Mam na myśli te, które ewoluowały w naturalny sposób, bez ingerencji Studni. Ale reszta zniknie. Wszechświat stanie się naprawdę pustym miejscem. A więc wyciągam wtyczkę. Naprawiam tę całą maszynę — czy raczej pozwalam jej się samej naprawić — i pomagam, gdzie mogę. — Obejrzał się, by spojrzeć im prosto w oczy. — No, a kogo użyję, aby na nowo zasiedlić wszechświat?

Zapadła cisza. Wszyscy po kolei zrozumieli, co miał na myśli. Tylko Jua wciąż wydawała się niepewna i zakłopotana.

— Będziesz potrzebował Świata Studni, by rozpocząć na nowo zasiedlanie — niemal wyszeptła Mavra.

Pokiwał głową.

— Oni także o tym wiedzą. Nawet lepiej od nas. Dla nich będzie to wybór między własnym przeżyciem a przeżyciem innych. Są jednak normalnymi istotami. Będą woleli przeżyć sami i pozwolić zginąć reszcie wszechświata. Lecz nawet jeśli uda nam się to wszystko ominąć — bo taka możliwość istnieje, choć niezbyt pewna — to jest jedna sprawa, która może wszystko pogrzebać. Wiedzą, że kiedy znajdę się wewnątrz Studni, będę mógł dokonać wszelkich zmian nie tylko we Wszechświecie, lecz także w samym Świecie Studni. Będą się denerwować. Mimo że ostatnio nic tam nie zmieniałem, nie mogą mieć pewności, że i tym razem nie będę próbować. Nie rozumieją ani mnie samego, ani tej maszyny, a czego człowiek nie rozumie, tego się lęka. Zamieńmy się rolami. Ktoś z was jest praktycznym, logicznie myślącym przywódcą. Czy podjęlibyście ryzyko wypuszczenia mnie do Studni, mając jako alternatywę spokojne życie bez żadnych zmian? Sądzę, że nie.

— Przecież jesteś nieśmiertelny — zauważyła Mavra. — Powinni o tym wiedzieć. Nie są w stanie powstrzymać cię w nieskończoność.

— Wcale nie muszą, lecz będą na to przygotowani — odparł Brazil. — Nie zapominaj o tym, co zrobili z tobą. Ze mną mogą postąpić podobnie. Zamienią w zwierzę albo jakąś jarzynę. Będą trzymać uśpionego w celi bez wyjścia. W końcu bym się i tak wydostał, lecz pochłonęłoby to całe lata — setki, może tysiące. Wówczas byłoby już za późno. Ostatnio, kiedy nie wiedzieli nawet, kim jestem, a jedynie, że chcę dostać się do Studni, powstał spory zamęt. Tym razem rozpęta się prawdziwe piekło.

— Uważasz, że nie będziemy mieli tam sprzymierzeńców? — spytała Jua zdziwiona. — Wszyscy wystąpią przeciw nam?

Potrząsnął głową.

— Niektórzy przyjdą nam z pomocą, bo zrozumieją sytuację i zaufają. Inni opowiedzą się zdecydowanie przeciwko. Reszta będzie trzymać się na uboczu i przyłączy do naszych wrogów, gdyby zaczęło nam się powodzić. Szary obywatel będzie bał się najbardziej. Bieg do Alei będzie z pewnością o wiele dłuższy, niż myślałem — odpada droga na wprost. Potrzeba mi wiele sił.

Nawet Jua zrozumiała, co miał na myśli.

— Zgromadzenie.

Brazil skinął głową.

— Trafiłaś w sedno. Skoro będziemy potrzebować sprzymierzeńców i wojowników na całej naszej drodze, musimy się upewnić, że zawsze będą pod ręką. Olimpianki rozpoczną krucjatę — krucjatę z waszą pomocą i pod waszym przewodnictwem. Lecz porzucamy element zaskoczenia. Już niedługo Studnia ujrzy prawdziwe hordy przybyszów i dla Ortegi wszystko stanie się jasne. Założę się, że będą na mnie czekać. Najlepsze, co możemy zrobić, to trzymać ich w niepewności. Studnia rozdziela nowo przybyłych — tak zwanych Przybyszów —

równomiernie na półkuli, na którą przybyli. My wszyscy znajdziemy się gdzieś na południu, gdyż jesteśmy formami opartymi na węglu. Oznacza to 780 heksów zamieszkałych przez inteligentne formy życia — rośliny, różne gatunki zwierząt, stworzenia wodne, owady. Mogą być to także organizmy nie zaliczające się do żadnej z wymienionych grup albo też łączące w sobie cechy wszystkich. Istnieje wiele kombinacji ze względu na rozmiary osobników i możliwości heksu. Powinniśmy jednak założyć, że w każdym heksie żyje milion istot. Daje nam to 780 milionów osobników na południu. — Rzucił szybkie spojrzenie na Juę. — Iloma Olimpiankami dysponujemy obecnie?

— Ponad miliardem — wyszeptła.

Pokiwał głową.

— A jeśli dodamy wyznawców? Tych, którym możemy zaufać? Odrzucamy od razu wszystkich niepewnych — muszą naprawdę wierzyć w swoją misję, gdyż Studnia usunie wszelkie sztuczne uwarunkowania.

Wzruszyła ramionami.

— Milion, może więcej.

— Dobrze, a teraz dodajmy tych, którzy sami się do nas przyłączą i których ja zwerbuję. Myślę, że jesteśmy w stanie umieścić półtora miliarda ludzi na Świecie Studni. To zbyt wiele, by mogli tam żyć i nie zginąć z głodu przez dłuższy czas. Lecz sądzę, że na krótką metę nie powinno być problemów. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, będziemy przewyższać tubylców liczebnie prawie dwukrotnie. Ci, co przeżyją, dostarczą dusz do ponownego zasiedlenia. Będą uczestniczyć w wielkiej sprawie — sami stworzą sobie Raj.

Cygan, który dotąd milczał, rzekł cicho:

— Tubylcy nie są głupi, tak mi się przynajmniej zdaje.

Brazil uniósł brwi.

— He?

— Cóż, przypuśćmy, że jesteś na Świecie Studni potentatem, wiesz o wszystkim, co ma się wydarzyć, i nagle okazuje się, że zalewa cię powódź fanatyczek religijnych. Nie wiem co ty byś zrobił, lecz jeśli ci tam są tak pozbawieni skrupułów i przerażeni, jak utrzymujesz, ustawią w Strefie sporą armię i będą sukcesywnie zabijać napływające grupy przybyszów.

Brazil oparł się wygodnie, zapalił papierosa i przemyślał to, co usłyszał.

— Czuje, że z wiekiem coraz bardziej mięknie. Takie rozwiązanie nawet nie przyszło mi do głowy. Masz oczywiście rację. Lecz niewiele możemy na to poradzić. Jedyne, co nam sprzyja, to fakt, że oni ufają bardziej nam niż sobie nawzajem. Trochę czasu upłynie, nim połąpią się w sytuacji, jeszcze więcej — zanim się zbiorą i zdecydują na jakieś kroki zaradcze. Muszą dysponować większością głosów podczas narady, aby złamać starą zasadę i wpuścić do Strefy oddziały wojskowe. To też wymagać będzie czasu. Prawdopodobnie nim zdecydują się ostatecznie, zaleje ich istna powódź Przybyszów. Wtedy może być już za póź-

no, by nas powstrzymać. Ale bierzmy pod uwagę fakty. Ci najbardziej zapalczywi rozpoczną pogromy, będą zabijać Przybyszów, gdy tylko pojawią się na ich terytoriach. — Westchnął. — Nikt nie mówił, że będzie łatwo. Możemy przegrać. Pozostają dwa wyjścia: wszystko odwołać albo zaryzykować. Wy jesteście mózgiem tej operacji. W waszych rękach spoczywa odpowiedzialność. Co radzicie? Jua?

— Idziemy na to — odparła bez wahania.

— Cygan?

— Wolę zginąć w walce, niż zostać unicestwionym przez jakieś idiotyczne pęknięcie w przestrzeni.

— Marquoz?

— To zaczyna wyglądać interesująco, prawdziwe wyzwanie — odparł mały smok. — Nie chciałbym, aby świat stracił coś takiego.

— Mavra?

Westchnęła.

— Miejmy to już za sobą. Przynajmniej nie będę musiała dokonać żywota jako rhonyjka.

— W takim razie postanowione. Wasza czwórka pójdzie przodem. Obie dowiedział, że ma pewien wpływ na wybór dokonywany przez Studnię. Mam zatem nadzieję, iż wszyscy znajdziecie się w heksach, które nie przeszkodzą w wykonaniu zadania. Nie wiem jednak, czy Obiemu powiedzie się w stu procentach. Od was oczekuję, że zbierzecie armie Przybyszów i będziecie gotowi na moje wezwanie. Zostawię wam trochę czasu, byście zaadaptowali się do nowych form i środowisk. Potem zacznę przysyłać Olimpianki. Głosy sprzeciwu rozlegną się natychmiast z wielką siłą. Wszędzie nastąpi istny zalew Przybyszów. To będzie znak. Poczekajcie jednak na odpowiednią chwilę. Nie ruszajcie zbyt wcześnie. Miejscowi mogą wsiąść wam na kark, nim będziecie dysponować odpowiednimi siłami, by im powiedzieć, dokąd mają sobie pójść. Dopiero pewni swego powstańcie, ukażcie się i połączcie z Przybyszami. Później oni sami zajmą się resztą. Starajcie się jak najszybciej połączyć siły. Ruszajcie do Ambrezy, gdzie — jak powszechnie wiadomo — mam się pojawić.

— Ależ Ambreza to heks wielkich bobrów — zaproponowała Mavra. — Doskonale to pamiętam.

— Zapominasz jednak, że one stoczyły wojnę z ludźmi. Ludzie ową wojnę przegrali i nastąpiła zamiana heksów — odparł Brazil. — Więc jako człowiek pojawię się w obecnej Ambrezie.

— Przyznam, że nieco mnie to dziwi — zauważył Cygan. — Wygląda na to, iż gdy ruszymy, wszyscy od razu dostrzegą, kiedy i gdzie się pojawisz.

Brazil wyszczerzył zęby.

— Na to wygląda, prawda? Ale, widzicie, nie będziecie mieli nawet zielonego pojęcia, kiedy i gdzie się pojawię. W razie potrzeby sam się z wami skontaktuję.

Mogę przybyć na początku całej operacji, w środku albo pod koniec. Wasz przemarsz, walka i cała reszta będą tylko zasłoną dymną, zewnętrzną winietką. W tym czasie ja będę się przekradał w kierunku Alei.

— Innymi słowy, możemy nawet nie wiedzieć, że ci się udało. Przynajmniej dopóki Przybysze nie złączą z naszymi hufców? — spytała Mavra.

Zachichotał.

— Wiadomo będzie dużo wcześniej. Chciałbym, żeby wszystko potoczyło się tak gładko, lecz nie mam złudzeń. Nim cała historia dobiegnie końca, będę jeszcze potrzebował wsparcia ogniowego. Potem wyjaśnię, że nie tak łatwo od nowa zasiedlić wszechświat dysponując tak znikomą liczbą ras. Przedstawię tym z Północy następującą alternatywę: oddadzą na moje potrzeby połowę populacji albo zostaną pominięci. To powinno wystarczyć. Ale wy będziecie wiedzieli.

Obejrzał się i spojrzał prosto na Mavrę Czang.

— Szczególnie ty. Jeśli nie zginiesz, jeśli przeżyjesz, znajdziesz się wraz ze mną w Studni. Ty dasz mi rozkaz, abym wyłączył zasilanie. Jeśli ciebie zabraknie wśród nas, wezwę kogoś innego z waszej czwórki. I lepiej, aby choć jedno z was przeżyło, gdyż nie wyłączę Studni bez rozkazu. Odpowiedzialność nie spadnie na mnie. — Spojrzał na nich uważnie. — Wszystko jasne? Zatem zaczynamy. Czeka nas mnóstwo pracy. Musimy zapoznać z sytuacją całą rasę, a to pochłonie wiele czasu i wysiłku. Do dzieła!

Serachnus

Prom lądował cicho, bez powitalnej pompy. Nikt go nie oczekiwał — ani defilujący żołnierze, ani włóczędzy szukający szczęścia. Kompletnie nikt. Był to martwy świat nagich skał, zrytych jedynie niezliczonymi kraterami po meteorach.

Był to również świat cieni. Teraz, gdy Brazil rozpoczął hamowanie, mogli dokładnie przyjrzeć się krajobrazowi przesuwanemu się na ekranach. Widzieli obszary, przez które przed eonami ciągnęły się wysokie łańcuchy górskie, biegły nitki autostrad. Czasami mijali wymarłe miasta z sześciokątnymi placami pośrodku i dziwacznymi, poskręcanyymi budynkami oraz wieżami. Wszystko puste, wymarłe od z górą dziesięciu miliardów lat.

— Kiedyś rośla tu bujna zieleń — zauważył Brazil niemal z nostalgią w głosie. — Powietrze było wspaniałe, klimat ciepły i przyjazny, a w tych miastach żyło kilkanaście milionów ludzi.

— Chciałeś powiedzieć Markowian — poprawiła go Mavra — a nie ludzi.

Pokręcił gwałtownie głową.

— Właśnie ludzi. Owszem, wyglądali jak wielkie, skórzaste serca z sześcioma mackami zaopatrzonymi w przyssawki oraz podobne sprawy, lecz byli zawsze ludźmi. Podejrzewam, iż wewnątrz nie różnili się od nas wiele, wzięwszy pod uwagę jak podobną drogę rozwoju obrały wszystkie stworzone przez nich cywilizacje. Pamiętajcie, że jesteśmy ich dziećmi. Tam w dole żyli, śmiali się, bawili, pracowali i myśleli tak samo jak ludzie przez całe wieki. Tam w dole martwili się, w końcu zdecydowali i odeszli. Odeszli do Świata Studni, poświęcili swoje istnienie, by ofiarować życie nam.

— Sprawiasz wrażenie całkowicie pewnego, że możemy dostać się tam w ten sam sposób co oni — zauważył Marquoz. — Czyżby istniał jakiś system transportu?

Brazil pokiwał głową.

— Brama. Otworzy się, kiedy tego zapragniesz i zabierze cię, jeśli naprawdę chcesz się tam dostać. Markowianie zbudowali nader doskonałe maszyny. Komputer, który niegdyś utrzymywał ich cywilizację w materialnej utopii, nadal istnieje,

nadal czeka na instrukcje. Jeśli ktoś rozkaże Bramie, by się rozwarła — ona spełni jego żądanie i wyśle go do Świata Studni.

— Po prostu nie do wiary — stwierdził Czugacz. — Mając pod bokiem te wszystkie komputery, nikt z nich nie korzystał. Wydano tyle pieniędzy, zmarnowano mnóstwo czasu, a nie odkryto nawet tej, jak to nazwałeś, Bramy.

— Niektórzy trafiali na Bramę — wyjaśnił Brazil. — Ludzie, którzy naprawdę tego chcieli. Ona ich pochłaniała i przenosiła do Świata Studni. Zresztą takich bram jest więcej, na przykład na asteroidach, gdzie niegdyś istniały światy Markowian. Czyhają na znudzonych, marzycieli, niedoszłych samobójców — na istoty, które mają dość życia i pragną zacząć wszystko od nowa. Komputery rozpoznają w nich te same uczucia, które dręczyły Markowian. W ten sposób ludzie pokroju Ortegi dostali się do Świata Studni. W ten sposób dziadkowie Mavry wrócili tam dwukrotnie.

— Sądzisz, że mogą jeszcze żyć? — spytała centaurzyca. Potrząsnął głową.

— Mocno w to wątpię. Za dużo czasu już minęło. Są gatunki na Świecie Studni, które żyją naprawdę długo, ale nie aż tak.

— A Ortega? — zagadnęła.

— To osobny przypadek — odparł wymijająco. — Twoje imię powinno być tam raczej znane ze względu na sławę, jaką zdobyłaś w czasie wojen. Jeśli żyją jeszcze jacyś twoi krewni, na pewno ich spotkasz. Sami cię odnajdą.

Brazil wylądował na nagiej równinie.

— Dalej idziecie na piechotę — wyjaśnił. — Nie mogę tak po prostu wlecieć promem do Bramy. Połknęłaby mnie razem z wami, a na razie na to jeszcze za wcześnie. Czuję jak tęskni za mną. Zakładajcie migiem kombinezony i jazda na zewnątrz.

Ubrali się szybko, w milczeniu. Napięcie było niemal dotykalne. Wreszcie stanęli gotowi, zaopatrzeni w niezależne źródła zasilania i zapas powietrza. Brazil odizolował kabinę pilota od reszty statku.

Pochylił się i uruchomił interkom.

— Mavro, postępuj z Ortegą wedle własnego uznania. A co do reszty — w ogóle się nie znacie.

— Spokojna głowa — mruknął Marquoz. — I nie powtarzaj znów starej śpiewki. Jeśli nie zawierzasz nam w tak podstawowych kwestiach, to po co nas w ogóle tam wysyłasz?

Uśmiechnął się, bo wiedział, co teraz czują. Żegnają się z przeszłością, ze swymi światami, całym wszechświatem. Najgorzej mieli ci, którzy nigdy dotąd nie byli na Świecie Studni. Lecz Mavra także przeżywała ciężkie chwile. Rozumiała ją. Najbardziej w swym życiu kochała wolność, a wolność dla niej to szybki statek mknący między gwiazdami. Nie po raz pierwszy zaniepokoił się o Obiego. Czy rzeczywiście jest w stanie wpłynąć na postać, jaką przybiorą po przejściu przez Studnię? Czy uczynił wszystko co możliwe w tej sprawie? Jeśli wszyscy

ockną się jako istoty pozbawione zdolności ruchu, zostaną częścią kolektywnego umysłu lub stworzeniami skrzelodysznymi, wówczas — w razie potrzeby — będą naprawdę niewielką pomocą. Spojrzał na ekran.

— Tam. Otworzyła się właśnie. Widzicie ją? Trochę na lewo od was.

Byli już na zewnątrz. Cztery białe figurki na tle szarych skał. Szli pojedynczo, na czele kroczyła Mavra.

Stanęli i rozejrzeli się uważnie dookoła. Była tam — na równinie — olbrzymia dziura wypełniona czernią. Gdyby mogli wznieść się do góry, ujrzeliby, iż ma kształt sześciokąta.

— Po prostu wejdźcie do niej — wyjaśnił. — I... życzę powodzenia. Mam nadzieję, że spotkamy się wszyscy razem o północy przy Studni Dusz.

Nikt nie odpowiedział. Brazyl usiadł w fotelu, westchnął, wyłączył nadajnik, choć odbiornik pozostawił wciąż włączony, i... wystartował. Atmosfera była tak rozrzedzona, że w ogóle nie usłyszeli, jak powoli wznosił się coraz wyżej. Teraz, gdy dzielił ich jedynie krok, nie chciał ryzykować, że w ostatniej chwili zmianą decyzję. Sami, z jednodniowym zapasem powietrza i bez jedzenia, nie mieli wielkiego wyboru. Mogli jedynie wejść w ziejącą dziurę.

Stali na krawędzi. Wiedział, że tam stoją, choć był już za wysoko, by widzieć ich wyraźnie. Powiedziały mu o tym ich oddechy i długie milczenie.

— No więc? Kto idzie pierwszy? — usłyszał głos Mavry, wyraźnie zabarwiony nutą zdenerwowania. Do tego momentu plan był jedynie teorią. Teraz każdy czyn stawał się już nieodwracalny i niósł ze sobą możliwość fatalnego końca.

— Ja — odparł Cygan. Brazyl usłyszał jakies szuranie, a potem znów rozległ się głos tego tajemniczego mężczyzny. — Nie jest źle. To wcale nie jest dziura. Twarde jak skała. Sądzę...

Cygan urwał nagle. Brazyl wiedział, że po prostu zniknął. Czuł, po nieznacznym obniżeniu napięcia statycznego w atmosferze, że mężczyzny nie ma nigdzie w pobliżu.

— Przemierzyliśmy razem ponad pięćdziesiąt światów — rzekł smutno Marquoz. — Teraz koniec.

— Jua? Pójdziemy razem? — spytała Mavra.

Olimpianka przełknęła z trudem ślinę.

— Tak, tak będzie lepiej — odparła. — Ja... To tylko trochę szczypie, prawda?

— Nie bardziej niż u Obiego — zapewniła Mavra.

— Ta dziura... jest taka mroczna...

I wszyscy razem zniknęli.

Brazil westchnął, zapalił papierosa i wystukał na klawiaturze odpowiednie koordynaty, by wrócić na statek matkę, a następnie na *Nautiliusa*. Stało się, pomyślał. Cholera! Szkoda, że nie wiem, co się teraz dzieje po drugiej stronie!

Południowa Strefa

— Mavro, pomóż mi wstać, dobrze? Czuję się nieco skołowana — wyszeptała Jua.

Mavra uklękła i wsparła Olimpiankę ramieniem.

— To była zdecydowanie nieprzyjemna podróż — stwierdził Marquoz. On też stał jakoś niepewnie.

Mavra rozejrzała się dookoła, zaskoczona.

— A gdzie Cygan?

Marquoz i Jua zdali sobie dopiero teraz sprawę, że zostali jedynie w trójkę i zaczęli gorączkowo badać wzrokiem otoczenie. Pomieszczenie było olbrzymie. Stali na płaskiej, gładkiej, szklistej, czarnej powierzchni nieznanego pochodzenia. Miała ona kształt sześcioboku. Na temat całego pomieszczenia trudno było powiedzieć cokolwiek pewnego, z uwagi na jego rozmiary. Światło biło z olbrzymiej sześciokątnej płyty zamontowanej pod sufitem. Za balustradą otaczającą całe pomieszczenie widać było coś przypominającego chodnik. Dostrzegli również schody wiodące do przerw w balustradzie.

— Może pójdziemy, zamiast tak tu stać — zaproponowała Mavra ruszając w stronę najbliższych schodów, które sprawiały wrażenie wykutych w kamieniu. Chodnik okazał się transporterem taśmowym — na razie nieczynnym.

— Byłaś tu już przedtem. Jak można uruchomić ten chodnik? — spytał Marquoz, kierując swe pytanie do Mavry.

Zaśmiała się.

— Nigdy w życiu tu nie byłam. To jest miejsce, gdzie przybywają wszyscy z zewnątrz. Ja rozbiłam się bezpośrednio na planecie. Tylko raz znalazłam się w Strefie jako więzień w pewnej ambasadzie. Myślę, że orientuję się w sytuacji równie mało co wy. Nie zapominajcie, że choć byłam już na tej planecie, nigdy nie przeszłam przez Studnię. Ta perspektywa niepokoi mnie tak samo jak i was.

Nagle usłyszeli warkot dochodzący z oddali i poczuli wibracje wstrząsające balustradą.

— Wygląda na to, że mamy komitet powitalny — zauważyła Mavra Marquoz obejrzał się do tyłu.

— Ale gdzie podział się Cygan? Wiadomo przecież, że nie stchórzył. Szedł pierwszy.

Mavra westchnęła.

— Nie mam pojęcia. Od samego początku czułam, że jest jakiś dziwny. Ale był w końcu twoim przyjacielem. Jednak, mimo wszystko, nie potrafię sobie wyobrazić dlaczego nie miałyby być teraz z nami. Bez względu na to kim i czym jest.

Marquoz wzruszył ramionami.

— Znałem go od lat, choć nigdy do końca nie poznałem. Może to, co nam pokazywał, stanowiło jedynie swego rodzaju przebranie. Może w rzeczywistości był istotą nie opartą na węglu, która zwiódła nas wszystkich i teraz siedzi w Północnej Strefie. Kto wie? Sądzę, że jedynie Obie. Radzę, by na razie o nim zapomnieć. W tej historii może być więcej niewiadomych, niż nam się zdaje.

Mavra skinęła głową.

— Zgadzam się... choć wcale mi się to nie podoba. Jakoś nie przepadam za zagadkami.

Nagle Marquoz zamachał ręką.

Zbliżał się do nich wielki stwór. Miał ciemnobrązowy tors człowieka pokryty łuskami. Sześcioro ramion, zakończonych normalnymi dłońmi sterczało z boków, z czego dwie pary osadzone były w obrotowych gniazdach. Ramiona wyglądały na twarde i muskularne. Głowę miał jajowatą, pozbawioną uszu. Głęboko osadzone, ciemne ludzkie oczy łypały z dwóch stron płaskiego nosa, pod którym rosły krzaczaste, siwe wąsiska. Znacznie niżej tors przechodził w długi, poskręcany, węzowy ogon.

Stwór zbliżał się zupełnie bez obawy, co było całkiem naturalne uwzględnivszy, że najwyraźniej sprawował tu władzę. Uderzył mocno w ścianę, gdy znalazł się dosłownie parę metrów od nich, i chodnik stanął. Stwór nastroszył bujne, siwe brwi.

— Coś podobnego do człowieka, Dillianka i Ghlmonez? Co to ma znaczyć? — wydawał się szczerze zdumiony. — Rozumiecie, co do was mówię?

Mavra skinęła głową.

— Och... tak, doskonale — odparła jedynie w części maskując zdenerwowanie. Nigdy przedtem nie widziała takiego stworzenia. — Jesteśmy z Konfederacji.

Na jego twarzy pojawił się wyraz osłupienia.

— Z Konfederacji? I nikt z was nie jest prawdziwym człowiekiem! Zadziwiająca! Jakże musiał zmienić się świat, od kiedy byłem tam ostatnim razem!

Jua aż sapnęła.

— Byłeś kiedyś w Konfederacji?

Uśmiechnął się w niezwykle ludzki sposób poruszając krzaczastymi wąsami.

— Och, jasne. Byłem niegdyś człowiekiem jak ty. No cóż, nie miałem co prawda ogona i byłem mężczyzną, zaś kobiety w owych czasach nie wyglądały tak atrakcyjnie jak ty. Ale chyba rozumiesz, co mam na myśli.

Mówił głębokim i mocnym głosem, lecz wypranym zupełnie z akcentu. Jedyne Mavra zorientowała się natychmiast, że korzysta z tłumacza — niewielkiego urządzenia wszczepianego chirurgicznie, którego produkcją zajmowała się któraś z Północnych ras. Niedługo wszyscy będą potrzebować takich urządzeń. Kiedyś nawet miała jedno na własność.

— Konfederacja składa się obecnie z wielu ras — wyjaśniła. — Wszystkie żyją w pokoju. To znaczy, nie prowadzą wojen między sobą. Jako całość walczymy właśnie z nie znającą kompromisów, niehumanoidalną rasą najeźdźców.

Stwór w dalszym ciągu miał spore wątpliwości.

— Międzyrasowa współpraca w obrębie Konfederacji! Kto by pomyślał! To znaczy, że ci braciszkanie mieli rację, mówiąc o doskonaleniu ludzkiej rasy?

Pytanie to skierował bardziej do siebie niż do kogokolwiek z nich, lecz Marquoz i tak odpowiedział.

— Jeśli masz na myśli ich teorie socjologiczne, to nie — wyjaśnił. — W zasadzie padają jedna po drugiej. Spędziwszy ostatnie kilkanaście lat na obszarze Konfederacji zamieszkałym przez ludzi, mogę z całym przekonaniem stwierdzić, iż ledwie mnie tam tolerowano.

Sześcioreki stwór wzruszył wszystkimi ramionami naraz.

— A więc? W moich czasach wciąż wybuchały wojny, szalała nietolerancja, śmierć i zniszczenie. — Tu nagle spowaźniał. — Ale mówiliście coś o wojnie. To właśnie powód, dla którego tu przybyliście?

Mavra wtrąciła szybko:

— Nie mam pojęcia, skąd się tu wzięliśmy. Nie jestem nawet pewna, gdzie jesteśmy. Ale nie, z pewnością nie z powodu wojny. Już ją wygraliśmy. Wygraliśmy, lecz przy okazji wydarliśmy dziurę w czasoprzestrzeni. Dziurę, która pożera Konfederację. Można by rzec, iż jesteśmy uciekinierami, lecz jak tu się znaleźliśmy — nie mam zielonego pojęcia. Wylądowaliśmy na nie zamieszkałej planecie, by przedyskutować dalszą trasę podróży i nagle zgasły wszystkie światła. Obudziliśmy się tutaj.

Stwór pokiwał głową. Historia brzmiała przekonująco. Jeśli ktoś chciałby cokolwiek ukryć, właśnie takiej opowieści należało się po nim spodziewać.

Stwór odsunął się, robiąc im miejsce na taśmociągu.

— A swoją drogą, moglibyście już zdjąć te kombinezony. Studnia, zanim was tu przeniosła, dostosowała odpowiednio tutejsze warunki, byście czuli się zupełnie swobodnie. Ale jeśli chcecie, możecie pozostać w skafandrach, aż dojedziemy do mojego biura.

Uderzył w ścianę lewym dolnym ramieniem i wykręcił tułów do tyłu, nie obracając przy tym dolnej części korpusu. Taśmociąg ruszył z turkotem.

— Jak się nazywacie? — zawołał stwór, przekrzykując hałas.

— Ja jestem Tourifreet, rhonyjka — wyjaśniła Mavra. — Ta kobieta to Jua, Olimpianka, a Czugacz nazywa się Marquoz.

— Miło mi was poznać — odparł uprzejmie stwór. — Dużo czasu upłynęło, od kiedy gościł tu któryś z moich ziomków. Cały czas ktoś wpada w te dziury — mniej więcej setka rocznie. Ale w ciągu ostatniego stulecia albo dwóch nie było w ogóle ludzi. Czekaście, zapomniałem się przedstawić. Jestem Serge Ortega.

Mavra aż podskoczyła, a w jej oczach zapłonął dziwny blask. Ortega, odwrócony plecami, nic nie spostrzegł.

— Spokojnie, dziewczyno — szepnęła Marquoz.

Ortega! Wreszcie! Po tylu latach! Po tylu... Ortega — ciągle żywy, ciągle u władzy. Człowiek, który więził ją przez tyle czasu, bezwzględny, okrutny.

Człowiek, wobec którego wciąż czuła zapiekłą nienawiść.

A teraz stał obok, wiódł ich w głąb Strefy, odwrócony plecami. Jakże łatwo można byłoby wbić nóż w te szerokie, skórzaste plecy — gdyby oczywiście miała nóż. Zabić kogoś, kto przez tysiąclecia traktował ludzi jak zabawki.

Opuścili wielką komnatę i ruszyli w głąb owalnego tunelu. Wykonany był z twardego, ziarnistego kamienia, pomalowanego na żółto.

Mijali liczne pomieszczenia, a tunel cały czas wił się i zakręcał. Po niedługim czasie zorientowali się, że nie jest to pojedynczy korytarz, lecz cały labirynt. Ortega wyjaśnił, że każde pomieszczenie zawiera minibiosferę dla jednej z 1560 ras zamieszkujących Świat Studni. Te akurat, w tym sektorze, to ambasady 780 Południowych heksów.

Kiedy dotarli wreszcie do jego biura, Ortega zamówił jedzenie i coś do picia, a oni mieli chwilę, by trochę odsapnąć. W tym czasie wyjaśnił im wszystko, co już i tak wiedzieli. Opowiedział o Świecie Studni, o jego budowniczych, o heksach, strefach i bramach. Słuchali z udawanym przejęciem, jakby były to dla nich zupełne nowości, i zadawali odpowiednie pytania. Prawdziwe zainteresowanie wzbudziła jedynie wisząca na ścianie polityczna mapa Świata Studni. Brazil sporządził coś podobnego z pamięci, lecz ta była znacznie precyzyjniejsza. Mogli dokładnie przyjrzeć się rozmieszczeniu heksów i zrozumieć ogrom stojącego przed nimi zadania. Po raz pierwszy ujrzeli rozległe oceany i topografię krajobrazu. Mavra odnalazła rejony, w których niegdyś gościła. Dostrzegła również Glathriel, gdzie — jak znów niepotrzebnie wyjaśnił Ortega — żyją obecnie ludzie na poziomie wspólnot plemiennych.

Jednak dla niej ów heks był ważny z innego powodu. Sąsiedował bowiem bezpośrednio z Ambrezą — prawdziwą ojczyzną ludzkości. I tam właśnie musi pojawić się Nathan Brazil, kiedy wreszcie przybędzie. To był ich pierwszy cel.

Mavra dobrze znała tamte tereny. Glathriel stanowił jej więzienie przez wiele lat i wątpiła, by się tam wiele zmieniło. Powędrowała wzrokiem na północ, do Lata i Agitaru oraz innych egzotycznych nazw z czasów Wojen o Studnię. Do

Olbornu, gdzie zamieniono ją w półzwierzę oraz ku górzystemu Gedemondasowi, którego tajemniczy mieszkańcy zniszczyli rakietę, o którą toczyła się wojna. Oni również przepowiedzieli jej przyszłość. Ciekawe, co prorokują teraz, pomyślała.

Ortega schował mapę, zdając sobie najwidoczniej sprawę z tego, co ich naprawdę interesuje.

— Dość polityki — oznajmił. — Kiedy obudzicie się w swoich macierzystych heksach, będziecie mieli jeszcze mnóstwo okazji, by się dowiedzieć wszystkiego, co was interesuje.

Jua z trudem ukryła strach przebijający przez jej słowa, lecz nadało to jedynie prawdopodobieństwa jej pytaniu.

— Co... co masz na myśli mówiąc, „nasze macierzyste heksy”?

Ortega uśmiechnął się.

— Niedługo udacie się stąd w stronę kolejnej bramy. Nazywa się ona Bramą Studni. Usunie was z wszechświata, który znaliście od lat, i staniecie się częścią Studni. Już w jej wnętrzu zostaniecie poddani analizie, której kryteriów nigdy do końca nie zrozumieliśmy, i otrzymacie nową postać. Ockniecie się, jak ze snu, jako przedstawiciele jednej z 780 Południowych ras — dokładnie tak, jak ja dawno temu. Studnia sprawi, że będziecie się w tej nowej formie czuć swobodnie, zupełnie swojsko. Jednak wszystkie wspomnienia pozostaną — będziecie wciąż sobą i zachowacie pamięć o wszystkim, co się wydarzyło. Od tamtej chwili będziecie zdani tylko na siebie. Nie próbujcie walczyć ze swym przeznaczeniem. Czymkolwiek się obudzicie, tym pozostaniecie do końca swych dni.

To zdanie przywróciło ich do rzeczywistości. Spędzić resztę życia jako coś... innego. Coś obcego. Dla niektórych mogło to brzmieć nawet romantycznie. Lecz dla podróżników, którzy znaleźli się na Świecie Studni w konkretnej misji, a nie dla desperackiej żądy zmian, słowa owe miały wydźwięk dość złowieszczy.

Ortega nie miał zamiaru od razu ich puścić. Zaczął zamęczać pytaniami na temat Konfederacji. W tej kwestii byli z nim zupełnie szczerzy — opowiedzieli o Drilach, Spopielaczach Zindera i rozszerzającej się wyrwie w czasoprzestrzeni. Nie pisnęli jednak ani słowem o Obiem czy Nathanie Brazilu. Jednak sam Ortega w czasie rozmowy wymienił jego imię.

— Nie martwiłbym się tym — pocieszył ich. — Studnia wszystko naprawi. A jeśli nawet nie, to po Wszechświecie kręci się pewien Markowianin, który czuwa nad sytuacją i już by tu był, gdyby sprawy przybrały poważny obrót.

— A skąd wiesz, że go nie było? — spytał ciekawie Marquoz.

Ortega uśmiechnął się.

— Znam go dobrze. Jest człowiekiem — wygląda jak niski, chudy kurdupel i występuje pod nazwiskiem Nathana Brazila. Gdyby się tu pojawił, słyszałbym o tym. — Podrapał się po policzku górną prawą ręką i zerknął na nich uważnie. — Wiecie, to zabawne. Patrząc na te dwie i odnoszę wrażenie, że skądś je znam albo

przynajmniej powinienem. Zabawne, nieprawdaż? Oczywiście, to zupełnie niemożliwe.

Mavra zakaszła lekko.

— Tak, wykluczone.

Wzruszył ramionami.

— Sądzę, że jeśli chodzi o ciebie — wskazał na Juę — to przed wieloma laty musiały trafić tu jakieś inne Olimpianki. Tyle się już tu stworzeń przewinęło... — Wyraźnie zastanawiał się nad czymś, a potem spojrzął na Mavrę. — Zaś ty... to musiało być strasznie dawno. Niech mnie diabli, jeśli wiem dlaczego. Jesteś po prostu podobna do kogoś, kogo znałem kiedyś. Ech... nieważne. Za chwilę wejdziecie do Studni. Gotowi?

— Nie za bardzo — odparł Marquoz. — Ale czy mamy jakiś wybór?

Ortega roześmiał się.

— W porządku. Chodźcie za mną.

Drzwi otworzyły się i wyszli na zewnątrz. Ruszyli w ślad za nim, trzymając się maksymalnie blisko, lecz nie na tyle, by nadebrać mu na ogon.

W końcu weszli do zwyczajnego, prostokątnego pokoju, jeśli nie liczyć zaokrąglonych narożników. Był kompletnie pusty. Drzwi zasunęły się bezszelestnie.

Ściany, podłoga i sufit były wykonane z tego samego ziarnistego, żółtawego kamienia co korytarze. Jedyne przeciwległa ściana stanowiła kolejną taflę nieprzeniknionej czerni.

— Brama Studni — oznajmił. — Teraz nie macie już wyboru. Te drzwi za plecami otwierają się tylko od zewnątrz. Jedyne drogi prowadzi przez Bramę.

Było to kłamstwo, o czym Mavra doskonale wiedziała. Rozumiała jednak, że jest to bardzo przydatne.

Zdjęli skafandry w biurze Ortegi i teraz stali kompletnie nadzy. Marquoz ocalił jednak cygaretkę i razem z Mavrą postanowili wypalić ją do końca. Oboje zastanawiali się, czy dane im będzie jeszcze kiedyś posmakować tytoniu.

Mavra spojrzała na Ortegę. Nadal darzyła tego człowieka nienawiścią, lecz jako realna postać okazał się mniej potworny niż w jej wyobrażeniach. Obchodził się z nimi całkiem uprzejmie, był nawet chwilami czarujący i to w samej rzeczy budziło niepokój. Brazil nazwał go skończonym łotrem, choć równocześnie darzył sympatią. Stoczyli długie debaty, czy można mu zawierzyć, czy lepiej raczej zachować tajemnicę. A Ortega, po tylu latach, ciągle żył, ciągle był na czele, nigdy nie opuszczał Strefy. Nie postarzał się nawet o dzień dzięki magicznemu oddziaływaniu Studni i stosownej porcji łapówek. Mavra doskonale wiedziała, że niemal każdą ambasadę w Strefie ma na podsłuchu.

— Kto idzie pierwszy? — spytała i było to jakby powtórzenie tej samej sceny, która rozegrała się na martwym, Markowiańskim świecie. Wówczas Cygan zrobił śmiały krok do przodu i zniknął — jak się zdaje na zawsze.

Czymkolwiek się obudzicie, tym pozostaniecie do końca swych dni.

To zdanie przez cały czas nie dawało im spokoju.

— Och, do diabła z tym — mruknął Marquoz i zdepnął niedopałek. — W każdym razie, skończyły mi się cygara.

Podszedł do czarnej tafli i wszedł w nią bez wahania. Pochłonęła go całkowicie.

Jua odwróciła się i spojrzała na Mavrę ze strachem wyzierającym z oczu. Mavra nie po raz pierwszy zastanowiła się, dlaczego Obie wybrał akurat tę kobietę spośród tylu kandydatek. Jednak odpowiedź znał jedynie Obie, a on był daleko, daleko stąd.

— Spotkamy się jeszcze — szepnęła Olimpianka ściskając jej dłoń. Potem ruszyła w ślad za Marquozem i weszła odważnie w ziejącą czerń.

— A zatem zostałeś tylko ty — odezwał się Serge Ortega.

Uśmiechnęła się w duchu. Był tak pewien siebie, taki niewzruszony. Uczyniła krok ku ścianie ciemności, lecz zatrzymała się. Podjęła decyzję, w sprawie której Nathan Brazil pozostawił jej wolną rękę.

— Poczekaj chwilę, Ortega — powiedziała opanowanym głosem, obracając się w jego stronę. — Będę potrzebowała twojej pomocy.

Był wyraźnie zaskoczony.

— Hę?

— Tamci dwoje nie znaczą dla ciebie i dla innych nic. Są jak dekoracje. Ja to co innego. Rozmyślałam nad tą chwilą od momentu, gdy stanęłam przed wejściową bramą i w zasadzie zdecydowałam się milczeć. Lecz teraz uważam, że jednak warto podjąć ryzyko.

Zwinął swe węzowe sploty i zaczął kołysać się tam i z powrotem z założonymi rękami.

— Mów śmiało. Słucham uważnie — powiedział zaciekawiony.

— Studnia jest uszkodzona — wyjaśniła. — Powoli, według kosmicznej rachuby czasu, lecz dla nas niezwykle szybko cały ten cholerny wszechświat bierze w łeb. Już niedługo wyrwa rozrośnie się do takich rozmiarów, że Studnia stanie się nie do naprawienia. Za niedługi czas — bardzo niedługi czas — zostaniecie załani uciekinierami, w większości z Olimpusa, którzy będą szukali schronienia przed zagładą.

— Mów dalej — zachęcił ją nie zmieniając pozycji ani wyrazu twarzy. — Słucham pilnie.

— Staną się zaczątkiem nowych ras — ciągnęła. — Dostarczą duszy, czy jak to nazwać, kiedy Studnia zostanie naprawiona.

— Ale przecież, gdy Studnia zostanie naprawiona, wszystko będzie po staremu — zauważył.

— Niezupełnie, gdyż najpierw trzeba ją wyłączyć. Eksperyment Markowian dobiegł kresu i zakończył się fiaskiem. Nadeszła pora, by wdusić „reset” i zacząć wszystko od początku. Musisz w tym pomóc. Ci ludzie muszą mieć możliwość

zrobienia tego, co my robimy teraz — przejścia przez Studnię i wyjścia w nowej postaci. Potrzebujemy twojej pomocy.

Ortega milczał przez ponad minutę, nie okazując żadnych emocji. W końcu odezwał się.

— To, co mówisz, znaczy nie tylko, że Nathan Brazil powróci, lecz że zrobi wreszcie coś naprawdę poważnego. — Mavra skinęła głową. — A skąd ty o tym wszystkim wiesz?

Zastanowiła się, jak mu to wszystko wyjaśnić. Obmyślała ten moment już wiele razy.

— Ponieważ to ciało nie jest w rzeczywistości moim prawdziwym. Ponieważ stworzył je Obie. Ponieważ nazywam się Mavra Czang.

Serge Ortega niemal przewrócił się na podłogę z wrażenia. Następnie zachichotał, roześmiał się w głos i rżał aż nie mógł złapać tchu. W końcu stwierdził:

— To przecież niemożliwe. Obie został zniszczony. Mavra Czang została wraz z Obiem, więc i ona nie żyje. Mieliśmy na to świadków.

— Wszystko to sfingowaliśmy — wyjaśniła Mavra. — Musieliśmy. W przeciwnym wypadku Obie, już zupełnie samoświadomy i odporny na wszelkie wpływy, byłby znienawidzony i budził strach. W końcu zostałby nawet zniszczony mimo potęgę, jaką dysponował. Zaś ja — jeśli jeszcze pamiętasz — byłam tak zniekształcona, że nie mogłam wrócić jako normalny członek społeczeństwa. Nie miałam zamiaru być cyrkowym straszylem. Nie wiedząc jednak, iż Obie żyje, zdecydowałam się, że tak powiem, umrzeć wraz z nim. Ale nie zginęłam. Odlecieliśmy do odległej galaktyki i razem spędziliśmy wiele wspaniałych chwil.

Serge kołysał się lekko, lecz Mavra nie mogła odgadnąć, o czym myśli. Gadzia połowa jego duszy wzięła górę, twarz pokryła kamienna maska.

— A Obie? Co z nim?

Mavra westchnęła.

— Nie żyje... można tak powiedzieć.

Opowiedziała pokrótce ostatnie wydarzenia, najbardziej przekonująco jak umiała.

— A Brazil? Kiedy przybędzie? — dopytywał się człowiek-waż.

Wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia. Tylko on wie i być może wyczekuje odpowiedniego momentu.

— I on kazał ci to wszystko opowiedzieć? — spytał Ortega sceptycznie.

Uśmiechnęła się.

— Pozostawił decyzję mnie. Stwierdził, że byłbyś bardzo pomocnym sprzymierzeńcem. Ale gdybyś okazał się wrogiem, kazał przypomnieć, że raz już cię pokonał nie wiedząc nawet, z kim ma do czynienia. Zawsze jest gotowy, aby znów dać ci nauczkę, jeśli go do tego zmusisz.

Ortega znów zaśmiał się hałaśliwie.

— Tak, tak! To cały Brazyl! On jest niemożliwy!

A zaraz potem opuściła go cała wesołość. Nagle wydał się Mavrze niezwykle stary, tak stary, jak był w rzeczywistości. Jego wzrok stał się nieco cieplejszy.

— Naprawdę jesteś Mavram Czag?

Skinęła głową.

— No cóż, niech mnie diabli. Bóg wybacza nawet tym, co błędzą — mruknął do siebie. Podniósł wzrok na Mavrę. — Musisz wiedzieć, że podczas swojego długiego życia zabiłem potworne ilości ludzi. Prawie wszyscy oni usiłowali mnie zamordować albo i tak zasługiwali na śmierć. Męczyłem tych, co na męczarnie zapracowali, i nie zawahałabym się tego wszystkiego powtórzyć. Tylko jedna rzecz dręczy moje sumienie, jedna osoba prześladowuje mnie od lat — choć przecież nie miałem wtedy wyboru, co jeszcze bardziej zajętrza ranę. Proponujesz mi wymazanie win. Z twoich słów wynika, że ta osoba żyje, żyje dłużej niż ktokolwiek, poza może mną i Brazylem. Oświadczasz, że żyłem godnie, że nie zostanę potępiony.

Wpatrywała się w niego uważnie, nieco zaskoczona tą reakcją. Nie tego się spodziewała. Mogłaby przysiąc, że w jego oczach dostrzegła łzy.

— Wcale ci nie wybaczyłam, Ortega — rzekła w końcu. — Jesteś jedynym człowiekiem, którego bym z przyjemnością zabiła, gdybyś nie był mi potrzebny.

Zaśmiał się.

— Naprawdę jesteś Mavram Czag? — Upewnił się znów, jakby wciąż nie potrafił uwierzyć. — Niech mnie diabli. — Nagle spoważniał. — Ale słuchaj. Jeśli rzeczywiście nazywasz się Mavra Czag, to w takim razie jesteś moją dłużniczką.

Teraz ona z kolei była kompletnie zaskoczona.

— Dłużniczką?

Pokiwał głową.

— Gdybym nie zrobił wówczas tego, co zrobiłem, teraz leżałabyś gdzieś tam nieżywa od siedmiuset lat. Nieżywa i pochowana. Martwi pozostają tu na zawsze, nigdy już nie oglądają gwiazd. Ocaliłem cię przed takim końcem i za to powinnaś być mi wdzięczna. Ocaliłem cię, a to znaczy wiele. — Oczy mu pały. — Jakże ci zazdroścę. Siedemset lat na wolności. Ja o wiele dłużej nie widziałem gwiazd. Siedzę w tej zatęchłej dziurze od czasu, kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie. Wiesz, co to oznacza? Bo widzisz, ja także kiedyś byłem kapitanem.

Wiedziała, co to oznacza, choć czuła się jakoś nieswojo odkrywszy, że Ortega wciąż pamięta i tęskni. Spróbowała wyobrazić sobie jego sytuację. Ortega od samego początku dążył do zdobycia władzy nad Światem Studni, podpierając się naukami Machiavellego — i rzeczywiście udało mu się. Dzierżył obecnie w swym ręku ogromną siłę. Ludzie żyli i umierali, rządy powstawały i upadały, handel istniał zależnie od jego woli i kaprysu. A jednak...

Pokiwał głową i uśmiechnął się smutno.

— Widzę, że rozumiałaś moje położenie. Jestem więźniem. Cała moja władza nie ma w zasadzie żadnego znaczenia. Jest jedynie rozrywką starca siedzącego

go w sztucznie oświetlonej celi, który od niemal tysiąclecia nie widział gwiazdy ani źdźbła trawy — westchnął. — Widzisz, stare wspomnienia wciąż kołatają się po głowie. Pamiętam, jak Nathan był tu ostatnim razem. Powiedział wtedy, że pragnie jedynie śmierci — miał dość życia. Zrobił już wszystko, był wszędzie, ogarnęła go nuda. Myślałem, że zwariował. Jediną różnicą między mną teraz a Brazilem wtedy jest to, iż on żył dłużej. Ciebie to też czeka, chyba że wcześniej umrzesz. Może nawet osiągnęłaś już pierwsze stadium znudzenia istnieniem. U ciebie trwało to dłużej niż u mnie, gdyż mogłaś podróżować, podziwiać gwiazdy, drzewa, jaskrawe barwy pustkowi, błękit nieba. Nawet gdy byłaś uwięziona w Glathriel, wszystko to miałaś dookoła. Wyobraź sobie, że przez ostatnie siedem stuleci siedziałabyś zamknięta tutaj.

Pokiwała głową w zamyśleniu.

— Dlaczego więc, skoro tak mocno doskwiera ci nuda, nie przejdziesz po prostu przez bramę razem ze mną? Wrócisz do rodzimego Ulik, znów ujrzysz gwiazdy i pustkowie.

Zaśmiała się smutno.

— Chcesz wiedzieć? Sądzisz, że nie myślałem nad tym ciągle, w każdej wolnej chwili? Za każdym razem, gdy czuję, jak ściany tłamszą mnie w swoim uścisku, albo gdy widzę dystyngowanych kolegów wracających z odwiedzin w domu! Chcesz koniecznie wiedzieć? Boję się. Ja, Serge Ortega. Zmierzę się z każdym na miecze, pistolety czy cokolwiek innego — nie wyłączając intelektu. Zstąpię do samego piekła, ale tam nie wrócę.

Stała, słuchając jak mówi, i spostrzegła z zaskoczeniem, iż większość nienawiści, jaką do niego czuła, uleciała. Zastąpiło ją nie mniej szczere współczucie dla człowieka, który sam zbudował sobie więzienie i cierpiał w nim potworne katusze.

— Nie martw się piekłem, Ortega — powiedziała cicho. — To jest prawdziwe piekło. Sam je stworzyłeś z własnych lęków i win. Żyjesz w nim od wieków, na zawsze, a jest tym gorsze, że masz świadomość, iż możesz w każdej chwili wyjść. Żal mi ciebie, Ortega. Naprawdę żal. — Odwróciła się i stanęła twarzą ku ścianie ciemności. — Sądzę, że jestem gotowa. Ruszyć w podróż, która czekała mnie już siedemset lat temu, lecz oddaliła się dzięki tobie. Krąg się zamknął, Ortega. Pomożesz nam? Nic już nie jesteś nikomu winien. Proszę, pomóż — choćby przez pamięć o mnie.

Uśmiechnął się.

— Uczynię wszystko, co w mojej mocy. Lecz chyba zdajesz sobie sprawę, że to, co jest interesujące dla mnie, może okazać się piekłem dla innych. Mogę stracić kontrolę.

— Rób zatem, co możesz — odparła. — Jeśli zawiedziesz, to przyrzekam, że się jeszcze spotkamy. Tutaj, w Strefie.

— Mam nadzieję, że ten dzień nigdy nie nadejdzie. Musiałbym wybierać między mną a tobą — mruknął. — Nie... nie wiem po prostu, z kogo bym zrezygnował.

— Wróć, Ortega. Tak czy inaczej wróć. Możesz się o to założyć! — krzyknęła i ruszyła galopem znikając w Bramie.

Serge Ortega siedział kołysząc się na swym wężowym ogonie, przez długi, długi czas wpatrzony w czerń.

Hakazit

Marquoz obudził się. Ziewnął, rozprostował kości i spojrzął ciekawie dookoła. Widok nie należał do zachęcających. Znajdował się na wysokiej platformie skalnej, z której roztaczała się wspaniała panorama na leżącą poniżej, rozległą krainę. Otaczał ją pierścień pozornie sięgających chmur wulkanów, z których buchały kłęby dymu. Pośrodku rozciągała się wielka równina, usiana czarnymi skałami, głazami i zwałami popiołu wulkanicznego. Jedynie gdzieś tam monotonię krajobrazu urozmaicały niewielkie, dymiące jeszcze kopce żużla.

Owszem, była tam i trawa. Żółtawa trawa, która rosła wysoko i dziko. Falaowała na wietrze, który hulał wokół wulkanicznych kielichów. W oddali Marquoz dostrzegł wielkie cielsko niebiesko-zielonego oceanu. Tylko tam, w pobliżu wody, plamy głębokiej zieleni wskazywały na istnienie rolnictwa.

Był to krajobraz interesujący. Urozmaicały go wijące się rzeki, wiecznie młode dzięki ciągłym spływom. Źródło wody było oczywiste. Wiatry dęły przeważnie od morza. Wpadały w pułapkę wysokich, często ośnieżonych wulkanów, oziębiały się gwałtownie oddając zgromadzoną wilgoć w postaci ulewnych deszczów.

Zdumiał się zasięgiem własnego wzroku. Wszystko było niewiarygodnie wyraźne i ostre. Potrafił rozróżnić poszczególne drzewa z odległości, która dawniej uniemożliwiłaby jakiegokolwiek obserwacje. Słuch wydawał się zupełnie w porządku. Słyszał świst wiatru, szum wody, jednak nic szczególnego. Nic, czego nie słyszał przedtem.

Przedtem? Przed czym? — zastanowił się nagle. W dole widać było dobrze utrzymane drogi, lecz niewiele oznak życia. Może wszyscy mieszkańcy poza nim leżą pogrążeni w hibernacji? Albo po prostu żyją w pobliżu morza? Być może są to zwierzęta, warzywa albo minerały?

Tak czy owak, był teraz jednym z nich. Czuł się jakoś dziwnie, ociężale. Wiedział, że bardzo prostym sposobem może rozwiązać wszelkie wątpliwości co do swojej nowej postaci. Wystarczyło obejrzeć się samemu dokładnie. Jednak wciąż był trochę niepewny i lękał się tego, co może odkryć.

Kilka dużych, czarnych, majestatycznych ptaków usiadło nie opodal. Przez moment obawiał się, czy aby sam teraz tak nie wygląda. Ale nie, nie miał skrzydeł. Co do tego był absolutnie pewien.

Powoli, jakby zwykle spojrzenie mogło obrócić go w kamień, obejrzał swą nową postać.

Jego ciało było masywne — to jedyne słowo, które mogło je opisać. Nie, nie ogromne — choć na pewno dużo większe niż poprzednie — lecz krępe, zwarte. Metalicznie błękitna skóra wydawała się dość gruba, by zatrzymać strzałę albo pocisk. Tułów kończył się dwiema niezwykle solidnymi nogami wspartymi na dużych, szerokich stopach z paskudnymi pazurami.

Te szpony, pomyślał, wyglądają, jakby były zrobione z nierdzewnej stali.

Jego dawne ramiona były krótkie i krępe. Obecne harmonizowały z nogami i doskonale pasowały do reszty ciała. Wyglądały na niezwykle silne i nie zdziwiłby się zbytnio, gdyby mógł przy ich pomocy zginać żelazne sztaby. Odkrył też, że u nóg posiada jedynie cztery palce, tak samo zresztą jak u rąk. Na dodatek przeciwstawne kciuki były nienormalnie długie.

Uniósł ręce do twarzy. Szyję miał grubą i najwyraźniej opancerzoną. Trudno jednak było powiedzieć cokolwiek o głowie prócz tego, że miała kształt bardziej jajowaty i spłaszczony niż poprzednia. Przypominała nieco ludzką, z tym że była grubsza i twardsza. Wyglądam chyba jak wielki owad, pomyślał. Nie był do końca pewien.

Niezdecydowanie postąpił krok do przodu i natychmiast uświadomił sobie, że tak jak przedtem posiada także mocny, jednak nieco dłuższy ogon. Obejrzał się pokręcił nim trochę strącając parę kamieni. Przez całe plecy oraz masywny ogon biegł podwójny rząd zaokrąglonych, kościstych wyrostków. Na końcu ogona wyrastały dwa długie chyba na metr kolce. Wyglądały naprawdę groźnie. Bardzo szybko przekonał się, że ten ogon służy do walki. W przeciwieństwie do starego, który przeznaczony był do siadania i utrzymywania równowagi. Nabrał w jakiś sposób pewności, że tubylcy używają swych ogonów w podobnym celu co ludzie albo Czugacze — jako mieczy.

Jestem zbudowany jak maszyna do zabijania, pomyślał. Jeszcze raz spojrzął na niegościnną, rozległą krainę. Skoro każdy heks na Świecie Studni przeznaczony był do testowania form życia, ten musi być naprawdę niebezpieczny.

Ponownie rzucił okiem na swoje dłonie. Zgiął palce i odkrył, że pierwsze wrażenie było słuszne — pazury miał długie, odrażające, ostre jak brzytwy. Można było je na dodatek chować i wysuwać za pomocą skurczu odpowiednich mięśni.

Zaczął dostrzegać sens tego, co się z nim stało. Obie zapewniał, że ma pewien wpływ na Studnię. Ta postać, choć rzeczywiście dość odrażająca i nieruchawa, nie różniła się jakoś drastycznie od jego poprzednich kształtów. W końcu nie miał tu przecież żyć, tylko rozpętać wojnę. A to ciało było wprost wymarzone do walki.

Spróbował buchnąć ogniem z gardzieli. (Jako Czugacz posiadał specjalne worki, gdzie gromadziły się zbędne produkty przemiany materii wydzielające łatwo-

palny gaz). Niestety stracił tę umiejętność. Szkoda, pomyślał. Przydałaby się w tej krainie wulkanów.

Słońce skryło się już za górami. Mroczny cień powoli zasnuwał krajobraz. Wiedział, że wkrótce zapadnie zmrok, a on wciąż tkwił na pustkowiu. Nie spotkał dotąd żadnego tubylca, nie dostrzegł ani śladu jakiegoś osiedla czy choć maleńkiej wioski. Nie miał nic, czym mógłby się bronić w razie napaści, gdy będzie szedł przez tę ciemniejącą równinę. Żałował, że nie ma choć solidnej pałki, lecz dookoła nie rosnęło ani jedno drzewo.

Kusiła go myśl zostania na tej niewielkiej platformie aż do rana. Lecz głód coraz bardziej doskwierał, a Marquoz nie wiedział nawet, co stanowi jego dietę.

Stał tak, rozważając sytuację, kiedy zdarzyła się ostatnia rzecz, jakiej mógłby oczekiwać.

W dole, na równinie, po kolei zapłonęły uliczne latarnie.

Zdumiał się widząc, jak te światełka — tysiące, dziesiątki tysięcy światełek — przemieniają dziki krajobraz. Ciągnęły się przez całą równinę aż do miejsca, gdzie — jak sądził — znajdowało się morze. Światła były bajecznie kolorowe — zielone, niebieskie, czerwone, żółte — i układały się w najróżniejsze, wymyślne wzory. Widok był wspaniały, mimo że równina zaczęła nieco przypominać wyglądem gigantyczne lotnisko.

Zjawisko to intrygowało i fascynowało zarazem. Owszem, dostrzegł liczne drogi, lecz ani śladu linii trakcyjnych czy źródła, z którego mogłaby się brać energia potrzebna do zasilania lamp.

Jakby w odpowiedzi na swoje wątpliwości poczuł lekki wstrząs pod nogami, a dookoła poturlały się kamienie. Znał już odpowiedź — siła geotermiczna. Tubylcy nauczyli się wykorzystywać tę niszczącą potęgę do własnych potrzeb.

Po prawej stronie spostrzegł ścieżkę, lecz nie wszedł na nią od razu. Światło było wyraźnie elektryczne, co znaczy, że znalazł się w wysoko technologicznym heksie. Wszelkie maszyny działają tu zupełnie normalnie. Zatem istnieją sieci komunikacyjne, komputery oraz odpowiednia broń. Był pewny, że jego pancerz jest w stanie powstrzymać większość pocisków. Z pewnością jednak nie stanowi wystarczającej osłony przed laserem.

Zdawał sobie sprawę, że obecnie największe niebezpieczeństwo stanowią jego nowi ziomkowie. Innych wrogów mógł się nie lękać. Miejscowa cywilizacja rozwijała się przez miliony lat. Najwidoczniej zdała pomyślnie wszystkie testy, pokonała wszelkie niebezpieczeństwa ustawione na jej drodze. Z pewnością wytrzymała do nogi naturalnych wrogów swego gatunku.

Westchnął i ruszył ścieżką w dół zbocza. Nie było to trudne, choć musiał cały czas pamiętać, iż jego nowy ogon jest dłuższy i bardziej masywny. Raz po raz przez nieuwagę powodował nim małe lawiny.

Z pewnym zadowoleniem odnotował, że ze wzrokiem nie ma żadnych problemów. Nocą Czugacze byli praktycznie ślepi, gdyż mieszkali pod ziemią i oczy

były im rzadko potrzebne. Mieli za to doskonale wykształcone inne zmysły. Jego nowe wcielenie widziało niesamowicie dobrze w dzień, a nocą jeszcze lepiej. Choć nie rozróżniał kolorów, postrzegał wszystko niezwykle wyraźnie. Widocznie w ciemnościach wzmacniały się znacznie kontrast i głębia ostrości, lecz jednocześnie zawężała się rozpoznawalna paleta barw. Nie ma nic za darmo, pomyślał. Jednak po chwili odkrył, że jego przypuszczenia były błędne. Spostrzegł, iż światła płonące na równinie są różnych kolorów.

Nie spodziewał się, aby w pobliżu kraterów istniało jakiegokolwiek życie, i miał rację. Gigantyczne wulkany były czynne. Każda budowla postawiona w sąsiedztwie została by bardzo szybko przysypana żużlem i popiołem. Jedynie wariat postawiłby tam swój dom.

Kiedy zszedł wreszcie ze zbocza i ruszył przez równinę, usłyszał dźwięki kojarzące się nieodparcie z ruchem ulicznym. Warkot ciężarówek i innych pojazdów. Kręcą się jak w ukropie, pomyślał. Co oni tu, u diabła, robią?

Po chwili dotarł do szosy. Światła nabrały bladopomarańczowego zabarwienia. Sznur niewielkich, kulistych lampek ciągnął się wzdłuż drogi wyznaczając jej szerokość.

Dostrzegł zbliżający się pojazd. Od razu zrozumiał, dlaczego potrzebne były im te lampki po obu stronach jezdni. Wehikuł był nie tylko olbrzymi, lecz na dodatek pędził z zawrotną prędkością. Nim Marquoz zdążył się zorientować, minął go z głośnym rykiem. Udało mu się dostrzec kierowcę, który nie zwrócił jednak na niego najmniejszej uwagi, wpatrzony w lampki znaczące właściwą drogę. Pojazd przypominał wielki spychacz i w zasadzie nie różnił się jakoś szczególnie od tego typu urządzeń wytwarzanych gdzie indziej. Kierowca był jednak pierwszą żywą istotą, jaką tu napotkał.

Posiadał dwa odnóża, a zamiast twarzy — demoniczną maskę, zakończoną z boków ostrymi rogami. Oczy nie miały źrenic i płonęły ognistoczerwonym blaskiem. Osobnik ów jako żywo przypominał demony, którymi Czugacze straszili swe dzieci i naiwnych dorosłych.

Marquoz usłyszał szelest. Odwrócił się w tym kierunku i spostrzegł niewielką jaszczurkę łypiącą na niego niespokojnie. Gdy poruszył ogonem, stworzenie zamarło i spojrzało na niego z nadzieją, malującą się na jaszczurzym obliczu.

— Czerk? — pisnęło.

— Niestety, wiem na ten temat tyle co i ty — odparł Marquoz.

Stworzenie najwyraźniej zrozumiało, że to wszystko, na co może liczyć, bo zniknęło błyskawicznie w mroku. Ze strony przynajmniej tego tubylca nic mu nie groziło.

Odwrócił się znów twarzą do drogi i zaczął rozmyślać, co czynić dalej. Najlepiej gdyby ktoś go zauważył i podwiózł do jakiegoś miasta. Nie ma co jednak na to liczyć, zdecydował. Tubylcy jeżdżą jak szaleni, wpatrzeni tępo w szosę. Nie ma sensu pchać się pod koła.

Ruszył poboczem, byle dalej od gór. Nadal jednak nie miał pojęcia, gdzie tubylcy mogli kryć się w czasie dnia. Nie bardzo też rozumiał, dlaczego mieliby prowadzić nocny tryb życia, skoro i w dzień widzą zupełnie nieźle. Było parę zagadek, które z prawdziwą przyjemnością zaczęłyby rozwiązywać.

Z rykiem minął go kolejny pojazd. Tym razem nie był to spychacz, lecz olbrzymia ciężarówka wypełniona żwirem, popiołem albo piaskiem. Kierowca jednak również nie zwrócił na niego uwagi.

Zatrzymał się w pół kroku. Popiół! Oczywiście! Te ogromne wulkany wybuchają prawdopodobnie dość regularnie, lecz powolna, gruzłowata lawa nie stwarzała niebezpieczeństwa dla ludzi żyjących na równinie. To popiół stanowił główny problem. Nawet jeśli erupcje zdarzały się raz na rok albo na dwa, trzeba było nieustannie wszystko odgrzebywać. Z czasem pewnie tubylcom znudziło się to zajęcie. Zbudowali więc swe sadyby pod ziemią, w twardych skałach. Dysponując wysoko rozwiniętą techniką, nie mieli z tym większego kłopotu. Pewnie jedynie w pobliżu morza, z dala od kraterów, mogli wznosić naziemne budowle.

Marquoz zastanowił się, jak tubylcy radzą sobie ze wstrząsami sejsmicznymi i doszedł do wniosku, że mieli dość czasu, by to rozwiązać. Co do popiołu, to mogli uczynić z niego swój główny towar eksportowy. Wyeksploatowane heksy zapłaciłyby za niego krocie. Był przecież bogatym źródłem minerałów.

Marquoz poczuł się znacznie lepiej. Choć nie spotkał dotąd żadnego tubylca, wydawało mu się, że zna ich doskonale.

Stał pogrążony w rozmyślaniach, kiedy pięć niewielkich, przypominających sanki poduszkowców wynurzyło się z mroku. Na każdym z nich siedział jeden z demonów, którymi Czugacze straszili dzieci. Otoczyli go zwartym pierścieniem. Spojrzał na ich twarze i doznał dziwnego lęku.

Cała piątka ubrana była w urzędowe, prawdopodobnie skórzane marynarki plus olstry. Puste olstry. Pistolety były wycelowane w niego.

Naraz poczuł się znacznie lepiej. Widocznie któryś kierowca jednak go zauważył i doniósł miejscowej policji.

Brazil zapewnił, że będzie mógł od razu porozumiewać się w języku tubylców, więc nie zwlekał. Powoli uniósł ręce, aby pokazać, że nie jest uzbrojony.

— W porządku, złapaliście mnie — stwierdził lekkim tonem. — Jestem Przyszłym, tak chyba nas tu nazywacie. Zupełnie nowy na tym podwórku. Zaprowadźcie mnie do waszego szefa, mojego szefa, czy kogo tam chcecie.

Przez chwilę siedzieli na tych swoich zabawnych saneczkach mierząc z pistoletów. Spoglądali na niego demonicznymi oczyma bez wyrazu. Wreszcie jeden z dodatkowymi guzikami przy marynarce odezwał się niskim, nieprzyjemnym głosem:

— W porządku. Idziesz przodem.

— Do usług — odparł uprzejmie Marquoz i ruszył przed siebie, a oni za nim w kompletnym milczeniu.

Przeszli tak kilka kilometrów. Marquoz był spragniony i głodny. Jednak eskorta nie zatroszczyła się o jego wygodę ani dobre samopoczucie. Zaczął wątpić, czy prawidłowo ocenił tubylców. Jednego był jednak pewien — tych pięciu typów zdecydowanie nie darzył sympatią.

Nie mylił się co do miejsca, gdzie tubylcy urządzili sobie sadyby. Dotarli wreszcie do jakiegoś skrzyżowania. Spozrzegł, że w miejscu gdzie stykały się obie drogi, dwie płyty ustawiono w kształt krzyża. Jedna z płyt obniżyła się, tworząc rampę biegnącą w dół. Ciekawe, kto tym wszystkim steruje, pomyślał. Uwzględniając jak tubylcy jeździli, lepiej żeby były to bardziej odpowiedzialne automaty.

Pod ziemią ciągnęła się również sieć dróg. Minęło trochę czasu, nim dotarli do poziomów mieszkalnych. Tam przynajmniej wzdłuż jezdni biegł ruchomy chodnik. Bardzo chętnie z niego skorzystał, cały czas czując na plecach wzrok eskorty. Teraz poruszało mu się znacznie łatwiej. Całą robotę odwalały maszyny. Tak właśnie wyobrażał sobie życie bogów.

Nagle ściany urwały się i Marquoz wjechał na most, z którego roztaczał się widok na grotę, największą jaką widział w swym życiu. W dole dostrzegł przepiękne miasto płonące dziesiątkami kolorów, tysiące mieszkańców sunących siecią ruchomych chodników. Od czasu do czasu Marquoz i jego eskorta mijali platformy i coś jakby wielkie dźwigi towarowe, gdzie załadowywano i rozładowywano ciężarówki. Dźwigi owe nie posiadały ramienia, a mimo to podnosiły ciężkie wywrotki z popiołem. Marquoz podejrzewał, że muszą działać na zasadzie silnych magnesów.

Zatrzymał się podziwiając widok, co wyraźnie zirytowało strażników.

— Ruszaj wreszcie! — wysyczał dowódca.

Wstąpił na chodnik i pozwolił mu się nieść dalej.

— Przepraszam, lecz widok był tak wspaniały i zaskakujący, że nie mogłem się wprost oprzeć — rzekł. Mile ich tym polechtał. Spojrzenia strażników straciły nieco ze swego chłodu. Nie są zbyt bystrzy, pomyślał. Kiedy poprzednio zszedł z taśmociągu, by podziwiać miasto, minęło dobrych parę chwil, nim się zorientowali, że gdzieś zniknął. Gdyby miał nieco więcej informacji, a nie chciał być jeńcem, mógłby bardzo łatwo uciec i wymknąć się pogoni.

Wszyscy tubylcy ubrani byli w mundury przyozdobione najróżniejszymi emblematami, oznaczającymi przypuszczalnie rangę. Wyglądało to naprawdę zabawnie, jak parodia bazy wojskowej. Miejsce wprost wymarzone dla kogoś z jego przeszłością, doświadczeniem i umiejętnościami.

Dotarli wreszcie do celu podróży — ogromnej, pustej windy.

— Wsiadaj! — rozkazał dowódca. — Na dole będą na ciebie czekać.

Marquoz skinął głową i wszedł do środka upewniwszy się, iż wciągnął ogon przed zatrzaśnięciem drzwi.

Zjazd był szybki i — trzeba przyznać — fascynujący. Przez przezroczystry tył kabiny mógł podziwiać okolicę. W kącie sufitu dostrzegł kamerę. Nie po raz pierwszy, odkąd tu przybył. Nie ma wątpliwości — dyktatura, zawyrokował. Ciekawe tylko, czego się tak boją.

Nagle winda stanęła z łoskotem i drzwi się rozwarły. Na zewnątrz stał stwór o twarzy demona świdrując go swymi niesamowicie ognistymi oczyma. Na jego mundurze widać było nieco więcej emblematów. Widocznie przekazali mnie do kogoś wyższego rangą, lecz nie od razu do jakiejś szczy — pomyślał Marquoz. Nie dostrzegł nerwowo spacerujących strażników, tajniaków ani nikogo w tym guście. Był rozczarowany. Już zaczęła podobać mu się rola wroga publicznego numer jeden.

— Jestem komendant Zhart, okręg numer 291 — wyjaśnił stwór syczącym głosem.

Marquoz skłonił się lekko i wyszedł z windy.

— A ja nazywam się Marquoz. Do niedawna byłem Czugaczem, a teraz jestem Przybyszem. Fajnie, że spotkałem wreszcie kogoś, z kim można porozmawiać.

— Chodź za mną — rozkazał komendant. Marquoz ruszył za przewodnikiem, bardzo szybko odkrywając, że unikanie kolców na jego ogonie można śmiało porównać ze sztuką.

— Gdzie jesteśmy? — spytał ostrożnie.

— W Hakazit — wyjaśnił Zhart. — A dokładnie w Mieście Harmonii.

— Hakazit — powtórzył. Tak w każdym razie przetłumaczył tę nazwę. Dźwięki wydawane przez tubylców były niemożliwe do wymówienia przez ludzi ani Czugaczów. — Wasz kraj jest naprawdę piękny i fascynujący, Komendancie. Cieszę się, że właśnie tu rozpocznę nowe życie.

Komendant był wyraźnie zadowolony.

— Muszę powiedzieć, że jak na Przybysza jesteś niezwykle opanowany i spokojny — zauważył. — Twój poprzednik, jakieś trzydzieści lat temu, trząsł się cały czas ze strachu.

— Och, to dla mnie normalne — odparł Marquoz. — Większość życia spędziłem pośród obcych, niejednokrotnie dziwacznych kultur. Nowe i nieznanne jest tym bardziej fascynujące.

— Tak, to postawa godna naśladowania — zgodził się Zhart. — Jesteś naprawdę wyjątkowy. Co robiłeś dawniej? Byłeś może kupcem?

Marquoz zachichotał.

— Och nie! Skądże znowu! — A potem dodał wciąż krztusząc się ze śmiechu: — Byłem szpiegiem.

Komendant zatrzymał się gwałtownie. Marquoz niemal wpadł mu na plecy. Zhart obrócił się z groźną miną i usiłował ustalić czy był to żart.

Marquoz dalej chichotał. — Kupiec! Dobre sobie! — parsknął.

Południowa Strefa

— Ilu Przybyszów jest przy Bramie?

— Około trzystu albo czterystu, Ambasadorze — padła odpowiedź z interkomu.

Serge Ortega usadowił się na swym poskręcany ogonie.

— Powiadasz, że wszyscy są typu Czterdzieści Jeden?

— Zgadza się, sir. Co zamierzasz z nimi zrobić? Nie mamy warunków dla tak wielu.

Ortega zastanawiał się przez chwilę.

— Trzymaj ich tam na razie — polecił. — Zaraz będę na dole. Musimy ich zapoznać z sytuacją, a potem przepchnąć przez Studnię w partiach. Zbierz ludzi do pomocy z lądowych ambasad i znajdź mi jakiś megafon.

— Natychmiast, sir.

Ortega nie ruszył od razu, miał jeszcze trochę czasu. Włączył monitor, jeden z wielu na jego konsoli sterowniczej. Na ekranie ukazała się wielka komnata, gdzie przybywali wszyscy, którzy przeszli przez markowiańskie Bramy. Widok takiej masy Przybyszów był szokujący, nawet jeśli pośród ogromu sali zajmowali jedynie niewielki skrawek przestrzeni. Pomanipulował pokrętłami i powiększył obraz. Wszyscy Przybysze byli oszałamiająco pięknymi ludźmi płci żeńskiej, wyglądającymi zupełnie jednakowo oprócz fryzur i ozdób. Jak ta kobieta, Jua, tylko że bez ogona. Olimpianki.

— A więc zaczęło się — westchnął. Rozważając po kolei wszystkie możliwości ruszył korytarzem w kierunku komnaty wejściowej.

Krótkie wyjaśnienie sytuacji zajęło niewiele czasu. Nieco dłużej potrwało zorganizowanie odpowiedniego personelu, który miałby eskortować Olimpianki w około dziesięcioosobowych grupach do Bramy Studni. Wszystkie kobiety wiedziały już, co mają robić. Zostały wcześniej dokładnie poinstruowane przez Brazyła i jego agentów. Twierdziły zgodnie, że ich planeta została zniszczona i że mały człowieczek o nazwisku Nathan Brazyl zaofiarował im pomoc.

To była zła nowina. Błyskawicznie rozeszła się wieść, że Brazyl żyje, że wpełza im w objęcia populację całej planety. Kto wie, co jeszcze trzyma w zanadru?

Cała operacja zajęła kilka godzin. Ortega wciąż nie był pewny, jak powinien dalej postępować. Skontaktował się więc z Czilliańską Ambasadą, wyjaśnił sytuację i poradził, aby owa rasa uczonych roślin uruchomiła Centrum Kryzysowe w swym głównym kompleksie badawczym. Trzeba szybko poinformować resztę ambasad, nim zaczną wyciągać pochopne wnioski. Nim zaczną, co gorsza, działać na własną rękę zamiast zespołowo. Trzeba pilnie zwołać wielką konferencję 701 ambasadorów z heksów, które posiadają swe przedstawicielstwa w Strefie. Ortega miał właśnie to uczynić, kiedy zadzwonił interkom.

— Tak? — warknął poirytowany. Potrzebował czasu, by wszystko przygotować, by zebrać wszystko do kupy i jeszcze raz przemyśleć.

— Sir! To niewiarygodne! Jak tylko uporaliśmy się z tą ostatnią grupą, natychmiast pojawiła się następna. Prawie identyczna. Co robimy, sir?

Ortega westchnął. Nie ma czasu. Niech to cholera! Ani chwili czasu.

— Sam chciałbym wiedzieć! — odparł zdenerwowany. — Naprawdę chciałbym wiedzieć.

Awbri

Ocknęła się gwałtownie. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, była wszechogarniająca czerń. A teraz, jakby po długim śnie, znalazła się tutaj — gdzie?

Na cholernej gałęzi! Spostrzegła to nagle i zaczęła się niebezpiecznie chwiać. Dookoła rosła potężna puszcza, w zasadzie dżungla, otaczając ją z czterech stron, a także z góry i od dołu. Ani jeden promień światła zdawał się nie przedostawać przez zwartą ścianę roślinności. Wiedziała, że musi być to jedynie złudzenie, gdyż inaczej nie byłoby tu tyle zieleni.

Spostrzegła natychmiast, że jej ciało uległo przemianie. Ścisnęła grubą gałąź szponiastymi rękami oraz nogami, które wydały jej się bardzo podobne do dłoni.

Nie przepadała nigdy zbyt za balansowaniem na wysokościach, lecz teraz postrzegła to jakoś inaczej. Nie czuła zawrotów głowy, jej zmysł równowagi był niesamowicie wyostrzony. Konar wydawał się niemal naturalnym miejscem do siedzenia.

Prawie o tym nie myśląc puściła gałąź i spojrzała na swą rękę. Niezwykle długie, chude palce pokryte były twardą skórą i lekkim, czerwono-brunatnym futerkiem. Uniosła kończynę do góry i poczuła nieznaczny opór po prawej stronie. Odwróciła głowę i spostrzegła olbrzymie fałdy skórne, ciągnące się od przegubów wzdłuż całego ciała. Nie potrafiła wyobrazić sobie, do czego mogły służyć, lecz poruszywszy nimi nieco odkryła, iż są dość sztywne i również pokryte futerkiem. Dawały się jednak rozciągać niemal jak guma.

Zaryzykowała drobny kroczek po gałęzi i prawie od razu odkryła, że posiada również ogon. Uchwyciwszy się solidnie konaru, obróciła głowę do tyłu. Szeroki, płaski, ścięty na końcach, nie tworzył pojedynczego ogona, lecz składał się z kilku kości, pomiędzy którymi rozpostarta była elastyczna błona. Czuła, że może nim poruszać — rozpościerać i składać niczym wachlarz.

Gapiła się tępo na ogon próbując ustalić, co czynić dalej, gdy rozległ się potworny hałas i drzewo zatrzęsło się gwałtownie. Przerażona zacisnęła uchwyt.

— Hej, ty tam! Co, u diabła, wyrabiasz na moim drzewie? — doszedł ją dziwaczny, nosowy głos z góry.

Ze strachem uniosła głowę w stronę wołającego. Dostrzegła go bez trudu i przeszła ją dreszcz. Zrozumiała, że teraz wygląda bardzo podobnie do tego stworza, który przypatrywał jej się ze złością.

Głowę miał małą i płaską niemal jak u psa, tyle że pysk przypominał bardziej kaczki dziób. Długa szyja wychodziła wprost z gryzoniowatego tułowia. Miękki i gibki, sprawiał wrażenie, jakby mógł się wyginać w najdziwniejszych nawet pozach. Osobnik posiadał również podobny do wachlarza ogon oraz długie muskułarne kończyny. Stworzenie było gdzieś o jedną czwartą większe od niej, a futerko miało upstrzone szarymi cętkami.

— Przepraszam, ale jestem tu nowa. Pojawiłam się w Strefie, a potem wysłano mnie przez Bramę. Ocknęłam się tutaj w nowej postaci. Nie mam pojęcia, gdzie jestem ani kim jestem. Nie wiem nawet, jak zejść na ziemię.

Kocie oczy stworza rozszerzyły się w wyrazie zdziwienia.

— Więc jesteś Przybyszem, co? Nie ma dwóch zdań, bo inaczej nie stawiał byś takich głupich pytań. Zejść na dół? Dlaczego, do cholery, chcesz schodzić na dół?

— No cóż, gdzieś przecież muszę zejść — odparła nieco poirytowana.

— Na pewno nie możesz zostać tutaj — parsknął stwór. — Mam już i tak za dużo gęb do wyżywienia.

— Ale nie wiem dokąd iść — odparła. — Ocknęłam się tutaj, na gałęzi. Może mógłbyś mi coś wyjaśnić.

Wyraźnie zastanawiał się, co robić.

— Nie mam czasu zajmować się twoimi problemami — odrzekł w końcu. — W każdym razie wynoś się z mojego drzewa, to przynajmniej zakończy mój problem.

— Nie wydaje mi się, abyś grzeszył zbytnią uprzejmością — parsknęła rozłoszczona. — A poza tym z czystą rozkoszą wyniosłabym się z tego parszywego, starego drzewa, gdybym tylko wiedziała jak.

— Parszywego! Wiedz, że to drzewo należy do najlepszych w całym Awbri! Samo przez cały rok zapewnia utrzymanie dwudziestu dwóm osobom! No i co na to powiesz?

— Szczerze mówiąc — odparła — w ogóle mnie to nie obchodzi. Przepraszam, że nazwałam twoje drzewo parszywym. Chciałam jedynie dowiedzieć się, jak zejść stąd i dokąd najlepiej się potem udać. Macie tu jakiś rząd, jakąś władzę?

Przechylił nieco głowę, jakby nad czymś dumał.

— No cóż, wydaje mi się, że możesz pójść do miejscowej Rady. Niewiele nam tu potrzeba w Awbri, a na pewno nie wielkich rządów, ani podobnych rzeczy. Rada — to wszystko, co mamy. Najlepiej więc idź od razu tam. Zarośla borówkowe pośrodku poręby, jakieś pół kilometra w tamtą stronę.

Pokazał palcem wskazującym stopy kierunek. W zasadzie ręce i nogi u tych istot nie różniły się prawie wcale.

Spojrzała tam i dostrzegła jedynie zbity gąszcz drzew i krzewów.

— Jak mam się tam dostać? — spytała. — Po gałęziach, przechodząc z drzewa na drzewo?

Wydał dźwięk, który brzmiał jak splunięcie.

— Jeśli masz ochotę, to jasne. Ale możesz oczywiście polecieć, co byłoby dużo prostsze. Widzisz, droga została już wytyczona.

Rzeczywiście. W spletanym gąszczu widniały prześwity niczym powietrzne autostrady. Ale latać?

— Ja... ja nie potrafię latać — odparła.

Znów wydał ten dziwny dźwięk.

— Niech to cholera! No cóż, nie mam czasu, żeby cię uczyć. Musisz zatem pełznąć. Prędej czy później i tak tam dotrzesz.

I nagle już go nie było, nim zdążyła pisnąć choć słówko. Przy starcie wstrząsnął całym drzewem, rozpostarł kończyńy, otworzył wachlarzowaty ogon i ślizgiem zniknął w jednym z korytarzy.

Westchnęła i ruszyła wzdłuż konarów w kierunku, który wskazał nieznajomy. Niewiele się dowiedziała o zwyczajach tych istot, lecz pewne fakty świadczyły, że życie może być tu całkiem podniecające. Nigdy dotąd nie czuła tak silnie zmysłu równowagi ani nie postrzegała tak wyraźnie głębi. Może nawet niedługo będzie latać, tak jak ten... mężczyzna?

Nauczy się. Pewnego dnia będzie pruć bez wysiłku powietrze. Nie mogła się już wręcz doczekać tej chwili.

W czasie podróży nie obyło się bez pewnych problemów. Gałęzie dzieliły niejednokrotnie wielometrowe odstępny. Za każdym razem dużo czasu mijało, nim zdobywała się na odwagę, by przeskoczyć tak szerokie prześwity. Lecz za każdym razem jakoś jej się udawało i lądowała po drugiej stronie z nieomylną dokładnością.

Spotkała również innych... ludzi. Większość zignorowała ją po prostu lub obrzuciła zdziwionym spojrzeniem. Nikt nie zatrzymał się, by z nią porozmawiać. Skakali z konara na konar i latali dookoła zajęci sprawami, których cel pozostawał dla niej najczęściej tajemnicą. Rozumiała z tej całej bieganiny bardzo niewiele — nieustannie przenosili grube konary, przycinali i pielęgowali drzewa. Widocznie stanowiły one oś, wokół której kręciło się całe tutejsze życie — żywiono się liśćmi i owocami. Panowała pełna symbioza.

Tu i ówdzie napotykała prześwity, skąd widać było czyste niebo albo samo dno leśnego poszycia. Teraz rozumiała, dlaczego tamten stwór tak się zdziwił usłyszawszy, że pragnie zejść na dół — zalegało tam ohydne trzęsawisko wypełnione lepkiem błockiem, zastała wodą i zielskiem. Parę razy dostrzegła wielkie, wstrętne gady z olbrzymimi paszczami pełnymi kłów, zaczajone w błotnistych jamach lub przemykające przez moczary. Nie były to stworzenia, które chciałyby

spotkać na swej drodze. Na szczęście wyglądało na to, że nie potrafią wspinać się po drzewach.

W końcu dotarła do polany ze sporym pagórkiem, na którego szczycie rośło największe drzewo, jakie w życiu widziała. Olbrzymia zielona kula górująca nad sąsiadami i przysłaniająca niemal całe niebo. Pierwsze konary tego drzewa zaczynały się dobre sto metrów od jej gałęzi.

W dole pod sobą widziała błotniste trzęsawisko. Potem teren pokryty ostrą trawą wznosił się aż do samego grubego pnia. Całe zastępy Awbrian przelatowały bez wysiłku ponad bagniskiem, lecz ona wciąż się wahała. Sto metrów to spory kawałek i raczej nie była w stanie tak daleko skoczyć.

Zawołała o pomoc przelatujących tubylców, lecz ignorowali ją zupełnie zajęci własnymi sprawami. Jedyne sporadyczne spojrzenia świadczyły, iż była lekceważona, a nie niezauważana.

Westchnęła. Powoli ściemniało się. Perspektywa spędzenia tutaj całej nocy nie należała do najprzyjemniejszych. Przeklinała Obiego, że ją w to wszystko wpakował i Awbrian, że kompletnie ją ignorowali. Do cholery, była przecież Wielebną Kapłanką! Przywykła, żeby okazywano jej szacunek i należytą cześć. Nigdy jeszcze nie czuła się równie bezradna i mało znacząca.

Nigdy jeszcze nie czuła się taka samotna.

Usłyszała szelest i obok niej wylądował Awbriańczyk, wstrząsając całym drzewem. Zdażyła już do tego przywyknąć.

— Wygląda na to, że masz kłopoty — zauważył przybysz. — Coś ci się stało?

Odwrociła się gwałtownie, szczęśliwa, że w końcu słyszy przyjazny głos, że ktoś się nią wreszcie zainteresował.

— Nie, nic mi nie jest. Dziękuję — odparła. — Jestem tu nowa. Jestem... to znaczy byłam zupełnie kimś innym, póki nie ocknęłam się tutaj przed paroma godzinami. Czuję się zupełnie skołowana, samotna i przerażona.

Awbrianka klapnęła dziobem z wyraźną sympatią.

— Przybysz, co? I, jak sądzę, ktoś wysłał cię do Starszyny.

Skinęła głową.

— Chyba tak. Czy ta... Starszyna to coś w rodzaju wioskowej Rady?

Nieznanym potrząsnęła głową, co miało pewnie oznaczać u nich potwierdzenie.

— Tak, w pewnym sensie. Wydaje mi się, że właśnie do nich powinnaś się zgłosić. — Odwróciła się twarzą do wielkiego drzewa. — Istnieje tylko jeden sposób, by się tam dostać. To całkiem proste.

— To znaczy, trzeba przelecieć? — spytała Jua z wyraźnym wahaniem.

— Jasne. Ale w tym wypadku nie może być mowy o prawdziwym lataniu. Wyobraź sobie wietrzyk, daj się przez niego unieść. Wskocz, jakbyś chciała dostać się na sąsiednią gałąź. Rozrzucić szeroko ręce, nogi, ogon i celuj prosto w tamtą kę-

pę borówek. Na pewno dotrzesz na miejsce i nie spadniesz. Zaufaj mi i nie wpadaj w panikę. Kiedy skoczę, po prostu mnie naśladowaj.

Przygotowała się do startu.

— Poczekaj! — krzyknęła Jua. — Pozwól, że zbiorę najpierw nieco odwagi. W tym czasie powiedz mi, czy ten kraj nazywa się Awbri?

— Owszem — zgodziła się tamta. — Ale nie zwlekajmy dłużej. Robi się ciemno, a nie lubię w nocy przesiadywać z dala od mojego drzewa.

Po tych słowach wystrzeliła w gęstniejący mrok.

Podjąwszy decyzję, Jua odbiła się od konaru i rozpostarła szeroko ogon oraz fałdy skórne. Była zaskoczona, że powietrze samo ją unosi, utrzymuje w górze jak podczas olbrzymiego skoku. Czuła jednak, że powoli opada i odniosła podobne wrażenie jak podczas zjeżdżania windą.

W rzeczywistości minęło jedynie pół minuty, lecz jej wydawało się to całą wiecznością. Zaczęła już żywić obawę, że nic z tego skoku nie będzie. Nie odważyła się jednak nawet zerknąć w dół. Cały czas wzrok miała wlepiony w drzewo i lecając w pobliżu towarzyszkę.

I nagle była wśród gałęzi. Chwyciła się czegoś ze wszystkich sił. Wcale nie uspokoił jej fakt, że już wylądowała. Trzymała się kurczowo konaru, dopóki nie ustały wstrząsy targające gałęzią.

Jej przyjaciółka zniknęła właśnie w mrocznym wnętrzu drzewa, lecz Jua nie była w stanie ruszyć w ślad za nią.

Po kilku minutach kobieta wróciła patrząc z niejakim zdziwieniem na Juę, kurczowo trzymającą się konaru.

— Och, daj spokój! Najgorsze już za tobą! Chodź. Powiedziałam Sekretarzowi Starszemu, że jesteś Przybyszem. Postanowił natychmiast cię przyjąć. Nie zwlekajmy zatem! Muszę wracać do domu. I tak jestem spóźniona.

I już jej nie było.

Jua podążyła za nią wzrokiem, póki kobieta nie zniknęła za drzewami. Nie wiem nawet, jak ma na imię, pomyślała. Odetchnąwszy parę razy głęboko i uspokoiwszy się nieco, ruszyła w gęstwinę.

Gdy dotarła już do głównego pnia, trudno było nie dostrzec wejścia — wielkich drzwi otoczonych nieznanymi znakami wrytymi w korze. Jua z pewnym wahaniem uchyliła je i weszła do środka.

Wnętrze rozświetlały oliwne latarnie. Było jasno, przyjemnie, a co dziwne, pień nie miał absolutnie miąższu. Drzewo, z zewnątrz wyglądające zupełnie zdrowo, w środku było całkiem wydrążone.

Wielki samiec siedział za rzeźbionym biurkiem, pisząc coś gęsim piórem. Swym wyglądem przypominał nieco dziobatą wiewiórkę, ustrojoną w potężne okulary w rogowej oprawce.

Przestał pisać i podniósł na nią wzrok.

— Jesteś Przybyszem? — spytał obcesowo.

Skinęła głową.

— Nazywam się Jua, do niedawna Olimpianka — wyjaśniła.

Rozparł się wygodnie na krześle.

— Rzadko mamy u nas Przybyszów — rzekł. — Jesteś pierwszym w mojej karierze. Mnóstwo czasu zajmie mi przedarcie się przez te wszystkie instrukcje i rozporządzenia, by ustalić, co z tobą dalej począć. — Wskazał na wielką szafę wypełnioną po brzegi opasłymi tomiskami w czerwonych okładkach. — Lecz na razie pierwszą rzeczą, jaką powinienem uczynić, to przywitać cię w Awbri. Witaj. Drugą, to wygłosić tę oto krótką przemowę.

Westchnęła. Dość ciężko będzie polubić tych Awbrian.

— Przede wszystkim nie wiemy, kim albo może czym byłaś, zanim do nas zawitałaś — ciągnął — co zresztą wcale nas nie obchodzi. Ta kwestia nie należy do tematu. Zostaniesz już do końca swych dni na Świecie Studni. Zatem im prędzej zapomnisz o przeszłości i przystosujesz się do nowego życia, tym lepiej dla ciebie. Od teraz jesteś Awbianką. To nie ulegnie już zmianie. Poprzednio przebywałaś w innym środowisku, w innej kulturze. Przystosować się do nowej postaci będzie ci stosunkowo łatwo. Lecz kulturowa asymilacja okaże się z pewnością niesamowicie ciężka. Musisz zaakceptować cywilizację, która istniała tu już dziesiątki tysięcy lat przed twoim narodzeniem. Z początku nie będzie ci się ona podobać, stwierdzisz, że trudno się do niej przystosować. Bardzo ważne jednak, abyś przez cały czas pamiętała, że to też jest kultura, owoc mielleniów społecznej ewolucji. Zrobimy, co w naszej mocy, by pomóc ci w tym ciężkim okresie przystosowawczym. Jakies pytania?

— Setki — odparła. — Ale... najpierw opowiedz o waszej kulturze. Zaobserwowałam już co nieco i trochę się także domyślałam, lecz wolałabym usłyszeć to z twoich ust.

— Dowiesz się wszystkiego w ciągu nadchodzących dni — zapewnił ją sekretarz. — Jednak podam ci kilka podstawowych informacji. Jesteśmy podzieleni na grupy rodzinne, z których każda posiada własne drzewo. To drzewo należy tylko do danej rodziny i nikogo więcej. Można korzystać z cudzych drzew jedynie w celach komunikacyjnych, żadnych innych. Niemal wszystkie drzewa są w środku wydrążone, podobnie jak to, i służą jako kwatery mieszkalne. Jeśli drzewo jest odpowiednio pielęgnowane, może utrzymać znaczną populację. Tropikalny klimat umożliwia fenomenalną vegetację roślin. Na każde pięć tysięcy obywateli przypada jedna wioskowa Rada, w której zasiadają najmądrzejsi, zwani Starszyzną. Wiek odgrywa tu podstawową rolę. Daleko, w Gaudioi, nie opodal Bramy, znajduje się Główny Urząd Zarządzania. On pilnuje, aby ścieżki i tunele powietrzne były wciąż drożne, kontroluje handel oraz łagodzi spory międzywioskowe.

— Powiedziałeś „najmądrzejsi” — zauważyła ostrożnie Jua. — To znaczy, że rolę dominującą odgrywają mężczyźni?

Dziób sekretarza rozwarł się nieznacznie w wyrazie kompletnego zaskoczenia. Nie był przygotowany na takie pytanie, więc milczał chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

— Panuje podział obowiązków — odparł. — Opieka nad drzewami, zbieranie liści, owoców, rozsądne gospodarowanie — to wszystko powinności samców. Oni również biorą na siebie obronę drzewa i rodziny oraz reprezentują klan na wewnątrz. Samice natomiast zajmują się sprawami domowymi, takimi jak sprzątanie, wystrój wnętrza, przygotowywanie posiłków oraz rodzenie i wychowywanie potomstwa.

Dla Juy nie brzmiało to wcale logicznie ani przekonywająco, lecz na razie nie ciągnęła tego tematu.

— A co z zawodami? — spytała. — Z pewnością nie wszyscy są hodowcami drzew.

— Istnieje wiele innych zawodów — wyjaśnił sekretarz. — Ja wykonuję jeden z nich. Jest przecież spora nadwyżka samców, których nie jest w stanie utrzymać rodzinne drzewo. Potrzeba nam lekarzy, prawników, kupców, robotników. Ktoś musiał napisać te książki leżące na regale, ktoś musiał je wydrukować, oprawić, rozwieźć.

Zadrzała.

— Nadmiar samców? A co z samicami?

Odchrząknął lekko.

— Wiem, że istnieją kultury, w których kobiety odgrywają inną rolę, lecz u nas panuje właśnie taki układ. To znaczy, że mimo wszystko jeden samiec może, hm, obsłużyć wiele samic, lecz nie na odwrót. To jedyne logiczne wyjście, sama widzisz.

Nie dostrzegając w tym wszystkim ani krzty logiki. Przejście od kultury, gdzie samce niemal w ogóle nie istniały i były wykorzystywane tylko w jednym celu, do układu, jaki panował tutaj, stanowiło dla niej prawdziwy szok.

— Więc jakie jest moje miejsce? — spytała zmartwiona.

— Dziś prześpisz się tutaj jako gość Starszyny — odparł po chwili. — Jutro wezwą cię na rozmowę, a następnie zostaniesz włączona do rodziny, która wyrazi chęć przyjęcia cię do siebie.

Wcale nie podobała jej się taka perspektywa.

— A przypuścimy, że nie będę miała ochoty dołączyć do tej rodziny, ani żadnej innej?

Zaśmiał się.

— Och, nie masz wyboru. Bo co byś jadła? Gdzie mieszkała? Rozumiesz, o co chodzi? Żyjąc tutaj musisz mieć rodzinę i drzewo, bo inaczej umrzesz z głodu. Ale nie martw się. Mamy swoje sposoby i pomożemy ci przystosować się, zapomnieć o wcześniejszych wzorcach kulturowych.

I to właśnie ją martwiło najbardziej. Nie chciała, by nafaszerowano ją narkotykami i oddano pod władanie jakiemuś obłąkanemu tyranowi, dla którego byłaby jedynie wylegarnią dzieci. Nie miała na to najmniejszej ochoty. Została wysłana do Świata Studni jako żołnierz, a nie uciekinier. Miała zadanie do wykonania, a takie życie z pewnością do tej misji nie należało. Nie mogłoby nigdy stać się częścią jej egzystencji.

Nie miała jednak jasno sprecyzowanego pomysłu, co zrobić dalej. Obie powiedział, że wszystko tak się potoczy, iż sama rozpozna właściwy czas, by zacząć działać. Lecz kiedy to będzie? A jeśli Obie pomylił się? Jeśli Awbri nie byli tymi, kim ona, Jua, miała zostać po przejściu przez Studnię?

Nie wiedziała, co zrobić dalej, a co gorsza, miała jedynie jedną noc, by coś wymyślić.

Jednego była mimo wszystko pewna: rzeczywistość absolutnie nie odpowiadała jej oczekiwaniom...

Południowa Strefa

— Przybywają wciąż w nie mniejszym tempie — oznajmił Ortega zwracając się do ambasadorów Południowych heksów i reprezentantów z Północy. — Jak na razie przepuszczamy sto osób na godzinę i nie zaobserwowano tendencji spadkowej. Wręcz przeciwnie, ta liczba wciąż rośnie. Zaapelowaliśmy już do niektórych z was o dostarczenie dodatkowej pomocy, nawet całych oddziałów wojskowych, by utrzymać względny porządek. Lecz i to nie wystarczy na długo. Jesteśmy dosłownie zalewani ludźmi!

— A nie można zostawić ich, ot tak po prostu, w komnacie wejściowej? — spytał któryś z ambasadorów. — Czy to nie powstrzymałoby napływu kolejnych partii?

— Na pewien czas — przyznał Ortega. — Lecz to miejsce nie nadaje się do życia przez dłuższy okres. Nie mamy czym ich karmić, jak usuwać nieczystości.

— Mówisz, że chodzi o populację całej planety? — włączył się inny głos. — Do diabła, człowieku! Mogą być ich miliardy! Wiesz, co się wówczas stanie? Ten świat nie wyżywi takiej liczby mieszkańców! Nastąpi chaos społeczny, polityczny i ekonomiczny. To może ściągnąć na nas zagładę! Musimy temu jakoś zaradzić!

Powszechny pomruk świadczył, że ambasador ma duże poparcie.

— W całej historii Świata Studni — rzekł ktoś — nie było dotąd podobnego przypadku. Populacja całej planety! To jakby zacząć od nowa eksperyment Markowian, z tym że nasza planeta jest już zaludniona. Wiele z naszych ekosystemów znajduje się w bardzo chwiejnej równowadze, która zostanie zniszczona przez tę inwazję. Moim zdaniem nie mamy wyboru. Dla naszego własnego dobra musimy likwidować tych przybyszów, gdy tylko się pojawią.

Ta konkluzja zaszokowała wielu zgromadzonych. Na chwilę zapadła cisza, lecz Ortega doskonale wiedział, że gdy szok minie, wielu ambasadorów poprze ten pomysł.

— To nie jest czysty przypadek — oznajmił niespodziewanie Ortega. — Wszystko jest przemyślane. Wiecie, że wciąż żyje markowiański inżynier, Nathan Brazil. On za tym stoi. I, jak sędzę, nie czyni niczego bez powodu.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Wszyscy pilnie słuchali.

— Nie od dziś wiemy dobrze, co robić, gdyby teraz miał pojawić się tutaj Nathan Brazil. Ostatnim razem jego stan umysłowy nie był najlepszy. Wiem, bo sam widziałem. Utrzymywał wtedy, że jest Bogiem, stwórcyem Wszechświata, Markowian i całej reszty. Nie mamy zielonego pojęcia, co stało się z jego mózgiem po następnym tysiącleciu. Gdy dostanie się do Studni Dusz, może obrać nową politykę. A gdyby jego kompleks Boga wzmógł się jeszcze? Przypuśćmy, że postanowi zabawić się naprawdę w stwórcyę? Wiecie, że nie jest to tylko czcze gadanie. Wiecie, że gdy wejdzie do środka, będzie mógł zrobić wszystko, czego zapagnie. Już dawno ustaliliśmy co robić, gdyby się tutaj pojawił.

— No cóż, koledzy, sądzę, że nadeszła właściwa pora. Brazil przybędzie znów, tym razem w jasno określonym celu, a całe to zamieszanie to tylko zasłona dymna. Może być szaleńcem, lecz na pewno nie jest głupcem. Wie, że na niego czekamy. Czy istnieje lepszy sposób, by przeniknąć do środka i zwiększyć swe szansę na sukces, niż właśnie zakamufłować swe poczynania w ogólnym bałaganie? Znaleźć odpowiednią planetę i wpędzić całą jej ludność nam w objęcia. Wie doskonale, ile zamieszania spowoduje taki zalew ludzi. I podczas gdy my będziemy starali się uporać z nowym problemem, on przemknie się nie zauważony. Zabić ich wszystkich? Nie, nie sądzę, aby to było właściwe rozwiązanie. Co zrobilibyśmy z tyloma ciałami? Lepiej uporajmy się z tym tłumem, na pewien czas upychając nowo przybyłych do naszych rodzimych heksów. Oczywiście, na ile pozwalają lokalne warunki. Wyjście ostateczne zawsze jest pod ręką, dopóki śledzimy rozmieszczenie Przybyszów. Na razie skupmy się nad utrzymaniem porządku. Przyślijcie doborowe oddziały, by strzegły Bramy. Brazil musi przez nią przejść, jeśli chce dostać się do Studni. Gdyby to uczynił, idę o zakład, że zalew Przybyszów ustałby natychmiast. Ale Brazilowi nie wolno przejść.

Wszyscy obecni wydali pomruk aprobaty.

— Zarządę odpowiednie przygotowania — rzekł Ortega. — Mam nadzieję, że wszyscy płucodyszni okażą daleką idącą współpracę. Żołnierze zostaną wyposażeni w odpowiednią broń. Jeśli Brazil będzie próbował prześliznąć się, strażnicy otrzymają rozkaz strzelania bez uprzedzenia.

Dillia

Mavra Czang obudziła się. Panował chłód, lecz nie był on zbyt dokuczliwy. Cicha puszcza, gdzieś niedaleko szemrał strumyk. Ulżyło jej nieco — przejście przez Studnię wcale nie było takie straszne.

Ruszyła przed siebie i nagle przystanąła. Odwróciła głowę, by obejrzeć swe nowe ciało. Zaczęła przeklinać.

Cholerny Obie! — pomyślała ze złością. Nadal była centaurem! Dobrze wiedział, że tak będzie — to dlatego nalegał, żeby została nadal rhonyjką. Chciał, aby przywykła do tej postaci.

Ruszyła w dół strumienia. Niedaleko natknęła się na niewielki, lecz malowniczy wodospad, który wzbijał kaskady wody. Wzburzona rzeczka wpadała do sporej sadzawki i tam znów uspokajała swój bieg. Jeszcze dalej dostrzegła kryształowo czyste jezioro i ruszyła ku niemu pospiesznie.

Nie była wciąż tym samym centaurem. Spostrzegła to przeglądając się w tafli jeziora. Wyglądała silniej, zdrowiej, bardziej muskularnie. Głowę oraz koński korpus pokrywała różowawa sierść. Jej kobiece ciało o delikatnej skórze było także silnie zbudowane, a na twarzy nie pozostało ani śladu po orientalnych przodkach. Zdecydowanie atrakcyjne oblicze spoglądało z wody błękitnymi oczyma.

Równocześnie było w tej twarzy coś dziwnie znajomego, jakby przypomnienie kogoś, kogo znała dawno temu. Nie miała pojęcia, kim mogła być tamta osoba — nigdy nie widziała nikogo o tak pięknej skórze i niebieskich oczach. Z wyjątkiem... — kogo?

Wspomnienie przedzierało się mozolnie, zakopane głęboko w pokładach zapomnienia. Obie pomógł wygrzebać je wreszcie na powierzchnię.

Wysoki, przystojny, muskularny mężczyzna o ciemnoniebieskich oczach i drobniejsza, oszałamiająco piękna, czarnowłosa kobieta o cudownej skórze.

Jej rodzice.

Teraz wszystko stało się jasne. Zrozumiała, co Studnia z nią zrobiła. Mavra Czang była efektem operacji chirurgicznych. Jej ciało uległo takim deformacjom, że nikt nie był w stanie rozpoznać w niej dziecka, które uciekło ze skazanej na zagładę planety.

Taka jak teraz byłaby normalnie, jako prawdziwe dziecko swych rodziców.

Mimo postaci centaury, po raz pierwszy w życiu ujrzała, jak wyglądałaby będąc człowiekiem, gdyby wszystko potoczyło się normalnym torem. Zaskoczyło ją to, a nawet nieco przestraszyło. Zadrżała, co jedynie częściowo było reakcją na panujący w lesie lekki chłód.

Rozejrzała się dookoła. W oddali widniały wysokie góry. Nie, tak naprawdę leżały one całkiem blisko. W zasadzie już teraz stała u ich podnóża. Wiedziała, gdzie się znajduje, wiedziała, gdzie musi się znajdować. Kiedyś już wspinała się na te dziwne, samotne szczyty i wiedziała, że leżą w heksie o nazwie Gedomondas. Obecnie znajdowała się w Dilli, krainie sympatycznych centaurów, nad jeziorem — ogromnym polodowcowym zbiornikiem wodnym. Wiedziała, że nie opodal leży wioska. Zamieszkują ją przyjacielskie centaury, które lubią sobie popić, zapalić i opowiadają cudowne historie. Zaś w tych górach żyje rasa istot obdarzonych zmysłami i możliwościami przekraczającymi wszelkie wyobrażenia.

Sądziła, że rozumie intencje Obiego, lecz była sama w chłodnym lesie, nawet bez płaszcza.

Głowa do góry — powiedziała sobie. Oto jesteś — przyszła królowa wojownicza, bez dworzan i armii. Oto jesteś — strasznie daleko od Glathriel i Ambrezy, naga i samotna, a twoją misją jest wzniecenie rewolucji.

Głowa do góry superkobieto — powiedziała sobie. Od teraz zdana jesteś jedynie na własne siły. Nie ma Brazila, nie ma Obiego, nie ma nikogo. Tylko ty i twoje szczerze chęci. A teraz pytanie — jak masz zamiar wypełnić swoje zadanie?

Westchnęła i ruszyła w kierunku wioski. Najpierw ciepłe ubranie, trochę jedzenia i picia, a dopiero potem będzie czas zająć się podbojem całego świata — postanowiła.

Tak. Podbój całego świata. Ale skąd armia? — szepnęła bardziej sceptyczna część jej umysłu. Nie znała odpowiedzi.

Durbis, na wybrzeżu Flotisz

Spacerował wzdłuż doków w gęstniejących ciemnościach. Kroczył powoli, pewien siebie. Sięgnął do kieszeni i wydobyl paczkę papierosów. Zapalił jednego używając starej zapalniczki. Stuk jego butów niósł się głucho po nabrzeżu. Mężczyzna zbliżył się do jednego z doków i spojrzal na zakotwiczony tam statek.

— Hej, na pokładzie! — zawołał.

Statek — zgrabny dwumasztowy szkuner — sprawiał wrażenie zupełnie opuszczonego.

— Hej! — krzyknął ponownie. — Jest tam kto?

Zza relingu wyjrzała przerażająca twarz. Rybie, pozbawione powiek oczy obserwowały go podejrzliwie.

— Kim, u diabła jesteś, i czego tu chcesz? — zaskrzeczał stwór.

— Skontaktowałem się z waszym przedstawicielstwem w Strefie — odkrzyknął. — Rozumiem, że jesteście do wynajęcia.

— Właż na pokład — polecił ostro tamten.

Wszedł pewnie po trapie. Stwór wciąż nie spuszczał z nieznajomego wzroku.

Był Flotiszem. Tubylcy przypominali ludzi, bo mieli głowę, ręce i nogi we właściwych miejscach. Lecz na tym wszelkie podobieństwo się kończyło. Byli stworzeniami morskimi, to rzucało się w oczy od razu. Krępe, pokryte łuską ciała upodabniały ich do opancerzonych szkieletów. Zamiast dłoni i stóp mieli nieproporcjonalnie duże płetwy wyposażone w pazury, zaś twarze wyglądały jak wyjęte z nocnego koszmaru. Ogromne żółtawe oczy nie posiadały powiek. W wielu miejscach ciała znajdowały się niewielkie płetwy, zaś na plecach rzucała się w oczy duża płetwa grzbietowa. W zasadzie ich żywioł stanowiła woda i normalnie oddychali skrzelami, choć byli w stanie przeżyć również kilkanaście godzin na wolnym powietrzu. Dopiero po pewnym czasie następowała śmierć z niedotlenienia. Bardzo prosto rozwiązaali ten problem mocując na plecach, nad płetwą grzbietową, niewielkie urządzenie nawilżające skrzelą. Choć nie starczało to na dłuższy czas, wszakże zapewniało względną wygodę.

— Zapraszam do mojej kabiny — rzekł Flotisz. — Mam tam mały zbiornik wodny, w którym czuję się znacznie lepiej niż tutaj.

Ruszył za gospodarzem. Gdy dotarli do jego kabiny, zrozumiał, co tamten miał na myśli. Zbiornik umożliwiał mu kąpiel w morskiej wodzie, podczas gdy głowa sterczała na zewnątrz. W pomieszczeniu nie było krzeseł, z których gość mógłby skorzystać. Przysiadł więc na krawędzi stołu.

— Rzadko widuje się skrzelodysznych na statkach pływających po powierzchni — zauważył.

— Łajby toną, my je wyciągamy, remontujemy i sprzedajemy z zyskiem — wyjaśnił Flotisz. — To całkiem niezły interes, szczególnie gdy z czterech stron jest się otoczonym przez lądy.

Skinął głową.

— Chciałbym kupić ten statek — oświadczył.

— Płacisz środkiem?

Uśmiechnął się.

— Jeśli wolisz, mogę złotem albo diamentami. Ale nawet jeśli nie używacie tutaj środka, to bardzo łatwo go wymienić gdzie indziej.

— Dobra, płac, jak chcesz — zgodził się Flotisz. — I tak przeliczymy wszystko na złoto. Statek został doskonale wyposażony. Jest w świetnym stanie. Zatonął w czasie sztormu, bo kapitan okazał się kompletnym idiotą. Szkielet i cały kadłub nie uległ w ogóle uszkodzeniu. Solidne, dębowe poszycie.

Pokiwał głową.

— Podoba mi się. Ma jakiś silnik?

— Parowy — wyjaśnił stwór. — Zupełnie nowy. Kiedy wyjdiesz, zobaczysz komin na rufie. Ale przydaje się tylko w awaryjnych wypadkach. Nie wyciągniesz z niego więcej niż dwa węzły. Dopiero na pełnych żaglach, przy silnej bryzie wychodzą wszystkie zalety tego statku. Osiemnaście, dwadzieścia węzłów. Fantastyczna jednostka. I chcę za nią czterdzieści siedem kilo.

Mężczyzna roześmiał się w głos.

— Chyba żartujesz. Czterdzieści siedem kilogramów czystego złota? Za to można kupić pancernik.

— Ale przy zakupie pancernika trzeba podpisywać masę dokumentów — odparł Flotisz. — A u nas nie. Nie ma dokumentów, rachunków, choć wszystko odbywa się legalnie i zgodnie z prawem. Nie ma mowy, żeby ktokolwiek coś zwąchał.

— Za połowę tej sumy mogę kupić sobie nowiutki okręt — wybuchnął mężczyzna.

— Owszem — zgodził się stwór. — Ale nie byłoby cię teraz tutaj, gdyby cena była twoim podstawowym kryterium. Nie wiem, co planujesz — może przemyt albo piractwo. Ale nie spotkalibyśmy się, gdyby był to jakiś uczciwy interes. Dostajesz to, za co płacisz, a w tym wypadku chodzi ci o doskonały statek i całkowitą anonimowość.

Gość zaśmiał się ponownie.

— Nie jest tak źle — stwierdził. — Chodzi o wygodę. Flotisz znajduje się niedaleko miejsca, gdzie muszę się niedługo stawić i czas gra tu podstawową rolę. Daję dwadzieścia kilo, a i tak czuję się oszukany.

Stwór roześmiał się urągliwie.

— Za dwadzieścia nie dostałbyś nawet szalupy. Czterdzieści.

Targowali się przez jakiś czas, idąc na wzajemne ustępstwa, aż w końcu spierali się już o poszczególne gramy.

— Trzydzieści jeden to moje ostatnie słowo — rzekł mężczyzna. — Jeśli będziesz się dalej kłócił, nadłożę nieco drogi i pojedę do Vergutz.

Stwór splunął z niesmakiem.

— Sprzedadzą ci jakiś szmelc. Ale w porządku! Trzydzieści jeden i umowa stoi. Dostarczysz kruszec przez Strefę?

Nieokreślony ruch głową.

— Zobaczysz. A teraz zajmijmy się załogą. Potrzebuję ludzi wytrzymałych, dobrych żeglarzy i rzemieślników. Nieprzekupnych.

Flotisz zastanawiał się przez chwilę.

— Sądzę, że da się coś skombinować.

— Byłem tego pewien — odparł Cygan.

Południowa Strefa

Napływali wciąż tysiącami. To nie do wiary — pomyślał Ortega. Zastanawiał się, jak Brazyl tego dokonał. Studnia wysyłała Przybyszów równomiernie do wszystkich Południowych heksów i jak na razie niebezpieczeństwo było niewielkie. Jednak jeśli potrwa to dłużej, wkrótce dojdzie do potwornego przeludnienia. Już teraz napływały raporty o zabójstwach i rozszerzającej się panice. Mordowano ludzi, których podejrzewano, iż są Przybyszami.

Posuwali się wzdłuż korytarza nieprzerwanym strumieniem. Zatrzymywano ruch jedynie od czasu do czasu, by zalać wodą salę wejściową. Umożliwiano w ten sposób skrzelodysznym ambasadorom dotarcie do swojej bramy i złożenie raportu w rodzimym heksie.

Przybysze maszerowali pod czujnym okiem żołnierzy, uzbrojonych w śmiertelne kusze i tym podobny sprzęt. Choć w Strefie działały wszelkie wytwory technologiczne, wymyślniejszy oręż nie utrzymałby lepiej spokoju. W końcu nieważne, czym się zabija — promieniem lasera czy dobrze wymierzonym bełtem.

Minął tydzień, nim zdarzyło się coś godnego uwagi. Usłyszał krzyki, wrzaski oraz tupoty i natychmiast wybiegł na korytarz. Przerażone Olimpijanki przywarły do ścian, by uniknąć stratowania przez węzowatego stwora, pędzącego z zawrotną prędkością w stronę powstałego zamieszania.

Na miejscu spostrzegł wielu żołnierzy — olbrzymie insekty uzbrojone w najróżniejszą broń miotającą. Stali wokół ciała leżącego na posadzce.

Przepchnął się przez tłum i podszedł do wciąż obficie krwawiących zwłok. Tkwiło w nich z górą szesnaście strzał. Jedna trafiła w czaszkę i rozłupała ją niemal na pół. Były to zwłoki mężczyzny leżącego twarzą do ziemi w kałuży krwi. Ortega pochylił się i uważnie zbadał ciało. Nie miał wątpliwości — było martwe. Bez jakichkolwiek szans na cudowne zmartwychwstanie. Powoli, ostrożnie obrócił je na plecy. Wyraz kompletnego zaskoczenia wciąż malował się na martwej twarzy. Spoglądały z niej szeroko otwarte oczy, nie widzące już tego, co przyniosło śmierć.

Ortega poczuł się jakoś dziwnie, bez cienia ulgi na duchu. Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

— Więc ta gadka o nieśmiertelności była głównie warta — westchnął pochylając się nad trupem. — A szczęście w końcu cię opuściło.

Spojrzał na żołnierzy, którzy byli tego sprawcami.

— Możecie teraz trochę odpocząć. Właśnie dokonaliście cudu. Nie mam już żadnych wątpliwości. Nathan Brazil wreszcie nie żyje.